

SUSAN ELIZABETH
PHILLIPS

Wymyślne zachcianki

Przekład Ewa Spirydowicz

Przyślijcie ich do mnie; bezdomnych, miotanych burzami...

Emma Lazarus *The New Colossus* (Nowy kolos)

Prolog

- Sobole są beznadziejne - mruknęła Francesca Serritella Day, gdy błyski fleszy oślepiły ją nieoczekiwanie. Wtuliła twarz w kołnierz rosyjskiego futra, zła, że jest wieczór i nie może się ukryć za okularami słonecznymi.

- Większość ludzi nie przyznałaby ci racji, skarbie - zauważył księżę Stefan Marco Brancuzi. Wziął ją za rękę i prowadził przez tłum paparazzich zebranych przed nowojorską restauracją La Cote Basque. Czatowali na pięknych i sławnych wychodzących z prywatnego przyjęcia. Stefan Marco Brancuzi był władcą miniaturowego państewka na Bałkanach, które powoli odbierało zatłoczonemu Monaco palmę pierwszeństwa jako azyl podatkowy dla bogaczy, ale nie na niego kierowały się obiektywy. To śliczna Angielka u jego boku przyciągała uwagę wszystkich.

Kiedy Stefan prowadził ją do limuzyny, Francesca uniosła dłoń w rękawiczce, daremnie usiłując powstrzymać grad pytań - o pracę, o związek ze Stefanem, a nawet o to, co ją łączy z gwiazdą serialu *China Colt*.

W końcu opadli na miękkie skórzane siedzenia limuzyny i samochód włączył się do ruchu na Wschodniej Pięćdziesiątej Piątej.

- Tyle zamieszania przez futro! - jęknęła Francesca. - Tobie dziennikarze w ogóle nie zawracają głowy, czepiają się mnie. Gdybym włożyła stary płaszcz przeciwdeszczowy, nikt nie zwróciłby na mnie uwagi.

Stefan przyglądał się jej rozbawiony. Zmarszczyła czoło, patrząc na niego z wyrzutem.

- To ważna lekcja na przyszłość, mój drogi!

- A niby jaka?

- W świecie, na którym szaleje głód, kobiety w sobolach mają, czego chciały.

Roześmiał się.

- Kochanie, rozpoznałiby cię bez względu na to, co włożysz. Widziałem, jak przechodnie oglądali się za tobą, kiedy miałaś na sobie stary dres.

- Nic na to nie poradzę. - Naburmuszyła się. - Mam to we krwi. To klątwa Serritellich.

Doprawdy, Francesco, nie znam innej kobiety, której tak jak tobie przeszkadzałyby uroda.

Mruknęła coś, czego nie dosłyszał, i wsunęła ręce w kieszenie futra, niewzruszona jak zawsze, ilekroć ktoś wspominał coś na temat jej olśniewającej urody. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

- Odkąd się urodziłam, moja uroda nie przyniosła mi nic dobrego.

Warto też wspomnieć o twoim boskim ciele, pomyślał Stefan, ale rozsądnie zachował tę uwagę dla siebie. Francesca, myślami nieobecna, patrzyła na przyciemnioną szybę, a on korzystał z okazji, by podziwiać jej nieskazitelne rysy. Ich harmonia pociągała wielu mężczyzn.

Nadal miał w pamięci słowa znanego projektanta mody, który, nie chcąc powtarzać banalnych porównań do Vivien Leigh, które towarzyszyły Francesce od lat, napisał:

„Francesca Day, ciemnowłosa, zielonooka, wygląda jak księżniczka z bajki, przędzie złotą nić w ogrodzie bajkowego zamku”.

Kiedy tak wygłaszał kwestie nieprzeznaczone do druku, nie używał równie wyszukanych porównań:

- W głębi serca nie wierzę, by Francesca Day kiedykolwiek chodziła do toalety...

Stefan wskazał barek, dyskretnie ukryty z boku limuzyny.

- Napijesz się czegoś?

- Nie, dziękuję. Nie wmuszę w siebie więcej alkoholu. - Ostatnio źle spała, a jej brytyjski akcent był wyraźniejszy niż zwykle. Poły futra rozsunęły się, odsłaniając wyszywaną paciorkami suknię od Armaniego. Suknia od Armaniego... Futro od Fendiego... buty od Maria Valentina. Zamknęła oczy i nagle przypomniało jej się tamto upalne popołudnie, gdy leżała w kurzu teksaskiej drogi, w brudnych dżinsach, z dwudziestoma pięcioma centami w kieszeni. To był początek. Początek i koniec zarazem.

Limuzyna skręciła w Piątą Aleję, a Francesca cofała się wspomnieniami do dzieciństwa w Anglii, do czasów, kiedy nawet nie wiedziała, że Teksas istnieje. Była wtedy małym rozpuszczonym potworem, a matka, Chloe, ciągała ją ze sobą na wszystkie przyjęcia. Już jako dziecko zachowywała się arogancko, święcie przekonana, że jej uroda, słynne piękno kobiet Serritellich - otworzy przed nią każde drzwi i sprawi, że wszystko ułoży się po jej myśli. Mała Francesca - próżna, bezmyślna, zupełnie nieprzygotowana na to, co zgotował jej los.

Tamtego dnia, gdy leżała w teksaskim kurzu, miała dwadzieścia jeden lat. Była sama i spodziewała się dziecka.

Teraz, ponad dziesięć lat później, miała wszystko, o czym tylko zamarzyła, a jednak czuła się równie samotna, jak w tamto upalne popołudnie. Zamknęła oczy i usiłowała sobie wyobrazić, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby została w Anglii, jednak Ameryka zmieniła ją do tego stopnia, że nie potrafiła nic wymyślić.

Uśmiechnęła się pod nosem. Emma Lazarus - pisząc o uciśnionych masach, które chcą odetchnąć pełną piersią - zapewne nie wyobrażała sobie rozpuszczonej Angielki w kaszmirowym swetrze, z walizką Louisa Vuittona. Ale nawet małe bogate dziewczynki snują marzenia, a amerykański sen czasami także dla nich staje się rzeczywistością.

Stefan wyczuwał, że coś ją dręczy. Przez cały wieczór była dziwnie milcząca - zupełnie nie w jej stylu. Zaplanował sobie, że dzisiaj poprosi ją o rękę, ale teraz zastanawiał się, czy lepiej nie poczekać. Była całkiem inna niż znane mu kobiety, kompletnie nieprzewidywalna. Domyślał się, że tuziny zakochanych w niej mężczyzn mają ten sam problem.

Jeśli wierzyć plotkom, Francesca dokonała pierwszego podboju jako dziewięciolatka, gdy na pokładzie jachtu „Christina” zdobyła serce Anstotelisa Onasisa.

Plotki... Otaczały Francescę od lat i prawdopodobnie nie było w nich ani odrobiny prawdy... A może jednak niewykluczone, zważywszy na jej burzliwe życie, dumął Stefan. Kiedyś od niechcenia rzuciła, że wszyscy wiedzieli, że księżę Karol się do niej zalecał. Pewnego wieczoru na początku znajomości popijali szampana i wspominali dzieciństwo.

- Zazwyczaj dzieci robi się z miłości - zauważyła wtedy. - A mnie zrobiono na stoisku z futrami w Harrod'sie.

Limuzyna minęła sklep Cartiera. Stefan uśmiechnął się pod nosem. Urocza historyjka, szkoda tylko, że zmyślona.

STARY ŚWIAT

Rozdział I

Kiedy Chloe Serritella Day po raz pierwszy wzięła w ramiona córeczkę w prywatnym londyńskim szpitalu, zalała się łzami i krzyknęła, że zamieniono jej dziecko. Chyba każdy widzi, że ten potworek z zapuchniętą buzią nie może pochodzić z jej boskiego ciała!

Ponieważ w pobliżu nie było męża, który uspokoiłby rozhisteryzowaną Chloe, pielęgniarki wzięły na siebie ciężar uświadomienia jej, że żaden noworodek nie olśniewa urodą. Chloe kazała im zabrać paskudztwo i nie wracać, póki nie odnajdą jej ślicznego dziecka. Następnie zrobiła sobie makijaż i przyjęła gości, wśród których był francuski gwiazdor filmowy, brytyjski minister i Salvador Dali. Podzieliła się z nimi rozpaczą, opowiadając o tym, co ją spotkało. Odwiedzający, przyzwyczajeni do jej dramatycznych historii, głaskali ją z otuchą i obiecywali, że się wszystkim zajmą. Dali w przypływie wielkoduszności zaproponował, że namaluje surrealistyczny portret dziecka jako prezent na chrzciny, ale na szczęście o tym zapomniał i przysłał komplet kieliszków.

Minął tydzień. Chloe miała wyjść ze szpitala. Pielęgniarki pomogły jej włożyć długą czarną luźną suknię od Balmaina z szerokim organdyńskim kołnierzem, posadziły w wózku i podały niechciane dziecko. Czas nie był dla maleństwa łaskawy, lecz gdy Chloe patrzyła na zawiniątko w swoich ramionach, doświadczyła częstej u niej zmiany nastroju. Orzekła w szumie wózek, że oto objawiło się trzecie pokolenie słynnych z urody kobiet z rodu Serritellich. Wszyscy byli zbyt dobrze wychowani, by zaprzeczyć, i całe szczęście, bo kilka miesięcy później słowa Chloe okazały się prorocze.

Chloe nie bez powodu przywiązywała tak wielką wagę do urody dziecka - jej obsesja wywodziła się jeszcze z dzieciństwa. Jako mała dziewczynka była pulchna; miała fałdki na brzuchu, a delikatne rysy jej twarzy straciły wyrazistość. Nikt nie uznałby jej za otyłą, ale jej wydawało się, iż jest za gruba i niezbyt ładna, zwłaszcza w porównaniu ze smukłą, elegancką matką - Nitą Serritellą, Włoszką z pochodzenia, słynną dyktatorką mody. Dopiero latem 1947 roku dwunastoletnia wówczas Chloe usłyszała, że jest ładna.

Przyjechała do domu na krótkie wakacje ze szwajcarskiej szkoły z internatem, gdzie spędzała prawie całe dzieciństwo, i przycupnęła cichutko na złożonym krześle w eleganckim salonie mody matki, przy rue de la Paix. Kuląc pulchne ciało, obserwowała z zazdrością i żalem jak Nita, szczupła, wyglądająca imponująco w czarnym kostiumie z malinowymi klapami, ustala szczegóły z klientką. Czarnobłękitne włosy opadały na jeden policzek, na szyi jak na obrazach Modiglianiego, pyszniły się czarne perły. Perły te, podobnie jak reszta klejnotów z sejfów w sypialni, były prezentami od wielbicieli, ludzi sukcesu, z rozkoszą obsypujących drogimi podarkami kobietę, która bez uszczerbku dla swego majątku mogłaby je kupować sama. Jeden z adoratorów był ojcem Chloe, choć Nita udawała, że nie wie, który z nich. Nigdy też nie chciała wyjść za niego za mąż.

Kobieta rozmawiająca tamtego dnia z Nitą w salonie mówiła po hiszpańsku, z akcentem zadziwiająco pospolitym jak na osobę, która w tamto pamiętne lato 1947 roku skupiała na sobie uwagę całego świata. Chloe nieuważnie przysłuchiwała się rozmowie; o wiele bardziej interesowały ją chude jak szczapy modelki, prezentujące kolekcję matki. Dlaczego ona nie jest taka szczupła i pewna siebie? Dlaczego nie wygląda jak matka, choć ma te same czarne włosy i te same zielone oczy? Może gdyby była piękniejsza, Nita nie patrzyłaby na nią z takim obrzydzeniem. Po raz setny przysięgała sobie, że nigdy więcej nie zje ciastka, jeśli w zamian zyska aprobatę matki - i po raz setny przykry ucisk w żołądku uświadomił jej, że brak jej silnej woli, by dotrzymać obietnicy. Wobec żelaznego opanowania Nity siła woli Chloe przypominała łabędzi puch.

Blondynka nagle podniosła głowę i jej wielkie piwne oczy spoczęły na Chloe. Mówiąc z ostrym, ulicznym hiszpańskim akcentem zauważyła:

- Z tej małej będzie kiedyś prawdziwa piękność. Jest do pani bardzo podobna. Nita zerknęła na córkę ze źle skrywaną pogardą.

- Senora, szczerze mówiąc, nie widzę żadnego podobieństwa. Zresztą, nigdy nie będzie ładna, póki nie nauczy się kontrolować apetytu.

Klientka podniosła dłoń, ozdobioną mnóstwem wyzywających pierścionków, i skinęła na dziewczynkę.

- Chodź tu, *querida*. Pocałuj Evitę.

W pierwszej chwili Chloe nie drgnęła -jeszcze nie w pełni dotarły do niej słowa kobiety. W końcu wstała nieśmiało i przeszła przez pokój, świadoma, że jej grube łydki są aż nadto widoczne. Podeszła do klientki i złożyła niezdarne, ale szczerzy pocałunek na policzku Evy Peron.

- Faszystowska suka! - syknęła Nita później, gdy pierwsza dama Argentyny wyszła z salonu. Nita włożyła do ust czarną cygaretkę i zaraz ją wyjęła. Na ustniku został ślad czerwonej szminki. - Niedobrze mi się robi, kiedy jej dotykam! Wszyscy wiedzą, że Argentyna przyjmowała nazistów z otwartymi ramionami.

Nita nadal miała w pamięci niemiecką okupację Paryża i czuła niechęć do wszystkich zwolenników nazizmu. Nade wszystko była jednak kobietą praktyczną i Chloe wiedziała, że matka nie miała zamiaru odsyłać Evy Peron i jej pieniędzy, choćby nielegalnie zdobytych, na Avenue Montaigne, gdzie królował Dior.

Po tym spotkaniu Chloe wycinała z gazet zdjęcia Evy Peron i wklejała do albumu z czerwoną okładką. Ilekroć Nita uraczyła ją wyjątkowo złośliwym komentarzem, Chloe oglądała zdjęcia. Czasami zostawiała na nich smugi czekolady, gdy z rozmarzeniem wspominała słowa Evy Peron, że pewnego dnia wyrośnie z niej prawdziwa piękność.

Kiedy miała czternaście lat, otyłość zniknęła w cudowny sposób, podobnie jak zamięłowanie do słodczy. Wreszcie stała się podobna do Serritelli. Chloe spędzała całe godziny przed lustrem, zafascynowana szczupłą postacią w zwierciadle. Teraz wszystko się zmieni, powtarzała sobie. Odkąd sięgała pamięcią, była w szkole wyrzutkiem, aż nagle znalazła się w centrum zainteresowania. Nie zdawała sobie sprawy, że koleżanki przyciągała do niej nie szczupła talia, ale nowo odkryta pewność siebie. Dla Chloe Serritelli uroda oznaczała akceptację innych.

Nita wydawała się zadowolona z jej figury, podczas letnich wakacji Chloe zdobyła się więc na odwagę i pokazała matce swoje szkice - marzyła, że w przyszłości i ona zostanie projektantką. Nita rozłożyła jej rysunki na biurku, zapaliła papierosa i przyglądała się im krytycznie.

- Fatalna linia. Proporcje nie do przyjęcia. Spójrz, Chloe, tutaj wszystko zepsułaś nadmiarem szczegółów. Nie masz wyczucia? Gdzie ty masz oczy?

Chloe porwała szkice. Nigdy więcej nie próbowała projektować.

Po powrocie do szkoły robiła, co mogła, by stać się najładniejszą, najbardziej dowcipną i lubianą ze wszystkich koleżanek. Obiecała sobie, że nikt nigdy się nie dowie, że nadal żyje w niej grubaska. Nauczyła się ubarwiać najzwyklejsze wydarzenia, przesadnymi gestami i westchnieniami podkreślała, że wszystko, co robi, jest ważniejsze niż życie innych. Z czasem nawet najbardziej błahе fakty z życia Chloe Serritelli urastały do rangi dramatu.

W wieku szesnastu lat straciła dziewictwo z bratem przyjaciółki, w altanie nad Jeziorem Bodeńskim. Nie było to przyjemne przeżycie, ale seks sprawiał, że czuła się szczupła. Postanowiła, że spróbuje jeszcze raz, z kimś bardziej doświadczonym.

Latem 1953 roku, gdy Chloe miała osiemnaście lat, Nita zmarła na zapalenie wyrostka robaczkowego. Chloe, milcząca i wstrząśnięta, jakoś przetrwała pogrzeb matki. Była zbyt zagubiona, by rozumieć, że opłakiwała nie śmierć Nity, lecz fakt, że w rzeczywistości nigdy nie miała matki. Z obawy przed samotnością rzuciła się w ramiona polskiego hrabiego, starszego od niej o wiele lat. U jego boku udało jej się zapomnieć o dręczących ją obawach. Z jego pomocą pół roku później sprzedała imperium Nity za bajorńskie sumy.

Hrabia z czasem wrócił do żony, a Chloe żyła ze spadku. Młoda, bogata i wolna, przyciągała leniwych młodych mężczyzn, jakich nie brakuje wśród międzynarodowego high life'u. Chloe

była swego rodzaju kolekcjonerką, zmieniała kochanków jak rękawiczki, szukając tego jednego, który obdarzy ją bezwarunkową miłością, jakiej nigdy nie zaznała od matki, mężczyzny, przy którym przestanie czuć się brzydką grubaską.

Jonathan Black Jack Day zjawił się w jej życiu po drugiej stronie koła ruletki w klubie w Berkeley. Przewisko zawdzięczał nie urodzie, lecz zamiłowaniu do hazardu i ryzyka. W wieku dwudziestu pięciu lat miał już na koncie trzy roztrzaskane samochody sportowe i znacznie więcej kobiecych serc.

Był to zabójczo przystojny playboy z Chicago. Kasztanowe włosy opadały mu na oczy niesformą falą. Miał zawadiacki wąsik i talent do polo. Pod wieloma względami niczym się nie różnił od innych młodych hedonistów, którzy stanowili część życia Chloe; pił dżin, nosił świetnie skrojone garnitury i zmieniał boiska wraz z porami roku. W innych mężczyznach nie wyczuwało się jednak tej żyłki szaleństwa, odwagi, by postawić wszystko na jedną kartę, nie wyłączając fortuny, jaką odziedziczył po przodkach, twórcach amerykańskich kolei.

Chloe czuła na sobie jego wzrok, gdy obserwowała małą kuleczkę z kości słoniowej, tańczącą po kole ruletki, dopóki ta nie zatrzymała się na czarnej siedemnastce. Chloe podniosła wzrok i napotkała spojrzenia Jacka Daya. Uśmiechnął się pod wąsem. Odpowiedziała uśmiechem, czuła się doskonale w srebrzystej kreacji od Jacka Fatha, która podkreślała błądźliwość jej skóry, zieleń oczu i czerń włosów.

- Chyba ani razu pan dzisiaj nie przegrał - zauważyła. - Los zawsze jest dla pana tak łaskawy?

- Nie zawsze - odparł. - A dla pani?

- Dla mnie? - Westchnęła dramatycznie. - Dzisiaj ciągle przegrywam. *Je suis miserable*. Mam pecha.

Wyjął papierosa ze srebrnej papierośnicy, bezwstydnie błędząc wzrokiem po jej ciele.

-Nieprawda. Ma pani szczęście. Przecież poznała pani mnie, prawda? Odwiozę panią do domu.

Jego bezczelność zaintrygowała ją i zdenerwowała zarazem. Instynktownie chwyciła się stołu, jakby szukała oparcia. Miała wrażenie, że jego srebrzyste oczy przenikają jej suknię i widzą najtajniejsze zakątki ciała. Nie umiała określić, co tak naprawdę odróżnia Black Jacka od innych mężczyzn, ale wyczuwała, że tylko kobieta wyjątkowa zdoła zdobyć jego serce. Jeśli jej się to uda, na zawsze pożegna grubaskę z dzieciństwa.

Choć jednak bardzo go pragnęła, nie okazywała tego. Od śmierci matki Chloe nauczyła się wiele o mężczyznach; więcej niż o samej sobie. Dostrzegła błysk w jego oczach, gdy kulka tańczyła po kole ruletki, i wyczuwała, że coś, co przyjdzie mu zbyt łatwo, nie ma dla niego żadnej wartości.

- Przykro mi - rzuciła chłodno. - Mam już inne plany. - Nim zdążył odpowiedzieć, zabrała torebkę i wyszła.

Zadzwoił następnego dnia, ale poleciała pokojówka, aby powiedziała, że nie ma jej w domu. Tydzień później wypatrzyła go w innym klubie. Postarała się, by ją zobaczył, po czym wyszła, zanim zdążył do niej podejść. Dni mijały, a ona myślała tylko o pięknym playboyu z Chicago. Znowu zadzwonił i znowu nie chciała z nim rozmawiać przez telefon. Tego samego wieczoru zobaczyła go w teatrze i zdawkowo skinęła głową z lekkim uśmiechem, zanim zniknęła w swojej łozie.

Kiedy zadzwonił po raz trzeci, odebrała telefon, ale udawała, że go sobie nie przypomina. Zachichotał cicho.

- Przyjadę po ciebie za pół godziny, Chloe Serritella. Jeśli nie będziesz gotowa, nigdy więcej się nie spotkamy.

- Za pół godziny? Nie ma mowy... - Już się wyłączył.

Drżącą ręką odłożyła słuchawkę. Oczyma wyobraźni widziała kulkę tańczącą po kole ruletki: czarne-czerwone-czarne-czerwone... Nadal roztrzęsiona włożyła białą wełnianą suknię wykończoną futrem ocelota i dodała do tego mały kapelusik z woalką. Dokładnie pół godziny później rozległ się dzwonek do drzwi.

Zaprowadził ją do sportowego wozu, czerwonego isotta fraschini, którym powioził ją przez

uliczki Knightsbridge, dotykając kierownicy opuszkami palców. Przyglądała mu się kątem oka, zachwycała się kosmykiem kasztanowych włosów opadającym na oczy i świadomością że to prawdziwy Amerykanin, a nie przewidywalny, nudny Europejczyk.

W końcu zatrzymał się przy małej knajpce i podczas kolacji co chwila muskał jej dłoń swoją, sięgając po wino. Płonęła z pożądania. Pod jego srebrzystym spojrzeniem stawała się piękna, szczupła i wolna. Wszystko w nim działało na jej zmysły - jego chód, głos, zapach tytoniu w jego oddechu. Jack Day był najwspanialszą nagrodą najwyższym potwierdzeniem jej urody.

Gdy wyszli z restauracji, oparł ją o pień drzewa i pocałował, mocno, głęboko, mrocznie. Zaciśnął dłonie na jej pośladkach.

- Pragnę cię - wyszeptał w jej otwarte usta.

Pożądała go tak bardzo, że odmowa sprawiała jej fizyczny ból.

- To za szybko, Jack. Potrzebuję więcej czasu.

Roześmiał się i uszczypnął ją w policzek, jakby bawiło go, że podchwyciła zasady gry, a potem zaciśnął dłonie na jej piersiach, gdy z restauracji wychodziła starsza para i patrzyła wprost na nich. W drodze do domu bawił ją anegdotami i ani słowem nie wspomniął o następnym spotkaniu.

Dwa dni później pokojówka odebrała od niego telefon. Chloe kazała przekazać, że jej nie ma, a następnie pobiegła do sypialni i szlochała, przerażona, że posuwa się za daleko, a jednocześnie przekonana, że jeśli postąpi inaczej, Jack straci zainteresowanie. Spotkali się na wernisażu w galerii. Towarzyszyła mu rudowłosa ślicznotka. Chloe udawała, że go nie zauważyła.

Następnego dnia zjawił się na jej progu i zabrał na przejażdżkę za miasto. Powiedziała, że na wieczór ma inne plany i nie zje z nim kolacji.

Gra toczyła się dalej. Chloe nie myślała o niczym innym. Jeśli Jacka nie było u jej boku, wyobrażała go sobie: niespokojne ruchy, niesforne włosy, zawiadziaki wąsik. Z trudem panowała nad ogarniającym ją pożądaniem, a jednak nadal odrzucała jego zaloty.

Z ustami przy jej uchu szepnął brutalnie:

- Chyba nie jesteś wystarczająco kobieca jak dla mnie...

Zaciśnęła dłoń na jego karku.

- A ty dla mnie wystarczająco bogaty. Zadzwoił do niej kilka dni później.

- Dzisiaj o północy... albo nie zobaczysz mnie nigdy więcej.

- Ależ Jack...

- Do zobaczenia.

Tej nocy włożyła garnitur z czarnego aksamitu i bluzkę z chińskiego jedwabiu w kolorze szampana. Z błyszczącymi oczami podziwiła swoje odbicie, gdy szczotkowała ciemne włosy. Black Jack Day, we fraku, zjawił się na jej progu równo o północy. Na jego widok ugięły się pod nią nogi. Tym razem nie poprowadził jej do sportowego wozu, tylko do limuzyny marki Daimler, z szoferem za kierownicą. Oznajmił, że jadą do Harrod'sa.

Roześmiała się.

- Czy to trochę nie za późno na zakupy?

Nie odpowiedział, wsiadł i wdał się w rozważania, czy kupić kucyka do polo od Agi Khana.

Po kilku minutach limuzyna zatrzymała się przed złoto-zieloną markizą Harrod'sa. Chloe zerknęła na zaciemnione okna, na swojego szalonego kochanka i już wiedziała, że nie żartował...

Naprawdę zabrał ją na zakupy.

Dyskretny odźwierny wpuścił ich do środka, do wnętrza zazwyczaj pełnych ludzi, teraz spowitych w tajemniczym półmroku.

Jack oprowadzał Chloe po sklepie; w dziale delikatesów zaczął całować ją tak, że zakręciło jej się w głowie, przy stoisku z biżuterią ściągnął z niej jedwabną bluzkę i pieścił ustami jej piersi, póki nie zaczęła błagać, by przestał, a potem, wśród najdroższych futer Harrod'sa, kochali się do utraty tchu... i kontroli.

Chloe zaszła w ciążę. Pobrali się, kochali, kłócili i rozstawali, dopóki Jack po raz ostatni nie postawił wszystkiego na jedną kartę.

Koło ruletki zatrzymało się na mokrej, śliskiej, krętej drodze z Monaco. Jack Day przegrał ostatnią partię.

Rozdział 2

Jeden z dawnych kochanków owdowiałej Chloe przysłał swego rolls roy-ce'a, kiedy wychodziła ze szpitala z dzieckiem w ramionach. Chloe usadowiła się na miękkim skórzanym siedzeniu i czule spojrzała na malutką twarzyczkę dziecka poczętego w tak niecodziennych okolicznościach, w dziale futer Harrod'sa. Musnęła palcem malutki policzek.

- Moja śliczna malutka Francesca - szepnęła. - Niepotrzebny ci ojciec czy babka. Nie potrzebujesz nikogo, tylko mnie... a ja dam ci nawet gwiazdkę z nieba.

Na nieszcześnie Chloe dotrzymała słowa.

W 1961 roku, gdy Francesca miała sześć lat, a Chloe dwadzieścia sześć, pozowały do brytyjskiego wydania „Vogue”. Po lewej stronie widniała reprodukcja zdjęcia Karsha, na którym Nita pyszniła się w cygańskiej sukni z własnej kolekcji; po prawej stronie umieszczono fotografię Chloe i Franceski. Matka i córka brodziły w oceanie pogniecionego białego papieru, obie spowite w czerń. Biel papieru, jasność ich karnacji i czarne aksamitne peleryny z kapturami sprawiały, że zdjęcie uderzało kontrastami. Jedyne kolorowe elementy to cztery zielone punkty - niezapomniane oczy kobiet z rodu Serritellich. Uderzały od razu, przyciągały uwagę. Iśniły jak klejnoty w koronie.

Kiedy zachwyty nieco spowszedniał, co bardziej krytyczni czytelnicy zapewne zauważyli, że w rysach Chloe brakowało egzotyki jej matki, jednak nikt, nawet najbardziej wybredny koneser, nie znalazłby żadnych wad w twarzy dziewczynki. Francesca wyglądała jak idealne dziecko. Miała słodki uśmiech i nieziemską, anielską urodę. Tylko autor zdjęcia postrzegał ją inaczej. Na jego dłoni zostały dwie małe blizny, białe błyskawice, pamiątki po jej ostrych zębach.

- Nie wolno, skarbieńku - skarciła ją Chloe, gdy Francesca ugryzła fotografa. - Nie wolno gryźć takiego miłego pana. - Pogroziła córce palcem.

Francesca łypnęła na nią wrogo. Wolałaby być w domu, bawić się nowym teatrykiem dla lalek, a nie fotografować się w studiu, zwłaszcza że ten okropny gruby pan nie pozwalała jej się wiercić. Tupiała w morze białego papieru na podłodze i potrząsała gniewnie głową, aż spod czarnego kaptura wysypały się kasztanowe loki. Mamusia obiecała jej, że pójda do salonu Madame Tussaud, jeśli będzie grzeczna, i Francesca starała się, naprawdę. Mimo to nie była przekonana, czy na pewno osiągnęła wszystko, co było do zdobycia. W Saint-Tropez też jej się bardzo podoba.

Chloe uspokoiła rozjuszonego fotografa i chciała poprawić córeczce włosy, ale krzyknęła z bólu, gdy i ją Francesca ugryzła boleśnie...

- Niegrzeczna dziewczynka! - jęknęła. Podniosła rękę do ust.

Oczy Franceski od razu zaszyły łzami, a Chloe była na siebie wściekła, że odezwała się do niej tak ostro. Zamknęła córeczkę w ramionach.

- Nie przejmuj się - szepnęła. - Chloe wcale sienie gniewa, skarbie. Nie dobra mamusia. Kupimy ci nową lalkę w drodze do domu.

Francesca wtuliła się w ramiona matki, zerknęła na fotografa spod długich gęstych rzęs i pokazała mu język.

Tamtego popołudnia Francesca po raz pierwszy, ale bynajmniej nie ostatni, ugryzła matkę. Jednak nawet po tym, jak kolejno trzy nianie odeszły, Chloe nie chciała przyznać, że jej córeczka jest nieznośna. Francesca to po prostu pełne życia dziecko, a Chloe nie miała najmniejszej ochoty zasłużyć sobie na jej nienawiść, robiąc problem ze sprawy tak nieistotnej jak to, że mała czasami kogoś ugryzie. I tak Francesca nadal sprawowałaaby krwawe rządy, gdyby nie inne dziecko, które ugryzło japo walce o huśtawkę w parku. Ledwie Francesca przekonała się na własnej skórze, że nie jest to przyjemne doznanie, przestała gryźć. Nie była okrutna, po prostu chciała postawić na swoim.

Chloe kupiła stylowy domek na Grosvenor Street, niedaleko ambasady amerykańskiej i wschodniego krańca Hyde Parku. Czteropiętrowa kamienica miała w najszerszym punkcie niewiele ponad dziewięć metrów. W latach trzydziestych odrestaurowała ją Syrie Maugham, żona Somerset Maughama, jedna z najbardziej cienionych dekoratorek wnętrz tamtych czasów. Kręte schody prowadziły z holu do saloniku, a po drodze wchodzący mijali portret Chloe i Franceski pędzla Cecila Beatona. Wejścia do salonu strzegły kolumny z podrabianego marmuru. We wnętrzu zwracała uwagę kolekcja włoskich i francuskich zabytkowych mebli oraz imponujący zbiór weneckich luster. Piętro wyżej królowała Francesca. Jej pokój wyglądał jak zamek Śpiącej Królowej. Wśród różowych kotar, na łożu z baldachimem zwieńczonym złotą koroną, Francesca królowała nad swoim państwkiem.

Czasami przyjmowała gości w tym bajkowym świecie, nalewała herbatę do filiżanek z drezdeńskiej porcelany i rozmawiała z córeczką jedną z przyjaciółek Chloe.

- Jestem księżniczka Aurora - poinformowała Clarę Mißlingford któregoś dnia. Zalotnie odrzuciła kasztanowe loki, które, podobnie jak beztruskę i brawurę, odziedziczyła po ojcu. - A ty jesteś wieśniaczką, która przysłała złożyć mi hołd.

Garze, jedynej córce wicehrabiego Allswortha, nie spodobało się, że ma być wieśniaczką a zarozumiała Francesca Day - księżniczką.

- Ja też chcę być księżniczką Aurorą!

Ta myśl rozbawiła Francescę do tego stopnia, że roześmiała się głośno.

- Kochana Claro, nie zachowuj się śmiesznie. Masz wielkie piegi. Oczywiście piegi są śliczne, na pewno, ale przecież księżniczka Aurora była słynną pięknoscią. To ja zatem zostanę Aurorą, a ty królową.

Francesca była przekonana, że zaproponowała bardzo przyzwoity kompromis i było jej przykro, kiedy Clara, podobnie jak wiele innych dziewczynek, nie chciała przyjąć po raz drugi. Francesca tego nie pojmowała. Przecież pozwalała im bawić się swoimi zabawkami! I zapraszała je do swojego ślicznego pokoju!

Chloe nie zwracała uwagi na coraz wyraźniejsze aluzje, że rozpuszcza dziewczynkę do granic możliwości. Francesca to jej aniołek, jej skarb, jej ukochana córeczka. Zatrudniała najłagodniejszych nauczycieli, kupowała najnowsze lalki, najmodniejsze gry, rozpieszczała ją, psuła i pozwalała na wszystko, jeśli tylko małej nie groziło przy tym niebezpieczeństwo. Nagła śmierć zaatakowała już dwukrotnie w życiu Chloe i na samą myśl, że coś złego mogłoby się stać córeczce, wpadała w panikę. Francesca była jej kotwicą, jedynym trwałym elementem w jej życiu. Czasami w bezsenne noce snuła przerażające wizje, jakie nieszczęście może spotkać małą osobkę, tak nierozważną i śmiałą jak Francesca. Wyobrażała sobie, jak mała wskakuje do basenu i nie wypływa na powierzchnię, spada z wyciągu narciarskiego, uszkadza sobie mięśnie na zajęciach baletowych, kaleczy twarz, spadając z roweru. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że nieszczęście czyha tuż--tuż, chcąc zabrać jej córeczkę. Dlatego najchętniej zamknęłaby Francescę w złotej klatce i ukryła w bezpiecznym miejscu, gdzie nie spotka jej nic złego.

- Nie! - wrzasnęła, gdy Francesca pobiegła za gołębiem. - Wracaj! Nie wolno tak!

- Kiedy ja lubię biegać - zauważyła Francesca. - Kiedy biegnę, wiatr mi szumi w uszach.

Chloe uklękła, wzięła ją za rękę.

- Kiedy biegniesz, burzysz sobie fryzurę i dostajesz wypieków. Jeśli nie będziesz ładna, nikt cię nie polubi. - Przytuliła córeczkę do siebie, wypowiadając najgorszą groźbę takim samym tonem, jakim inne matki straszą opowieściami o potworze w szafie.

Czasami Francesca się buntowała, w tajemnicy robiła gwiazdy i wspinała się na drzewa, kiedy niania tego nie widziała, ale prędzej czy później jej grzeszki wychodziły na jaw i mama, która nigdy niczego jej nie odmawiała, która nigdy jej nie karciła, wpadała w taki gniew, że mała zaczynała się bać.

- Mogłaś się zabić! - wrzeszczała Chloe, wskazując zieloną plamę z trawy na żółtej sukience Franceski. - Popatrz tylko na siebie! Jak brzydko wyglądasz! Okropnie! Nikt nie lubi brzydkich dziewczynek! - I wtedy Chloe zaczynała szlochać tak rozdzierająco, że Francesca wpadała w panikę.

- Pokilku takich zdarzeniach wyciągnęła logiczny wniosek: w życiu wszystko jest dopuszczalne, jeśli wygląda się przy tym ładnie.

Chlor i Francesca powoli przepuszczały majątek, a przez ich życie przewijali się mężczyźni, podobnie jak ich ojcowie kiedyś przewijali się przez życie Nity. Chloe miała fantastyczne wycucie stylu, stąd jej reputacja osoby dowcipnej i zabawnej, uroczego gościa, który rozbawi nawet najnudniejsze towarzystwo. To Chloe zdecydowała, że ostatnie dwa tygodnie lutego trzeba spędzić w Rio de Janeiro, na złotych ciepłych plażach; to Chloe ożywiała ciężkie nudne godziny w Deauville, gdy wszyscy mieli już dosyć polo; wymyślała podchody, podczas których jak dzieci uganiaли się po francuskich wioskach w eleganckich samochodach i szukali łysych księży, nieoszlifowanych szmaragdów albo dobrze schłodzonej butelki cheval blanc¹⁹; to Chloe wymyśliła, żeby na Boże Narodzenie zamiast do St Moritz wyskoczyć do mauretańskiej willi na Algarve, gdzie czekał na nich niewyczerpany zapas haszyszu i towarzystwo podstarzałych gwiazd rocka.

Zazwyczaj zabierała ze sobą córeczkę, jej nianię i nauczyciela, który obecnie dbał o nader eklektyczną edukację Franceski. Niania i nauczyciel trzymali małą z dala od dorosłych w ciągu dnia, lecz wieczorami Chloe niekiedy zabawiała znajomych, demonstrując im córeczkę jak karciany trik.

- Oto ona, kochani! - zawołała któreś nocy, gdy wprowadziła małą na pokład jachtu „Christina” Aristotelisa Onasisa. Właśnie przybili do brzegu u wybrzeży Trynidadu. Nad rufą rozpięto zieloną markizę. Goście rozsiedli się na wygodnych leżakach dokoła mozaiki przedstawiającej sceny z życia Minotaura. Zaledwie godzinę temu mozaika służyła jako parkiet taneczny; później, gdy opuści się ją o dwa metry, stanie się basenem kąpielowym.

- Chodź tu, księżniczko. - Onasis wyciągnął ramiona. - Chodź, pocałuj wujka Ari.

Francesca potarła piąstkami zaspane oczy i zrobiła kilka kroków do przodu. Wyglądała jak laleczka. Pięknie wykrojone usta przypominały łuk Kupi-dyna, zielone oczy zamykały się i otwierały powoli, sennie, jak u porcelanowej lalki. Belgijska koronka jej nocnej koszuli powiewała na wietrze, ukazując malutkie stopy Franceski. Jej paznokcie były pomalowane na delikatny odcień różu. Choć miała zaledwie dziewięć lat, od razu oprzytomniała, gdy obudzono ją o drugiej w nocy. Przez cały dzień zdana na towarzystwo służących, bardzo się cieszyła, gdy nadarzyła się okazja, by zwrócić na siebie uwagę dorosłych. Może, jeśli dzisiaj nie sprawi nikomu przykrości, jutro po południu pozwolą jej posiedzieć z nimi na pokładzie.

Onasis, mężczyzna o orlim nosie i wąskich oczach, które nawet w nocy skrywał za ciemnymi okularami, budził w niej strach, ale posłusznie go objęła. Poprzedniej nocy dał jej ładny naszyjnik z rozgwiazdami i bała się, że jeśli się sprzeciwi, nie dostanie nic więcej.

Kiedy sadzał ją sobie na kolanach, spozjrzała na Chloe, wtuloną w aktualnego kochanka, Giancarla Morandiego, włoskiego kierowcę Formuły 1. Francesca wiedziała, co to znaczy kochanek, bo Chloe jej już wszystko wytłumaczyła. Kochankowie to fascynujący mężczyźni, którzy opiekują się kobietami i sprawiają, że czują się piękne. Francesca już nie mogła się doczekać, kiedy będzie na tyle duża, że znajdzie sobie własnego kochanka. Ale nie Giancarla. Czasami znikał gdzieś z innymi kobietami i wtedy mamusia przez niego płakała. Francesca marzyła o kochanku, który będzie jej czytał książki, zabierał do cyrku i palił fajkę, jak mężczyźni, których czasami widywała w parku z innymi małymi dziewczynkami.

- Uwaga! - zawołała Chloe. Klasnęła w dłonie nad głową jak tancerka flamenco, którą Francesca widziała niedawno na Torremolinos. - Moja śliczna córeczka zaraz udowodni wam wszystkim, jacy z was żałośni ignoranci! - Te słowa spotkały się z pomrukami dezaprobaty, ale Onasis zachichotał Francesce do ucha.

Chloe ponownie wtuliła się w Giancarla, pocierała łydką w białych wełnianych legginsach o jego nogę, a głową wskazała Francescę.

- Nie zwracaj na nich uwagi, moja droga - oznajmiła wyniośle. - To zwykła hołota. Nie mam pojęcia, czemu marnujemy z nimi czas. - Znany projektant mody zachichotał. Chloe wskazała palcem niski mahoniowy stolik i przy tym ruchu jej nowa fryzura od Sassoon'a zakółysała się, włosy obcięte geometrycznie, ostro opadły na policzek. - Naucz ich, Francesco, proszę. Tylko wujek Ari ma jakie takie pojęcie o ważnych sprawach.

Francesca zsunęła się z kolan Onasisa i podeszła do stolika. Czuła na sobie wzrok wszystkich i celowo szła powoli, przedłużała swoje pięć minut. Wyobrażała sobie, że jest księżniczką, która wstępuje na tron. Kiedy doszła do stolika i zobaczyła sześć małych miseczek ze złożonymi brzegami, uśmiechnęła się i odrzuciła włosy do tyłu. Ukłękła na małym dywaniku i z zadumą przyglądała się zawartości miseczek.

Czerwony, biały i czarny kawior odcinał się od bieli porcelany. Francesca dotknęła skrajnej miseczki, w której pyszniły się wilgotne czerwone kulki.

- Ikra łososia - orzekła i odsunęła miseczkę. - Niewarta zachodu. Prawdziwy kawior uzyskujemy z jesiotra z Morza Kaspijskiego.

Onasis się roześmiał, gwiazdor filmowy zaczął bić brawo. Francesca błyskawicznie odsunęła dwie inne miseczki.

- To ikra innych ryb, także niewarta zainteresowania. Projektant wewnątrz pochylił się do Chloe.

- Zdobyła tę wiedzę przez osmozę czy wyssała z mlekiem matki? - zapytał. Chloe uśmiechnęła się lubieżnie.

- Z mlekiem matki, oczywiście.

- Miała skąd, *cara*. - Giancarlo przesunął dłonią po jej piersiach.

- To jest bieluga - oznajmiła Francesca, zła, że przestali zwracać na nią uwagę, zwłaszcza że cały dzień spędziła w towarzystwie okropnej nauczycielki, która mamrotała pod nosem straszne rzeczy tylko dlatego, że mała nie miała ochoty uczyć się tabliczki mnożenia. Dotknęła palcem środkowej miseczki. - Jak widzicie, bieluga ma grubszą ikrę. - Przesunęła dłoń nad kolejną miseczkę. - To jest siewruga. Kolor ten sam, ale drobniejsza ikra. A to jesiotr, mój ulubiony. Ikra jest niemal tej samej wielkości, jak ikra bielugi, ale innego koloru, bardziej złocistego.

Wynagrodził jachór śmiechów i brawa, a potem wszyscy gratulowali Chloe takiej mądrej córeczki. Początkowo Francesca uśmiechała się, słuchając komplementów, ale szybko straciła dobry humor, widząc, że obecni patrzą na Chloe, nie na nią. Dlaczego to mamę obsypują komplementami, skoro to nie ona się popisała? No pewnie, dorośli nigdy nie pozwolą jej posiedzieć z nimi na pokładzie. Francesca zła i zdenerwowana zerwała się na równe nogi i jednym ruchem zrzuciła wszystkie miseczki ze stołu, na mozaikę na pokładzie.

- Francesco! - krzyknęła Chloe. - Co się stało, skarbie?

Onasis nachmurzył się i mruknął coś po grecku, co Francesce wydawało się bardzo groźne. Wydeła usta i gorączkowo szukała wyjścia z sytuacji. Z trudem przychodziło jej panowanie nad sobą, ale wiedziała, że nie może tego okazać przyjacielom Chloe.

- Przepraszam, mamusiu - powiedziała. - Nie chciałam.

- Oczywiście, skarbieńku. Wszyscy o tym wiedzą.

Jednak Onasis nadal się chmurzył i Francesca uznała, że trzeba sięgnąć po inne, bardziej radykalne środki. Krzyknęła rozpaczliwie, przebiegła cały pokład i rzuciła mu się na szyję.

- Przepraszam, wujku Ari - szlochała. Płakała na zawołanie, była to jedna z jej sztuczek. - Nie chciałam, naprawdę nie chciałam! - Łzy spływały po policzkach, a ona robiła, co mogła, by nie wzdręgnąć się pod spojrzeniem zza ciemnych okularów. - Kocham cię, wujku Ari - westchnęła. Sięgnęła po najsilniejszą broń. Spojrzała na niego z dołu, jak Shirley Temple w starych filmach. - Kocham cię i bardzo chciałabym, żebyś był moim tatusiem.

Onasis zachichotał i mruknął, iż ma nadzieję, że nigdy nie stanie się jego przeciwniczką w interesach.

Odesłano Francescę do łóżka. Wracała do swojej kajuty, a po drodze mijala pokój dziecienny, w którym w ciągu dnia odrabiała lekcje przy małym biurku, ustawionym naprzeciwko fresku pędzla Ludwiga Bemelmana. Pokój zaprojektowano z myślą o dwojce dzieci Onasisa, ale żadnego z nich nie było akurat na jachcie, Francesca panowała więc w nim niepodzielnie. Nie miała mu nic do zarzucenia, ale wolała chodzić do baru, gdzie raz dziennie mogła popijać lemoniadę z wisienką z koktajlowej szklanki ozdobionej parasolką.

Zawsze sączyła napój bardzo powoli, chcąc, żeby starczył na jak najdłużej, i podziwiała miniaturowy statek w butelce. Bar zachwycał wewnątrz; podpórki pod stopy zrobiono z wypolerowanych kłów wielorybów. Ledwie do nich sięgała czubkami ręcznie robionych włoskich sandałów. Skóra foteli była cudownie miękka i delikatna. Nie zapominała, jak Chloe

dostała ataku śmiechu, gdy wujek Ari oznajmił, że siedzą na napletku wieloryba. Francesca też się roześmiała i powiedziała, że wujek Ari plecie głupoty - chyba miał na myśli jądra słonia?

Na „Christinie” było dziewięć kajut, a w każdej - salonik, sypialnia i łazienka wykończone marmurem i tak pełne przepychu, że zdaniem Chloe ocierały się o kicz. Kajuty nazwano na cześć greckich wysp, których kontury widniały na złotych plakietkach na drzwiach. Francesca spojrzała na zarysy wyspy na jej drzwiach - Lesbos. Chloe się roześmiała, gdy umieszczono je akurat w tej kabinie, i stwierdziła, że wielu mężczyzn miałoby absolutnie inne zdanie w tej kwestii. Francesca zapytała dlaczego, ale Chloe powiedziała tylko, że jest jeszcze za mała, żeby to zrozumieć.

Francesca nie znosiła, kiedy Chloe odpowiadała w ten sposób, i ze złości ukryła niebieskie pudełeczko z kapturkiem antykoncepcyjnym matki. Był to, jak Chloe jej kiedyś wyznała, jej największy skarb, choć Francesca nie pojmowała, dlaczego. Nie oddała go, póki Giancarlo Morandi nie przyłapał jej, kiedy Chloe nie patrzyła, i nie zagroził, że wyrzuci ją za burtę i będzie patrzył, jak rekiny obgryzają ją do kości, jeśli mu zaraz nie powie, gdzie je ukryła. Od tego czasu Francesca go nie znosiła i starała się stawać mu na drodze.

Dochodziła już do swojej kabiny, gdy usłyszała, że otwierają się drzwi z mapą wyspy Rodos. Podniosła głowę i zobaczyła Evana Variana. Wyszedł na korytarz. Uśmiechnęła się do niego, niech zobaczy, jakie ma śliczne zęby i rozkoszne dołeczki w policzkach. -

- Witaj, księżniczko - odezwał się tym samym niskim, zmysłowym głosem, którego używał, grając Johna Bulletta, agenta Jej Królewskiej Mości w serii bardzo popularnych filmów szpiegowskich albo Hamleta w teatrze. Był synem irlandzkiej nauczycielki i walijskiego murarza, jednak los obdarzył go urodą arystokraty, co podkreślał niedbale przydługą fryzurą studenta Oksfordu. Miał na sobie lawendową koszulę w barwny wzór i białe spodnie. Dla Franceski najważniejsze jednak było to, że trzymał w ręku fajkę- cudowną fajkę, jak taki prawdziwy tatuś.

- Nie za późno dla ciebie? - zapytał.

- Zawsze się tak późno kładę - oznajmiła dumnie i potrząsnęła kasztanowymi lokami. - Tylko małe dzieci idą spać wcześniej.

- No tak, rozumiem, a ty już nie jesteś małym dzieckiem. A może wykradasz się na randkę z jakimś dżentelmenem?

- Nie, głuptasie. Mamusia mnie zawołała, żebym pokazała sztuczkę z kawiozem.

- Ach tak, sztuczkę z kawiozem. - Starannie ubijał tytoń w fajce. - Zawiązała ci oczy i kazała rozpoznawać gatunki po smaku czy po wyglądzie?

- Po wyglądzie. Już nie robimy sztuczki z próbowaniem, bo ostatnio zaczęłam się dławić. - Francesca zobaczyła, że jej rozmówca chce iść dalej, paplała więc coraz szybciej: - Nie uważasz, że mamusia jest dzisiaj bardzo piękna?

- Zawsze jest piękna. - Zapalił zapałkę i przytknął ją do fajki.

- Cecil Beaton twierdzi, że to jedna z najpiękniejszych kobiet w Europie. Ma niemal idealną figurę, jest też wspaniałą gospodynią. - Francesca przypomniawszy sobie coś, co na pewno mu zaimponuje. - Wiesz, że mamusia jako pierwsza podawała curry?

- Zdziwiający, księżniczko, ale zanim wyliczysz kolejne zalety twojej mamy, nie zapominaj, że my się nienawidzimy.

- E tam, polubi cię, jeśli jej każe. Mamusia robi wszystko, czego zapragnę.

- Zauważyłem - odparł sucho. - Nawet jeśli uda ci się wpłynąć na zmianę zdania mamusi, co wydaje mi się bardzo mało prawdopodobne, ja nie zmienię swojej opinii, niestety, musisz więc gdzie indziej poszukać sobie tatusia. Powiem ci szczerze, że sama myśl o spotykaniu się z neurotyczną Chloe przyprawia mnie o dreszcze.

Tej nocy nic nie układało się po myśli Franceski. Nadaśała się.

- Boję się, że wyjdzie za Giancarla, a jeśli to zrobi, to będzie twoja wina! To okropny gnojek! Nie znoś go!

- Francesco, to nieodpowiednie słowa w ustach małej dziewczynki. Chloe powinna złożyć ci skórę.

W jej oczach pojawiły się burzowe chmury.

- Jak możesz tak mówić! Ty też jesteś gnojkiem!

Varian podciągnął lekko spodnie, żeby się nie pogniotły, kiedy koło niej klękał.

- Francesco, skarbie, ciesz się, że nie jestem twoim tatusiem, bo gdybym nim był, zamknąłbym cię w ciemnej szafce i nie wypuszczał przez wiele lat, aż zostałaby z ciebie tylko mumia.

Miała łzy w oczach.

- Nienawidzę cię! - krzyknęła i kopnęła go w piszczel. Varian jęknął głośno, a ona uciekła do swojej kabiny.

W miarę upływu lat nawet Francesca zrozumiała, że matka nigdy nie zwiąże się z jednym mężczyzną na tyle długo, by go poślubić. Starła się znaleźć pozytywne strony nieposiadania ojca; i bez tego miała dokoła siebie zbyt wielu dorosłych, którzy ciągle jej mówili, co wolno, a czego nie, zwłaszcza odkąd zaczęła zwracać na siebie uwagę dorastających chłopców. Na jej widok zapominali języka w gębie, nogi plątały się im niezdarnie. Posyłała w ich stronę miękkie uwodzicielskie uśmiechy tylko po to, by patrzeć, jak młodzi ludzie się rumienia. Wprawiała się na nich w sztuce flirtowania, którą podpatrzyła u Chloe - perlisty śmiech, lekko przechylona głowa, przeciągłe spojrzenia. Wszystko to działało.

Francesca rozstała się z dziecinnymi ubraniami na rzecz powiewnych sukienek, szali z frędzlami i kolorowych paciorków nanizanych na jedwabną nitkę. Zrobiła sobie trwałą, przekłuła uszy i nauczyła się malować oczy w taki sposób, że wydawały się jeszcze większe. Dorastała matce zaledwie do nosa, gdy, ku swemu niezadowoleniu, przestała rosnąć. Jednak w przeciwieństwie do Chloe, w której gdzieś w głębi serca nadal żyła pulchna nastolatka, Francesca nigdy, nawet na chwilę, nie zwątpiła w swoją urodę. Jej piękność po prostu była, podobnie jak woda i powietrze. Jak Harrod's, na miłość boską! Zanim córka Black Jacka Daya skończyła siedemnaście lat, była otoczona legendą.

Evan Varian ponownie wkroczył w jej życie na dyskotece. Francesca i towarzyszący jej chłopak już wychodzili. Wybierali się do kawiarni oddzielonej szklanymi drzwiami od dyskoteki. Nawet tu, w Annabel's, najpopularniejszym nocnym klubie Londynu, Francesca zwracała uwagę wszystkich. Czerwony aksamitny garnitur, pod którym nie miała żadnej bluzki i siedemnastoletniej piersi przyciągały wzrok. Miała krótkie włosy, przez co wyglądała jak najbardziej zmysłowy uczeń Londynu.

- No proszę, proszę, mała księżniczka. - Dźwięczny, miękki głos, słyszalny nawet w najdalszych zakamarkach teatralnej widowni, rozległ się gdzieś blisko. - Najwyraźniej już dorosła i wyruszyła na podbój świata.

Jeśli nie liczyć filmów o Bulletcie, od lat nie widziała Evana Variana. Odwróciła się na pięcie i wydało się jej, że rozmawia z bohaterem z ekranu. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur, jak jego bohater, nawet krawat taki sam. Od ostatniego spotkania na pokładzie „Christiny” jego skronie pokryły się siwizną, ale była to jedyna zmiana.

Jej towarzysz, baronet uczęszczający do Eton, nagle wydał się przerażająco młody i niedojrzały.

- Witaj, Evan. - Uśmiechnęła się zarazem uwodzicielsko i wyniośle.

Nie przejmował się, że modelka, z którą tu przyszedł, jest zirytowana, tylko lustrował strój Franceski.

- Mała Francesca... Kiedy ostatnio cię widziałem, miałaś na sobie mniej ciuchów. Jeśli dobrze pamiętam, tylko koszulę nocną.

Inna dziewczyna zarumieniaby się w tym momencie, ale żadna inna dziewczyna nie miała takiej pewności siebie jak Francesca.

- Tak? Naprawdę? To urocze, że pamiętasz. - A następnie skinęła głową swojemu towarzyszowi i pozwoliła, by ją odciągnął na bok. Wszystko dlatego, że postanowiła zdobyć bardzo dorosłego i wyrafinowanego Evana Variana.

Varian zadzwonił następnego dnia i zaprosił ją na kolację.

- Nie ma mowy! - obruszyła się Chloe i zerwała się z pozycji lotosu na środku salonu, gdzie dwa razy dziennie uprawiała medytację, jeśli nie liczyć co drugiego poniedziałku, bo wtedy chodziła na woskowanie nóg. – Evan jest od ciebie o ponad dwadzieścia lat starszy, zresztą to znany playboy! Boże, przecież on miał już cztery żony! Nie zgadzam się, żebyś się z nim wiązała!

Francesca westchnęła i przeciągnęła się leniwie.

- Przykro mi, mamusiu, ale już za późno. Oczarował mnie.
- Kochanie, bądź rozsądna. Mógłby być twoim ojcem.
- Był kiedyś twoim kochankiem?
- Skądże. Wiesz, że nigdy się nie rozumieliśmy.
- Nie wiem więc, o co ci chodzi.

Chloe błagała i groziła, ale Francesca puszczała jej słowa mimo uszu. Miała już dosyć traktowania jej jak dziecka. Była gotowa zasmakować dorosłości - i seksu.

Kilka miesięcy wcześniej dramatycznym tonem zażądała, by Chloe zaprowadziła ją do ginekologa po tabletki antykoncepcyjne. Chloe sprzeciwiała się początkowo, ale ustąpiła, kiedy zobaczyła Francescę w namiętnym uścisku z młodzieńcem, który śmiało wsuwał jej rękę pod spódnice. Od tej chwili Francesca co rano z przejęciem łykała małą pigułkę.

Francesca nie przyznała się nikomu, że na razie pigułki są jej niepotrzebne, nie okazywała też, jak bardzo drażni ją fakt, że nadal jest dziewicą. Jej przyjaciółki tak lekko rozprawiły o erotycznych przygodach, że obawiała się, iż zorientują się, że ona kłamie na ten temat. Jeśli ktokolwiek się dowie, jakie z niej dziecko pod tym względem, na pewno straci swoją pozycję najmłodniejszej dziewczyny w śmietance towarzyskiej Londynu.

Z młodzieńczym uporem sprowadziła kwestię własnej seksualności do pozycji społecznej. Tak było łatwiej, bo o pozycji społecznej wiedziała wszystko, natomiast dziwaczne dzieciństwo i ciągła samotność, a także tęsknota do trwałego związku budziły jej niepokój.

Jednak, choć bardzo jej zależało na tym, by stracić dziewictwo, los nieoczekiwanie ciskał jej kłody pod nogi. Spędzała tyle czasu z dorosłymi, że aż nieswojo czuła się wśród rówieśników, nawet wśród wpatrzonych w nią wielbicieli, którzy chodzili za nią jak posłuszne psiaki. Zdawała sobie sprawę, że seks oznaczał zaufanie do partnera, a nie wyobrażała sobie, by zdołała zaufać jakiemuś niezdarzemu chłopakowi. Evan Varian był odpowiedzią na jej modlitwy i rozwiązaniem wszystkich problemów. Któż, jeśli nie doświadczony mężczyzna, lepiej wprowadzi ją w tajniki kobiecości? Nie łączyła w żaden sposób faktów, że teraz wybrała Evana na kochanka, choć kilka lat wcześniej upatrzyła go sobie na ojca.

I tak Francesca puściła mimo uszu protesty Chloe i umówiła się z nim na kolację do Mirabelle. Usiedli przy małym stoliku i z apetytem zjadali ja-gnięcinę z rusztu. Evan musnął jej dłoń, słuchał uważnie tego, co mówiła, i zapewnił, że jest najpiękniejszą kobietą na sali. Francesca w głębi duszy uważała to za rzecz oczywistą, ale komplement i tak sprawił jej przyjemność, zwłaszcza że tuż obok egzotyczna Bianca Jagger od niechcienia skubała homara. Po kolacji poszli do Leith's na mus cytrynowy i truskawki w cukrze, a później do domu Variana w Kensington, gdzie tylko dla niej grał mazurki Chopina na fortepianie w salonie, a potem pocałował ją mocno. Kiedy jednak usiłował zaciągnąć ją-na górę, do sypialni, sprzeciwiła się.

- Innym razem - rzuciła lekko. - Nie mam nastroju. - Nie przyszło jej do głowy, by mu powiedzieć, że wolałaby, żeby japo prostu przytulił i pogłaskał. Varianowi nie spodobała się jej reakcja, ale ułagodziła go słodkim uśmiechem, który niósł obietnice dalszych rozkoszy.

Dwa tygodnie później zmusiła się, by pokonać kręte schody prowadzące do jego sypialni urządzonej w stylu Ludwika XIV.

- Jesteś cudowna - powiedział. Wyszedł z garderoby w brązowym jedwabnym szlafroku z inicjałem J.B. na kieszonce. Najwyraźniej to kolejny kostium z planu filmowego. Podszedł do Franceski i dotknął dłonią jej piersi, tuż nad rącznikiem, którym się owinęła, gdy rozebrała się w łazience.

- „Piękna jak pierś gołębicy; miękka jak puch i słodka jak mleko matki” - zacytował.
- Szekspir? - zapytała nerwowo. Czy on musi używać tak duszącej wody kolońskiej?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, z filmu *Łzy zmarłego*. Mówię tę kwestię tuż przed tym, zanim zamorduję rosyjską

agentkę pchnięciem w pierś. - Przebiegł palcami po jej karku. - Chodź do łóżka.

Francesca nie miała na to najmniejszej ochoty, nie była już nawet pewna, czy chce mieć cokolwiek wspólnego z Evanem Varianem, ale sprawy zaszły za daleko, by mogła się wycofać z klasą, zrobiła więc, co kazał. Materac stęknął, gdy się kładła. Dlaczego tu jest tak zimno? Evan rzucił się na nią bez ostrzeżenia. Przerazona, usiłowała go zepchnąć, ale mrucał coś niezrozumiale i mocował się z jej ręcznikiem.

- Evan! Przestań!

- Proszę, skarbie - mrucał. - Rób, co ci każe...

- Złaż ze mnie! - Wpadła w panikę. Odpychała go nerwowo. Ręcznik tymczasem ustąpił.

Nadal coś mrucał, ale ze zdenerwowania usłyszała tylko ostatnie słowa.

- ..mnie podnieca - mamrotał. Rozsunął poły szlafroka.

- Ty potworze! Złaż ze mnie! - krzyczała cały czas. Biła go pięściami po plecach.

Rozsunął jej nogi kolanem.

- Tylko ten jeden raz, proszę. Nazwij mnie tak jeden jedyny raz. Zawołaj mnie po imieniu.

- Evan!

- Nie! - Poczuła na sobie bolesną twardość. - Nazwij mnie... Bullett!

- Bullett!?

Ledwie to powiedziała, wszedł w nią jednym ruchem. Krzyknęła, gdy poczuła przeszywający ból, ale nie zdążyła nabrać tchu, a Evan zadrżał.

- Ty świni! - krzyknęła histerycznie, bijąc go po plecach, wierzgając nogami. - Ty potworze!

- Nie wiadomo, jakim cudem zmobilizowała się na tyle, że zepchnęła go z siebie i zeskoczyła z łóżka. Owinęła się narzutą. -Aresztuj cię za to! - szlochała. - Zobaczysz, kara cię nie ominie, ty zboczeńcu!

- Zboczeńcu? Szczelniej owinął się szlafrokiem i wstał. Nadal ciężko dyszał. -Na twoim miejscu nie rzucałbym pochopnie takich oskarżeń, Francesco - wycedził. - Gdybyś była lepsza w łóżku, wszystko wyglądałoby inaczej.

Lepsza w łóżku! Zarzut zabolął ją tak bardzo, że na moment zapomniała o bólu między nogami i obrzydliwej lepkiej wilgoci na udach. - Lepsza? Zaatakowałeś mnie!

Zawiązał pasek szlafroka i spojrzał na nią lodowato.

- Wszyscy nieźle się ubawią, kiedy opowiem, że śliczna Francesca Day jest oziębła.

- Nie jestem!

- Ależ owszem. Kochałem się z wieloma kobietami, ale tylko ty masz pretensję. - Podszedł do zgrabnej komódki i sięgnął po fajkę. - Jezu, Francesco, gdybym przypuszczał, że z ciebie taka kiepska dupa, dałbym sobie spokój.

Uciekła do łązienki, ubrała się szybko i wybiegła na ulicę. Starła się nie myśleć, że ją zgwałcił. To tylko koszmarnie nieporozumienie. Musi o tym zapomnieć i już. Przecież to ona, Francesca Serritella Day. Nic złego jej nie spotyka.

NOWY ŚWIAT

Rozdział 3

Dallas Fremont Beaudine oznajmił kiedyś dziennikarzowi ze „Sports Illustrated”, że podstawowa różnica między golfistą a innym sportowcem jest taka, że golfistą nie pluje. Chyba że pochodzi z Teksasu, wtedy może sobie robić, co mu się żywnie podoba.

Golf po teksasku to jeden z ulubionych tematów Dalliego Beaudine'a. Ilekroć rozważano ten problem, przeczesał jasne włosy ręką, wsuwał w usta płatek gumy do żucia i mówił:

- No, bo mówimy o prawdziwym golfie, nie, nie tych bzdurach PGA... Takim prawdziwym, nie, brudnym i zapoconym, nie, takim, że jak walniesz piłeczkę, to leci do dołka przy autostradzie, nie, nieważne, czy jest akurat trąba powietrzna...

Jesienią 1974 roku o Dalliem Beaudinie zrobiło się głośno w dusznym konserwatywnym światku zawodowych golfistów. Pokochali go zwłaszcza dziennikarze sportowi. Mówił barwnym językiem, a jego oszałamiająca uroda ożywiała okładki magazynów. Niestety, Dallye miał fatalną manierę pakowania się w kłopoty - potrafił na przykład zwymyślać sędziego na turnieju albo zawierać niedozwolone zakłady, toteż nie na każdym turnieju dziennikarze mogli go zastać na konferencjach prasowych. Jeśli jednak nie pokazywał się na polu golfowym, bystry dziennikarz wiedział, gdzie go znaleźć - wystarczyło zapytać o najbardziej obskurny bar country and western w okolicy... i dziewięć razy na dziesięć Dallye tam był. A jakże, siedział w towarzystwie swojego pomocnika, Clarence'a Skeeta Coopera i trzech czy czterech lokalnych ślicznotek, dawnych królowych balu, które akurat wymknęły się mężom.

- Sonny i Cher mają kłopoty małżeńskie, to pewne jak w banku. - Skeet podniósł głowę znad magazynu „People”, który studiował w mdłym świetle samochodu. Spojrzał na Dallyego, który jedną rękę oparł na kierownicy, a w drugiej trzymał kubek z kawą. - Tak jest, co do tego nie ma wątpliwości - mruknął Skeet. - Mała Chastity Bono lada dzień będzie miała nowego tatusia.

- Skąd wiesz? - Dallyego to w gruncie rzeczy nie obchodziło, ale monotony krajobraz usypiał, a nadal dzielił ich kawał drogi od granicy Florydy. Zerknął na zegar tablicy rozdzielczej buicka riviery - czwarta trzydzieści nad ranem. Ma trzy godziny, żeby nie spóźnić się na kwalifikacje do turnieju Orange Blossom Open. Akurat zdąży wskoczyć pod prysznic i łyknąć coś na pobudzenie. Pomyślał o Niedźwiedziu, który zapewne już jest w Jacksonville i smacznie sobie śpi w najlepszym apartamencie w Marriotcie.

Skeet odrzucił magazyn na tylne siedzenie i sięgnął po „National Enquirer”.

- Cher ciągle podkreśla w wywiadach, jak szanuje Sonny'ego, stąd się domyślam, że lada moment się rozwiodą. Wiesz równie dobrze jak ja, że gdy tylko kobieta zaczyna gadać o szacunku, prawnicy zacierają ręce.

Dallye się roześmiał i ziewnął.

- Jejku, Dallye! - Skeet się zachnął, obserwując wskazówkę szybkościomierza, która zbliżała się do stu trzydziestu kilometrów na godzinę. - Walnij się na tylne siedzenie i prześpij. Ja poprowadzę.

- Jeśli teraz zasnę, obudzę się za dwa dni, a muszę się zakwalifikować do tego turnieju, zwłaszcza po tym, co zdarzyło się dzisiaj. - Miał na myśli finał turnieju Southern Open, w którym zepsuł dziecinnie prostą piłkę w ostatniej rundzie. - Pewnie wśród tej makulatury nie masz „Golf Digest”? - zapytał z nadzieją.

- Wiesz, że nie czytam takich rzeczy. - Skeet przeglądał brukowiec. - O kim wolisz, o Burcie Reynoldsie czy Jackie Kennedy?

Dallye jęknął i sięgnął do gałki radia. Sam wolał rock and rolla, ale ze względu na Skeeta szukał stacji grającej muzykę country. Znalazł tylko Kri-sa Kristoffersona, który sprzedał się w Hollywood, przrzucił się więc na wiadomości.

- „Przywódca radykałów z lat sześćdziesiątych, Geny Jaffe, został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Oskarżano go o zorganizowanie demonstracji w bazie lotniczej w Nevadzie. Jaffe, o którym po raz pierwszy usłyszeliśmy w 1968 roku na Konwencji Demokratów w Chicago, ostatnio zajął się działaniami antynuklearnymi. Jedną z topniejących grup radykałów...”

Dallyego nie obchodzili podstarzali hippisi. Zdegustowany pokręcił gałką. Znowu ziewnął.

- Jak myślisz, jeśli się skupisz, dasz radę poczytać mi na głos kawałek tej książki spod siedzenia?

Skeet sięgnął pod fotel i wyjął podniszczony egzemplarz *Paragrafu 22* Josepha Hellera.

- Wiesz co, kilka dni temu próbowałem to czytać, kiedy zniknąłeś z tą śliczniutką brunetką, wiesz, tą, która zwracała się do ciebie per „panie Beaudine”. Ta cholerna książka kupy się nie trzyma. - Skeet zamknął gazetę. - A tak z ciekawości: czy w motelu też zwracała się do ciebie „panie Beaudine”?

Dallye wsunął w usta płatek gumy do żucia.

- Jak się już rozebrała, niewiele mówiła.

Skeet zachichotał, ale nie wyglądał przy tym lepiej niż zwykle. W zależności od gustu, Skeet Cooper został obdarowany bądź obciążony twarzą kropka w kropkę podobną do Jacka Palance'a.

Te same groźne, brzydkie, a jednak pociągające rysy, ten sam niekształtny nos i małe, wąskie oczka. Miał ciemne włosy, przedwcześnie przyprószone siwizną. Zapuścił je i ściągnął w kucyk, gdy nosił za Dalliem kije golfowe. Jeśli nie byli na polu golfowym, rozpuszczał włosy i przewiązywał je czerwoną bandaną, jak jego idol, Willie Nelson, największy rozrabiaka w całym Teksasie.

Miał trzydzieści pięć lat, o dziesięć więcej niż Dallie. Miał też za sobą więzienie, do którego trafił za napad z bronią w ręku; wyszedł stamtąd z mocnym postanowieniem poprawy. Nieśmiały wobec obcych, nieufny wobec garniturów, był bezgranicznie oddany tym, których kochał, a Dallasa Beau-dine'a kochał najbardziej na świecie.

Dallie znalazł Skeeta nieprzytomnego w łazience na stacji benzynowej, przy drodze 180, niedaleko Caddo, w Teksasie. Dallie miał wówczas piętnaście lat, był wysokim, szczupłym nastolatkiem w podartej koszulce i przy-krótkich dżinsach. Miał także podbite oko, otarte kłykcie i wybitą szczękę -pamiętki po brutalnym pożegnaniu z ojcem, Jayceem Beaudine'em.

Skeet pamiętał do tej pory, jak patrzył na Dalliego z brudnej podłogi. Mimo ran i brudnych ciuchów Dallie był najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego kiedykolwiek widział. Ciemnoblond włosy, jasne niebieskie oczy okolone gęstymi, długimi rzęsami i usta, których nie powstydziałaby się najdroższa dziwka. Kiedy Skeet odzyskał ostrość widzenia, zobaczył też łzy na jego policzkach i zawziętą miną.

Skeet z trudem dźwignął się na nogi i obmył twarz wodą.

- Łazienka jest moja, synu.

Dzieciak włożył ręce w kieszenie dżinsów i uparcie wysunął obity podbródek.

- Jasne. Twoja, akurat, ty śmieciu.

Skeet nie przywykł, by obrażali go dorośli, a co dopiero dzieciak, który zapewne ogląda brzytwę nie częściej niż raz na tydzień.

- Życie ci niemiłe, mały?

- Ażebyś wiedział.

Skeet opłukał usta wodą z kranu.

- W życiu nie widziałem głupszego chłopaka - mruknął.

- No, ty też nie porażasz inteligencją, gnojku.

Skeet rzadko tracił panowanie nad sobą, ale od dwóch tygodni był w ciągu i miał kiepski humor. Wyprostował się, zamachnął i zamierzał dokończyć to, co zaczął Jaycee Beaudine. Dzieciak spał się w sobie, jednak zanim Skeet uderzył, tania whisky dała o sobie znać i poczuł, jak brudna podłoga usuwa mu się spod nóg.

Po raz kolejny ocknął się na tylnym siedzeniu starego studebakera ze źle wyregulowanym tłumikiem. Dzieciak siedział za kierownicą i wystukiwał ręką rytm piosenki granej w radio.

- Porwałś mnie, mały? - Skeet usiadł z trudem.

- Facet ze stacji benzynowej chciał wezwać gliny, żeby cię zabrali. Ponieważ przypuszczałem, że nie masz nigdzie ukrytego legalnego środka transportu, nie miałem wyjścia, musiałem cię zabrać.

Skeet zamyślił się na chwilę.

- Jestem Skeet. Skeet Cooper.

- Dallas Beaudine. Mów mi Dallie.

- Masz prawo jazdy, synu? Dallie wzruszył ramionami.

- Mam piętnaście lat i ukradłem ten wóz ojcu. Wysiadasz?

Skeet pomyślał o kuratorze, któremu na pewno nie spodoba się coś takiego, i spojrzał na pochmurnego dzieciaka, który przemierzał spalony słońcem Teksas, jakby cała ta ziemia należała do niego. Podjął decyzję.

- Jeszcze trochę zostanę - mruknął.

- Został do teraz, dziesięć lat później.

Zerknął na Dalliego za kierownicą buicka i zastanawiał się, gdzie się podziały te wszystkie lata. Od tamtego dnia na stacji benzynowej dużo grali w golfa. Uśmiechnął się na wspomnienie pierwszej partii.

Ujechali zaledwie kilkadziesiąt kilometrów tamtego pierwszego dnia, gdy ustalili, że razem mają tyle pieniędzy, że wystarczy im na pełny bak benzyny i niewiele więcej. Jednak Dallie, uciekając przed pięściami ojca, nie zapomniał wrzucić do bagażnika kompletnie sfałszowanych kijów golfowych i teraz rozglądał się w poszukiwaniu lokalnego country klubu.

Skręcił w wysadzaną drzewami aleję. Skeet spojrzął na niego podejrzliwie.

- Nie przyszło ci do głowy, że nie przypominamy bywalców takich miejsc? Dzieciaku, siedzimy w kradzionym wozie, a ty wyglądasz, jakbyś robił za worek treningowy!

Dallie uśmiechnął się zawadiacko.

- Takie bzdury tracą znaczenie, gdy trafiasz do dołka.

Kazał Skeetowi oddać całą gotówkę, schował do kieszeni ich majątek w postaci dwunastu dolarów i sześćdziesięciu czterech centów, podszedł do trzech członków klubu i zaproponował partyjkę - dziesięć dolarów za dołek. Dallie wielkodusznie zgodził się, by korzystali z wózków golfowych i najdroższych kijów, on zadowolił się swoim starym sprzętem.

Poważni panowie zmierzli wzorkiem wychudzonego chłopaka w przykrótkich dżinsach i przecząco pokręcili głowami.

Dallie się uśmiechnął, stwierdził, że to tchórze, skunksy i baby, i podniósł stawkę do dwudziestu dolarów za dołek. Było to dokładnie o siedem dolarów i trzydzieści sześć centów więcej, niż miał.

Starsi panowie ruszyli na pole, odgrażając się, że po sromotnej porażce będzie uciekał aż do Oklahomy.

Tej nocy Dallie i Skeet nocowali w hotelu Holiday Inn, a na kolację zjadali pyszne steki.

Dojechali do Jacksonville pół godziny przed rozpoczęciem kwalifikacji do turnieju Orange Blossom Open 1974. Tego popołudnia młody dziennikarz sportowy wyszperał zadziwiającą informację, że Dallas Beaudine, który mówi jak niewykształcony wieśniak z Południa, jest magistrem literatury angielskiej. Dwa dni później tenże dziennikarz dogonił Dalliego w Luella's, obskurnej spelunie niedaleko pola golfowego, i zapytał go o to z niedowierzaniem.

Dallie podniósł wzrok znad szklanki piwa, wzruszył ramionami i burknął, że uzyskał tytuł na uczelni teksaskiej, więc i tak się nie liczy.

Właśnie ta arogancja i swoboda przyciągała do niego dziennikarzy, odkąd przeszedł na zawodowstwo dwa lata wcześniej. Dallie zabawiał ich godzinami, snując wywody na temat stanu kraju, polityki, sportowców, którzy sprzedają się Hollywood, i idiotycznemu ruchowi równouprawnienia kobiet. Był współczesną wersją porządnego chłopaka - przystojny jak gwiazdor, pełen ironii i dystansu do samego siebie i o wiele mądrzejszy, niż dawał to po sobie poznać. Dallas Beaudine był marzeniem każdego dziennikarza. Miał tylko jedną wadę.

Przegrywał w najważniejszych turniejach.

Zaraz po tym, jak okrzyknięto go złotym chłopcem ligi zawodowej, popełnił niewybaczalny niemal grzech - nie wygrał ani jednego ważnego turnieju. W nieistotnych rozgrywkach, dajmy na to w Popka czy w Irving w Teksasie, wygrywał bezapelacyjnie, jednak na prestiżowych turniejach zawodził. I dziennikarze, i czytelnicy pism golfowych zadawali sobie to samo pytanie: kiedy w końcu Dallas Beaudine wykorzysta swój potencjał?

W tym roku Dallie postanowił wygrać turniej Orange Blossom Open i przerwać złą passę. Po pierwsze, podoba mu się w Jacksonville - jego zdaniem to jedyne miasto na Florydzie, które jeszcze nie zmieniło się w wesołe miasteczko. Po drugie, lubił tutejsze pole golfowe. Choć niewyspany, świetnie sobie poradził na środowych kwalifikacjach, a później, już wypoczęty, błysnął formą na zawodach Pro-Am. Sukces dodał mu wiary w siebie - sukces i informacja, że Złoty Niedźwiedź z Columbus w Ohio wycofał się z turnieju z powodu grypy.

Charlie Conner, lokalny dziennikarz sportowy, upił łyk piwa i starał się usiąść równie nonszalancko jak Dallie Beaudine.

- Jak myślisz, czy fakt, że Jack Nicklaus się wycofał, wpłynie na wynik turnieju Orange Blossom? - zapytał.

Zdaniem Dalliego było to jedno z najgłupszych pytań świata, w rodzaju: „Czy tobie było równie dobrze jak mnie?” Ale i tak udawał, że się zastanawia nad odpowiedzią.

- Wiesz, Charlie, jeśli wziąć pod uwagę, że Jack Nicklaus jest na najlepszej drodze, by zostać największym golfistą w historii, trudno się spodziewać, by jego obecność pozostała niezauważona.

Dziennikarz przyglądał mu się sceptycznie.

- Największy golfistą w historii? Nie zapomniałeś przypadkiem o Benie Hoganie? Arnoldzie Palmerze? - Dramatycznie zawiesił głos przed ostatnim nazwiskiem: - Bobbym Jonesie?

- Nikt nigdy nie grał tak, jak Jack Nicklaus - powtórzył Dallie stanowczo. - Nawet Bobby Jones.

Skeet rozmawiał z Luellą, właścicielką knajpy, ale słysząc nazwisko Nicklause, zmarszczył brwi i zapytał dziennikarza, czy jego zdaniem drużyna Cowboys w tym roku załapie się do finału Super Bowl. Skeet nie lubił, kiedy Dallie rozprawiał o Nicklausie, wpadał mu więc w słowo, ilekroć rozmowa zbacziała na niebezpieczny temat. Uważał, że sama wzmianka o tym goiliście sprawia, iż Dallie gra z każdą piłką gorzej. Dallie głośno mówił, że to bzdura, choć w głębi serca przyznawał mu rację.

Skeet i dziennikarz wdali się w dyskusję o szansach Cowboys, a Dallie starał się odsunąć od siebie czarną chmurę, która nadciągała, regularnie jak w zegarku, ilekroć pozwolił sobie na nieco wiary w siebie. Sezon 1974 dobiegał końca. Poradził sobie całkiem nieźle - zarobił kilka tysięcy na turniejach i ze dwa razy tyle w szalonych zakładach - grał lewą ręką, tyłem, na szosie... Zarobił tyle, że wystarczyło na benzynę i wygodne życie dla niego i Skeeta. Nie był to majątek, ale o wiele więcej, niż kiedykolwiek widział Jaycee Beaudine.

Jaycee nie żył już od roku, alkohol i podły charakter skróciły mu życie. Dallie dowiedział się o tym dopiero niedawno; wpadł na starego kumpla ojca w speluncie niedaleko Nacogdoches. Żałował, że dowiedział się tak późno - chciałby stanąć nad trumną ojca i splunąć mu prosto w zamknięte oczy. Jedno splunięcie za lata siniaków i wyzwisk, dopóki nie uciekł z domu.

Jeśli wierzyć starym fotografiom, odziedziczył urodę po matce. Ona też uciekła. Zostawiła Jayceego wkrótce po narodzinach Dalliego. Zniknęła bez śladu. Ktoś kiedyś wspominał, że wyjechała na Alaskę, ale Jaycee nie zabrał sobie głowy szukaniem jej.

- Nie jest tego warta - powiedział do syna. - Żadna baba nie jest tego warta, zwłaszcza że tyle ich dokoła.

Surowe spojrzenie i burza włosów sprawiały, że Jaycee Beaudine przyciągał za dużo kobiet, aby wyszło mu to na dobre. Mieszkały z nim przez pewien czas i odchodziły. Niektóre nawet sprowadzały swoje dzieci. Jedne były dobre dla Dalliego, inne traktowały go gorzej niż psa. Z czasem zauważył, że im gorzej się do niego odnosiły, tym dłużej zostawały, pewnie dlatego, że trzeba było twardości i złego serca, by wytrzymać z Jayceem.

- To człowiek z gruntu zły - chlupnęła jedna z tych lepszych, gdy się pakowała. - Niektórzy po prostu tacy są. Jaycee nieźle się maskuje, bo jest mądry, ma gadanie i każda kobieta czuje się przy nim wyjątkowa, ale jest nim coś złego, coś okrutnego. Nie słuchaj, co o tobie opowiada, Dallie. Dobry z ciebie dzieciak. On się po prostu boi, że wyjdiesz na ludzi, co jemu nigdy się nie udało.

Dallie starał się unikać ciosów Jayceego. Najbezpieczniejszy był w szkole, więc w przeciwieństwie do kolegów nie chodził na wagary - chyba że było bardzo widać siniaki. Wtedy przesiadywał z pomocnikami na polu golfowym. Nauczyli go grać w golfa. Zanim skończył dwanaście lat, znalazł jeszcze bezpieczniejszą przystań niż szkolna ława.

Dallie odepchnął stare wspomnienia i mruknął do Skeeta, że czas spać. Razem wrócili do motelu, jednak mimo zmęczenia Dallie nie mógł zasnąć. Przeszłość powróciła mroczną falą.

Następnego dnia zaczął się turniej. Podobnie jak w wielu innych turniejach zawodowców, pierwsze dwie rundy miały miejsce we czwartek i w piątek, a finałowe - podczas weekendu. Dallie wyszedł na prowadzenie, gdy w niedzielny rano brał pierwszy zamach w finale turnieju.

- Nie daj się, Dallie - mruknął Skeet. Tracił czubkiem buta torbę z kijami golfowymi. - Pamiętaj, grasz dla siebie, dla nikogo innego.

- Zapomnij

o kamerach za plecami i skup się na grze.

Dallie w żaden sposób nie dał do zrozumienia, że słyszał jego słowa. Uśmiechnął się tylko promiennie do ślicznej brunetki stojącej w pierwszym rzędzie za linami oddzielającymi widownię od zawodników. Odpowiedziała tym samym, podszedł więc do niej i rzucił kilka żarcików. Zachowywał się, jakby nie miał żadnych zmartwień, jakby wcale mu nie zależało na zwycięstwie w tym turnieju, jakby w tym roku wcale nie było Halloween.

Finałowa partia należała do niego i Johnny'ego Millera, który w tym roku zarobił na polu golfowym najwięcej. Skeet nie mógł się powstrzymać, by nie udzielić mu ostatnich rad:

- Dallie, nie zapominaj, że jesteś najlepszym młodym zawodnikiem w tym turnieju. Obaj o tym wiemy. Pokażmy to całemu światu! - Dallie skinął głową, przyjął pozycję i wybił piłkę tak, że przeszła prosto do historii golfa.

Przy czternastym dołku nadal prowadził. Jeszcze tylko cztery do końca, ale Johnny Miller go gonił. Dallie starał się o nim nie myśleć, skupił się na własnej grze. Kolejny celny strzał. Powtarzał sobie, że niektórzy urodzili się po to, by grać w golfa. Czasami można kogoś wychować na zwycięzcą, ale niektórzy się z tym rodzą. Wreszcie udowodni swoją wartość. Prowadzi w turnieju Orange Bossom. Miał wrażenie, że urodził się z piłeczką golfową w garści.

Wyprostował się dumnie. Kamery śledziły każdy jego krok. Poczł przyptyw pewności siebie. Już nie będzie jak dotychczas, nie przegra w ostatniej rundzie. A teraz chłopak z Teksasu pokaże im, co to znaczy prawdziwy golf.

Słońce lśniło w złotych włosach, grzało koszulę. Ładniutka fanka posłała mu całusa. Roześmiał się, udał, że go łapie i chowa do kieszeni.

Skeet podał mu odpowiedni kij. Dallie przyjął pozycję. Był silny, panował nad sobą. Jest spokojny, gra idzie mu dobrze, nikt mu nie sprzątnie zwycięstwa sprzed nosa.

Nikt, poza Niedźwiedziem.

„Beaudine, chyba nie sądzisz, że uda ci się wygrać?” - przypomniał sobie jego słowa.

Głos Jacka Nicklause rozbrzmiał mu w głowie tak wyraźnie, jakby Niedźwiedź stał tuż za nim.

„Turnieje golfowe są dla prawdziwych zawodników, a nie mięczaków jak ty”.

Idź sobie, zaklinał Dallie w myślach. Nie teraz! Poczł krople potu na czole. Zaciśnął dłonie na kiju i starał się zignorować natrętne myśli.

„Co ty sobą reprezentujesz? Co osiągałeś w życiu? Nic. Wszystko spieprzyłeś” - tłukło mu się po głowie.

Daj mi spokój! Dallie wyprostował się, rozluźnił i ponownie przyjął pozycję. Zamachnął się i uderzył. Wszyscy widzowie jęknęli głośno, gdy piłka zoczyła na lewo. A Dallie nadal słyszał głos Niedźwiedzia:

„Widzisz, Beaudine, właśnie o tym mówię. Nie nadajesz się na zwycięzcę”.

Skeet podbiegł zmartwiony.

- Co to było? Uważaj.

- Straciłem równowagę, OK? - warknął Dallie i odszedł. Straciłeś jaja, szepnął Niedźwiedź.

Po raz pierwszy rozmawiał w myślach z Niedźwiedziem wkrótce po tym, jak przeszedł na zawodowstwo. Przedtem nękał go tylko Jaycee. Oczywiście Dallie wiedział, że sam stworzył Niedźwiedzia, zdawał też sobie sprawę z różnicy między prawdziwym, kulturalnym i uprzejmym Jackiem Nic-klausem a głosem, który go prześladował i znał jego najciemniejsze sekrety.

Jednak logika i emocje rzadko mają coś wspólnego. Nie przypadkiem niepokoję nękające Dalliego wyrażał w jego myślach właśnie Nicklaus, którego podziwiał najbardziej na świecie. Nicklaus, człowiek, który miał szczęśliwą rodzinę, cieszył się szacunkiem kolegów i z talentem grał w golfa. Człowiek, który nie poniósłby klęski, choćby tego bardzo chciał.

Jesteś dzieciakiem z ubogiej dzielnicy, szeptał Niedźwiedź, gdy Dallie szykował się do szesnastego dołka. I znowu pudło.

Johnny Miller spojrział na niego ze współczuciem i strzelił. Dwa dołki później Dallie miał nad nim już tylko niewielką przewagę.

Twój stary miał rację, mówiąc, że do niczego się nie nadajesz, szeptał Niedźwiedź, gdy Dallie nerwowo strzelił w prawo. Miał rację, miał rację...

Im gorzej grał, tym pogodniej żartował z widzami.

- Coś takiego, takie pudło! - zawołał po kolejnej zmarnowanej piłce i po drapał się w głowę z komicznym zdumieniem. Spojrzał na pulchną matronę w pierwszym rzędzie. - Szanowna pani, może zechce pani strzelić za mnie?

Zepsuł ostatni dołek. Johnny Miller dumnie podniósł puchar zwycięzcy i przyjął czek na trzydzieści tysięcy dolarów. Dallye pogratulował mu z szerokim uśmiechem i dalej przekomarzał się z widzami.

- Wiedziałem, że nie powinienem być Skeetowi dać się namówić na jeszcze jedną kolejkę wczoraj wieczorem. Moja stara babcia spisałaby się dzisiaj lepiej niż ja. Nawet gdyby grała motyką!

Dallye Beaudine przez wiele lat unikał ciosów ojca i nauczył się jednego; nie pokazuj nikomu, że cierpisz.

Rozdział 4

Francesca przyglądała się swojemu odbiciu w wielkim lustrze. Dokoła poniewierały się odrzucone kreacje. Jej pokój wyglądał teraz zupełnie inaczej; na ścianach widniały pastelowe tapety i obraz Matisse'a. Jak architekt studiujący projekt budynku, Francesca wpatrywała się w swoją dwudziestoletnią twarz w poszukiwaniu skazy, która mogła się pojawić, odkąd ostatnio zerknęła do lustra. Zgrabny mały nosek przypudrowała pudrem w cenie dwunastu funtów za opakowanie, na powiekach widniały równie drogie cienie, rzęsy, starannie uczesane specjalną szczoteczką, pokrywały cztery warstwy tuszu sprowadzanego z Niemiec. Krytycznym wzrokiem obrzuciła małe piersi, szczupłą talię i smukłe nogi w ciemnozielonych zamiszowych spodniach. Niedawno obwołano ją jedną z dziesięciu najpiękniejszych Angielek 1975 roku. Choć nigdy nie powiedziałaaby tego głośno, zastanawiała się, po co czasopismo zwracało sobie głowę pozostałymi dziewięcioma.

Jej delikatna uroda była bardziej klasyczna niż uroda matki i babki. Była też bardziej zmienna. Lekko skośne zielone oczy bywały zimne i dalekie, gdy się złościła, a zalotne i bezczelne, gdy była w dobrym humorze. Ledwie sobie uświadomiła, jak bardzo jest podobna do Vivien Leigh, podkreślała to, nosząc włosy do ramion. Czasami nawet upinała je nad uszami, jak aktorka.

Gdy tak kontemplowała swoje odbicie, nawet nie przyszło jej do głowy, że jest pusta i próżna, że wielu spośród tych, których uważała za przyjaciół, w głębi serca jej nie znosi. Mężczyźni za nią szaleli - to było najważniejsze. Była taka śliczna, taka czarująca, jeśli tylko tego chciała, że nawet najtwardsi nie mogli się jej oprzeć. Działała na nich jak narkotyk; nawet po zerwaniu wielu wracało po kolejną szkodliwą dawkę.

Podobnie jak matka, dramatyzowała ciągle, robiła mnóstwo zamieszania dokoła siebie i sprawiała, że najzwyczajniejsza czynność wydawała się nie lada przygodą. Miała opinię czarodziejki w łóżku, choć nikt już nie pamiętał, kto pierwszy rozpuścił takie plotki. Cudownie całowała, to pewne, wtulała się w męskie ramiona jak kotka spragniona pieśzczot, czasami muskała wargi partnera czubkiem różowego języka.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mężczyźni za nią szaleją, bo przy nich pokazuje się od najlepszej strony. Nie musieli znosić jej ataków złości, nie wiedzieli, że się zawsze i ciągle spóźnia, nie widzieli, jakie urządza awantury, gdy sprawy nie układają się po jej myśli. Przy mężczyznach rozkwitała. Przynajmniej na jakiś czas... póki się nie znudziła. Wówczas stawała się nie do zniesienia.

Musnęła usta koralowym błyszczkiem i uśmiechnęła się pod nosem na wspomnienie swojej najbardziej spektakularnej zdobyczy. Co za szkoda, że biedak tak bardzo przeżył ich rozstanie. No, ale co miała robić? Kilka miesięcy na dalszym planie, gdy on pełnił obowiązki reprezentacyjne, sprawiło, że oprzytomniała i z bliska zobaczyła, jak wygląda dziecinne marzenie o życiu w królewskim pałacu; marzenie nie tak całkiem nierealne dla dziewczyny wychowanej w

sypialni księżniczki.

Kiedy wreszcie zrozumiała, że nie chce spędzić życia w cieniu Imperium Brytyjskiego, zerwała z nim najdelikatniej, jak umiała. Ale i tak bardzo to przeżył. Do dzisiaj nie zapomniła, jak wtedy wyglądał. Miał na sobie świetnie skrojony garnitur, doskonale ostrzyżone włosy, gładko wygolone policzki. Niby skąd miała wiedzieć, że mężczyzna o jego aparycji ma kompleksy? Przypomniała sobie, jak dwa miesiące wcześniej zrywała z najbardziej pożądanym kawalerem na Wyspach Brytyjskich.

Właśnie zjedli kolację w jego apartamencie. W blasku świec wyglądał młodo i bardzo delikatnie. Spojrzała na niego nad stołem nakrytym obrusem sprzed stuleci i robiąc poważną minę, starała się dać mu do zrozumienia, że to dla niej bardzo trudna rozmowa.

- Rozumiem - powiedział, gdy skończyła, najłagodniej jak umiała, wyliczać powody, dla których nie powinni dalej się spotykać.

- Naprawdę? - Przechyliła głowę na bok i włosy zsunęły się na ramię, odsłaniając kolczyki w uszach.

Zaskoczył ją.

- Szczerze? Nie. - Wstał gwałtownie. - W ogóle tego nie rozumiem. - Wbił wzrok w podłogę. - Wiesz, Francesco, zaangażowałem się, a ty dawałaś mi powody, bym mógł sądzić, że nie jestem ci obojętny.

- Bo nie jesteś! - zawołała. - Naprawdę...

- Ale nie zależy ci na mnie na tyle, by znosić pewne niedogodności związane z moją pozycją.

Połączenie dumy i urazy w jego głosie wywołało w niej poczucie winy. A przecież członkowie rodziny królewskiej powinni ukrywać uczucia!

- Bo to poważna sprawa - zauważyła.

- No tak. - Roześmiał się gorzko. - Ależ ze mnie idiota. Łudziłem się, że zależy ci na mnie na tyle, że to zniesiesz.

Francesca zmarszczyła brwi na wspomnienie tamtej sceny. Ponieważ sama jeszcze nigdy się nie zakochała, zawsze ją zaskakiwało to, że jej partnerzy reagowali tak emocjonalnie, kiedy z nimi zrywała.

Jednak już za późno, żeby coś zmienić. Zakręciła buteleczkę błyszczycy i uśmiechnęła się do swojego odbicia.

- Wychodzę, skarbie! - Chloe stanęła w progu i poprawiła kremowy kapelusik na ciemnych lokach. - Gdyby dzwonił Helmut, powiedz mu, że wrócę o pierwszej.

- Jeśli Helmut zadzwoni, powiem mu, że umarłaś. - Francesca wzięła się pod boki. Brązowe paznokcie przypominały migdałki.

Chloe zapięła futrzany kołnierz.

- Ależ kochanie...

Francesca poczuła wyrzuty sumienia, gdy spostrzegła, że matka jest zmęczona, ale zaraz odsunęła tę myśl, tłumacząc sobie, że Chloe sama jest sobie winna. Dążyła do autodestrukcji, wiążąc się z nieodpowiednimi mężczyznami, a ona, jako córka, ma obowiązek zwrócić jej na to uwagę.

- To żigolak, mamusiu. Wszyscy o tym wiedzą. Udaje niemieckiego księcia, a w rezultacie robi z ciebie idiotkę. - Sięgnęła do szafy po złoty pasek, który kupiła podczas ostatniej wizyty w Nowym Jorku. - Martwię się o ciebie, mamusiu. Masz cienie pod oczami, jesteś wiecznie zmęczona, nie sposób z tobą wytrzymać. Nie dalej jak wczoraj kupiłaś mi kremowe kimono Givenchy, a przecież prosiłam o srebrne. Chloe westchnęła.

- Przepraszam, skarbie, ostatnio miałam sporo na głowie, źle spałam... Dzisiaj kupię ci srebrne.

Choć Francesca ucieszyła się, że dostanie, czego chciała, nie przestała niepokoić się o matkę. Najdelikatniej jak umiała starała się dać jej do zrozumienia, że sprawa jest poważna.

- Mamusiu, masz czterdzieści lat. Musisz bardziej o siebie dbać. Słuchaj, przecież ty od miesiąca nie byłaś u kosmetyczki!

Zdziwiła się, widząc, że sprawiła jej tym przykrość. Podbiegła do matki, uściskała ją delikatnie, by nie zepsuć sobie makijażu.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - tak cię uwielbiam. I nadal jesteś najpiękniejszą mamą w Londynie.

- No właśnie... Jedna matka w tym domu wystarczy. Nadal bierzesz pigułki, prawda, kochanie?

Francesca jęknęła zirytowana. Błagam, nie zaczynaj znowu...

Chloe wyjęła rękawiczki z torebki ze strusia od Chanel i naciągnęła je starannie.

- Nie zniosłabym myśli, że jesteś w ciąży. Jesteś jeszcze taka młoda, a ciąża bywa niebezpieczna.

Francesca niecierpliwie odrzuciła włosy do tyłu i zerknęła w lustro.

- Tym lepiej, że pamiętam o tabletkach, prawda? - mruknęła.

- Uważaj na siebie, kochanie.

- Mamusiu, czy ja kiedykolwiek straciłam głowę dla mężczyzny?

- Na szczęście nie. - Chloe postawiła futrzany kołnier i ukryła w nim twarz. - Szkoda, że nie byłam podobna do ciebie, kiedy miałam dwadzieścia lat. - Zachichotała. - Kogo ja chcę oszukać? Szkoda, że dzisiaj taka nie jestem. - Posłała jej całusa, pomachała torebką na pożegnanie i wyszła.

Francesca spojrzała na siebie krytycznie, wyjęła grzebień z włosów i podeszła do okna. Nagle, nie wiadomo skąd, powróciło wspomnienie tamtej nocy z Evanem Varianem. Wzdrygnęła się. Zdawała sobie sprawę, że większość kobiet ma do seksu inny stosunek, lecz ona straciła wszelkie zainteresowanie tą dziedziną po tamtym przeżyciu. Nie ryzykowała nawet z mężczyznami, którzy się jej podobali. Nie zapomniiała jednak słów Evana, że jest oziębła. Wracaly w najmniej oczekiwanych momentach. W końcu w zeszłym roku zebrała się na odwagę i poszła do łóżka z przystojnym szwedzkim rzeźbiarzem, którego poznała w Marrakeszu.

Skrzywiła się na to wspomnienie. Oczywiście wiedziała, że seks to coś więcej niż wysłuchiwanie czyjegoś stękania i pozwalanie, by obmacywano ją spoconymi łapskami, lecz w niej wywoływał jedynie irytację. Denerwowało ją, że traci kontrolę, że jest odkryta na ciosy. A gdzie się podziała owa bliskość, o której pisali poeci? Dlaczego nigdy tego nie doznała?

Obserwując liczne związki Chloe, Francesca już dawno zrozumiała, że seks to towar, jak wszystko inne. Wiedziała, że prędzej czy później znowu pójdzie z kimś do łóżka, ale postanowiła, że nastąpi to dopiero wtedy, gdy zyska pewność, że panuje nad sytuacją, a nagroda będzie warta poświęcenia. Nie miała tylko pojęcia, jaka. Nie pieniądze, to pewne. Pieniądze były zawsze, o nich się nie mówi i nie myśli. Nie pozycja społeczna, bo tę ma od urodzenia. Ale coś... To coś ulotnego, czego jej brakowało od dziecka...

Pozostała w głębi duszy optymistką i dlatego uważała, że w rezultacie dobrze wyszła na swoim podejściu do seksu. Wiele jej znajomych zmieniało partnerów jak rękawiczki i przy tym tracili całą godność. Ona nie pchała się nikomu do łóżka, a jednak udawało się jej wmówić wszystkim, nawet własnej matce, że jest bardzo doświadczoną kochanką. Była to fascynująca kombinacja, która przyciągała najciekawszych mężczyzn.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy. Przeskoczyła stertę ubrań na ziemi i podeszła do aparatu.

- Francesca z tej strony - powiedziała i usiadła w foteliku w stylu Ludwika XV.

- Francesco, nie odkładaj słuchawki, musimy porozmawiać.

- Proszę, proszę, święty Nick. - Założyła nogę na nogę i uważnie przyglądała się swoim paznokciom.

- Kochanie, nie chciałem cię zdenerwować w zeszłym tygodniu. - Nicholas mówił błagalnie. Widziała go oczyma wyobraźni, jak siedzi w gabinecie i wkłada całe serce w tę rozmowę. Nicky jest taki kochany... I taki nudny. - Źle mi bez ciebie - ciągnął. - Przepraszam, że nalegałem.

- I dobrze, że przepraszasz - mruknęła. - Doprawdy, Nicholas. Zachowałeś się okropnie. Nie lubię, kiedy się na mnie krzyczy, a szczególnie kiedy traktuje się mnie jak uwodzicielkę bez serca.

- Przepraszam, skarbie. Nie chciałem krzyknąć. Właściwie to ty... - Urwał, najwyraźniej w ostatniej chwili ugryzł się w język.

Francesca dostrzegła skazę na paznokciu - mikroskopijny odprysk. Nie wstając, sięgnęła po buteleczkę lakieru.

- Francesco, skarbie, może wybierzesz się ze mną w weekend do Hampshire?

- Przykro mi, Nicky. Jestem zajęta. - Otworzyła buteleczkę, wyjęła pędzelek i od niechcenia spojrzała na niski stoliczek. Zobaczyła brukowiec leżący obok telefonu. Szklana podkładka powiększyła jeden z artykułów, zniekształcając jej nazwisko.

Francesca Day, córka ślicznej Chloe Day i wnuczka słynnej Nity Serritelli, nadal łamie męskie serca. Ostatnia ofiara kapryśnej Fran-ceski to Nicholas Gwynwyck, trzydziestotrzyletni dziedzic browarów Gwynwyck. Przyjaciele donoszą, że szykował się już do ślubu, gdy Francesca nieoczekiwanie zaczęła się pokazywać z dwudziestoczteroletnim Davidem Gravesem, aktorem znanym z...

- Więc może za tydzień?

Odwróciła się i uważnie oglądała paznokiec.

- Chyba nie, Nicky. Nie komplikujmy tego.

- Francesco... - Przez chwilę wydawało się, że głos mu się załamał. - Przecież... Przecież mówiłaś, że mnie kochasz. A ja ci uwierzyłem...

Zmarszczyła brwi. Dopadły ją wyrzuty sumienia, choć to przecież nie jej wina, że źle ją zrozumiał. Pędzelek zawisł nad paznokciem.

- Ależ ja cię kocham, Nicky. Jako przyjaciela. Przecież jesteś taki zabawny i słodki... - I nudny. - Wszyscy za tobą przepadają... Świetnie się razem bawiliśmy. Pamiętasz to przyjęcie u Glorii Hammersmith, kiedy Toby wskoczył do fontanny i...

W słuchawce rozległo się stłumione westchnienie.

- Jak mogłaś, Francesco? Dmuchnęła na paznokiec.

- O co ci chodzi?

- Jak mogłaś umówić się z Davidem Gravesem? Przecież właściwie jesteśmy zaręczeni.

- David Graves to nie twoja sprawa - mruknęła. - Wcale nie jesteśmy zaręczeni. Porozmawiamy, kiedy będziesz się zachowywał jak człowiek cywilizowany.

- Francesco...

Słuchawka z brzękiem opadła na widełki. Nicholas Gwynwyck nie ma prawa jej przesłuchiwać! Spojrzała na paznokiec i podeszła do szafki. Dobrze jej było z Nickym, ale nie kocha go i nie ma zamiaru spędzić reszty życia z piwowarem, choćby najbogatszym.

Ledwie paznokcie jej wyschły, zabrała się do dalszych poszukiwań. Musi znaleźć odpowiednią kreację na imprezę u Cissy Kavendish. Nadal nie wiedziała, co na siebie włożyć, gdy rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła kobieta w średnim wieku. Miała rude włosy i rajstopy pozwijane w obwarzanki na kostkach. Przyniosła świeżo wypraną bieliznę i starannie układała ją w szufladach. Nagle powiedziała:

- Panienko Francesco, chciałabym wyjść na kilka godzin, jeśli mogę.

Francesca przyglądała się kremowej kreacji od Yvesa Saint Laurenta, wykończonych strusimi piórami. Suknia właściwie należała do Chloe, ale Francesca zachwyciła się nią od razu, kazała ją więc skrócić i zwęzić, a następnie zabrała do siebie.

- Co powiesz na to, Heddo? - zapytała. - Nie za skromnie? Hedda zamknęła szufladę.

- Panienska ślicznie wygląda, cokolwiek włożysz.

Francesca powoli odwróciła się dokoła własnej osi i zmarszczyła nos. Nie, jednak nie, Saint Laurent jest nie w niej stylu, zbyt konserwatywny. Cisnęła suknię na ziemię i znowu zajrzała do szafy. Aksamitne spodnie, tak, ale co do nich?

- Coś jeszcze, panienko?

- Nie, dziękuję - mruknęła.

- Wrócę po południu. - Gospodyni szła do drzwi.

Francesca podniosła głowę, żeby zapytać o kolację, i zobaczyła, że kobieta garbi się bardziej niż zwykle.

- Znowu kręgosłup? Myślałam, że już ci lepiej?

- Było lepiej - przyznała Hedda i ciężko oparła się o drzwi. - Ale ostatnio tak boli, że nie mogę się nawet pochylić. Dlatego muszę teraz wyjść - idę do lekarza.

Francesca wolała sobie nawet nie wyobrażać, jakie to straszne, żyć jak Hedda - ból kręgosłupa i jeszcze te opadające rajstopy.

- Zawiozę cię - zaproponowała impulsywnie. - Pojedziemy do ortopedy mamy, zapłacę.

- Nie trzeba, panienko. Pójdę do państwowego lekarza.

Ale Francesca nawet nie chciała o tym słyszeć. Nie znosiła myśli, że ktoś cierpi, i chciała, żeby biedną Heddą zajął się najlepszy specjalista. Kazała jej poczekać w samochodzie, a sama szybko wciągnęła kaszmirowy sweterek i wsunęła złotą bransoletę na przegub, gdzieś zadzwoniła, spryskała się owocowymi perfumami Femme i wybiegła z pokoju. Nie zwróciła przy tym najmniejszej uwagi na sterty ubrań na podłodze, które później biedna Hedda będzie musiała pozbierać, schylając się przy tym.

W obłoku ciemnych włosów zbiegała ze schodów. Jej stopy grzęzły w puszystym dywanie. Porwała kurtkę z lisów z wieszaka. Na dole minęła piękne egzotyczne rośliny w ceramicznych donicach. W holu panował wieczny półmrok i rośliny umierały z braku światła, wymieniano je więc co sześć tygodni. Ani Chloe, ani Francesca nie widziały w tym nic dziwnego. I wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

- Cholera! - mruknęła i zerknęła na zegarek. Jeśli się nie pospieszy, nie zdąży odwieźć Heddy do lekarza i przebrać się na przyjęcie u Cissy Cavendish. Niecierpliwym gestem otworzyła drzwi.

Na progu stał policjant. Sprawdzał adres w notesie.

- Szukam Franceski Day - powiedział i poczerwieniał, gdy zobaczył, jaka jest piękna.

Oczyma wyobraźni zobaczyła plik niezapłaconych mandatów w szufladzie biurka. Uśmiechnęła się promiennie.

- Właśnie ją pan znalazł. Czy mam się obawiać? Patrzył smutnym wzrokiem.

- Panno Day, mam niestety smutne wiadomości...

Dopiero teraz zauważyła, że trzyma coś w dłoni. Przeszył ją dreszcz, gdy rozpoznała torebkę Chloe, tę ze strusia, od Chanel. Poruszył się niespokojnie.

- Doszło do poważnego wypadku, w którym pani matka...

Rozdział 5

Dallie i Skeet pędzili drogą numer 49, w stronę Hattiesburga w Missisipi. Dallie zdrzemnął się trochę na tylnym siedzeniu, ale teraz chętnie z powrotem usiadł za kierownicą. Miał jeszcze mnóstwo czasu, zanim znów stanie na polu golfowym. Nie znosił nocnych przejazdów z jednego turnieju na drugi. W ogóle niczego nie znosił. Gdyby grube ryby z PGA musiały kilka razy przejechać przez pół kraju, zmieniliby te cholerne zasady.

Na polu golfowym Dallie nie zwracał uwagi na to, co ma na sobie, pod warunkiem że ubranie nie było różowe i ozdobione wizerunkami zwierząt. Natomiast w czasie wolnym najchętniej nosił sprane, obcisłe dżinsy, kowbojki ręcznej roboty i koszulki tak stare, że w każdej chwili mógł nimi wytrzeć maskę samochodu i nie martwić się, że japorysuje. Czasami fanki wręczały mu kapelusze kowbojskie, ale nigdy ich nie nosił, wolał czapki bejsbolowe. Twierdził, że otyli agenci ubezpieczeniowi w garniturach z poliestru pozbawili stetsony całego uroku. Właściwie nie miał nic przeciwko poliestrowi, pod warunkiem że wyprodukowano go w Stanach.

Dallie ziewnął i zastanawiał się, jak dzisiaj zagra. Wczoraj nie poszło mu najlepiej i sam nie wiedział, dlaczego. Od zeszłorocznej klęski w turnieju Orange Blossom szło mu nieźle, jednak nadal nie wygrał żadnego wielkiego turnieju.

Skeet jak zwykle studiował jakiś brukowiec.

- Pamiętasz, jak ci pokazywałem zdjęcie tamtej Angielki? Tej małej, która chodziła z księciem, a później z takim aktorem?

Może powinienem dłużej celować, zastanawiał się Dallye. Może w tym tkwi problem.

Skeet mówił dalej:

- Mówiłeś, że wygląda na taką, co nie poda ci ręki, chyba że miałbyś sygnet rodowy na małym palcu. Pamiętasz?

Dallye burknął coś niezrozumiale.

- No, w każdym razie w zeszłym tygodniu jej mama wpadła pod taksówkę. Mają tu jej zdjęcie z pogrzebu, jak szłocha. „Osierocona Francesca Day oplakuje śliczną mamę”, tak napisali. Jak myślisz, skąd oni to biorą?

- Co?

- „Osierocona”. Takie słowa.

Dallye sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów.

- Jest bogata. Gdyby nie to, napisaliby: smutna. Masz gumę?

- Tylko owocową.

Dallye pokręcił głową.

- Zaraz będzie stacja benzynowa. Zatrzymamy się na chwilę, rozprostujemy nogi.

Napili się kawy i wrócili do samochodu. Zdążyli do Hattiesburga na czas. Dallye zakwalifikował się do turnieju. W drodze do miasta wstąpili na pocztę i odebrali sporą paczkę korespondencji. Były to przede wszystkim rachunki, ale i listy. Jeden z nich wywołał kłótnię, która ciągnęła się aż do hotelu.

- Nie sprzedam się i koniec - huknął Dallye. Zdjął czapkę, cisnął ją na łóżko i ściągnął koszulkę przez głowę.

Skeet był już spóźniony na randkę ze śliczną kelnerką, ale podniósł głowę znad listu i przyjrzał się szerokiej klatce piersiowej Dallyego.

- Wiesz co, w życiu nie znałem równie upartego skurczybyka - oznajmił. - Twoja śliczna buzia i ta klata przyniosłyby nam więcej kasy, niż wygrasz przez cały sezon.

- Nie będę pozował do kalendarza dla pedałów.

- O.J. Simpson się zgodził - zauważył Skeet. - I inni. Dallye, to zaszczyt, jesteś jedynym golfistą, któremu to zaproponowali.

- Nie zrobię tego! - krzyknął. - Nie sprzedam się i koniec.

- Ale reklamowałeś Foot-Joy.

- To co innego i dobrze o tym wiesz. - Dallye wszedł do łazienki i zatrzasnął za sobą drzwi. Po chwili krzyknął: - Foot-Joy produkuje dobre buty do golfa!

Rozległ się szum prysznica. Skeet pokręcił głową. Mamrocząc pod nosem, poszedł do siebie. Od dawna wiadomo, że Dallye jest tak przystojny, że w jednej chwili mógłby znaleźć się w Hollywood, ale ten głupek uparcie odmawiał. Agenci wydzwaniali do niego bez przerwy, a on zbywał ich, mówiąc, gdzie mogą sobie wsadzić swoje propozycje i co sądzi o ich matkach. Co jest złego w zarabianiu takiej forsy, pytał go Skeet? Póki Dallye nie wygra kilku ważnych zawodów, nie ma co liczyć na lukratywne reklamy.

Skeet poprawił fryzurę i zmienił koszulę. Nie widział nic złego w pozowaniu do kalendarza, nawet jeśli na sąsiednich kartach będą gogusie. Dallye emanował, jak to określali łowcy talentów, seksualnym magnetyzmem. Nieważne, jak kiepsko grał, zawsze towarzyszył mu tłum fanów, z których dobre osiemdziesiąt procent używało szminki. Ledwie zszedł z pola, kobiety otaczały go wiankiem. Holly Grace twierdziła, że kobiety szaleją za nim, bo instynktownie wiedzą, że nie dobiera sobie bielizny pod kolor oczu. Powtarzała, iż Dallas Beaudine to ostatni prawdziwy teksaski mężczyzna. Skeet schował klucz do kieszeni i uśmiechnął się pod nosem. Kiedy ostatnio rozmawiał z Holly Grace przez telefon, powiedziała, że jeśli Dallye wkrótce nie wygra znaczącego turnieju, Skeet ma skrócić jego męki i palnąć mu w łeb.

Coroczne przyjęcie Mirandy Gwynwyck, odbywające się jak zawsze w ostatnim tygodniu września, trwało w najlepsze. Gospodyni czujnym okiem lustrowała półmiski z krewetkami, małutkimi karczochami i homarami.

Miranda, autorka feministycznego traktatu *Kobieta Wojownicza*, uwielbiała wydawać przyjęcia, choćby po to, żeby udowodnić całemu światu, że feminizm i wygodne życie nie wykluczają się wzajemnie. Poglądy nie pozwalały jej się malować czy stroić, ale w wydawaniu przyjęć znalazła ujście swoich, jak to określiła w książce, domatorskich zapędów.

Obserwowała gości zgromadzonych w salonie. Muzycy i intelektualiści, kilku parlamentarzystów, niemała grupka znanych pisarzy i, dla kontrastu, kilku oszustów i szarlatanów, żeby dodać nieco pikanterii. Idealna mieszanka. I wtedy zobaczyła przysłowiową łyżkę dziegiu w beczce miodu - drobnutką Francescę Serrittelę Day, jak zwykle świetnie ubraną, jak zwykle otoczoną wianuszkami mężczyzn.

Francesca w turkusowym komplecie wyglądała ślicznie, jak z obrazka. Beztriosko odrzuciła ciemne włosy i wdawała się w rozmowę ze wszystkimi, a przecież cały Londyn wie, że została bez grosza przy duszy. Pewnie nieźle się zdziwiła, kiedy się okazało, że Chloe tkwiła po uszy w długach.

Nawet z daleka Miranda słyszała jej perlisy śmiech i zdyszany głos, jakby nie mogła się doczekać, by opowiedzieć przezabawną historyjkę w ten swój charakterystyczny sposób, który doprowadzał Mirandę do szaleństwa. A jednak mężczyźni, ci idioci, jeden po drugim ulegali jej urokowi. Niestety, jednym z nich był Nicky, jej ukochany brat.

Miranda zmarszczyła brwi i wzięła orzeszek z półmiska od Lalique'a. Nicholas to dla niej najważniejszy człowiek na świecie, cudownie wrażliwy i mądry. To on namawiał ją do napisania *Kobiety Wojowniczej*. Pomagał jej ubrać myśli w słowa, w środku nocy podawał kawę i, co najważniejsze, trzymał jej stronę w kłótniach z matką, która nie pojmowała, czemu jej córka, mająca roczny dochód rzędu stu tysięcy funtów, zajmuje się takimi bzdurami. Miranda nie mogła bezczynnie stać z boku i patrzeć, jak Francesca Day łamie serce Nicholasowi. Od kilku miesięcy obserwowała Francescę - zmieniała partnerów jak rękawiczki, a w przerwach wracała do Nicky'ego. Za każdym razem witał ją z otwartymi ramionami. Może nieco bardziej ostrożnie, może z większą rezerwą, ale witał.

- Kiedy mam ją przy sobie - tłumaczył Mirandzie - wydaje mi się, że jestem najmądrzejszym, najdowcipniejszym mężczyzną na ziemi. - Po chwili dodał zgryźliwie. - Oczywiście, jeśli humor jej dopisuje, bo w przeciwnym razie czuję się jak ostami śmieć.

Jak ona to robi, zastanawiała się Miranda. Jakim cudem ktoś tak płytki i powierzchowny zwraca na siebie uwagę? Oczywiście, to przede wszystkim zasługa jej niezmiernie urody, ale nie tylko. Francesca emanowała energią; wydawało się, że powietrze dokoła niej jest naładowane elektrycznością. Tania sztuczka, stwierdziła Miranda z lekceważeniem, przecież Francesca nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Wystarczy na nią spojrzeć! Nie ma pracy ani grosza przy duszy, a zachowuje się, jakby wszystko było w porządku. I może jest, pomyślała Miranda niespokojnie - przecież Nicholas Gwynwyck i jego miliony są na wyciągnięcie ręki.

Miranda o tym nie wiedziała, ale nie ona jedna walczyła z ponurymi myślami. Francesca, choć pozornie beztrioska i radosna, była w kiepskim humorze. Nie dalej jak wczoraj poszła do Stewarda Bessetta, właściciela najsłynniejszej londyńskiej agencji modelek, w poszukiwaniu pracy. W jej kręgach towarzyskich praca modelki to nic hańbiącego. Uznała, że tym sposobem rozwiąże najbardziej palące problemy finansowe.

Ku jej zdumieniu Steward oznajmił, że jest za niska.

- Modelka może być niezmiernie piękna, ale jeśli nie ma co najmniej metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu, nie wystąpi na wybiegu - wyjaśnił. - A pani jest o wiele niższa. Oczywiście może pani brać udział w sesjach zdjęciowych i reklamach, ale i tak najpierw musimy zrobić zdjęcia próbne.

I wtedy nie wytrzymała. Wrzasnęła, że jej zdjęcia były w najsłynniejszych pismach świata i nie musi robić żadnych zdjęć próbnych, jak jakaś debiu-tantka. Teraz już wiedziała, że niepotrzebnie się uniosła, ale wtedy nie zdołała się opanować.

Od śmierci Chloe upłynął już rok, a Francesca nadal nie mogła się pogodzić z jej utratą. Czasami miała wrażenie, że żal to żywe stworzenie, które oplotło ją silnymi mackami.

Początkowo przyjaciele okazywali współczucie i zrozumienie, ale po kilku miesiącach dali jej do zrozumienia, że powinna odrzucić żalobę, jak zeszlóroczną kreację. Obawiała się, że przestaną ją zapraszać, jeśli nadal będzie smutna, a bała się samotności, nauczyła się więc ukrywać rozpacz. W towarzystwie śmiała się i flirtowała, jak gdyby nigdy nic.

O dziwo, śmiech pomógł. Czują, że powoli dochodzi do siebie. Czasami nawet ogamiał ją gniew na Chloe. Jak mogła wpakować ją w coś takiego? Opadły ją stada wierzycieli. Jednak złość zaraz mijała. Dopiero teraz stało się dla Fran-ceski jasne, dlaczego ostatnio matka była taka zmartwiona i roztargniona.

Nie minęło kilka tygodni od śmierci Chloe, a mężczyźni w trzyczęściowych garniturach zaczęli pukać do jej drzwi. Mieli dokumenty w ręku i chciwość w oczach. Najpierw zniknęła biżuteria Chloe, potem jej aston martin, obrazy... W końcu sprzedała dom. Tym sposobem spłaciła wszystkie długi, ale została z kilkoma setkami funtów w kieszeni, z których już niewiele zostało. Pomieszkiwała na razie u Cissy Kavendish, jednej z najstarszych przyjaciółek Chloe, ale Cissy i Francesca nigdy się nie lubiły. Na początku września Cissy postawiła sprawę jasno: Francesca musi się szybko wyprowadzić. Francesca nie wiedziała, jak długo uda jej się zwozić mglistymi obietnicami.

Zmusiła się, by się roześmiać z żartu Talmedge'a Butlera. Brak pieniędzy to przejściowa sytuacja, powtarzała sobie. Zobaczyła Nicholasa po drugiej stronie salonu. Gdyby za niego wyszła, miałaby pieniędzy w bród, ale to rozwiązanie przyszło jej na myśl tylko raz, przez chwilę, gdy zadzwonił do niej jakiś okropny człowiek i domagał się, by spłaciła przynajmniej część zadłużenia na karcie kredytowej, bo inaczej spotkają ją same przykrości. Nie, Nicholas Gwynwyck nie rozwiąże jej problemów. Gardziła kobietami, które wychodzą za męża dla pieniędzy. Ma dopiero dwadzieścia jeden lat, a przed nią zbyt świetlana przyszłość, by wszystko popsuć w chwili rozpacz. Wkrótce zdarzy się coś wspaniałego. Musi tylko poczekać.

- ... stek bzdur, który wyniosę na wyżyny sztuki. - Te słowa zwróciły jej uwagę. Wypowiedział je elegancki mężczyzna. Rozmawiał z Mirandą Gwynwyck, a teraz podszedł do niej.

- Witaj, moja droga - zaczął. - Jesteś prześliczna. Cały wieczór czekam na okazję, żeby mieć cię dla siebie. Miranda mówiła, że będę zachwycony.

Z uśmiechem podała mu rękę.

- Francesca Day - przedstawiła się. - Mam nadzieję, że warto było czekać.

- Lloyd Byron. O, tak. Poznaliśmy się już, choć pewnie tego nie pamiętasz.

- Ależ tak, bardzo dobrze. Jesteś znajomym Mirandy, znanym reżyserem.

- Sprzedawczykiem, niestety, który kolejny raz sprzedał duszę za janke-skie dolary. - Westchnął dramatycznie i spojrzał w sufit. Wypuścił przy tym idealnie okrągłe kółko dymu z ust. - Pieniądze to przekleństwo ludzkości. Robimy dla nich najgorsze rzeczy.

W oczach Franceski pojawił się błysk.

- A jakich to okropieństw dopuściłeś się dla pieniędzy, jeśli można zapytać?

- Zbyt wielu. - Podniósł do ust szklankę pełną czystej whisky. - Całe Hollywood jest okropne, jednak ja staram się odcisnąć moje piętno nawet na najgorszej szmirze.

- Jakie to wspaniałe. - Uśmiechnęła się, miała nadzieję, że z podziwem, choć w rzeczywistości bawiło ją, że Lloyd Byron udaje wielką osobowość zmuszoną do kompromisu w imię sztuki.

Reżyser błędził wzrokiem po jej twarzy z zainteresowaniem, ale bez pasji, i domyślała się, że woli towarzystwo mężczyzn. Wydał usta i nachylił się do jej ucha:

- Droga Francesco, za dwa dni lecę do zapyziałego Missisipi, nakręcić film *Delta we krwi*, szmirę, z której zrobię arcydzieło o przemianie duchowej.

- Uwielbiam arcydzieła o przemianie duchowej - zaszczebotała i wzięła kieliszek szampana. Spojrzała na Sarah Fargate-Smyth w kreacji z tafty. Adolfo czy Valentino?

- *Delta we krwi* to alegoria, hołd oddany życiu i śmierci. - Zamaszycie machnął ręką, nie wylewając przy tym ani kropli. - Odwieczny cykl. Natura... Rozumiesz?

- Odwieczny cykl to coś, co lubię najbardziej.

Przez chwilę przewiercał ją wzrokiem.

- Wyczuwam twoją witalność. Każdy twój ruch wysyła silne wibracje. - Podniósł dłoń do policzka. - Nigdy się nie mylę co do ludzi. Zobacz, aż się spościem.

Roześmiała się.

- Może zjadłeś nieswieżą krewetkę.

Pocałował ją w dłoń.

- To miłość. Zakochałem się. Musisz zagrać w tym filmie. Od kiedy cię zobaczyłem, wiedziałem, że będziesz idealną Lucindą.

Francesca uniosła brew.

- Nie jestem aktorką. Skąd ten pomysł?

Zmarszczył brwi.

- Nie szufladkuję ludzi. Jesteś tym, za kogo cię uważają. Powiem producentowi, że bez ciebie nie kręcę.

- Nie sądzisz, że to lekka przesada? - stwierdziła ze śmiechem. - Znamy się dopiero kilka minut.

- Znałem cię przez całe życie; zawsze polegam na moim instynkcie, i to mnie wyróżnia spośród innych. - Znowu wypuścił kółko dymu. - Jest to rólka mała, ale znacząca. Nęci mnie wizja podróży w czasie, zarówno duchowej, jak i fizycznej. Rzecz dzieje się w XEX wieku na Południu, na plantacji w czasach jej rozkwitu, i dzisiaj, gdy z majątku prawie nic nie zostało. Chciałbym, żebyś pojawiła się na początku, w kilku krótkich, ale znaczących scenach zagrasz angielską dziewczycę, która przyjeżdża w odwiedziny. Nigdy się nie odzywa, ale jej obecność jest wyczuwalna w całym domu. Jeśli poważnie myślisz o karierze, ta rola otworzy przed tobą wszystkie wrota.

Przez ułamek sekundy Francesca pozwoliła sobie na szalone, niepoważne marzenia. Aktorstwo to idealne rozwiązanie, zdobędzie pieniądze i zajmie się czymś, co zawsze ją pociągało. Przypomniała jej się stara znajoma, Ma-risa Berenson, która chyba świetnie się bawiła, kręcąc film za filmem. I zaraz roześmiała się z własnej naiwności. Poważni reżyserowie nie proponują ról kobietom poznanym na przyjęciach.

Byron wyjął z kieszeni notesik w skórzanej oprawie i notował coś złotym piórem.

- Jutro już wyjeżdżam, przed południem zadzwoń do mnie do hotelu. To mój adres. Nie zawiedz mnie, Francesco. Moja przyszłość jest w twoich rękach. Nie możesz odrzucić takiej szansy. Nie wiadomo, kiedy znowu zaproponują ci rolę w dużej amerykańskiej produkcji.

Schowała karteczkę do kieszeni i z trudem powstrzymała się od komentarza, że jeśli wierzyć jego opisowi, *Delta we krwi* to nie jest tytuł, który by pasował do dużej amerykańskiej produkcji.

- Cieszę się, że cię poznałam, Lloyd, ale niestety, nie jestem aktorką.

Zakrył uszy rękami, choć w jednej trzymał szklanekę, a w drugiej papierosa.

- Nie chcę tego słuchać! Jesteś tym, za kogo cię uważam. Ludzi kreatywni nie dopuszczają do siebie negatywnych myśli. Zadzwoń przed południem, skarbie. Muszę cię mieć, i już!

Z tymi słowami wrócił do Mirandy. Francesca odprowadzała go wzrokiem, nagle poczuła rękę na ramieniu.

- Nie on jeden musi cię mieć.

- Nicky Gwynwyck, ty napalony maniaku seksualny! - odwróciła się i pocałowała go w gładko wygolony policzek. - Właśnie rozmawiałam z przezabawnym człowiekiem. Znasz go?

Pokręcił przecząco głową.

- To znajomy Mirandy. Chodźmy do jadalni, kochanie. Pokażę ci nowego de Kooninga.

Francesca posłusznie zachwyciła się obrazem i gawędziła wesoło z przyjaciółmi Nicholasa. Zupełnie zapomniała o Lloydzie Byronie, póki Miranda nie odciągnęła jej na bok.

- Gratuluję, Francesco - powiedziała. - Już słyszałam. Zawsze spadasz na cztery łapy, jak kot...

Francesca szczerze nie lubiła siostry Nicholasa. Miranda wydawała jej się sucha i bezbarwna jak jesienne drzewo, była też idiotycznie nadopiekuńcza wobec dorosłego brata, który umiał sam zadbać o siebie. Już od dawna zachowywały jedynie pozory wzajemnej sympatii.

- Skoro o kotach mowa - Francesca wpadła jej w słowo - wyglądasz świetnie, Mirando. Co za odważny pomysł, połączyć futro i dzianinę. Ale o czym ty mówisz?

- Jak to, o filmie Lloyd'a. Mówił mi, że obsadził cię w ważnej roli. Wszyscy pozielenieli z zazdrości.

- Uwierzyłaś mu? - Francesca uniosła brew.

- A nie powinnam?

- Oczywiście, że nie. Nie upadłam na tyle nisko, żeby występować w filmikach klasy B.

Siostra Nicholasa odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się serdecznie.

- Biedactwo. Filmiki klasy B, dobre sobie. A ja sądziłam, że znasz wszystkich i wiesz wszystko. Najwyraźniej nie jesteś tak na bieżąco, jak ci się wydaje.

Francesca, która uważała, że nikt nie jest bardziej na bieżąco niż ona, z trudem ukryła irytację.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Och, przepraszam, moja droga, nie chciałam cię urazić. Dziwię się tylko, że o nim nie słyszałaś. Lloyd dostał Złotą Palmę w Cannes cztery lata temu, nie pamiętasz? Krytycy nie mogą się go nachwalić, wszystkie jego filmy to cudowne alegorie, i nikt nie wątpi, że ten nowy będzie wielkim przebojem. Pracuje z najlepszymi fachowcami.

Francesca starała się nie okazać podniecenia, gdy Miranda wymieniała wszystkie sławy, z którymi pracował Byron. Miranda Gwynwyck to snobka i jeśli jej zdaniem Lloyd Byron jest poważnym reżyserem, Francesca musi jeszcze raz przemyśleć jego propozycję.

Niestety, ledwie wyszli z przyjęcia, Nicky zabrał ją do nowego klubu w Chelsea. Byli tam do pierwszej, później się znowu oświadczył i znowu się strasznie pokłócili - po raz ostatni, jeśli o nią chodzi - dlatego bardzo późno położyła się spać. Obudziła się już po południu, ze snu wyrwał ją telefon. Miranda zadzwoniła z idiotycznym pytaniem o krawca.

Francesca zerwała się z łóżka, przeklinając pokojówkę Cissy, że nie obudziła jej wcześniej. Narzuciła łososiowy szlafrok, pobiegła do łazienki, wzięła prysznic i ubrała się szybko. Zdecydowała się na czarne spodnie i czerwono-żółty sweterek od Sonii Rykiel. Umalowała się, wciągnęła kozaki do kolan i pobiegła do hotelu Byrona. W recepcji dowiedziała się, że reżyser już wyjechał.

- Nie zostawił dla mnie żadnej wiadomości? - Nerwowo stukała palcami w blat.

- Sprawdź.

Recepcjonista podał jej kopertę. Francesca rozerwała ją niecierpliwie i przebiegła wzrokiem tekst.

Hosanna, moja Francesco!

Jeśli czytasz te słowa, odzyskałaś rozum, choć to nieludzkie z twojej strony, że rano nie zadzwoniłaś. Najpóźniej w piątek musisz być w Luizjanie. Polecisz do Gulf port w Missisipi, a stamtąd weźmiesz samochód na plantację Wentworth. Moja asystentka załatwi wszelkie formalności i zwróci ci koszty podróży. Przyślij telegram na adres plantacji, czy się zgadzasz, żebym odzyskał spokój duszy.

Ciao, moja gwiazdo!

Francesca wsunęła kopertę do kieszeni. Nie zapomniała, jak wytwornie Marisa Berenson wyglądała w *Kabarecie* i *Banrym Lyndonie* i jak ona jej zazdrościła, oglądając te filmy. Cudowny sposób zarabiania pieniędzy.

Spochnurniała, gdy przypomniała sobie uwagę Byrona o zwrocie kosztów podróży. Szkoda, że nie skontaktowała się z nim wcześniej, nie musiałaby się teraz martwić i płacić za bilet z własnej kieszeni, a nie sądziła, by wystarczyło jej na to gotówki. Chwilowo nie mogła korzystać z kart kredytowych. Doprawdy, co za koszmar, a po wczorajszej nocy nie miała zamiaru nigdy więcej rozmawiać z Nickym. Skąd wziąć pieniądze na bilet? Zerknęła na zegarek i zorientowała się, że już się spóźniła do fryzjera. Westchnęła ciężko. Coś wymyśli.

- Przepraszam bardzo, panie Beaudine. - Piersiasta stewardesa zatrzymała się obok jego fotela. - Mogę prosić o autograf dla siostrzeńca? Gra w szkolnej drużynie golfowej. Ma na imię Matthew i jest pana wielkim fanem.

Dallie uśmiechnął się do jej biustu i podniósł wzrok, ażeby zobaczyć twarz, brzydszą niż reszta, ale i tak niczego sobie. - Z przyjemnością- powiedział i wziął od niej kartkę i długopis. - Oby grał lepiej niż ja ostatnio.

- Drugi pilot mówił, że miał pan kłopoty w Firestone.

- Skarbie, kłopoty towarzyszą mi na każdym kroku.

Roześmiała się gardłowo i dodała szeptem, tak że tylko on ją usłyszał:

- I pewnie nie tylko na polu golfowym.

- Robię, co w mojej mocy. - Uśmiechnął się leniwie.

Zadzwoń, kiedy znowu będziesz w Los Angeles, dobrze? - Nabazgrała coś na karteczce i podała mu z uwodzicielskim uśmiechem.

Odeszła. Wsunął świstek do tylnej kieszeni dżinsów, gdzie spoczął obok karteczki od dziewczyny z wypożyczalni samochodów. Skeet łypnął gniewnie.

- Pewnie wcale nie ma siostrzeńca, a jeśli nawet, dzieciak w życiu o tobie nie słyszał.

Dallie zagłębił się w lekturze. Nie cierpiał gadać ze Skeetem w samolotach. W ogóle wszystkiego nie cierpiał. Skeet źle tolerował podróże innym środkiem lokomocji niż cztery koła i ilekroć latali samolotem, był jeszcze bardziej nieznośny niż zwykle. Łypnął na Dalliego.

- Kiedy wreszcie będziemy w Mobile? Nienawidzę samolotów. Tylko znowu nie zaczynaj wykładu z fizyki, dobrze? Obaj wiemy, że między nami a ziemią jest tylko powietrze, a powietrze nie utrzyma takiej kupy złomu.

Dallie zamknął oczy.

- Zamknij się, Skeet - poprosił grzecznie.

- Nie śpij teraz. Kurde, Dallie, mówię poważnie! Wiesz, że nie znoszę latać. Nie śpij, dotrzyмай mi towarzystwa.

- Jestem zmęczony. Wczoraj mało spałem.

- Nic dziwnego. Szlajales się do drugiej nad ranem i do tego sprowadziłeś tę chudzinę.

Dallie uniósł jedną powiekę.

- Nie sądzę, żeby Astrid spodobało się to określenie.

- Nie o niej mówię! O psie! Jezu, Dallie, słyszałem drania przez ścianę!

- A co miałem zrobić? - obruszył się Dallie. - Zostawić go przy szosie, żeby zdechł z głodu?

- Ile dałeś recepcjoniście, żeby się nim zajął? Dallie mruknął coś do nosem.

- Co powiedziałaś? - huknął Skeet.

- Stówę! Stówę teraz i stówę za rok, jeśli psiak będzie w dobrej formie.

- Idiota - burknął Skeet. - Ty i te twoje przybłędy. Zaadoptowałeś już ze trzydzieści psów w całym kraju. Nie wiem, jak jesteś w stanie to spamiętać. Psy, dzieciaki...

- Dzieciak. Był tylko jeden i zaraz tego samego dnia wsadziłem go w autokar do domu.

- Ty i te twoje przybłędy. Dallie popatrzył na Skeeta.

- Tak. Ja i moje przybłędy.

Skeet miał na tyle przyzwoitości, by zamknąć się na jakiś czas, o co zresztą Dalliemu chodziło. Otworzył książkę, najnowszego Vonneguta, i wypadły z niej trzy błękitne arkusiki. Rozłożył je, przyjrzał się pieskowi Snoopy'emu na papeterii, a potem zaczął czytać.

Kochany Dallie,

Leżę sobie nad basenem i tylko kilka skrawków czerwonego bikini sprawia, że nie sieję obrazy publicznej. Pamiętasz Sue Louise Jefferson, tę małą z lodziarni Dairy Queen, która oszukiwała rodziców i jeździła do Purdue, zamiast chodzić kościoła? Chciała zrobić karierę, ale wpadła po meczu z chłopakiem z drużyny Buckeye? W każdym razie przypomniało mi się,

jak przed laty, gdy jeszcze mieszkała w Wynette, miała wrażenie, że dusi się w naszej szkole, ze swoim chłopakiem. Spojrzała na mnie (zamówiłam wtedy lody waniliowe z czekoladą) i powiedziała:

- Wiesz, Holly Grace, życie jest jak lody. Albo tak smakowite, że przechodzą cię dreszcze, albo topnieją ci w oczach i przepływa między palcami.

Życie przepływa mi między palcami, Dallye.

Mam świetne wyniki w pracy, a jednak ten drań szef wezwał mnie do siebie w zeszłym tygodniu i oznajmił, że kto inny będzie nowym menedżerem sprzedaży na południowy zachód. Ten ktoś jest facetem i osiąga znacznie gorsze efekty niż ja, zagroziłam więc szefowi, że go oskarżę o dyskryminację. A wiesz, co on na to:

- Ależ kochanie, wy kobiety, zbyt emocjonalnie do tego podchodzicie. Zaufaj mi.

Na co odpartam, że nie zaufam mu nawet na tyle, by uwierzyć, że mu staje. Na tym się nie skończyło, doszło do wymiany zdań, z powodu której wyleguję się nad basenem hotelu, zamiast żyć na walizkach.

Mam też lepsze nowiny - ostrzygłam się jak Farrah Fawcett i wyglądam bosko. Firebird sprawuje się bez zarzutu. Miałaś rację, to był gaźnik.

Strzelaj celnie, Dallye.

Catusy, Holly Grace.

PS. Trochę nazmyślałam o Sue Louise Jefferson, kiedy zatem wrócisz do Wynette nie mów nikomu o chłopaku z drużyny Buckeye.

Duśmiechnął się pod nosem, złożył list i wsunął do kieszonki na piersi, miejsca najbliższego sercu, jeśli je miał.

Rozdział 6

imuzyna, którą jechała na plan filmowy, Chevrolet z 1971 roku, nie miała klimatyzacji i lepki upał otaczał Francescę nieprzyjemnym kokonem. Odkąd przyleciała do Stanów, była tylko w Nowym Jorku i Hampton, a teraz do tego stopnia skupiła się na sobie, że nie zwracała uwagi na nietypowy krajobraz, jaki rozciągał się za oknem. Czowała wściekłość. Jak mogła się tak ubrać? Co ją podkusiło, by włożyć grube wełniane spodnie i kaszmirowy sweterek? Przecież jest początek października! Skąd miała wiedzieć, że tu będzie tak gorąco?

Po blisko dwudziestogodzinnej podróży powieki same opadały jej ze zmęczenia. Przyleciała z Londynu do Nowego Jorku, stamtąd do Atlanty i wreszcie do Gulfport, gdzie temperatura wynosiła trzydzieści stopni w cieniu, a jedyny dostępny samochód z kierowcą okazał się wrakiem bez klimatyzacji. Teraz marzyła o długim, zimnym prysznicu, dzinie z tonikiem i wygodnym łóżku, w którym zamierzała przespać następną dobę. Na szczęście zaraz to zrobi.

Wachlowała się ręką i starała się myśleć o czymś przyjemniejszym. Czekają na nią fantastyczne przygody, powtarzała sobie. Nie miała żadnego doświadczenia jako aktorka, ale zawsze świetnie naśladowała innych. Da z siebie wszystko i wzbudzi zachwyt krytyków, a najlepsi reżyserowie zaczną się o nią zabijać. Będzie chodziła na wspaniałe przyjęcia i zarobi mnóstwo pieniędzy. Właśnie tego jej brakowało, tego szukała całe życie. Dlaczego przedtem na to nie wpadła?

Założyła włosy za uszy i uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak zdobyła pieniądze na podróż. Właściwie to nie było nic trudnego, wystarczyło tylko trochę pomyśleć. Mnóstwo pań z towarzystwa sprzedawało stroje, w których już się pokazały publicznie. Francesca nie pojmowała, czemu nie wpadła na to wcześniej. Wystarczyło na bilet lotniczy pierwszej klasy i pokrycie najpilniejszych rachunków. Ludzie niepotrzebnie komplikują sprawy finansowe, stwierdziła, wystarczy chwilę pomyśleć i zawsze się znajdzie rozwiązanie. Nie lubiła nosić starych ciuchów, zresztą sprawi sobie nową garderobę, kiedy zwrócą jej pieniądze za bilet.

Samochód skręcił w długą aleję wysadzaną dębami. Wyrzwała przez okno i zobaczyła trzypiętrowy budynek z wysokimi kolumnami od frontu. Gdy podjechali bliżej, dostrzegła też gromadę mężczyzn w koszulkach i dżinsach, uwijających się wśród ciężarówek.

Kierowca się zatrzymał i spojrzał na nią. Na jego piersi widniał wielki okrągły znaczek upamiętniający dwustulecie Stanów Zjednoczonych. Odkąd wylądowała na lotnisku Kennedy'ego, wszędzie widziała plakaty przypominające o rocznicy. W Gulfport nawet hydranty pomalowano tak, że wyglądały jak miniaturowi żołnierze z epoki. Robienie takiego zamieszania z powodu marnych dwustu lat Angielce wydawało się przesadą.

- Czterdzieści osiem dolarów - mruknął kierowca z tak dziwnym akcentem, że z trudem go zrozumiała.

Zapłaciła mu i dodała sowity napiwek, przez co pozbawiła się niemal wszystkich pieniędzy i wysiadła, taszcząc kuferek na kosmetyki.

- Francesca Day? - Podeszła do niej młoda kobieta.

- Tak?

- Cześć, jestem Sally Calaverro. Witaj na końcu świata. Słuchaj, musisz zaraz iść do garderoby.

Kierowca postawił walizkę od Louisa Vuittona u jej stóp. Francesca zmierzyła wzrokiem Sally, ubraną w indyjską spódnicę i koszulkę na ramiączka, pod którą nierozważnie nie włożyła stanika.

- To niemożliwe, panno Calaverro - oznajmiła. - Spotkam się z panem Byronem i idę do hotelu. Nie spałam od dwudziestu czterech godzin i padam z nóg.

Sally się nie przejęła.

- Niestety, musisz jeszcze trochę wytrzymać, ale postaram się załatwić to jak najszybciej. Lord Byron przyspieszył zdjęcia i twój kostium musi być gotów na jutro.

- To śmieszne. Jutro jest sobota. Muszę się najpierw zaaklimatyzować. Nie mogę przecież z marszu stanąć do pracy.

Sally straciła cierpliwość.

- Skarbie, to jest show-biznes. Coś ci się nie podoba? Zadzwoń do agenta. - Zerknęła na walizkę Vuittona i zawołała przez ramię: - Ej, Davey, zabierz bagaże panny Day do kurnika!

- Kurnika? - Francesca zaniepokoiła się nie na żarty. - Nie wiem, co tu się dzieje. Żądam, żeby mnie zaprowadzono do hotelu.

- Jak my wszyscy. - Sally uśmiechnęła się pod nosem. - Nie przejmuj się, to nie jest prawdziwy kurnik, mówimy tak, bo tak wygląda. Dawniej był tam ośrodek rehabilitacyjny i na łózkach nadal zostały poręcze. Jeśli nie przeszkadzają ci karaluchy, jest w porządku.

Francesca nie dała się złapać na przynętę. Nie ma sensu dyskutować ze służbą, stwierdziła.

- Chcę się natychmiast zobaczyć z panem Byronem - zażądała.

- Kręci scenę we wnętrzu, nie lubi, kiedy mu się przeszkadza. - Sally zmierzyła ją taksującym wzrokiem i Francesca poczuła się głupio w brudnym, pogniecionym zimowym ubraniu.

- Zaryzykuję - uznała i popatrzyła złośliwie na garderobianą. Odrzuciła włosy i odeszła.

Sally Calaverro odprowadzała ją wzrokiem. Patrzyła na drobną szczupłą postać, nieskazitelny makijaż i fantastyczne włosy. Jak ona to robi? Jakim cudem odrzuca włosy jednym ruchem? Czyżby piękne kobiety pobierały specjalne lekcje odrzucania włosów? Sally spojrzała na swoje cienkie kosmyki, spalone kiepską trwałą. Wszyscy faceci w ekipie oszaleją dla tej małej. Przywykli do słodkich gwiazdeczek, ale ta to co innego. Miała angielski akcent i patrzyła wyniosłe. Sally spędzała tyle czasu w barach dla singli, że wiedziała, iż niektórzy mężczyźni na to lecą.

- Cholera - mruknęła i poczuła, że jest brzydka i stara, choć dopiero dobiegała trzydziestki. Ta wyniosła szczeniara pewnie umiera z gorąca, ale wygląda jakby zeszła z rozkładówki o modzie. Niektóre kobiety rodzą się po to, by inne je znienawidziły. Francesca Serritella Day była jedną z nich, to pewne.

Dallie czuł, że nadciąga czarny poniedziałek, choć była dopiero sobota i miał za sobą dobry mecz. Czarnym poniedziałkiem nazywał chwile rozpacz i depresji, które przychodziły znienacka i martwiły go bardziej niż spieprzone piłki.

Pochylił się nad kawą i patrzył bezmyślnie na parking za szybą. Słońce jeszcze nie wzeszło na dobre i jeśli nie liczyć kilku zaspanych kierowców ciężarówek, bar świecił pustkami. Starał się odpędzić ponury nastrój. Sezon nie był zły, tłumaczył sobie. Wygrał kilka turniejów...

- Co podać? - Koło jego stolika stanęła kelnerka, jedna z tych czystych, pulchnych kobiet, o których zawsze się myśli, że są ładniutkie pod warstwą tłuszczu.

- Stek z frytkami, dwa jajka sadzone, galon kawy.

- Do kubka czy dożylnie?

Uśmiechnął się.

- Do kubka wystarczy. - Jezu, uwielbiał kelnerki. To najwspanialsze kobiety na świecie. Mądre, dowcipne i każda ma coś do powiedzenia.

Ta akurat przyglądała mu się przez dłuższą chwilę, zanim odeszła. Kelnerki podrywały go cały czas i nie miał nic przeciwko temu, jeśli w ich oczach nie kryła się tęsknota za czymś więcej, czymś, czego nie mógł im dać.

Paskudny poniedziałek zaatakował z nową siłą. Nie dalej jak tego ranka usiłował się dobudzić w łazience, gdy Niedźwiedź zaszeptał mu do ucha:

Już wkrótce Halloween, Beaudine. Gdzie tym razem się ukryjesz?

Odkręcił zimną wodę, ale Niedźwiedź nie dawał z wygraną.

Jak myślisz, gnojku, jakim cudem chodzisz po tej samej ziemi co ja?

Dallie odepchnął przykre myśli, gdy zjawiono się jego śniadanie i Skeet, który zaraz zabrał się do jego porcji.

- Jak się czujesz, Dallie?

- Nieźle.

- Wczoraj dużo wypieś. Dallie wzruszył ramionami.

- Za to rano biegałem. Zrobiłem trochę pompek. Wszystko wypociłem. Skeet spojrzał z powątpiewaniem.

- Akurat.

- A co?

- Nic, Dallie, nic. Ale wydaje mi się, że znowu dopadł cię czarny poniedziałek.

Napił się jego kawy.

- Nic dziwnego, że pod koniec sezonu dopada mnie depresja: zbyt wiele moteli, zbyt wiele kilometrów za nami...

- Zwłaszcza że nadal nie wygrałeś żadnego ważnego turnieju.

- Turniej to turniej.

- Akurat. - Skeet znowu zajął się stekiem. Zapadła cisza. W końcu odezwał się Dallie:

- Ciekawe, czy Nicklause też dopadają czarne poniedziałki. Skeet gwałtownie odłożył sztucę.

- Tylko nie zaczynaj znowu! Ilekroć o nim mówisz, grasz gorzej. Dallie odsunął od siebie kubek.

- Daj mi coś na pobudzenie.

- Jezu, Dallie, mówiłeś, że z tym skończysz.

- Mam dzisiaj zagrać czy nie?

- Oczywiście, że masz zagrać, ale nie podoba mi się to, co ostatnio wyprawiasz.

- Daruj sobie, proszę, i daj mi te cholerne tabletki!

- Skeet tylko potrząsnął głową i wyjął z kieszeni kilka czarnych kapsułek. Dallie zdawał sobie sprawę z pewnej niekonsekwencji: z jednej strony, dbał o swoje ciało, z drugiej, wyniszczał je, pijąc bez umiaru, nie dosypiając i zażywając tabletki, które Skeet kupował na jego prośbę. Ale to i tak bez znaczenia. Żaden Beaudine nie umiera ze starości.

- Suknia jest okropna!

Francesca przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze ustawionym w przyczepie, która służyła za garderobę. Miała mocny, filmowy makijaż, włosy rozdzielone przedziałkiem i ułożone w anglezy nad uszami. Wyglądała w tej fryzurze staroświecko i uroczco, nie kłóciła się więc z fryzjerem, ale suknia to co innego. Znała się na modzie i uważała, że kreacja z różowej tafty z białą koronką wygląda jak przesłodzona truskawkowa beza. Gorset był tak dopasowany, że oddychała z trudem, zresztą fiszbyny zasznutowano tak ciasno, że jej piersi niemal wylewały się z dekoltu. Suknia wyglądała zarazem słodko i wulgarnie, zupełnie inaczej niż kreacje Marisy Berenson w *Barrym Lyndonie*.

- Nie tak to sobie wyobrażałam. Nie wystąpię w takim stroju - zdecydowała. - Musisz coś z tym zrobić.

Sally Calaverro odgryzła różową nitkę energiczniej, niż było trzeba.

- To kostium dla twojej postaci.

Francesca była na siebie wściekła, że wczoraj, podczas przymiarek, nie zwróciła na suknię większej uwagi. Ale czuła się tak zmęczona podróżą i zirytowana faktem, że Lloyd Byron wykazał się idiotycznym uporem, że prawie nie patrzyła, co Sally Calaverro jej podaje. A tymczasem za niecałą godzinę zaczęła kręcić pierwszą z jej trzech scen! Przynajmniej mężczyźni z ekipy okazali się pomocni, znaleźli jej znośny pokój z oddzielną łazienką, przynieśli kolację na tacy (i ten wymarzony dżin z tonikiem). Choć kurnik był mały, ciasny, z niewielkimi okienkami i wołał o pomstę do nieba, spała jak dziecko, ba, jakaś jej cząstka nie mogła się doczekać następnego dnia... do czasu, gdy wreszcie zobaczyła swój kostium.

Obejrzała się w różowej kreacji od tyłu i postanowiła zaapelować do poczucia sprawiedliwości Sally:

- Na pewno masz coś innego. Zrozum, nie wystąpię w różowym.

- Lord Byron zaakceptował tę suknię i nic na to nie poradzę. - Sally zapięła ostatnie haftki na plecach, ściągając materiał energiczniej, niż było trzeba.

Francesca wstrzymała oddech, czując niewygodny ucisk.

- Dlaczego ma takie głupie przezwisko?

- Jeśli o to pytasz, to znaczy, że nie znasz go jeszcze.

Francesca postanowiła, że nie dopuści, by garderobiana albo kostium zepsuły jej humor. Biedna Sally cały czas pracuje w tej okropnej przyczepie, nawet święty straciłby tu cierpliwość. Francesca powtórzyła sobie, że zagra ważną rolę w prestiżowym filmie. Zresztą jest na tyle ładna, że jej uroda przyćmi każdy kostium, nawet tak koszmarny jak ten. Przede wszystkim musi zająć się zmianą zakwaterowania. Nie miała najmniejszego zamiaru spędzić kolejnej nocy w miejscu, gdzie nie ma pokojówek.

Niewysokie obcasiki jej pantofelków zapadały się w zwirowany podjazd, gdy wracała do głównego budynku. Krynolina komicznie chwiała się na boki. Tym razem nie popełni takiego błędu jak wczoraj, gdy chciała negocjować z niższym personelem. Teraz pójdzie prosto do producenta. Lloyd Byron powiedział wczoraj, że zależy mu, by cała ekipa mieszkała pod jednym dachem, bo tak się tworzy ducha wspólnoty, ale podejrzewała, że jest po prostu skąpy. Francesca uważała, że nawet fakt, iż kręcą prestiżowy film, nie tłumaczy sytuacji, w której miałyby mieszkać w tak barbarzyńskich warunkach.

Po wielu pytaniach udało jej się dowiedzieć, gdzie jest Lew Steiner, producent *Delty we krwi*. Stał w holu rezydencji, obok salonu, w którym miała kręcić swoje sceny. Była zaskoczona jego niechlujnym wyglądem. Puculo-waty, nieogolony, ze złotym łańcuchem pod rozchełstaną hawajską koszulą wyglądał jak sprzedawca kradzionych zegarków z Soho. Przeskoczyła przez kable elektryczne, wijące się na podłodze, podeszła i przedstawiła się. Ledwie podniósł wzrok znad notesu, zaczęła z uśmiechem wyliczać to, co budzi jej niezadowolenie.

- Tak więc, panie Steiner, rozumie pan, że w żadnym wypadku nie mogę spędzić kolejnej nocy w tak okropnym miejscu. Jeszcze dzisiaj muszę prze prowadzić się do hotelu. - Spojrzała na niego tryumfalnie. - Przecież nie sposób spać, kiedy człowiek umiera ze strachu, że pożrą go karaluchy.

Przez chwilę pochłaniał wzrokiem jej niemal nagie piersi, a potem rozsiadł się na składanym krześle. Rozstawił przy tym nogi tak szeroko, że materiał spodni niebezpiecznie opinał mu się na udach.

- Lord Byron mówił, że prawdziwa z ciebie piękność, ale mu nie wierzy łem. Co dowodzi, jaki ze mnie głupiec. - Młasnął nieelegancko. - Skarbie, tylko aktorzy grający główne role mieszkają w hotelu, i to wyłącznie dlatego, że mieli to w kontrakcie. Reszta biedaków musi zostać, gdzie jest.

- Biedaków? Tak się to więc określa w branży? - syknęła. Zapomniała, że ma być miła i urocza. Czy wszyscy filmowcy są tacy nieokrzescani? Ogarnęła ją wściekłość na Mirandę Gwynwyck. Ciekawe, czy miała pojęcie, jakie okropne tu panują warunki?

- Jak nie chcesz tej roboty, mam z tuzin lasek, które chętnie wskoczą na twoje miejsce. - Lew Steiner wzruszył ramionami. - Zatrudnił cię Jaśnie Pan Lord, nie ja.

Lasek! Francesca czuła, jak ogarniają furia, i już otwierała usta, by mu o tym powiedzieć, gdy poczuła dłoń na ramieniu.

- Francesca! - Lloyd Byron odwrócił jądo siebie i pocałował w policzek. Chwilowo zapomniała o gniewie. - Wyglądasz rewelacyjnie! Cudowna, prawda, Lew? Te zielone kocie oczy! Te usta! Nie mówiłem, że jest idealna do roli Lucindy? Warta każdego centa, którego wydaliśmy, żeby ją tu sprowadzić?

Francesca już miała mu przypomnieć, że na razie to ona wydała te centy i bardzo chciałaby je odzyskać, ale Lloyd Byron nie dał jej dojść do słowa:

- Suknia jest idealna. Niewinna, dziecinna, jednak zmysłowa. Fantastyczna fryzura. Halo, kochani, przedstawiam wam Francescę Day!

Francesca skinęła głową. Byron odciągnął ją na bok i wytarł sobie czoło jasnożółtą chusteczką.

- Dzisiaj i jutro kręcimy twoje sceny. Nie mówisz żadnych kwestii, więc się nie denerwuj.

- Nie denerwuję się - odparła. Na rany boskie, spotykała się z księciem Walii, a miałyby się denerwować małą rolę w filmie? To śmieszne!

- Lloyd, ta suknia...

- Cudowna, prawda? - Popchnął ją w kierunku saloniku, przeprowadził między dwiema kamerami na statywach i gąszczem reflektorów, na plan. Stały tam białe stylowe krzeselka, kanapa obita adamaszkiem i cięte kwiaty w srebrnych wazonach. - W pierwszym ujęciu staniesz tu, przy oknie. Światło będzie stłumione. Masz czekać na znak i zbliżyć się powoli, żeby ta twoja cudowna twarz ukazywała się nam stopniowo.

Wzmianka o cudownej twarzy ułagodziła ją trochę i spojrzała na niego cieplejszym wzrokiem.

- Pamiętaj, myśl o energii życiowej - pouczał. - Widziałaś, jak Fellini pracował z niemymi postaciami? Lucinda nie odzywa się ani razu, ale jej obecność musi przenikać cały dom, musi także porazić widza w kinie i ze wzruszenia ścisnąć go za gardło. Ona symbolizuje nieokreślone, nieuchwytnie: witalność, promiennność, magię! - Wydał usta. - Boże, mam nadzieję, że ci idioci na widowni wyczują ezoteryczny klimat.

Przez najbliższą godzinę Francesca stała bez ruchu, gdy ustawiano oświetlenie, później bez końca powtarzały się próby. Przedstawiono jej Fletchera Halla, śniadego, ponurego aktora w surducie, który grał główną rolę męską. Francesca pilnie studiowała kroniki towarzyskie, ale jego nazwisko jeszcze nigdy nie obito się jej o uszy i po raz kolejny ogarnęły ją wątpliwości. Dlaczego nie słyszała o żadnym z tych ludzi? Może jednak pochopnie zaangażowała się w to przedsięwzięcie... Może najpierw trzeba było przeczytać scenariusz... Ale przecież nie dalej jak wczoraj przejrzała swój kontrakt i wszystko wydawało się w porządku, przypomniawszy sobie.

Jej wątpliwości się rozwiały, gdy padł pierwszy klaps. Bez trudu wypełniała polecenia Lloyd'a, szła powoli od okna w stronę kamerzysty

- Cudownie! - krzyczał Lloyd. - Bosko! Francesco, masz talent!

Komplementy sprawiały jej przyjemność i choć nadal czuła się nieswojo

w tej okropnej sukni, odprężyła się na tyle, że w przerwach flirtowała z członkami ekipy, którzy poprzedniej nocy okazali się tacy uczynni.

Lloyd nakręcił już ujęcia, gdy idzie przez salonik, dyga głęboko przed Fletcherem Hallem i tęsknie patrzy mu w oczy. Podczas lunchu, gdy na godzinę wyzwoliła się z gorsetu, złapała się na tym, że w gruncie rzeczy świetnie się bawi. Po przerwie Lloyd ustawiał ją w różnych miejscach salonu i kręcił mnóstwo zbliżeń.

- Jesteś piękna! - wołał. - Boże, ta twarz w kształcie serca, te oczy! Rozpuść włosy! Cudownie, tak, tak!

Kiedy ogłosił przerwę, Francesca przeciągnęła się jak szczęśliwa kotka.

Po południu upał i duchota stłumiły jej entuzjazm. Wentylatory porozstawiane na planie nie radziły sobie z podwójną dawką gorąca - od słońca i reflektorów. Poza tym wyłączano je na czas zdjęć.

Ciężki gorset i halki potęgowały uczucie gorąca do tego stopnia, że trudno jej było zaczerpnąć tchu.

- Nie mogę już dłużej - oznajmiła, gdy wizażysta delikatnie ocierał jej z czoła kropelki potu, które w obrzydliwy sposób pojawiły się tuż pod linią włosów. - Lloyd, umieram z gorąca.

- Jeszcze tylko jedna scena, skarbie. Tylko jedna. Widzisz, jakie teraz mamy światło? Twoja skóra nabiera takiego blasku... Błagam cię, księżniczko, najpiękniejsza, zgódź się...

Jak mogłaby odmówić?

Lloyd kazał jej stanąć niedaleko kominka. Na początku filmu, tak wynikało ze scenariusza, na plantację przyjeżdża angielska uczennica, która ma poślubić właściciela tej posiadłości, samotnika - jak sądziła - mężczyznę w stylu pana Rochester z Jane Eyre. Choć zdaniem Franceski Fletcher Hall był zbyt pospolity, by grać rolę bohatera romantycznego. Niestety - choć na szczęście dla Franceski - uczennica ginie tego samego dnia. Francesca już sobie wyobrażała scenę jej tragicznej śmierci, którą zagra z wielkim zaangażowaniem. Nie wiedziała jeszcze, co Lucinda i właściciel plantacji mają wspólnego z głównym wątkiem filmu, który dzieje się współcześnie, a sądząc po liczbie kobiet na planie, przewidziano dla nich chyba wiele ról. Francesca nie zwracała sobie tym jednak głowy.

Lloyd otarł czoło świeżą chusteczką i podszedł do Fletchera Halla.

- Masz stanąć za Francesca, położyć jej ręce na ramionach i odgarnąć jej włosy z szyi, żebyś mógł pocałować dziewczynę w kark. Francesco, pamiętaj, że żyłaś dotąd w złotej klatce. Jego dotyk szokuje, ale i sprawia przyjemność. Rozumiesz?

Poczuła, jak między piersiami spływają jej strużki potu.

- Jasne - warknęła. Wizażysta upudrował jej kark. Kazała podać sobie lusterko, żeby obejrzeć efekt jego pracy.

- Pamiętaj, Fletcher - ciągnął Lloyd. - Nie masz jej pocałować... to ma być dopiero zapowiedź pieśszoty. No, dobra, spróbujmy.

Francesca zajęła wyznaczone miejsce i znowu czekała całą wieczność, zanim ustawiono oświetlenie. Potem ktoś zobaczył plamę potu na surducie Fletchera i Sally musiała biec do garderoby po zapasowy.

Francesca tupnęła nogą.

- Jak długo jeszcze mam tu sterczeć? Mam tego dosyć! Lloyd, daję ci jeszcze pięć minut, potem wychodzę!

Spojrzał na nią lodowato.

- Francesco, zachowujmy się jak zawodowcy. Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- Ale nie macie na sobie pięciokilogramowego kostiumu! Ciekawa jestem, czy zachowywałbyś się jak zawodowiec w czymś takim!

Jeszcze tylko parę minut - poprosił, zacisnął dłonie i dramatycznym gestem uniósł do piersi. - Francesco, wykorzystaj tę złość. Zagraj nią. Niech poczuje ją Lucinda, młodzianka dziewczyna wysłana na koniec świata, by wyjść za nieznajomego. Cisza na planie! Cisza, mówię! Niech Francesca poczuje jej niepokój.

Dźwiękowiec, który przez cały dzień nie spuszczał wzroku z obnażonych piersi Franceski, nachylił się do kamerzysty:

- Ja tam wolałbym poczuć co innego.

- Nie ty jeden, bracie.

W końcu przyniesiono nowy surdut i nakręcono scenę.

- Nie ruszajcie się! - krzyknął Lloyd. - Jeszcze tylko zbliżenie, jak Fletcher całuje Lucinę w szyję i koniec na dzisiaj. To tylko moment. Gotowi?

Francesca jęknęła, ale nie drgnęła. Wytrzymała już tyle, że kilka minut nie sprawiało jej różnicy. Fletcher położył jej dłonie na ramionach i odgarnął włosy. Nie lubiła, kiedy jej dotykał. Był taki pospolity, zdecydowanie nie w jej stylu.

- Francesco, wypręż bardziej kark - polecił Lloyd. - Makijaż!

- Jestem, Lloyd.

- No, dawaj.

Wizażysta zamrugnął niespokojnie.

- Ale co?

- Jak to co? - Lloyd dramatycznie rozłożył ręce.

- Ach, tak. - Wizażysta się spieszył i zawołał do Sally, która stała koło kamerzysty: - Ej, Calaverro, sięgnij do mojego kuferka i podaj mi kły Fletchera, dobrze?

Kły Fletchera?

Francesce zakręciło się w głowie.

Rozdział 7

- Kły! - wrzasnęła Francesca. - Niby dlaczego Fletcher zakłada kły? Sally podała wizażystę wyżej wspomniany rekwizyt.

- Skarbie, przecież to horror. Co ma nosić, stringi?

Francesca miała wrażenie, że ocknęła się w środku sennego koszmaru. Wyrwała się z objęć Fletchera i spojrzała na Byrona.

- Okłamałaś mnie! - krzyknęła. - Dlaczego od razu nie powiedziałaś, że to horror? Jezu, ze wszystkich strasznych... Pozwól cię do sądu! Obedrę cię ze skóry! Jeśli choć przez moment sądziłaś, że pozwolę, by moje nazwisko pojawiło się w... w... - Nie, to słowo nie przejdzie jej przez gardło, nigdy w życiu! Stała jej przed oczami Marisa Berenson, elegancka Marisa, która się dowie, co spotkało biedną Francescę Day, i będzie się śmiała do łez.

Zacisnęła pięści.

- Powiedz mi w tej chwili, o co chodzi w tym okropnym filmie!

Lloyd zachnął się, wyraźnie urażony.

- To opowieść o życiu i śmierci, o kwintesencji życia, o przekazywaniu krwi... Metafizyczna wizja, z której najwyraźniej niczego nie pojmujesz. - Odszedł, obrażony.

Sally, wyraźnie rozbawiona, zbliżała się do Franceski.

- To opowieść o stewardesach, które wynajmują nawiedzony dom. Dawny właściciel rezydencji, nasz kochany Fletcher, po kolei wypija ich krew. Od ponad stu lat rozpacza za swoją Lucinę. Jest też wątek poboczny, o wam pirzycy i striptizerze, ale to dopiero pod koniec.

Francesca nie czekała, co Sally jeszcze powie. Posłała wszystkim oburzone spojrzenie i wyszła. Krynolina kołysała się majestatycznie, gdy Francesca szła coraz szybciej, czując, jak złość podchodzi jej do gardła. Po chwili niemal biegła do przyczepy Lwa Steinera. Zrobili z niej idiotkę! Sprzedała swoje ubrania i przejechała pół świata, żeby zagrać nieistotną rolę w horrorze!

Drżała z wściekłości, gdy zobaczyła Steinera przy metalowym stoliku, niedaleko bufetu. Zatrzymała się gwałtownie, aż krynolina podniosła się niebezpiecznie.

- Przyjęłam tę rolę, bo powiedziano mi, że pan Byron to słynny reżyser! - Gniewnie machnęła rękaw stroną rezydencji.

Lew Steiner podniósł głowę, w rękę trzymał nadgryzioną kanapkę z szynką.

- A kto ci to powiedział?

Uśmiechnięta twarz Mirandy Gwynwyck stanęła jej przed oczami i nagle wszystko stało się jasne. Miranda, niby-feministka, oszukała inną kobietę, podejmując żalostną próbę ratowania brata.

- Mówił, że kręci arcydzieło! - wrzasnęła. - A co to ma wspólnego z energią życiową, Fellinim, alegorią?

Steiner uśmiechnął się pod nosem.

- A jak myślisz, czemu nazywamy go: Lord Byron? Sprawia, że każdy gniot wydaje się poezją. Oczywiście, gotowy film to i tak gniot, ale tego mu nie mówimy. Jest tani i szybki.

Francesca kurczowo chwyciła się ostatniej deski ratunku, ostatniego źdźbła nadziei.

- A Złota Palma? - zapytała niespokojnie.

- Złote co?

- Palma. - Poczowała się jak idiotka. - Festiwal Filmowy w Cannes.

Lew Steiner przyglądał się jej przez chwilę, a potem zaniósł się donośnym śmiechem, przy czym wypluł kawałek szynki i chleba.

- Skarbie, palma to może Lloydowi jedynie odbić! Wiesz, co ostatnio dla mnie nakręcił? *Koedukacyjną masakrę*, a wcześniej takie cudenka, *Więźniarki z Arizony*. Bardzo popularne w kinach dla zmotoryzowanych.

Słowa z trudem przechodziły Francesce przez gardło.

- I on sądził, że wstąpię w horrorze?

- No, przecież tu jesteś, prawda?

Błyskawicznie podjęła decyzję.

- Ale nie na długo! Za dziesięć minut będę tu z walizką. Oczekuję, że otrzymam zwrot kosztów podróży i samochód, który odwiezie mnie na lotnisko! A jeśli w tym okropnym filmie wykorzystacie choćby jedno dzisiejsze ujęcie, przyrzekam, że w sądzie zedrę z was ostatnią koszulę!

- Podpisałaś kontrakt. Niewiele zdziałaś.

- Podpisałam kontrakt, bo wprowadzono mnie w błąd.

- Bzdura. Nikt cię nie okłamał. A o pieniądzach zapomnij, póki nie dokończysz zdjęć.

- Domagam się, żeby mi zapłacono natychmiast! Jesteście mi to winni! - Czowała się jak przekupka zarządzająca awanturę na targu. - Musicie mi zwrócić koszty podróży! Tak się umówiliśmy!

- Nie dostaniesz ani grosza, póki nie nakręcimy jutrzejszych scen. - Zlustrował ją wzrokiem. - Tych rozbieranych. Niewinność rozdiewiczona, tak o nich mówi nasz Lord.

- Wiesz co, Lloyd zobaczy mnie nagą, kiedy zdobędzie Złotą Palmę! - zawołała, odwróciła się na pięcie i odeszłaby, gdyby różowa fałda nie zaczepiła się o stół. Szarpnęła gniewnie i materiał ustąpił z głośnym trzaskiem.

Steiner zerwał się na równe nogi.

- Ej, uważaj! To drogi kostium!

Porwała ze stołu butelkę majonezu i wycisnęła sporą porcję na sam środek spódnicy.

- Co za pech! - prychnęła. - Chyba trzeba ją uprać!

- Ty suko! - wrzeszczał, gdy odchodziła. - W życiu w niczym więcej nie zagrasz! Już ja dopilnuję, żeby nie zatrudnili cię nawet do sprzątnięcia!

- Bomba! - zawołała przez ramię. - Mam dosyć!

Zagarnęła krynolinę w dłonie, zadarła spódnice do kolan i pomaszzerowała przez trawnik do kurnika. Nigdy, absolutnie nigdy nie potraktowano jej tak okropnie. Już ona pokaże Mirandzie Gwynwyck, choćby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu. Jak tylko wróci do Anglii, wyjdzie za Nicholasa!

Wpadła do pokoju, pobladła ze złości, a widok nieposłanego łóżka bynajmniej nie poprawił jej humoru. Porwała ze stolika paskudną zieloną lampę i cisnęła przez cały pokój, aż roztrzaskała się

na ścianie. To nic nie pomogło; nadal czuła się, jakby uderzono ją w żołądek. Dźwignęła walizkę na łóżko i byle jak wrzuciła do niej kilka ubrań, które wypakowała poprzedniego dnia, zamknęła wieko i usiadła na nim, żeby się domknęło. W końcu udało jej się zapiąć walizkę, ale w trakcie szamotaniny misternie upięte loki rozsypały się na ramiona, a jej dekolt pokrył się potem. Dopiero wtedy dotarło do niej, że nadal ma na sobie obrzydliwą różową suknię.

Chciało jej się płakać ze złości, gdy znowu otwierała walizkę. To wszystko przez Nicky'ego! Już ona mu pokaże! Każę się zabrać na Costa del Sol i całymi dniami będzie się tylko wylegiwała na plaży i utrudniała mu życie! Usiłowała rozpiąć haftki z tyłu, ale zostały wszyte w dwóch rzędach, zresztą Sally zasznurowała ją tak ciasno, że nie mogła sobie poradzić. Kręciła się i mocowała, klnąc przy tym paskudnie -na darmo. Pogodziła się już z myślą, że musi poprosić kogoś o pomoc, i wtedy przypomniała sobie minę Lwa Steinerja, gdy oblała suknię majonezem. Ciekawe, jak będzie wyglądał, gdy jego drogocenny kostium zniknie za horyzontem, pomyślała.

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby jej pomóc, musiała więc sama taszczyć walizę w jednej ręce, a kuferek z kosmetykami w drugiej. Pomaszerowała na parking, gdzie powiedziano jej, że nikt nie może pojechać do Gulfport.

- Przykro mi, panno Day, mówili, ale dzisiaj wszystkie samochody będą potrzebne - mruknął jeden z mężczyzn. Unikał jej wzroku.

Nie uwierzyła w ani jedno słowo. To sprawka Lwa Steinera, jego ostatnia żałosna zagrywka!

Inny mężczyzna okazał się bardziej pomocny.

- Tu niedaleko jest stacja benzynowa. - Kiwnął głową w stronę drogi. - Może pani stamtąd zadzwonić, żeby ktoś przyjechał.

Przerażała ją myśl o wędrownicy podjazdem, a co dopiero wzdłuż szosy, do stacji benzynowej. Doszła do wniosku, że jednak musi schować dumę do kieszeni, wrócić do kurnika i się przebrać, kiedy Lew Steiner wyszedł z przyczepy i uśmiechnął się tryumfalnie. Posłała mu wyniosłe spojrzenie, podniosła walizki i pomaszerowała w stronę podjazdu.

- Ej, stop! - Steiner gonił ją biegiem. - Ani kroku dalej w mojej sukni!

Odwróciła się energicznie.

- Dotknij mnie, a oskarżą cię o napaść!

- A ja ciebie o kradzież! To moja suknia!

- Na pewno byłoby ci w niej do twarzy. - Celowo walnęła go w pischel kuferkim z kosmetykami. Jęknął z bólu. Uśmiechnęła się pod nosem; szkoda, że nie uderzyła go mocniej.

- Miało upłynąć bardzo dużo czasu, zanim znowu nadarzy się jej okazja do tryumfowania.

- Przegapiłeś zjazd - marudził Skeet na tylnym siedzeniu buicka rivie-ry. — Mówiłem, droga dziewięćdziesiąt osiem, potem pięćdziesiąt pięć, z pięćdziesiątki piątki na dwunastkę i prosto do Baton Rouge.

- Mówiłeś mi godzinę temu, a potem zasnąłeś, nie mądrzyj się więc — burknął Dallie. Założył nową czapkę bejsbolową, granatową z amerykańską flagą na przedzie, ale nie stanowiła wystarczającej ochrony przed popołudniowym słońcem, wyjął więc jeszcze ze schowka okulary słoneczne i je założył. Po obu stronach szosy ciągnęły się iglaste zarośla. Czasami wśród nich widniały wraki samochodów. Powoli robił się głodny.

- Czasami nie ma z ciebie żadnego pożytku - mruknął.

- Masz gumę owocową? - zapytał Skeet.

Nagle uwagę Dalliego zwróciła barwna plama z przodu, różowy obłok maszerujący poboczem. W miarę jak się zbliżali, obłok nabierał ostrości. Ściągnął okulary.

- Nie wierzę własnym oczom. Popatrz tylko!

Skeet pochylił się, oparł o siedzenie pasażera i osłonił oczy dłonią.

- A niech mnie! - zachichotał.

Francesca zmuszała się, by iść dalej, krok za krokiem, i walczyła o każdy oddech w ciasnym gorsecie. Miała smugi kurzu na policzkach, jej piersi lśniły od potu, a nie dalej niż przed

kwadransiem jedna brodawka wyskoczyła na światło dzienne! Jak korek wypływający na powierzchnię wody, wytrysnęła z ciasnego gorsetu. Francesca odstawiła bagaże i szybko upchnęła ją z powrotem, ale na samo wspomnienie przechodził ją dreszcz. Gdyby w życiu mogła zmienić jedną rzecz, cofnęłaby czas i nie wyruszyła w drogę w tej sukni.

Krynolina wyglądała jak sosjerka, spłaszczona po bokach bagażami, których ciężar wrywał Francesce ramiona ze stawów. Krzywiła się przy każdym kroku. Pantofelki otarły jej stopy do krwi, ale nadal szła w tumanie wszechobecnego kurzu.

Najchętniej usiadłaby na poboczu i zalała się łzami, ale obawiała się, że nie wstałaby więcej. Bardzo się bała, co tylko pogarszało jej samopoczucie. Jak do tego doszło? Przeszła już taki kawał, a nigdzie ani śladu stacji benzynowej. Albo po prostu nie istnieje, albo skręciła nie w tę stronę, w każdym razie dotychczas widziała jedynie zniszczony szyld zapowiadający stragan z owocami, który się nigdy nie zmateriałizował. Wkrótce zapadnie zmrok, była w obcym kraju, nie wiedziała też, jakie bestie czają się w iglastych zaroślach na poboczu. Zmusiła się, by patrzeć prosto przed siebie. Nie zawróciła na plantację Wentworth tylko dlatego, że wiedziała, iż nie przejdzie po raz drugi tej długiej trasy.

Ta droga na pewno dokądś prowadzi, tłumaczyła sobie. Nawet w Ameryce nie budują przecież jezdni donikąd, prawda? Ta myśl przeraziła ją tak bardzo, że szybko zaczęła sobie przypominać swoje ulubione miejsca na ziemi, wszystkie oddalone o lata świetlne od zakurzonej drogi w Missisipi. Oczyma wyobraźni widziała ekskluzywne butikiki na Regent Street, perfumerie przy rue de Passy, domy kreatorów mody na Madison Avenue, od Adolfo po Yvesa Saint Laurenta. Przed oczyma stanęła jej szklanka schłodzonego perriera z ćwiartką limonki. Wizja była tak rzeczywista, że już wyciągała rękę po napój. Zaczynam majaczyć, stwierdziła, ale była to wizja tak przyjemna, że Francesca wcale nie chciała, żeby zniknęła.

Jednak perrier rozpląnął się bez śladu w upalnym powietrzu Missisipi, gdy usłyszała warkot silnika, a następnie pisk hamulców za plecami. Nie zdążyła się odwrócić, a dobiegł ją niski, męski głos.

- Ej, złotko, nie powiedzieli ci, że Lee skapitulował?

Gwałtownie odstawiła walizkę i odwróciła się w stronę mówiącego. Zamrugła szybko, niepewna, czy ma uwierzyć w to, co widzi.

Po drugiej stronie szosy stał ciemnozielony samochód, a z jego okna wyglądał mężczyzna tak nieprzyzwoicie przystojny, tak zabójczo piękny, że w pierwszej chwili myślała, iż jest równie nieprawdziwy jak butelka perriera z ćwiartką limonki. Przyglądała się regularnym rysom jego twarzy, wystającym kościom policzkowym i szerokiej szczęce, podziwiała prosty, kształtny nos i oczy, błękitne jak u Paula Newmana i ocienione rzęsami równie gęstymi jak jej. Jakim prawem mężczyzna ma takie oczy? I takie piękne usta, i zarazem wygląda tak męsko? Spod czapeczki bejsbolowej z amerykańską flagą wysuwały się ciemnoblond włosy. Przez okno samochodu dostrzegła też fantastyczne barki i przez chwilę wpadła w panikę.

Wreszcie spotkała człowieka równie pięknego jak ona.

- Przenosisz pod tą kiecką sekrety konfederatów? - zapytał i błysnął w uśmiechu zębami tak doskonałymi jak w reklamie pasty do zębów.

- Dallye, podli Jankesi chyba wyrwali jej język.

Dopiero teraz dotarło do niej, że z tylnego okna wychyla się drugi mężczyzna. Kiedy zobaczyła jego małe, zimne oczy i ponurą twarz, w jej głowie rozdzwonił się alarm.

- Albo jest jankeskim szpiegiem - ciągnął blondyn. - Bo żadna kobieta z Południa nie wytrzymałaby tak długo bez słowa.

- Jesteś jankeskim szpiegiem, złotko? - zapytał Piękny, znowu błyskając zębami w uśmiechu. - Chcesz wykraść konfederackie sekrety tymi zielonymi oczkami?

Nagle uświadomiła sobie powagę swego położenia - pusta szosa, zachodzące słońce, dwaj nieznajomi, to Ameryka, a nie stara, bezpieczna Anglia. W Ameryce chodzą z bronią do kościoła, a przestępcy bezkarnie spacerują po ulicach. Niespokojnie zerknęła na faceta na tylnym siedzeniu. Wyglądał na takiego, który z nudów torturuje małe zwierzątka. Co robić? Choćby krzyczała, nikt jej nie usłyszy, a nie miała nic, czym mogłaby się bronić.

- Ej, Skeet, straszysz ją. Schowaj swój paskudny łeb, dobrze?

Skeet schował się posłusznie, a Piękny o dziwnym imieniu, którego nie zapamiętała, uniósł boską brew i czekał, aż coś powie. Postanowiła, że będzie rzeczowa, konkretna i za żadne skarby świata nie da po sobie poznać, że jest zrozpaczona.

- Obawiam się, niestety, że wpakowałam się w poważne tarapaty - zaczęła i odstawiła walizkę. - Najwyraźniej zabłądziłam.

Skeet znowu wystawił głowę przez okno. Piękny uśmiechał się od ucha do ucha. Francesca nie dawała za wygraną.

- Czy mogliby mi panowie powiedzieć, jak daleko stąd do najbliższej stacji benzynowej? Albo jakiegokolwiek innego miejsca z telefonem?

Francesca obserwowała, jak Piękny - czy to możliwe, że miał na imię Dallye? - przyglądał się jej, szczególnie zaciekała go falbaniasta suknia.

- Zapewne masz niezłą historię do opowiedzenia, złotko. Wsiadaj. Podrzucimy cię do telefonu.

Zawahała się. Wsiadanie do samochodu z dwoma nieznajomymi nie wydawało jej się najrozsądniejszym rozwiązaniem, jednak nic innego nie przychodziło jej do głowy. Stała bez ruchu na skraju drogi, w zakurzonej, pogniecionej sukni. Strach i niepewność, nowe uczucia, przyprawiały ją o mdłości.

Skeet wystawił głowę przez okno i spojrzał na Dallyego.

- Obawia się, że jesteśmy draniami i chcemy ją zgwałcić. - Spojrzał na nią. - Niech no szanowna pani przyjrzy się uważnie Dalilemu i odpowie mi na pytanie: czy taki facet musi brać kobiety siłą?

Miał rację, to fakt, ale Francesca nadal nie była przekonana. To nie Dallyego obawiała się najbardziej.

A Dallye chyba czytał w jej myślach, co, zważywszy na okoliczności, nie było takie trudne:

- Nie obawiaj się Skeeta, złotko - powiedział. - To szowinista do szpiku kości.

To słowo w ustach mężczyzny, który, choć Piękny, mówił i zachowywał się jak wiejski głupek, wprowiło ją w zdumienie. Nadal nie wiedziała, co robić, kiedy drzwiczki się otworzyły i na szosie pojawiła się para kowbojskich butów. Boże... Przełknęła głośno i zadarła głowę. Do góry. Bardzo wysoko.

Był także niezwykle przystojny.

Granatowa koszulka podkreślała umięśnioną klatkę piersiową, bicepsy, tricepsy i inne cuda, wypłowiałe dzinsy przylegały do silnych nóg i wąskich bioder. Był szczupły i bardzo wysoki. Wstrzymała oddech z zachwytu. A więc to prawda, przemknęło jej przez głowę, co opowiadają o Amerykanach i witaminach.

- W bagażniku nie ma miejsca, wrzucimy twoje bagaże na tylne siedzenie, obok Skeeta.

- Nie ma sprawy. - Zbliżył się do niej, odruchowo uśmiechnęła się więc najpiękniej jak potrafiła. Nie zrobiła tego świadomie; zadziałały geny Serritellich.

Fakt, że ten przystojny mężczyzna, nieważne, że to zwykły amerykański wieśniak, widzi ją w takim stanie, nagle sprawił, że odciski na nogach stały się bardziej bolesne. W tej chwili oddałaby wszystko za pół godziny przed lustrem, by mogła użyć kosmetyków z kuferka i ubrać się w kreację z białego lnu od Mary McFadden. Ale suknia wisiała w sklepie z używaną odzieżą na Piccadilly.

Zatrzymał się w pół kroku i patrzył na nią.

Po raz pierwszy, odkąd wyjechała z Londynu, poczuła, że jest na pewnym gruncie. Jego mina potwierdziła fakt, o którym wiedziała już dawno - mężczyźni są tacy sami na całym świecie. Podniosła na niego promienne, niewinne oczy.

- Co się stało?

- Zawsze to robisz?

- Co? - Dołączki w jej policzkach się pogłębiły.

- Narzucasz się każdemu nowo poznanemu mężczyźnie?

- Narzucam się! - Nie mieściło się jej w głowie, że naprawdę to powiedział, i krzyknęła z oburzeniem: - Wcale ci się nie narzucam!

- Złotko, jeśli ten uśmiech to nie jednoznaczna oferta, to już sam nie wiem co. - Podniósł jej bagaże i zaniósł do samochodu. - Nie mam nic przeciwko temu, ale sama rozumiesz, że nie jest rozsądne reklamowanie swoich wdzięków na całkowitym odludziu przed dwoma nieznanymi, o których nic nie wiesz.

- Reklamowanie! - Tupnęła. - Odstaw moje bagaże, i to już! Nigdzie z tobą nie pojedę, choćby od tego zależało moje życie!

Rozejrzał się dokoła.

- Radzę to jeszcze przemyśleć.

Nie wiedziała, co robić. Potrzebowała pomocy, ale jego zachowanie było nie do przyjęcia i nie chciała poniżyć się tak bardzo, by wsiąść do jego samochodu. Nie zostawił jej wyboru. Otworzył drzwiczki i bezceremonialnie wrzucił jej bagaże do środka.

- Ostrożnie! - krzyknęła i podbiegła do samochodu. - To oryginalny Louis Vuitton!

- Tym razem trafiła ci się pyskata, Dal lie - mruknął Skeet z tylnego siedzenia.

- Też mi nowina. - Dallye usiadł za kierownicą, zatrzasnął drzwiczki i znów wyjrzał przez okno. - Złotko, jeśli chcesz odzyskać walizki, wskakuj, i to już, bo za dziesięć sekund odpalam silnik i ja, i twój Witą znikniemy w obłoku kurzu!

Pokuśtykała dokoła wozu, łykając łzy. Walczyła z różnymi uczuciami: upokorzeniem, strachem i, co najgorsze, bezradnością. Spinka wysunęła jej się z włosów i upadła.

Niestety, jej kłopoty dopiero się zaczynały. Projektanci krynolin nie brali pod uwagę nowoczesnych samochodów. Nie patrzyła na wybawców, nie chciała wiedzieć, jak reagują na jej męki, gdy w końcu wgramoliła się na siedzenie.

Dallye odnalazł dźwignię skrzyni biegów w morzu koronek.

- Zawsze się tak stroisz na drogę?

Łypnęła na niego groźnie i już otwierała usta, by wygłosić jeden ze swoich błyskotliwych, złośliwych komentarzy, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Przez pewien czas jechali w milczeniu. Patrzyła przed siebie, ale niewiele widziała znad krynoliny. Fiszbiny boleśnie wpijały się w zębra. Była szczęśliwa, że może odpocząć, ale na siedząco gorset stawał się nie do zniesienia. Chciała odetchnąć głębiej, ale jej piersi podniosły się niebezpiecznie, dała więc sobie spokój. Jedno kichnięcie i będzie wyglądała jak z „Playboya”, stwierdziła.

- Dallas Beaudine - przedstawił się mężczyzna za kierownicą. - Wszyscy nazywają mnie Dallye. A z tyłu siedzi Skeet Cooper.

- Francesca Day. - Pozwoliła, by w jej głosie pojawiły się cieplejsze nuty. Musi pamiętać, że Amerykanie z zasady nie przejmują się etykietą. Zachowanie w Anglii oceniane jako impertynenckie i chamskie tu było czymś normalnym. Poza tym, nie mogła oprzeć się pokusie i chciała, by ten przepiękny prostak padł jej do stóp. Była w tym dobra, zdolność uwodzenia nie zawiedzie jej jak wszystko inne. - Bardzo dziękuję, że mi pomogłeś. - Uśmiechnęła się znad krynoliny. - Ostatnie dni były po prostu koszmarnie.

- Opowiedz nam - poprosił Dallie. - Od dłuższego czasu ciągle podróżujemy i już nam się znudziło słuchanie własnych głosów.

- No cóż, szczerze mówiąc, to po prostu śmieszne. Miranda Gwynwyck, okropna kobieta, z tych Gwynwycków od browaru, wiecie, namówiła mnie, żebym wyjechała z Londynu i zagrała w filmie, który kręcana plantacji Wen-tworth.

Głowa Skeeta nagle pojawiła się nad jej lewym ramieniem. Jego oczy rozblęśły zainteresowaniem.

- Jesteś gwiazdą? - zapytał ciekawie. - Wiem, że skądś cię znam, ale nie mogę sobie przypomnieć.

- Nie, właściwie nie. - Zastanawiała się, czy nie powołać się na Vivien Leigh, ale dała sobie spokój.

- Mam! - wrzasnął Skeet. - Byłem przekonany, że gdzieś cię widziałem! Dallie, w życiu nie zgadniesz, kto tu mamy.

Francesca przyglądała mu się podejrzliwie.

- To „Osierocona Francesca!” - oznajmił Skeet tryumfalnie. - Wiedziałem, że skądś ją znam! Pamiętasz, Dallie? Ta, która romansowała z tyloma aktorami.

- Coś takiego - mruknął Dallie.

- Niby skąd... - zaczęła, ale Skeet nie dał jej dojść do słowa.

- Słuchaj, strasznie mi przykro z powodu twojej mamy i tego wypadku z taksówką...

Francesca wpatrywała się w niego oniemiała.

- Skeet uwielbia brukowce - wyjaśnił Dallie. - Ja tam za nimi nie przepadam, ale w takiej sytuacji nie sposób nie zastanowić się nad potęgą mediów. Kiedy byłem mały, uczyliśmy się geografii z niebieskiej książeczki pod tytułem *Nasz mały świat*. I to prawda, nie? Macie w Anglii takie książki do geografii?

- Ja... Nie wiem - odparła zdumiona. Zapadła cisza i Francesca przez chwilę obawiała się, że oczekują, aż im opowie szczegóły o śmierci Chloe. Na samą myśl, że miałyby dzielić się tak intymnymi wspomnieniami z nieznanymi, przeszył ją dreszcz, szybko podjęła więc poprzedni wątek: -Przeleciałam pół świata, spałam w koszmarnych warunkach i włożyłam tę makabryczną suknię. A potem się okazało, że nie poinformowano mnie o charakterze tego filmu.

- Pornos? - zapytał Dallie.

- Skądże! - krzyknęła. Boże, czy amerykańscy wieśniacy zawsze najpierw mówią, a dopiero potem myślą? - Nie, to był... - Niedobrze jej się robiło, gdy wypowiadała to słowo: - Horror. O wampirach.

- Coś takiego! - Skeet był pod wrażeniem. - Poznałeś Vincenta Price'a? Francesca na moment zamknęła oczy.

- Nie miałam tej przyjemności. Skeet poklepał Dallię po ramieniu.

- Pamiętasz Vincenta z *Hollywood Squares*? Czasami występowała z nim żona. Jak ona się nazywa? To też taka fajna angielska aktorka. Może Francie ją zna?

- Francesca - warknęła. - Nie znoszę, kiedy nazywa się mnie inaczej.

Skeet wycofał się na tylne siedzenie, a ona nieco za późno zdała sobie sprawę, że go uraziła, ale nic ją to nie obchodziło. To jej imię i nikt nie ma prawa go zmieniać, zwłaszcza nie dzisiaj, kiedy cały świat runął jej na głowę.

- i co teraz? - zapytał Dallie.

- Najszybciej jak się da wracam do Londynu. - Pomyślała o Mirandzie Gwynwyck, o Nickym, o dalszym życiu. - I wychodzę za męża. - Nie miała pojęcia, kiedy podjęła tę decyzję, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Po doświadczeniach ostatniej doby małżeństwo z bogatym piwowarem wcale nie wydawało się takie straszne. Gdy jednak powiedziała to na głos, zamiast ulgi poczuła rozpacz. Z jej włosów wysunęła się kolejna szpilka i wpadła w fałdy krynoliny. Otrząsnęła się z ponurych myśli i poprosiła Skeeta, żeby jej podał kuferek z kosmetykami. Zrobił to bez słowa. Ustawiła kuferek na kolanach i podniosła wieko.

- O Boże! - Niewiele brakowało, a rozplakałaby się na widok swojego odbicia w lustrze. W naturalnym świetle jaskrawy makijaż wyglądał groteskowo, zlizła całą szminkę, była rozczochrana i brudna! Nigdy w życiu nie malowała się przy mężczyźnie, chyba że u fryzjera, ale musiała na nowo stać się tą samą osobą, którą znała od dwudziestu jeden lat!

Zabrała się do pracy. Zmyła filmowy makijaż i wtedy poczuła, że musi zdystansować się od tych dwóch mężczyzn, dać im do zrozumienia, że należy do innego świata.

- Doprawdy okropnie wyglądam. Cała ta wyprawa to jeden wielki koszmar. - Odkleiła sztuczne rzęsy, posmarowała powieki kremem nawilżającym, musnęła je cieniem, pomalowała rzęsy. - Zazwyczaj używam cudownego niemieckiego tuszu, Escarte, ale pokojówka Cissy Kavendish, taka idiotka z Indii Zachodnich, zapomniała mi go zapakować, muszę się więc zadowolić lokalną marką...

Zdawała sobie sprawę, że mówi za dużo, ale nie mogła się opanować. Fachowo nakładała róż na policzki.

- Oddałabym chyba wszystko za dobry masaż twarzy. W Mayfair jest taki mały salon kosmetyczny, naprawdę, robią tam cuda! U Lizzy Arden też, oczy wiście. - Obrysowała usta konkurówką i wypełniła zarys pastelową szminką. Przyjrzała się sobie krytycznie. Nie olśniewająco, ale może być. Przynajmniej była do siebie podobna.

Przeciągające się milczenie budziło jej niepokój, paplała więc dalej.

- W Nowym Jorku nigdy nie mogę się zdecydować, czy iść do Arden, czy do Janet Sartin. Oczywiście Janet Sartin na Madison Avenue, bo jej zakład na Park Avenue jest o wiele gorszy, prawda?

I znowu cisza. Krótka. Przerwał ją Skeet.

- Dallye?

- No?

- Jak myślisz, skończyła już?

Dallye zdjął okulary przeciwsłoneczne i rzucił do schowka przy kierownicy.

- Obawiam się, że dopiero zaczyna.

Spojrzała na niego, zawstydzona swoim zachowaniem i zdenerwowana jego słowami. Czy on nie widzi, że ma za sobą najgorszy dzień w życiu? Czy nie może jej tego odrobinę ułatwić? Była wściekła, że chyba nie robi na nim wrażenia, wściekła, że nie stara się jej zaimponować. W pewnym sensie czuła, że jest to jeszcze gorsze niż inne nieszczęścia, które ją ostatnio spotkały.

Znowu przyjrzała się sobie w lusterku. Nerwowo wyjmowała szpilki z włosów i powtarzała w duchu, że nie będzie się przejmowała opinią Dallasa Beaudine'a. Lada moment dotrą do cywilizacji. Wezwie taksówkę, pojedzie do Gulfport i zarezerwuje miejsce w pierwszym samolocie do Londynu. Nagle przypomniała sobie swoją oplakaną sytuację finansową i wpadła na genialnie proste rozwiązanie.

Drapało ją w gardle. Odchrząknęła.

- Nie można by zamknąć okna? Ten kurz jest okropny. Chciałabym się czegoś napić. - Dostrzegła przenośną lodówkę na tylnym siedzeniu. - Pewnie nie macie tam schłodzonego perriera?

W samochodzie znowu zapadła znacząca cisza.

- Kurde, skończył się - powiedział w końcu Dallye. - Staruszek Skeet go wytrąbił, zaraz po tym, jakżeśmy obrobili sklep monopolowy w Meridian.

Rozdział 8

allie sam przyznawał, że źle się obchodzi z kobietami, ale była to również ich wina. Lubił kobiety dorosłe, zabawowe, nieskomplikowane, z którymi można się napić, które opowiadają sprośne kawały, nie ścisząc głosu, które śpiewają na całe gardło i kłócą się jak przekupki, nie zwracając sobie głowy, co pomyśli damulka z niebieską płukanką przy sąsiednim stoliku. Lubił kobiety, które nie zwracały sobie głowy awanturami, że zamiast w domu przesiaduje na polu golfowym. Lubił kobiety, które w gruncie rzeczy przypominały mężczyzn. Tylko że pięknych, bo piękne kobiety lubił najbardziej. Nie tak sztucznie piękne, jak jakieś modelki, wymalowane i wychudzone, tylko prawdziwie, seksownie piękne. Podobały mu się duże piersi i biodra, błyszczące oczy i roześmiane usta. Lubił kobiety, które można kochać i porzucić. Taki już był i dlatego źle traktował każdą, na której mu zależało.

Ale Francesca Day to co innego. Sama jej obecność budziła w nim najgorsze instynkty.

- Czy to nie stacja benzynowa? - Skeet ożywił się po raz pierwszy od dłuższego czasu.

Francesca wyteżyła wzrok i bezgłośnie wyszeptała modlitwę dziękczynną. Oczywiście nie uwierzyła w te bzdury o napadzie na sklep monopolowy, ale jaednak lepiej będzie zachować ostrożność. Zatrzymali się przed zapyziałym budynkiem z odłóżką farbą i poobijanym szyldem. Kiedy hamowali, w powietrze wzbil się tuman kurzu. Francesca miała wrażenie, że podróżuje od stuleci; umierała z pragnienia i głodu i koniecznie musiała pójść do łazienki.

- Koniec przejażdżki - powiedział Dallie i zgasił silnik. - W środku na pewno jest telefon. Możesz zadzwonić do znajomych.

- Nie będę dzwonić do znajomych - oznajmiła, wyjmując malutką torebkę z cielejącej skóry z kuferka z kosmetykami. - Wezwę taksówkę, żeby mnie zawiozła na lotnisko w Gulfport.

Zajęj plecami rozległ się głośny jęk. Dallie osunął się na siedzenie i zsunął czapeczkę na oczy.

- Co się stało? - zainteresowała się.

- Sam nie wiem, od czego zacząć - mruknął.

- Nic nie mów. - Skeet wpadł mu w słowo. - Wysadź ją, odpal silnik i jedziemy. Facet ze stacji benzynowej się wszystkim zajmie. Mówię poważnie, Dallie. Tylko głupiec z własnej woli po raz drugi pcha palec między drzwi.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się nie na żarty.

Dallie poprawił czapeczkę.

- Po pierwsze, Gulfport jest mniej więcej dwie godziny za nami. Jesteśmy już w Luizjanie, w połowie drogi do Nowego Orleanu. Skoro chciałaś dostać się do Gulfport, czemu szłaś na zachód, a nie na wschód?

- A niby skąd miałam wiedzieć, że idę na zachód? - obruszyła się. Dallie uderzył dłonią w kierownicę.

- A stąd, że słońce zachodziło ci przed nosem!

- Och. - Nie ma powodu do paniki, musi po prostu wymyślić inne rozwiązanie. - A w Nowym Orleanie nie ma lotniska? Mogę polecieć stamtąd.

- Niby jak się tam dostaniesz? A jeśli jeszcze raz powiesz, że taksówką, przysięgam, że własnoręcznie wyrzucę twojego pana Witę przez okno! Jesteś na odludziu, dziewczyno, zrozum wreszcie! To jest Luizjana, a nie Paryż!

Wyprostowała się i zagryzła usta.

- Rozumiem - powiedziała w końcu. - Cóż, w takim razie może zapłacę ci, żebyś mnie zawiózł do samego Nowego Orleanu? - Zmartwiona, zmarszczyła brwi i spojrzała na torebkę. Ile właściwie ma gotówki? Najlepiej będzie, jeśli od razu zadzwoni do Nicholasa, żeby pieniądze już na nią czekały w Nowym Orleanie.

Skeet wysiadł energicznie.

- Idę po coś do picia. Dally, załatw to. Jedno ci powiem - jeśli ona tu będzie, kiedy wrócę, w poniedziałek sam sobie możesz taszczyć swoje badyle. - Zatrzasnęła drzwi.

Okropny człowiek. - Francesca dumnie uniosła głowę. Spojrzała na Dallygo. Chyba jej nie wyrzuci tylko dlatego, że jego prostacki koleżka jej nie lubi? Spojrzała błagalnym wzrokiem: - Zadzwoń, dobrze? To potrwa tylko chwilę.

Wygramoliła się z samochodu z całym wdziękiem, na jaki było ją stać w koszarnej kryolinie i weszła do niskiego budynku. Otworzyła torebkę i szybko policzyła pieniądze. Osiemnaście dolarów. Przeszył ją nieprzyjemny dreszcz. Ma tylko osiemnaście dolarów... tylko tyle dzieli ją od śmierci głodowej...

Słuchawka lepiła się od brudu, ale nie zwracała na to uwagi. Wybrała numer centrali międzynarodowej, zamówiła rozmowę na koszt abonenta i podała numer Nicholasa. Czekając na połączenie, obserwowała Dallygo. Wysiadł z samochodu, podszedł do właściciela stacji i zapytał go o coś. Co za marnotrawstwo, pomyślała, patrząc na Dallygo- takie ciało u wiejskiego prostaka.

W końcu odebrał lokaj Nicholasa, lecz krótko się cieszyła nadzieją na ratunek: nie przyjął rozmowy, oznajmił, że jego pracodawca wyjechał na kilka tygodni. Francesca gapiała się przez chwilę na słuchawkę, a potem zadzwoniła do Cissy Kavendish. Cissy owszem, odebrała telefon, ale też nie chciała przyjąć rozmowy na swój koszt. Suka! Francesca nie wiedziała, co dalej robić.

Przerażona nie na żarty, przebiegała myślą listę znajomych i nagle zdała sobie sprawę, że ostatnio źle traktowała nawet najwierniejszych wielbicieli. Jedynym, który być może pożyczycy jej pieniądze, był David Graves, ale kręcił teraz film w Afryce. Zaciśnęła zęby i zamówiła trzecią rozmowę, tym razem do Mirandy Gwynwyck. Ku jej zdumieniu, Miranda zgodziła się przyjąć rozmowę na swój koszt.

- Francesco, kochana, jak to miło, że dzwonicz, chociaż tu u nas jest środek nocy! Jak tam twoja kariera? Lloyd dobrze cię traktuje?

Francesca niemal słyszała, jak Miranda mruczy z zadowolenia, i mocniej zaciśnęła dłoń na słuchawce.

- Cudownie, Mirando, nie wiem, jak ci dziękować... Ale mam tu mały problem i muszę koniecznie skontaktować się z Nickym. Podaj mi do niego telefon, dobrze?

- Przykro mi, moja droga, niestety jest teraz nieosiągalny. Wyjechał ze starą przyjaciółką, przepiękną blond matematyczką, która za nim szaleje.

- Nie wierzę.

- Francesco, nawet cierpliwość Nicky'ego ma pewne granice i chyba je przekroczyłaś. Podaj mi twój numer, oddzwoni, kiedy wróci za dwa tygodnie.

- Za dwa tygodnie! Muszę porozmawiać z nim teraz!

- Dlaczego?

- To prywatna sprawa! - warknęła.

- Przykro mi.

- Nie rób tego, Mirando! Ja naprawdę muszę... - W słuchawce zapanowała cisza. Tymczasem właściciel stacji benzynowej podszedł do radioodbiornika i przekręcił brudną plastikową gałkę. Po chwili ciszę wypełnił głos Diany Ross.

Francesca zobaczyła, że Dally wraca do samochodu.

- Poczekaj! - Rzuciła słuchawkę i wybiegła. Serce waliło jej jak oszalałe. Bała się, że ją tu zostawi.

Zatrzymał się w pół kroku, oparł o samochód, splótł ręce na piersi.

- Nie mów mi, że nikogo nie było w domu - mruknął.

- Cóż, właśnie... nie, to nie tak. Widzisz, Nicky, mój narzeczony...

- Nieważne. - Zdjął czapkę, przecesał jasne włosy palcami. - Słuchaj, zawiozę cię na lotnisko, ale musisz obiecać, że będziesz cicho.

Najeżyła się, ale zanim zdążyła odpowiedzieć, skinał głową w stronę drzwi pasażera.

- Wskakuj. Skeet chciał rozprostować nogi, zgarniemy go po drodze. Najpierw musi skorzystać z toalety, zresztą umrze, jeśli zaraz nie pozbędzie się tej sukni.

- Daj mi jeszcze kilka minut - poprosiła. - Tylko chwilę.

Nie wiedziała, czy się zgodzi, do słów dołączyła więc cały swój wdzięk: kocie oczy, miękkie usta, mała, bezradna rączka na jego ramieniu. I to był błąd. Spojrzał na nią z obrzydzeniem, jakby dotknął go wąż.

- Wiesz co, Francie, nie wiem, jak to robisz, ale strasznie mnie wkurzasz. Cofnęła dłoń jak oparzona.

- Nie nazywaj mnie tak! Mam na imię Francesca! I nie myśl sobie, że cię lubię!

- Nie sądzę, że lubisz kogokolwiek, poza sobą. - Wyjął płatek gumy do żucia z kieszeni. - No i pana Witę, ma się rozumieć.

Posłała mu mordercze spojrzenie, podeszła do tylnych drzwiczek, otworzyła je i szarpnęła swoją walizkę, bo nic - ani skrajna bieda, ani zdrada Mirandy, ani bezczelność Dalliego Beaudine'a - nie zmusi jej, by została w tej straszliwym różowym narzędziu tortur.

Dallie rozwinął gumę z papierka i patrzył, jak mocuje się z walizką.

- Wiesz, Francie, jak odwrócisz ją bokiem, pójdzie łatwiej.

Zacisnęła zęby, żeby nie obrzucić go stekiem najgorszych znanych jej przekleństw i szarpnęła walizkę. Przy okazji zarysowała skórzany bok, bo zahaczyła o klamkę w drzwiach. Zabije go, pomyślała, taszcząc swój bagaż w stronę zardzewiałych drzwi do łazienki. Zabije go i zatańczę na jego zwłokach. Zacisnęła dłoń na poobijanej klamce i pchnęła. Drzwi ani drgnęły. Ustały dopiero za trzecim razem, skrzypiąc przeraźliwie. Weszła do środka. I wstrzymała oddech.

Łazienka wyglądała okropnie. Na popękanych kafelkach na podłodze stała brudna woda, w której odbijało się mdłe światło gołej żarówki wiszącej pod sufitem. Na muszli klozetowej bez wieka leżała brudna, pęknięta deska. Dopiero teraz Francesca się rozplakała. Była głodna i spragniona, chciała skorzystać z toalety i wracać do domu, nie miała ani grosza. Postawiła walizkę na ziemi, usiadła na niej i zaczęła płakać. Jak to możliwe? Przecież jest jedną z najpiękniejszych kobiet w całej Anglii!

Przez łzy zobaczyła parę kowbojskich butów. Ukryła twarz w dłoniach i płakała na całe gardło. Buty poruszyły się niespokojnie.

- Długo jeszcze, Francie? Muszę dogonić Skeeta, zanim zajmą się nim aligatory.

- Spotykałam się z księciem Walii - chlipnęła, patrząc na niego. - Kochał się we mnie!

- Hm. Podobno rodzina królewska to...

- Mogłam zostać królową! - Łzy spływały jej na piersi. - Szalał za mną, wszyscy o tym wiedzieli. Chodziliśmy na bale i do opery, i...

Zmrużył oczy i spojrzał na zachodzące słońce.

- Możesz sobie darować ten kawałek i przejść do rzeczy?

- Muszę iść do łazienki! - krzyknęła i wskazała brudne drzwiczki.

Zniknął i wrócił po chwili.

- Rozumiem cię. - Wyjął z kieszeni chusteczkę i rzucił jej na kolana. - Chyba wygodniej ci będzie w zaroślach za budynkiem.

Spojrzała na chusteczkę, na niego i na nowo zalała się łzami. Przez dłuższą chwilę tylko żuł gumę.

- Ten twój tusz rzeczywiście jest do kitu.

Zerwała się na równe nogi, aż chusteczka upadła na ziemię.

- Ciebie to wszystko bawi, prawda? Cieszy cię, że się męczę w tej okropnej sukni, że nie mogę wrócić do domu, że Nicky wyjechał z jakąś straszną matematyczką...

- Hm. - Jej walizka przewróciła się, gdy trącił ją butem. Nim zdążyła zaprotestować, otworzył ją. -Ależ tu bałagan-mruknął. -Masz jakieś dzinsy?

- Pod Zandrą Rhodes.

- Co to jest zandrarods? O, mam. A koszulka? Francie, nosisz koszulki?

- Mam bluzkę - chlipnęła. - Od Halstona, szarobeżową z czekoladowym wykończeniem, i pasek od Hermesa z klamrą w stylu art deco. I sandałki, Bottega Veneta.

Spojrzał na nią z ukosa.

- Znowu mnie drażnisz, złotko?

Otarła łzy wierzchem dłoni. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi. Wstał z westchnieniem.

- Sama wybierz, co chcesz włożyć. Poczekam w samochodzie. Ale po spiesz się, bo Skeet usmaży się żywcem.

Odwrócił się. Zagryzła usta.

- Panie Beaudine? - Zatrzymał się. Wbiła paznokcie w dłonie. - Czy mógłby pan... - Boże, jakie to poniżające! - Czy mógłby pan... Bo widzi pan, nie mogę... - Co się z nią dzieje? Jakim cudem taki prostak sprawia, że nie jest w stanie sformułować zdania?

- Wyrzuć to z siebie, złotko, bo jeśli tak dalej pójdzie, skończą się rozgrywki Super Bowl, a nadal nie powiesz, o co ci chodzi.

- Dostyc tego! - Tupnęła, aż wzniosł się tuman kurzu. - Nie mam pojęcia, o czym mówisz, ale nawet kretyń domyśliłyby się, że sama sobie nie poradzę z tą sukienką. Zresztą, jeśli ktoś tu gada za dużo, to ty, nie ja!

Uśmiechnął się i nagle zapomniała o wszystkim, patrząc, jak jego twarz się rozjaśnia. Nie wiedziała, co go tak bawi, ale miała wrażenie, że omijają świetny dowcip. To zdenerwowało ją jeszcze bardziej.

- Pospiesz się, dobrze? - warknęła. - Już nie mogę oddychać.

- Odwróć się, Francie. Rozbieranie kobiet to moja specjalność.

- Nie rozbierasz mnie - warknęła. Jego dłonie zastygły na rzędzie haftek.

- A niby co robie?

- Służysz mi pomocą.

- Jak pokojówka? - Podsunął i rozpiął kilka haftek.

- Tak, mniej więcej. - Miała niejasne przeczucie, że znowu powiedziała coś nie tak. Jego ironiczny chichot utwierdził ją w tym przekonaniu.

- Wiesz co, Francie, coraz bardziej mi się podobaasz. Nieczęsto ma się okazję przeżyć historię na żywo.

- Historię?

- Pewnie. Rewolucja francuska, Maria Antonina, no wiesz, niech jedzą ciastka, jeśli nie mają chleba... te sprawy.

- A co ty wiesz o Marii Antoninie? - zdziwiła się, gdy ustąpiły ostatnie haftki.

- Do niedawna niewiele - odparł.

Skeet przeszedł już ponad trzy kilometry i zgodnie z obawami Dalliego nie był w najlepszym humorze. Francesca skuliła się na tylnym siedzeniu i w ponurym nastroju sączyła coś o nazwie oranżada czekoladowa. Wyjęła ją z przenośnej lodówki bez pytania. Milczała przez całą drogę do Nowego Orleanu. Zastanawiała się, jak zareagowałby Dalli, gdyby mu oświadczyła, że nie ma biletu, ale nie zamierzała powiedzieć mu prawdy. Analizowała swoją sytuację: nie ma matki, domu, pieniędzy i narzeczonego. Pozostały jej jedynie resztki dumy i za wszelką cenę chciała je ocalić. Nie wiadomo dlaczego, duma okazała się bardzo ważna, zwłaszcza wobec Dalliego Beaudine'a.

Szkoda, że jest tak nieziemsko przystojny i tak ostentacyjnie nią niezain-teresowany. To denerwujące... i kuszące. Do tej pory nigdy nie przepuściła żadnemu mężczyźnie i była wściekła, że tym razem przegra. Rozsądek podpowiadał, że ma ważniejsze sprawy na głowie, ale wewnętrzny głos szeptał, że jeśli nie wzbudzi pożądania Dalliego, straci część siebie.

Dopiła napój i wymyśliła, skąd weźmie pieniądze na bilet. Oczywiście! Pomysł był tak banalny, aż dziwne, że wcześniej na to nie wpadła. Spojrzała na walizkę i zmarszczyła brwi, widząc zarysowany bok. Zapłaciła za nią prawie dwa tysiące funtów niecały rok temu. Otworzyła kuferek w poszukiwaniu cienia do powiek w podobnym odcieniu i starannie zamalowała rysę. Dobrze, na pierwszy rzut oka niczego nie widać.

Zbliżali się do lotniska. Znowu starała się zrozumieć, dlaczego Dalli Be-audine odnosi się do niej w taki sposób. Znajdowała tylko jedno wytłumaczenie - okropnie teraz wygląda. Dlatego na razie on jest górą. Zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że staje przed nim wypoczęta, umalowana, wystrojona, uczesana. Od razu padłby jej do stóp.

Kłótnia między Dalliem a jego okropnym kompanem wyrwała ją z rozmarzenia.

- Nie rozumiem, czemu się upierasz, żebyśmy już dziś dojechali do Baton Rouge - narzekał Skeet. - Mamy jutro cały dzień, żeby zdążyć do Lake Charles na poniedziałkowy turniej. Co za różnica, czy będziemy w drodze o godzinę dłużej?

- Taka, że w niedzielę nie chcę dużo jeździć.

- Ja poprowadzę. To tylko godzina, a motel jest bardzo fajny, pamiętasz? Nie masz tam jakiegoś psa?

- Od kiedy to obchodzą cię moje psy?

- Śliczny mały kundelek z czarnaoplamką na oku, dobrze pamiętam? Miał chorą łapę.

- Jest w Vicksburgu.

- Jesteś pewien?

- Pewnie. Słuchaj, Skeet, jeśli chcesz przenocować w Nowym Orleanie, żeby wpaść do baru Pod Smutnym Indianinem i zobaczyć się z tą rudą barmanką, powiedz to od razu, a nie chrzań o psiakach z chorymi łapami.

- Nie powiedziałem, że chcę iść Pod Smutnego Indianina.

- Akurat. W każdym razie ja z tobą nie idę. Tam aż się prosi o bójkę, zwłaszcza w sobotni wieczór. Kobiety wyglądają jak zapaśniczki, a faceci jeszcze gorzej. Niewiele brakowało, a złamaliby mi żebro, kiedy tam ostatnio byliśmy, a na dzisiaj wystarczy mi kłopotów.

- Mówiłem, żebyś ją zostawił na stacji benzynowej, ale nie słuchałeś. Nigdy mnie nie słuchasz. We czwartek też nie. Mówiłem, żebyś celował bardziej w lewo, ale nie...

- Daruj sobie, dobrze? Przyznałem ci rację i wtedy, i dzisiaj rano, daj więc już spokój!

- Dallye, tylko żółtodziób nie słucha pomocnika w takiej sprawie. Czasami myślę, że ty celowo przegrywasz.

- Francie? - Dallye zerknął w tylne lustro. - Opowiesz mi coś jeszcze o romansie z księciem?

- Przykro mi - odparła słodko. - Zabroniłeś mi się odzywać! Zapomniałeś już?

- Niestety, i tak nie ma na to czasu - westchnął i zatrzymali się przed budynkiem lotniska. Nie zgasił nawet silnika, wysiadł i otworzył jej drzwiczki.

- Cóż, Francie, z pewnością było to ciekawe spotkanie. - Pochylił się, wyjął jej walizki i postawił na chodniku. - Powodzenia z narzeczonym, księciem i innymi sławami, z którymi się zadajesz.

- Dziękuję - powiedziała sztywno.

Zrobił balona z gumy i dorzucił z uśmiechem:

- I z wampirami.

Odpowiedziała lodowato wyniosłym wzrokiem:

- Do widzenia, panie Beaudine.

- Do widzenia, panno Francie.

A jednak miał ostatnie słowo. Nie, to niemożliwe, żeby boski wieśniak ją pokonał. Nie do pojęcia: niepiśmienny wieśniak pokonał niezrównaną Fran-cescę Serritellę Day.

Resztki jej dumy nie dawały za wygraną. Popatrzyła na niego tak jak niemoralne bohaterki z filmów dla dorosłych.

- Szkoda, że nie poznaliśmy się w innych okolicznościach. - Uśmiechnęła się lekko. - Na pewno mamy wiele wspólnego.

Wspięła się na palce, wtuliła w niego, otoczyła jego szyję ramionami, cały czas patrząc mu w oczy. Odchyliła głowę do tyłu, oferując mu śliczne usta. Delikatnie dotknęła jego warg i rozchyliła usta, żeby Dallye Beaudine posmakował jej po raz pierwszy i ostatni.

Nawet się nie zawahał. Pocałował ją zdecydowanie, mocno i fachowo, wykorzystał doświadczenie minionych lat. To był pocałunek mistrzów, namiętny i gorący. Byli zbyt doświadczeni, by zderzyć się nosami czy zębami. Francesca w życiu nie czuła czegoś podobnego; przeszył ją dreszcz, kolana zadrżały niepewnie.

Na zakończenie musnęła językiem jego dolną wargę.

- Żegnaj, Dallye - zamruczała cicho i błysnęła kocimi oczami. - Jeśli będziesz w Cap Ferret, daj mi znać.

Zanim odeszła, z satysfakcją dostrzegła zdumienie na jego twarzy.

- Powinienem już się przyzwycząić - mruzczał Skeet, gdy Dallye wrócił do samochodu.

- Ale jakoś nie mogę. Rzucają się na ciebie, wszystkie bez wyjątku. Bogate i biedne, ładne i brzydkie, bez znaczenia. Jesteś cały w szmince.

Dallie wytarł usta wierzchem dłoni i spojrzał na blady ślad.

- Zagraniczna, na pewno - mruknął.

Francesca obserwowała, jak buick odjeżdża, i poczuła absurdalne ukłucie żalu. Ledwie samochód zniknął za zakrętem, wyszła z terminalu i wsiadła do jedynej taksówki na postoju. Taksówkarz włożył jej walizkę do bagażnika.

- Dokąd, panienko?

- Zdaję sobie sprawę, że już późno - zaczęła - ale czy zna pan jakiś komis kupujący rzeczy używane?

- Komis?
- No, tak. Taki dobry, gdzie kupują rzeczy znanych projektantów... i bardzo drogą walizkę.

Rozdział 9

Nowy Orlean, miasto piwa Stella, Dzielnicy Francuskiej, konfederackiego jaśminu i słodkich oliwek, miasto gorącego jazzu, gorących nocy i gorących kobiet leżało u ujścia Missisipi jak brylant ze skażą.

W mieście znanym z indywidualności bar Pod Smutnym Indianinem był przerażająco przeciętny. Szary i obskurny, ozdobiony dwoma neonami, które z wysiłkiem, nieregularnie pobłyskiwały w oknie, bar ten mógłby równie dobrze znajdować się w jakimkolwiek amerykańskim mieście, w jego najgorszej dzielnicy; blisko portu, tartaku, rzeki, na obrzeżach getta. Pasował do dzielnic, w które lepiej nie zapuszczać się po zmroku, do brudnych, zaśmieconych ulic, stłuczonych latarni, do zakątków, gdzie przyzwoite kobiety nie mają wstępu.

Przyzwoite kobiety były Pod Smutnym Indianinem szczególnie źle widziane. Mężczyźni, którzy wpadali tu na drinka, zostawiali w domach swoje dziewczyny, bynajmniej nie aniołki, i nikt nie chciał, by na czerwonym winylowym barowym stołku usiadła inna, lepsza kobieta. Nie, przychodzili tu do dziewczyn takich jak Bonni i Cleo, które balansowały na granicy prostytucji, używały ostrej szminki i duszących perfum, mówiły to, co myślały i pomagały zapomnieć, że ten cholerny Jimmy Carter znowu wygra wybory i da najlepszą robotę czarnuchom.

Bonni od niechcenia mieszała parasolką w drinku i przyglądała się, jak jej przyjaciółka i rywalka Cleo przyciska cycki do Tony'ego Grassa, który wrzucał monetę do szafy grającej.

Dla Bonni bar Pod Smutnym Indianinem oznaczał szansę na lepsze życie i trochę radości; czasami zdarzał się hojny gość, który płacił za jej drinki i rano zostawiał pięćdziesiątkę przy łóżku. Taki siedział właśnie po drugiej stronie baru... i gapił się na Cleo.

Miały z Cleo umowę - ramię w ramię przeganiały wszelkie nowe, które chciałyby się zagnieździć na czerwonych winylowych stołkach Pod Smutnym Indianinem, i nie wchodziły sobie w drogę. Ale ten gość ją kusił. Miał

spory brzuch i silne ramiona, jakby chciał wszystkim pokazać, że nie pracuje byle gdzie - może na platformie wiertniczej na morzu? A Cleo i tak ma więcej facetów, niż jej trzeba.

- Cześć! - Przysiadła się do nieznanego. - Nowy tu jesteś, nie?

Zlustrował ją wzrokiem: hełm z jasnych włosów, śliwkowe cienie do po
wiek, duże, pełne piersi. Skinął głową i wiedziała, że już zapomniał o Cleo.

- Trochę mieszkałem w Biloksi - mruknął. - Co pijesz? Uśmiechnęła się zalotnie.

- Mai-tai. - Skinął na barmana. Bonni założyła nogę na nogę.

- Mój eks jest teraz w Biloksi. Pewnie go nie znasz? Skurczybyk ma na imię Ryland. Pokręcił głową i przesunął rękę tak, że muskała jej piersi. Bonni była bardzo zadowolona, starała się tylko nie widzieć oskarżycielskiego wzroku Cleo.

Godzinę później spotkały się w toalecie. Cleo klęła na czym świat stoi, rozczesując czarne włosy. Bonni przeprosiła: przecież nie mogła wiedzieć, że Cleo jest zainteresowana.

Cleo przyglądała się jej podejrzliwie.

- Wiesz, Tony już mi się znudził. Ciągłe tylko narzeka na żonę. Wcale mnie już nie śmiesz.

- Ten przy barze, Pete, też nie jest zbyt zabawny - mruknęła Bonni. Spryskała się perfumami. - Ta knajpa schodzi na psy.

Cleo musnęła usta szminką.

- Święte słowa, skarbie.

- Może powinniśmy wybrać się na północ. Do Chicago czy gdzieś tam.

- Ja myślałam raczej o St Louis. Może tam zostali jacyś wolni faceci.

Rozmawiały o tym wiele razy i rozmawiały dalej, gdy wyszły z łazienki. Rozwagały zalety Houston płynącego ropą, klimatu Los Angeles i bogactw Nowego Jorku, choć obie wiedziały, że nigdzie się nie ruszą z Nowego Orleanu.

Przepychały się przez grupkę mężczyzn przy barze, czujne i skupione. Nie zwracały już na siebie uwagi, choć nadal rozmawiały. Nagle Bonni zdała sobie sprawę, że coś się zmieniło. Wszystko jakoś tak się wyciszyło, choć ludzie nadal żartowali i pili, a szafa grająca wyła na cały regulator. Dotarło do niej, że wiele głów odwraca się do drzwi.

Uszczypnęła Cleo w ramię i skinęła głową.

- Patrz - mruknęła.

Chloe posłusznie spojrzała w tamtą stronę i zatrzymała się w pół kroku.

- O Jezusie.

Nienawidziły jej od pierwszej chwili. Miała wszystko to, czego im brakowało. Wyglądała, jakby wyszła z ekskluzywnego czasopisma, piękna niczym modelka, nawet w dżinsach, elegancka, zadbana i zarozumiała. Zrobiła taką minę, jakby coś jej śmierdziało... nie coś... one. Takie kobiety nigdy nie zapuszczają się w okolice baru Pod Smutnym Indianinem. Sprawiała, że czuły się brzydkie, tandetne i zużyte. I wtedy zobaczyły, że mężczyźni, z którymi rozstały się kilka minut wcześniej, idą w jej stronę.

Bonni i Cleo wymieniły spojrzenia i ruszyły za nimi, zdecydowane walczyć o swoje.

Francesca nie zwracała na nie uwagi, niespokojnym wzrokiem przeczesywała tłum gości w barze, przez opary dymu starała się wypatrzeć Skeeta Coopera. Zacisnęła spocone dłonie. Na skroni pulsowała jej mała żyłka. Nigdzie nie czuła się równie nie na miejscu jak w tej nowoorleańskiej speluncie.

Zbyt głośna muzyka i rubaszny śmiech uderzyły jajak obuchem. Dostrzegła wrogie spojrzenia. Odruchowo mocniej zacisnęła dłoń na kuferku z kosmetykami, jedynym, co jej zostało. Starła sienie myśleć o okropnych miejscach, do których zawiózł ją taksówkarz, tandetnych i wulgarnych, w niczym nieprzypominających eleganckich komisów z Piccadilly, gdzie sprzedawcy nosili lekko zużyte kreacje od najlepszych projektantów i częstowali klientów herbatą. Wydawało jej się, że sprzedaż ubrań to świetny pomysł; nie przyszło jej do głowy, że jeśli rozstanie się z resztkami garderoby i elegancką walizką za trzysta pięćdziesiąt dolarów, to wystarczy jej na rachunek za taksówkę i marne życie, póki nie skontaktuje się z Nickim. Oryginalna walizka od Louisa Vuittona i ciuchy najlepszych projektantów za trzysta pięćdziesiąt dolarów! Przecież to nie starczy nawet na dwie noce w przyzwoitym hotelu.

- Ej, skarbie!

Francesca podskoczyła nerwowo, gdy podeszło do niej dwóch podejrzanych typów, jeden z wielkim brzuchem, drugi z tłustą nalaną twarzą.

- Chyba masz ochotę na drinka - zaczął brzuchacz. - Ja i mój kumpel Tony chętnie ci postawimy.

Dziękuję bardzo - odparła. Nerwowo rozglądała się za Skeetem. Dlaczego go tu nie ma? Zdenerwowała się znowu. Dlaczego ten okropny Dallie nie podał jej nazwy swojego motelu i zmusił, żeby przyszła w to okropne miejsce? I tak cud, że przypomniała sobie tę nazwę, ale zanim to nastąpiło, przez dwadzieścia minut ślęczała nad książką telefoniczną. Wiedziała, że musi go odnaleźć, uświadomiła sobie, gdy po raz kolejny na próżno usiłowała się skontaktować z Nickim, Davidem Gravesem i innymi dawnymi wielbicielami, którzy, jak się wydawało, wszyscy jednocześnie wyjechali z Londynu, pożenili się i nie odbierali jej telefonów.

Dwie wyraźnie wrogo nastawione kobiety podeszły z boku. Blondynka przytuliła się do brzuchacza.

- Ej, Pete, zatańczymy?

Pete nie odrywał oczu od Franceski.

- Później, Bonni.

- Ale ja chcę teraz. - Bonni zacisnęła usta w wąską linię. Pete ciągle gapił się na Francescę.

- Powiedziałem: później. Zatańcz z Tonym.

- Tony tańczy ze mną - syknęła brunetka i wbiła krótkie fioletowe paznokcie we włochate ramię mężczyzny. - Chodź, skarbie.

- Odczep się, Cleo. - Tony strząsnął z ręki jej dłoń, oparł się o ścianę i pochylił nad

Francescą.

- Nowa jesteś? Nie przypominam sobie, żebym cię tu widział.

Poruszyła się niespokojnie. Na próżno wypatrywała czerwonej bandany.

Dławił ją odór whisky zmieszany z zapachem taniej wody po goleniu. Kobieta imieniem Cleo się zachnęła.

- Ej, Tony, chyba się nie łudzisz, że ta wyniosła lala ci da, co?

- Chyba ci mówiłem, że masz spadać. - Uśmiechnął się sztucznie do Franceski. - Na pewno nie masz ochoty na drinka?

- Nie, dziękuję - odparła sztywno. - Czekam na kogoś.

- Chyba cię wystawił - mruknęła Bonni. - Spadaj stąd, mała.

Drzwi się otworzyły i do środka weszło trzech podejrzanie wyglądających mężczyzn, ale żaden nie był Skeetem. Francescą denerwowała się coraz bardziej. Nie może przecież stać na środku cały czas, ale obawiała się wejść dalej. Dlaczego Dallie jej nie powiedział, gdzie się zatrzyma? Nie może zostać w Nowym Orleanie całkiem sama, mając jedynie trzysta pięćdziesiąt dolarów, i czekać, aż Nicky skończy swój romansik. Musi odnaleźć Dalliego, i to zaraz, natychmiast!

- Przepraszam bardzo. - Przcisnęła się między Tonym a Pete'em.

Jedna z kobiet roześmiała się szyderczo, a Tony mruknął:

- To wszystko przez ciebie, Bonni - narzekał. - Wystraszyłyście ją Cleo, chociaż... - Na szczęście nie dosłyszała reszty. Gorączkowo rozglądała się za wolnym stolikiem gdzieś w rogu.

- Ej, skarbie...

Odwrociła się - Pete szedł za nią. Przcisnęła się między dwoma stolikami, poczuła, jak ktoś głośno japo poślachach, i pobiegła do łazienki. Wewnątrz ciężko oparła się o drzwi i przytuliła do piersi kuferek z kosmetykami. Z baru dobiegł brzęk tłuczonego szkła. Wzdrygnęła się. Co to za miejsce! Skeet Cooper coraz bardziej tracił w jej oczach. Nagle sobie przypomniała, że Dallie mówił coś o rudej barmance. Co prawda nie zauważyła takiej osoby, ale też nie rozglądała się zbyt uważnie. Może inni barmani coś o niej wiedzą.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka weszły dwie gniewne kobiety.

- Ej, Bonni, zobacz, co tu mamy - zaczęła ta o imieniu Cleo.

- No, coś takiego, nasza bogata dupa - mruknęła Bonni. - Co jest, skarbie? Znudziła ci się praca w hotelu i postanowiłaś zajrzeć do takiej speluny?

Francesca zacisnęła usta. Te okropne kobiety posunęły się za daleko. Dumnie zadarła podbródek i spojrzała Bonni w wymalowane oczy.

- Jesteście takie nieuprzejme od urodzenia czy to nabyta cecha?

Cleo się roześmiała. Popatrzyła na Bonni.

- Coś takiego. Czy mi się zdaje, czy ona cię obraziła? - Przyjrzała się kuferkowi na kosmetyki. - Co tam masz, że tak kurczowo to trzymasz?

- Nie twoja sprawa.

- Chowasz tam klejnoty, słonko? - podsunęła Bonni. - Szafiry i brylanty od klientów? Powiedz, mała, ile bierzesz za numerki?

Numerki! - Francesca nie mogła nie zrozumieć, co tamta miała na myśli i nie zastanawiając się, zamachnęła się i uderzyła Bonni w wypacykowane policzki. - Jak śmiesz?

Nie dokończyła. Bonni ryknęła z wściekłości i rzuciła się na nią z palcami zakrzywionymi jak szpony, gotowa wbić je we włosy Franceski. Francesca instynktownie wysunęła przed siebie kuferek z kosmetykami, chcąc zablokować jej ruch. Trafiła przy tym Bonni w brzuch z taką siłą, że ta zachwiała się na wysokich szpilkach z imitacji krokodylej skóry i, gorączkowo łapiąc oddech, runęła jak długa. Francesca poczuła prymitywną satysfakcję, że wreszcie może się na kimś wyładować za niepowodzenia ostatnich dni, ale to uczucie zniknęło bez śladu, kiedy zobaczyła minę Cleo. Dotarło do niej, że wpakowała się w prawdziwe tarapaty.

Rzuciła się do drzwi, ale Cleo złapała ją, zanim dopadła do szafy grającej.

- O nie, suko! - warknęła i pociągnęła ją z powrotem do łazienki.

Ratunku! - wrzasnęła Francesca, gdy całe życie stanęło jej przed oczami. - Na pomoc!

Odpowiedział jej nieprzyjemny męski śmiech i nagle zrozumiała, że nikt jej nie pomoże. Te okropne kobiety zrobią jej krzywdę w łazience, a nikogo to nie obchodzi! W panice machnęła kuferkim, chcąc uderzyć Cleo, ale oberwał mężczyzna z tatuażem. Syknął z bólu.

- Zabierzcie jej ten kufer- wyspała Cleo. - Przed chwilą walnęła nim Bonni.

- Bonni sobie na to zasłużyła. - Pete starał się przekrzyczeć szafę grającą i komentarze innych. Francesca prawie rozplakała się z ulgi, gdy ruszył w ich stronę - najwyraźniej spieszył jej na ratunek. I wtedy wtrącił się facet z tatuażem.

- Zostaw je - huknął do Pete'a, który wyrwał jej kuferek. - To sprawa między dziewczynami.

- Nie! - wrzasnęła Francesca. - Nieprawda! Przecież ja ich nawet nie znam i...

Wrzasnęła, gdy Cleo złapała ją za włosy i ciągnęła z powrotem do łazienki. Oczy zaczęły jej łzawić, rozboleła ją szyja. Barbarzyństwo! Skandal! Morderstwo!

W tym momencie poczuła, że Cleo wyrwała jej kilka kosmyków. Wyrwała jej piękne kasztanowe loki! Straciła resztki rozsądku, ogarnęła ją ślepa furia. Odwróciła się z wściekłym piskiem. Cleo stęknęła, gdy pięść France-ski trafiła ją w niezbyt już jędrny brzuch. Od razu puściła kasztanowe włosy, ale Francesca wyczuła, że to nie koniec - dostrzegła nadchodzącą Bonni, gotową kontynuować dzieło Cleo. Gdzieś w pobliżu trzasnął połamany stolik i zdała sobie sprawę, że walka zatacza coraz większe kręgi i że Pete rzucił się jej na ratunek, cudowny Pete w kraciastej koszuli, z wielkim brzuchem, jej wspaniały Pete!

- Suka! - Bonni z wrzaskiem uczepliła się Franceski, szarpiąc za perłowe guziczki na czekoladowym wykończeniu szarobeżowej koszulki od Halstona. Materiał ustąpił z głośnym trzaskiem. I znowu Francesca poczuła ręce we włosach, i znowu się odwróciła, i tym razem odpowiedziała tym samym - uderzyła Bonni z całej siły.

Nagle wydawało się, że wszyscy włączyli się do walki - ktoś rzucił butelką, ktoś pchnął krzesło, ktoś krzyknął. Złamała sobie paznokcie u prawej dłoni. Jej bluzka zwiślała w strzępach, tak że wszyscy mogli podziwiać jej koronkowy staniczek w kolorze ecru, ale nie miała kiedy się tym przejmować, bo Bonni uderzyła z całej siły. Francesca nie pozostała jej dłużna. W tej chwili dotarła do niej przerażająca prawda - oto ona, Francesca Serritelia Day, ulubienica międzynarodowej śmietanki towarzyskiej, pupilka kronik towarzyskich, niemal księżna Walii - jest w samym środku najprawdziwszej pijackiej bijatyki.

Drzwi do baru Pod Smutnym Indianinem otworzyły się energicznie i do środka wszedł Skeet Cooper, a za nim - Dallie Beaudine. Dallie przez chwilę przyglądał się zamieszaniu, pokręcił głową z niesmakiem i mruknął:

- A niech to! -I ruszył do środka.

Jeszcze nigdy niczyj widok tak bardzo nie ucieszył Franceski, tyle że w pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy, że to on. Ledwie dotknął jej ramienia, puściła Bonni, odwróciła się na pięcie i z całej siły zdzieliła go w klatkę piersiową.

- Ej! - Masował bolące miejsce. - Jestem po twojej stronie... chyba.

- Dallie! - rzuciła mu się w ramiona. - Och, Dallie, Dallie, Dallie! Mój cudowny Dallie! To naprawdę ty! Oderwał ją od siebie.

- Spokojnie, Francie, jeszcze stąd nie wyszłaś. Co do licha...

Nie dokończył. Potężny facet zamierzył się na niego prawym sierpowym i Francesca z przerażeniem patrzyła, jak runął na podłogę. Dostrzegła swój kuferek, zapomniany na szafie grającej, porwała go i zdzieliła napastnika w głowę. Ku jej przerażeniu zamek ustąpił i jej skarby: cienie, pudry, róże i kremy wysypały się na podłogę. Opakowanie robionego na zamówienie sypkiego pudru otworzyło się i wypełniło powietrze jasną chmurą. Wszyscy zaczęli kaszleć i prychać i walka się zakończyła.

Dallie wstał z trudem, na wszelki wypadek wymierzył parę ciosów na prawo i lewo. Złapał ją za ramię.

- Chodźmy stąd. Wyjdźmy, zanim zechcą cię pożreć na kolację.

- Moje kosmetyki! - Rzuciła się w stronę brzoskwiniowego cienia do oczu. Wiedziała, że to idiotyczne; ma bluzkę w strzępach, złamane dwa paznokcie, krwawe zadrapania na karku, ale nagle odzyskanie cienia do powiek stało się najważniejsze na świecie. Jeśli będzie musiała na nowo stoczyć walkę, zrobi to!

Porwał ją na rękę.

- Pieprzyć twoje cienie!

- Nie! Zostaw mnie! - Musi odzyskać ten cień. Krok po kroku odbierano jej wszystko, co miała, i jeśli straci jeszcze choćby jedną rzecz, sama zniknie i nie zostanie po niej nic.

- Daj spokój, Francie!

- Nie! - Walczyła z Dalliem równie zaciekle, jak z innymi, wierzgała w powietrzu, kopała go w łydki, wrzeszczała. - Muszę go mieć!

- Dobrze, już, dobrze!

- Błagam cię, Dallye - jęczała. - Proszę!

Czarodziejskie słowo „proszę” nie zawiodło jej jeszcze nigdy... zadziało i tym razem. Mamrocząc coś pod nosem, pochylił się i podniósł jej cienie z podłogi. Skorzystała z okazji i wyciągnęła rękę. W ostatniej chwili złapała uchwyt kuferka. Zanim zdążyła go zamknąć, straciła migdałowy krem nawilżający i złamała sobie trzeci paznokieć, ale uratowała torebkę z cielejącej skóry i bezcenne trzysta pięćdziesiąt dolarów. No i oczywiście brzoskwinowy cień do oczu.

Skeet przytrzymał im drzwi, gdy Dallye ją wynosił. Postawił Francescę na chodniku i w tej chwili dało się słyszeć zawodzenie policyjnych syren. Dallye błyskawicznie zarzucił ją sobie na ramię i zaniósł do samochodu.

- Co? Ona nie może sama chodzić? - zdziwił się Skeet, łapiąc w locie kluczyki.

- Lubi się kłócić. - Dallye spojrział na koniec ulicy, gdzie już migały policyjne koguty. - Przewodniczący PGA nasłuchiwał się już o mnie dosyć w tym sezonie, nie będzie zachwycony kolejną awanturą. - Bezceremonialnie wepchnął ją do samochodu, na tylne siedzenie, wsiadł i ruszyli. Przez dobrych kilkanaście minut jechali w milczeniu. Francesca szczękała zębami, wstrząśnięta walką. Drżącymi rękami starała się zasłonić bieliznę strzępami bluzki, ale zaraz zdała sobie sprawę, że to nic nie da. Poczowała guł w gardle. Otuliła się ramionami i rozpaczliwie czekała na najmniejszy objaw współczucia, na odrobinę zainteresowania, na znak, że komuś na niej zależy.

Dallye sięgnął pod przednie siedzenie i wyciągnął butelkę szkockiej. Zerwał akcyzę, upił spory łyk i się zamyślił. Francesca przygotowała się na grad pytań i postanowiła, że odpowie na nie z całą godnością, na jaką ją stać. Zagryzła dolną wargę, żeby nie drżała.

Dallye pochylił się do Skeeta.

- Słuchaj, nigdzie nie widziałem tej twojej rudej barmanki. Pytałeś o nią?

- Tak. Wyjechała do Bogalusa z takim jednym elektrykiem.

- Szkoda.

Skeet zerknął w tylne lusterko.

- Podobno facet ma tylko jedną rękę.

- Żartujesz? Powiedzieli ci, jak do tego doszło?

- Wypadek przy pracy. Kilka lat temu pracował gdzieś pod Shreveport i wsadził rękę w prasę hydrauliczną. Wyszła płaska jak naleśnik.

- No, pewnie tej twojej barmance to nie sprawia różnicy. - Dallye upił kolejny łyk. - Kobiety są dziwne, nie? Pamiętasz tamtą dziewczyną z San Diego, z zeszłego roku, po turnieju...

- Przestańcie! - Francesca nie mogła się powstrzymać. - Naprawdę jesteście tacy gruboskórni? Nie zapytacie, jak się czuję? To była pijacka awantura! Nie rozumiecie, że mogłam zginąć?

- Raczej nie - mruknął Dallye. - Ktoś by ich powstrzymał. Zamachnęła się i z całej siły uderzyła go w ramię.

- Au. - Masował bolące miejsce.

- Walnęła cię? - zainteresował się Skeet.

- Tak. Oddasz jej?

- Zastanawiam się.

- Ja na twoim miejscu bym się nie zastanawiał.

- Wiem, wiem. - Spojrział na nią i oczy mu pociemniały. - I ja też nie, gdybym sądził, że zostanie z nami dłużej niż najbliższe dwie minuty.

Przyglądała mu się, zła, że go uderzyła, przerażona tym, co usłyszała.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała.

Skeet przejechał skrzyżowanie na pomarańczowym świetle.

- Daleko stąd do lotniska?

- Jest na drugim krańcu miasta. - Dallye pochylił się i oparł podbródek o oparcie przedniego siedzenia. - A nasz motel jest tuż-tuż.

Skeet przycisnął pedał gazu, aż Francescę wbiło w siedzenie. Łypnęła groźnie na Dallyego; niech się zawstydzi, a wtedy mu łaskawie wybaczy. Czekwała całą drogę do motelu.

Wjechali na dobrze oświetlony parking. Skeet zatrzymał się przed szeregiem drzwi oznaczonych numerami. Zgasił silnik i wysiadł. Dallye także. Obserwowała z niedowierzaniem, jak obaj zatrząskują drzwiczki wozu.

- Do jutra, Dallye.

- Do jutra.

Wyskoczyła w ślad za nimi, tuląc do siebie kuferek, na darmo osłaniając się połami bluzki.

- Dallye!

Wyjął klucz z kieszeni dzinsów i spojrzał na nią. Szarobeżowy jedwab przepływał jej między palcami. Czy on nie widzi, jak jest nieszczęśliwa i bezradna? Jak bardzo go potrzebuje?

- Musisz mi pomóc. - Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. - Ryzykowałam życie, idąc do tego baru, żeby cię odnaleźć.

Spojrzał na jej piersi w staniku ecru, ściągnął spraną granatową koszulkę przez głowę i rzucił jej.

- Złotko, proszę, dla ciebie ściągnąłem koszulę z pleców. Nie prosz o więcej.

Z niedowierzaniem patrzyła, jak wchodzi do pokoju i zamyka drzwi - zamknął jej drzwi przed nosem! Panika, która narastała od rana, wybuchła wreszcie, wypełniła najmniejszą cząsteczkę jej ciała. Nigdy nie miała do czynienia z takim strachem, nie umiała sobie z nim poradzić, zmieniała go więc w uczucie, które знаła aż za dobrze - we wściekłość. Nikt nie będzie jej tak traktował! Nikt! Już ona mu pokaże!

Podbiegła do drzwi jego pokoju i waliła w nie kuferekiem, raz za razem, wyobrażała sobie, że to jego paskudna twarz. Kopłała w nie, klęła, wyrzucała z siebie całą złość w ataku furii, która już dawno stała się legendarna.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Stał w progu, półnagi, szydyczko uśmiechnięty. Już ona da mu popalić! Jak śmie uśmiechać się do niej szydyczko?

- Ty draniu! - Wpadła do środka i cisnęła kuferekiem przez cały pokój. Kuferek roztrzaskał telewizor z ogłuszającym, rozkosznym hukiem. - Ty bezczelny kretynie! - Kopnęła krzesło. - Ty bezduszny skurczybyku! - Przewróciła jego walizkę do góry nogami.

Straciła panowanie nad sobą.

Obrzucała go przekleństwami i niszczyła wszystko, co wpadło jej w ręce: przewracała lampy, zerwała zasłony, wyciągnęła szuflady z biurka. Mściła się za wszystkie krzywdy, których doznała w ciągu ostatniej doby: różowa suknia, Smutny Indianin, brzoskwiniowy cień... Karała Chloe za to, że umarła, Nicky'ego, że ją zostawił; katowała Lwa Steinera, mordowała Lloyda Byrona, ćwiartowała Mirandę Gwynwyck, a przede wszystkim unicestwiała Dallyego Beaudine'a. Dallyego, najpiękniejszego mężczyznę, jakiego znała, jedyne, na którym nie zrobiła wrażenia, jedyne, który zatrząsnął jej drzwi przed nosem.

Dallye obserwował ją przez chwilę z rękami na biodrach. Puszka kremu do golenia minęła go i trafiła w lustro.

- Nie do wiary - mruknął. Wyrzwał na zewnątrz. - Ej, Skeet, chodź tutaj! Musisz to zobaczyć!

Skeet już był w drodze.

- Co tu się dzieje? To wygląda jak... - Urwał, zamarł w progu. - Dlaczego ona to robi?

- Nie mam pojęcia. - Dallye uchylił się przed nadlatującą książką telefoniczną. - W życiu czegoś takiego nie widziałem.

- Może jej się zdaje, że jest gwiazdą rocka. Ej, Dallye, dobiera się do kijów golfowych!

Jak na atlete przystało, Dallye dopadł ją w dwóch krokach. Zanim się zorientowała, przerzucił ją sobie przez ramię.

- Puszczaj mnie, ty draniu!

- Nie ma mowy. To moje najlepsze kije.

Ruszyli. Wrzeszczała na całe gardło, gdy wynosił ją na dwór. Jego ramię gniotło ją w brzuch, ręka mocno trzymała pod kolanami. Słyszała obce głosy i zdała sobie sprawę, że w drzwiach innych pokoi pojawił się ludzie w szlafrokach.

- W życiu nie widziałem, żeby kobieta wpadła w taką panikę na widok małej myszki! - zawołał do nich Dallye.

Walila pięściami w jego nagie plecy.

- Każę cię aresztować! - wrzeszczała. - Pozwę cię! Drań! Zostaniesz bez grosza... - Gwałtownie skręcił w prawo. Zobaczyła furtkę z kutego żelaza, ogrodzenie, podświetloną wodę...

- Nie! - wrzeszczała jakby obdzierano ją ze skóry, gdy zamykała się nad nią woda w basenie.

Rozdział 10

Skeet podszedł od Dallyego i obaj ciekawie zaglądali do basenu. W końcu Skeet stwierdził:

- Nie wypływa za szybko.

Dallye wsunął kciuki za szlufki dżinsów.

- Chyba nie umie pływać. Powiniennem się tego domyślić. Szamotanina w basenie stopniowo ustawała.

- Wskoczysz i uratujesz jajeszce w tym stuleciu? - zainteresował się Skeet.

- Pewnie tak. Chyba że ty masz na to ochotę.

- O nie, idę spać.

Skeet odwrócił się i odszedł, a Dallye usiadł na leżaku i ściągnął wysokie buty. Obserwował przez chwilę drobną postać na dnie basenu. Gdy uznał, że już najwyższa pora jej pomóc, podszedł do krawędzi i wskoczył.

Właśnie w tym momencie Francesca zdała sobie sprawę, że wcale nie chce umierać. Mimo koszmarne filmu, biedy, utraty wszystkiego, co miała... Przecież jest jeszcze taka młoda. Ma przed sobą całe życie. Jednak woda przytłaczała ją Francesca zrozumiała, że to już koniec. Płuca płonęły żywym ogniem, nogi nie reagowały na polecenia. Umierała, choć jeszcze tak naprawdę nie zasmakowała życia.

Nagle coś objęło ją w pasie i ciągnęło w górę, na powierzchnię, do życia! Kurczowo chwytając ustami powietrze, krztusiła się i dławiła, i jednocześnie gorączkowo czepiała się otaczających ją ramion. Bała się, że znikną. Śmiała się i płakała jednocześnie, szczęśliwa, że żyje.

Nie wiedziała, jak to się stało, ale nagle leżała na brzegu. Ostatnie strzępy szaro-beżowej bluzki zostały na dnie basenu. Jednak nawet teraz, mając pod plecami twarde beton, nie puszczała Dallyego.

W końcu odzyskała głos.

- Nigdy... ci nie wybaczę... Nienawidzę cię - sapała i jednocześnie przywierała do niego całym ciałem, wtulała się w jego nagą pierś. - Nienawidzę cię... Nie zostawiaj mnie.

- Nieźle się zdenerwowałaś, co, Francie?

Nie zdołała odpowiedzieć, mogła się go tylko kurczowo trzymać. Tuliła się do niego, gdy niósł ją z powrotem do pokoju, gdy rozmawiał z kierownikiem, który już na nich czekał, gdy wygrzebał w bałaganie jej kuferek, szukał w nim czegoś i zaniósł ją do innego pokoju.

Położył ją na łóżku.

- Możesz się tu...

- Nie! - Panika powróciła w całej okazałości.

Starał się oderwać jej ręce od swojej szyi.

- Daj spokój, Francie, dochodzi druga nad ranem. Chcę się trochę przespać, zanim...

- Nie, Dallie! - Płakała, patrząc w oczy błękitne jak Paula Newmana. - Nie zostawiaj mnie. Na pewno odjedziesz, kiedy zasnę. Obudzę się i już cię tu nie będzie, i zostanę sama!

- Nie odjadę, póki z tobą nie porozmawiam - powiedział w końcu.

- Obiecujesz?

Rzucił na łóżko czystą koszulkę, którą ze sobą przyniósł, i jej sandałki, które nie wiadomo jakim cudem zostały ocalone.

- Obiecuję.

Dał słowo, ale czuła, że zrobił to wbrew sobie. Pisnęła żałośnie, gdy szedł do drzwi. Przecież sama tyle razy obiecywała różne rzeczy i nigdy nie dotrzymywała obietnic! Skąd ma wiedzieć, że nie postąpi tak samo?

- Dallie?

Już go nie było.

Ostatkiem sił ściągnęła mokre dżinsy i bieliznę i zostawiła je na podłodze. Wślizgnęła się pod kołdrę. Zamknęła oczy i w ostatniej chwili, zanim zasnęła, zastanawiała się, czy nie byłoby jednak lepiej, gdyby zostawił ją na dnie basenu.

Spała mocno, głęboko, ale i tak obudziła się już cztery godziny później, ledwie pierwsze promienie słońca zza chmur przedarły się przez grube zasłony. Odrzuciła kołdrę, wstała i naga, obolała, podbiegła do okna. Uspokoiła się dopiero, kiedy zobaczyła samochód Dalliego. Nie odjechał.

Jej serce biło już normalnie. Skierowała się do lustra, instynktownie robiąc to, co robiła całe życie; jej odbicie upewni ją, że świat się nie zawalił, że nadal kreci się dokoła jej urody.

Wydała stłumiony okrzyk rozpaczy.

Może gdyby pospała dłużej, zniosłaby szok lepiej, jednak teraz nie wierzyła własnym oczom. Jej włosy, jej piękne włosy zwisały splecione i brudne, na kształtnym karku czerwienilo się zadrapanie, na delikatnej skórze wykwitły siniaki, a jej usta, jej słynna idealna dolna warga spuchła jak bania.

W panice rzuciła się do kufierka i błyskawicznie przejrzała swoje skarby: podręczna butelka żelu do kąpieli od Rene Garrauda, pasta do zębów (ale ani śladu szczoteczki), trzy szminki, brzoskwiniowe cienie i pudreczko tabletek antykoncepcyjnych, które całkiem niepotrzebnie zapakowała głupia pokojówka Cissy. W torebce znalazła dwa odcienie różu, portfel z jaszczurczej skóry i buteleczkę perfum. To wszystko, jeśli nie liczyć koszulki Dalliego i mokrych ciuchów na podłodze. To wszystko, co ma.

Nie mogła się uporać z tą myślą, pobiegła więc pod prysznic i starała się doprowadzić włosy do porządku tanim hotelowym szamponem. Za pomocą nielicznych kosmetyków, jakie jej zostały, chciała się upodobnić do dawnej siebie. Wciągnęła nieprzyjemnie wilgotne dżinsy, wsunęła stopy w mokre sandałki, spryskała się perfumami pod pachami i naciągnęła koszulkę Dalliego. W tej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Szybko przeczesła włosy palcami. Wołała nie ryzykować kolejnego spojrzenia do lustra.

Dallie niedbale opierał się o framugę. Miał na sobie jasnoniebieską wiatrówkę i dżinsy z dziurą na kolanie. Wilgotne włosy zwijały się na końcach.

Przydałoby mu się dobre strzyżenie, zauważyła odruchowo. I nowe ciuchy. Jego szerokie ramiona rozsadały wiatrówkę, a dżinsów nie włożyłby nawet żebrak z Kalkuty.

To i tak bez sensu. Co z tego, że dostrzegała jego wady, co z tego, że powtarzała sobie, że to zwykły wieśniak, i tak był najwspanialszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

Spojrzał na nią.

- Francie, wczoraj cały czas starałem się dać ci do zrozumienia, że nie obchodzi mnie twoja historia, ale skoro najwyraźniej bardzo chcesz ją opowiedzieć, a ja nie mogę się już doczekać, kiedy się ciebie pozbędę, miejmy to z głowy. - Mówiąc to, wszedł do pokoju, usiadł na krześle, położył nogi na biurku. - Aha, i jeszcze jedno. Jesteś mi winna coś koło dwustu dolarów.

- Dwustu....

- No wiesz, wczoraj nieźle zdemolowałaś pokój. - Odchylił się na krześle. - Telewizor, dwie

lampy, kilka butelek piwa, okno, zasłony...

- W sumie wyszło pięćset sześćdziesiąt, a i to tylko dlatego, że obiecałem kierownikowi, że zagram z nim partyjkę, kiedy tu będę następnym razem. W twoim portfelu było nieco ponad trzysta dolarów, nie starczyłoby na pokrycie...

- W moim portfelu? - Nerwowo szarpała się z wiekiem kuferka. - Zajrzałeś do mojego portfela? To moja własność! Jak śmiałeś... - Zanim wyjęła portfel z torebki, poczuła, że jej dłonie są równie wilgotne jak dzinsy. Otworzyła go i zajrzała do środka. Dopiero po dłuższej chwili była w stanie wydobyć z siebie ochryply szept:

- Zabrałeś wszystkie moje pieniądze.

- Takie rachunki płaci się od razu, chyba że chcesz zwrócić na siebie uwagę policji.

Opadła na łóżko, załamana. To już dno. Teraz, w tej chwili upadła tak nisko, że niżej już nie można. Straciła wszystko - kosmetyki, ubrania, pieniądze. Nic jej nie zostało. Wreszcie doszło do katastrofy, która nadciągała od śmierci Chloe.

Dallie stukał długopisem w blat biurka i bujał się na krześle.

- Francie, zauważyłem, że w portfelu nie miałaś żadnych kart kredytowych. .. ani biletu na samolot. Słuchaj, powiedz mi zaraz, że bilet zostawiłaś w walizce od szanownego pana Wita, która czeka w schowku na lotnisku.

Oplotła się ramionami i wbiła wzrok w ścianę.

- Nie wiem, co robić - wyrzuciła z siebie.

Jesteś dużą dziewczynką, zaraz coś wymyślisz.

- Potrzebuję pomocy. - Spojrzała na niego błagalnie. - Nie poradzę sobie sama.

Przednie nogi krzesła głośno uderzyły o podłogę.

- O nie, paniusiu! To twój problem. Nie zwalaj tego na mnie. - Mówił twardo, surowo, nie jak roześmiany Dallie, który zabrał ją szosy, nie jak jej wybawca z baru Pod Smutnym Indianinem.

- Gdybyś nie chciał mi pomóc, nie zaproponowałbyś mi wczoraj, że mnie podwieszysz! - krzyknęła. - Zostawiłbyś mnie, jak wszyscy.

- Zastanów się może, dlaczego wszyscy tak bardzo chcą się ciebie pozbyć?

- To nie moja wina, nie rozumiesz? Tak się złożyło.

Opowiedziała mu wszystko, poczynając od śmierci Chloe. Mówiła szybko, żeby zdążyć, zanim sobie pójdzie. Opowiadała, jak sprzedała ubrania, żeby zdobyć pieniądze na bilet do domu, i wtedy zrozumiała, że nawet jeśli kupi bilet, nie może pokazać się w Londynie bez pieniędzy, ubrań, upokorzona granie w horrorze, o czym już zapewne wszyscy wiedzą. Zrozumiała, że musi tu zostać, gdzie nikt jej nie zna, i poczekać, dopóki Nicky nie wróci z żałosnego wypadu z jasnowłosą matematyczką, a wtedy ona dorwie go przez telefon. Właśnie dlatego postanowiła odnaleźć Dalliego w barze Pod Smutnym Indianinem.

- Nie rozumiesz? Nie mogę wrócić do Londynu, póki nie będę miała pewności, że Nicky odbierze mnie z lotniska.

- Zdawało mi się, że to twój narzeczony?

- No tak.

- To dlaczego romansuje z jasnowłosą matematyczką?

- Gniewa się na mnie.

- Jezu, Francie...

Przyklękła przy jego krześle i spojrzała na niego błagalnie.

- To nie moja wina, Dallie. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, pokłóciliśmy się, bo nie chciałam za niego wyjść. - Dallie znieruchomiał. Francesca domyśliła się, że błędnie zinterpretował jej słowa.

- Nie, to nie tak, jak myślisz! Ożeni się ze mną! Kłóciliśmy się już wiele razy i zawsze na nowo mi się oświadczają! Muszę po prostu dorwać go przez telefon i powiedzieć, że mu wybaczam.

Dallie pokręcił głową.

- Biedny głupek - mruknął.

Chciała posłać mu groźne spojrzenie, ale nie miała na to siły. Wstała, odwróciła się, z trudem starając się odzyskać panowanie nad sobą.

Dallie muszę jakoś przetrwać najbliższe tygodnie, zanim nie uda mi się porozmawiać z Nickym. Miałam nadzieję, że mi pomożesz, ale wczoraj nie chciałeś ze mną rozmawiać i bardzo mnie zdenerwowałeś, a teraz odebrałeś mi wszystkie pieniądze.

- Odwróciła się gwałtownie. - Nie rozumiesz? Gdybyś zachowywał się rozsądnie, wszystko byłoby w porządku.

- A niech mnie. - Kowbojskie buty uderzyły o podłogę. - Chcesz zwalić całą winę na mnie? Nie znoszę takich ludzi. Nieważne, co się dzieje, zawsze zwalają winę na innych.

Gwałtownie podniosła głowę.

- Nie będę tego słuchać! Liczyłam tylko na pomoc...

- I gotówkę, tak?

- Za kilka tygodni oddam ci wszystko co do grosza.

- Pod warunkiem, że Nicky cię przyjmie. - Wyprostował długie nogi. - Francie, chyba nie rozumiesz, że jesteśmy obcymi sobie ludźmi i nie mam wobec ciebie żadnych zobowiązań. Nie umiem zatroszczyć się o siebie i nie wezmę sobie jeszcze kogoś takiego jak ty, i to na kilka tygodni. Szczerze mówiąc, nawet cię nie lubię.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Nie lubisz mnie?

- Nie, Francie. Naprawdę. - Złość już mu przeszła, mówił spokojnie i tak pewnie, że wiedziała, że nie kłamie. - Słuchaj, złotko, twoja uroda zapiera dech w piersiach i świetnie całujesz, choć jak na mój gust jesteś trochę za chuda. Nie przeczę, że miałem kilka grzesznych myśli na temat tego, czego moglibyśmy dokonać w łóżku, i gdybyś miała inny charakter, pewnie straciłbym dla ciebie głowę na parę tygodni. Niestety, masz taki, a nie inny charakterek, a jest to zbiór wszystkich znanych mi wad, bez ani jednej zalety dla równowagi.

Opadła na łóżko, głęboko dotknięta.

- Rozumiem - powiedziała cicho.

Wstał, wyjął portfel z kieszeni.

- Chwilowo nie mam za dużo gotówki. Zapłacę rachunek kartą, a tu masz pięćdziesiąt dolarów, to ci wystarczy na kilka dni. Jeśli będziesz miała z czego mi zwrócić, wyślij czek do Wynette w Teksasie. Jeśli go nie dostanę, zrozumieć, że nie udało ci się z Nickym i szukasz innego frajera.

Z tymi słowami rzucił klucz na stół i wyszedł.

Została sama. Siedziała nieruchomo, przyglądając się plamie na dywanie. Miała kształt wyspy Capri. To jest dno. Zupełne dno.

Skeet wyjrzał przez okno od strony pasażera.

- Mam prowadzić? - zapytał. - Zdrzemnij się na tylnym siedzeniu. Dallie otworzył drzwi od strony kierowcy.

- Jeździsz za wolno. Zresztą wcale mi się nie chce spać.

- Jak chcesz. - Skeet podał mu styropianowy kubek kawy i różowy świstek. - Telefon recepcjonistki.

Dallie zmiął go i cisnął do popielniczki, gdzie wylądował obok dwóch innych. Naciągnął czapeczkę na czoło.

- Skeet, słyszałeś kiedyś o *Pigmalioniel*

- Grał w szkolnej drużynie w Wynette na prawym skrzydle, tak?

Dallie ściągnął zębami przykrywkę z kubka i przekreślił klucz w stacyjce.

- Nie, to był Pygella, Jimmy Pygella. Kilka lat temu wyjechał do Corpus Christi i otworzył sklep. *Pigmalion* to sztuka George'a Bernarda Shawa o londyńskiej kwiaciarce, która staje się prawdziwą damą. - Włączył wycieraczki.

- E tam, nieciekawe. Wiesz, jaka sztuka mi się podobała? *Oh, Calcutta*. Widzieliśmy ją w St Loius. Pamiętasz? To było dobre!

Tak, Skeet, mnie też się podobało, ale to nie jest, jak to powiedzieć, arcydzieło literackie. Nie ma tam nic o ludzkim charakterze, rozumiesz. A *Pigmalion* to opowieść o tym, że ludzie się zmieniają... że przy odrobinie wsparcia stają się lepsi. - Wrzucił wsteczny bieg i wyjechał z parkingu. - A także o tym, że ci, którzy im tego wsparcia udzielają, źle na tym wychodzą.

Francesca stała w drzwiach swojego pokoju, tuląc kuferek do piersi jak pluszowego misia, i zrozpaczonym wzrokiem odprowadzała buicka Dalliego. On naprawdę odjeżdża. Zostawia ją samą, chociaż powiedział, że miał ochotę iść z nią do łóżka. Dotychczas to wystarczyło, by zatrzymać mężczyznę u jej boku, ale nie tym razem. Jak to możliwe? Co się dzieje? Strach ustąpił miejsca zagubieniu. Czuli się jak dziecko, które źle się nauczyło nazw kolorów. Teraz już wie, że czerwony to naprawdę żółty, a zielony to niebieski - ale co począć z tą wiedzą?

Buick lada moment wjedzie na szosę. Dłonie jej zdrętwiały, nogi osłabły, deszcz moczył koszulkę, gdy biegła co sił w nogach.

- Dallie!

- Problem polega na tym - Dallie zerknął w tylne lustro - że ona myśli tylko o sobie.

- Najbardziej egoistyczna babka, jaką znam - zgodził się Skeet.

- I nie zna się na niczym, może poza tym jak się umalować.

- Pływać na pewno nie umie.

- I nie ma za grosz rozsądku.

- Ani odrobiny.

Dallie rzucił wyjątkowo szpetne przekleństwo i zahamował. Francesca dopadła do samochodu, ciężko dysząc.

- Nie, błagam, nie zostawaj mnie!

Jego gniew wprawił ją w zdumienie. Dallie wyskoczył z buicka, wyrwał jej kuferek z dłoni i pchnął na drzwiczki, tak że klamka boleśnie wbiła jej się w biodro.

- Posłuchaj mnie, i to uważnie! - ryknął. - Zabieram cię na próbę, rozumiesz! Natychmiast przestań się mazać!

Szlochała, mrużąc oczy przed mżawką.

- Ale ja...

- Powiedziałem: przestań! Nie mam na to ochoty, mam przecucie, że to się źle skończy, od tej chwili masz więc robić to, co ci powiem. Rozumiemy się? Nie zadajesz żadnych pytań, niczego nie komentujesz. A jeśli jeszcze raz zaczniesz snuć te swoje durne wywody, wyładujesz na chudym tyłku na ulicy!

- Dobrze! - zawołała. Pozbawił ją resztek dumy, upokorzył. - Dobrze!

Nawet nie starał się ukryć pogardy w oczach. Otworzył tylne drzwiczki.

Wsiadała już, kiedy wymierzył jej klapsa.

- To dopiero początek - warknął. - Dopiero się rozgrzewam.

Droga ciągnęła się w nieskończoność. Patrzyła przez okno i wmawiała sobie, że jest niewidzialna, ale czuła na sobie spojrzenia pasażerów innych samochodów. Nie mogła się pozbyć idiotycznego wrażenia, że o wszystkim wie, że widzieli, jak żebrała o pomoc, jak po raz pierwszy w życiu ktoś ją uderzył. Nie będę teraz o tym myśleć, powtarzała sobie, gdy mijali zielone pola ryżowe. Pomyślę o tym jutro, za tydzień, później, nie teraz, bo zacznę płakać i naprawdę mnie wyrzuci. Jednak nie mogła o tym nie myśleć. Zagryzła obolałą dolną wargę, żeby się nie rozplakać.

Dallie i Skeet rozmawiali półgłosem. Nie zwracali na nią uwagi.

- Motel jest niedaleko - mruknął Skeet. - Pamiętasz, jak Holly Grace przywiozła tu w zeszłym roku tego handlarza z Tulsa?

- Dallie mruknął coś niezrozumiale i skręcił na parking, niewiele różniący się od tego, który opuścili cztery godziny wcześniej. Skierował się do recepcji. Francesce burczało w brzuchu. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że nic nie jadła od poprzedniego wieczoru, kiedy kupiła hamburgera za pieniądze za walizkę. Nie ma nic do jedzenia... ani pieniędzy, żeby sobie coś kupić.

Przez chwilę zastanawiała się, kim jest Holly Grace, ale zaraz zaczęła myśleć o innych sprawach.

- Francie, moja karta kredytowa niewiele już wytrzyma, a twój wczorajszy wybryk dokończył dzieła. Przenocujesz w pokoju ze Skeetem.

- Nie!

- Nie!

Dallie westchnął ciężko.

- Dobra, Skeet. Zamieszkamy razem, póki nie pozbędziemy się Francie.

- Onie. - Skeet energicznie otworzył drzwiczki. - Nie mieszkamy w jednym pokoju, odkąd przeszedłeś na zawodowstwo i nie mam ochoty tego zmieniać. Nie śpisz pół nocy i tłuczesz się jak dusza potępiona. - Wysiadł i obejrzał się przez ramię. - To tobie zależało, żeby ratować świętą pannę Francescę, sam więc z nią mieszkaj.

Dallie klął na czym świat stoi, niosąc walizkę do pokoju. Francesca przycupnęła na skraju łóżka. Siedziała wyprostowana, z rękami na kolanach i złączonymi nogami, jak grzeczna dziewczynka na przyjęciu dla dorosłych. Zza ściany dobiegał głos spikera, zdającego relację na temat demonstracji antynuklearnych, a potem rozległy się dźwięki hymnu amerykańskiego. Rozgoryczona przypomniała sobie slogany widoczne w całym kraju w związku z dwustuleciem istnienia Stanów: Ameryka, kraj szans. Jakich niby? Takich, że zapłaci ciałem za jedzenie i nocleg w obskurnym motelu? Nie ma nic za darmo, prawda? A ciało to jedyne, co jej zostało. Wchodząc tu z Dalliem, pośrednio zobowiązała mu się oddać, prawda?

- Nie patrz tak, do licha! - Rzucił walizkę na łóżko. - Francie, uwierz mi, nie rzucę się na ciebie. Trzymaj się z dala ode mnie, a wszystko będzie dobrze. Ale najpierw poproszę moje pięćdziesiąt dolców.

Musiała ocalić choćby strzępek dumy, odrzuciła więc włosy, podała mu banknot i zaczęła wyniosłe:

- Domyślam się, że jesteś golfistą. To hobby czy zawód?

- Nałóg. - Wyjął parę spodni z walizki i sięgnął do rozporka džinsów. Odwróciła się gwałtownie.

- Ja... przejdę się trochę, rozprostuję nogi.

- Jasne.

Dwukrotnie okrążyła parking, przeczytała naklejki na wszystkich zderzakach. Dallie chyba jednak nie liczy, że się z nim prześpi. Co za ulga. Patrzyła bezmyślnie na motelowy neon. Im dłużej tak stała, tym bardziej ją intrygowało, dlaczego Dallie jej nie pragnie. Co jest nie tak? To pytanie nie dawało jej spokoju. Tak, straciła ubrania, pieniądze i wszystko, co miała, ale uroda jej została, prawda? Nadal ma swój czar. A może i to straciła?

To śmieszne. Jest po prostu zmęczona, stąd te ponure myśli. Kiedy Dallie sobie pójdzie, ona wyśpi się porządnie i wszystko będzie dobrze. Powrócił stary optymizm, przynajmniej jego cząstka. Jest zmęczona i tyle. Kilka godzin snu i wszystko znów będzie dobrze.

Rozdział 11

Naomi Jaffe Tanaka uderzyła pięścią w szklany blat biurka. - Nie! - krzyknęła do słuchawki. - W niczym nie przypomina kobiety, której szukam! Jeśli nie stać cię na nic lepszego, skorzystam z innej agencji! Rozmówca silił się na sarkazm:

- Może podać ci kilka numerów, Naomi? W agencji Wilhelminy na pewno ci pomogą.

Agencja Wilhelminy odmówiła szukania dalszych kandydatek, ale tego jej rozmówca nie musi wiedzieć. Zniecierpliwiona, przeczesała krótkie włosy palcami.

- Szukaj dalej, dobrze? - Odsunęła od siebie najnowszy numer branżowego pisma o reklamie.

- Ale pamiętaj, szukamy dziewczyny z charakterem.

Odłożyła słuchawkę. Kilka pięter niżej, na Trzeciej Alei, syreny policyjne wyły jak oszalałe, ale Naomi nie zwracała na nie uwagi. Przywykła do odgłosów Nowego Jorku. Ostatnio zareagowała na wycie syren, gdy kilka miesięcy temu straż pożarna przyjechała gasić pożar u sąsiadów - dwóch gejów z baletu, którym podczas robienia fondue zapaliły się zasłony. Z niewiadomych powodów jej mąż, genialny japoński biochemik Tony Tanaka, uważał, że to jej wina.

Wkrótce potem się z nim rozwiodła - nie tylko przez pożar, przede wszystkim dlatego, że miała dość życia z człowiekiem, który w najmniejszym stopniu nie przejmując się jej uczuciami. Bogata nowojorska Żydówka nie przywykła do takiego traktowania.

Przeszła w życiu długą drogę. Na studiach, pod wpływem brata, Gerry'ego, przyłączyła się do studenckiej rewolty 1968 roku i z najbardziej zagorzałymi radykałami okupowała gabinet dziekana. Ostatnio często wspominała tamte czasy, słuchając w radiu informacji o poczynaniach Gerry'ego. W przeciwieństwie do niej, nigdy nie porzucił młodzieńczych ideałów i nadal angażował się w różne akcje protestacyjne.

Porzuciła myśli o przeszłości i zajęła się dokumentami na biurku. Jak zwykle uśmiechnęła się z satysfakcją - zrobiła kawał dobrej roboty, szykując kampanię reklamową nowych perfum. ISKRA! DLA KOBIET Z ISKRĄ. Niestety, kampania nie ruszy, póki ona nie znajdzie idealnej dziewczyny z iskrą, która będzie twarzą nowych perfum.

Zadzwoił telefon - sekretarka przypomniała jej, że zaraz ma spotkanie z Harrym R. Rodenbaughem, członkiem zarządu agencji. Zażyczył sobie, żeby przyniosła plan kampanii Iskry. Naomi jęknęła w duchu. Była dyrektorem kreatywnym agencji i od lat zajmowała się reklamami kosmetyków oraz perfum, ale nigdy nie miała takich kłopotów. Dlaczego Harry Rodenbaugh tak sobie upatrzył akurat Iskrę?

- Szukamy charakteru, Naomi, nie kolejnej słodkiej buzi, jasne? - tłumaczył tydzień temu, gdy wezwał ją na perski dywanik do swojego gabinetu. - Chcę amerykańskiej róży, pięknej, ale kolczastej. To kampania skierowana do niezależnej Amerykanki i jeśli nie stać cię na nic lepszego niż dziecinne ślicznotki, które mi podsuwasz od tygodni, chyba nie nadajesz się na członka zarządu.

Przebiegły stary lis.

Naomi zebrała dokumenty. Jutro skontaktuje się z agencjami aktorskimi - może tam będzie miała więcej szczęścia.

Mijając biurko sekretarki, zrzuciła stertę magazynów. Jeden nich otworzył się na środku.

- Ja podniosę - powiedziała sekretarka i zerwała się z krzesła.

Naomi uprzedziła ją i fachowym okiem studiowała fotografie. Poczowała dreszcz na karku - nieomylny znak, że trafiła na coś dobrego. Oto jej dziewczyna z Iskrą! Profil, zdjęcie en face, półprofil - rewelacja. Tam, na podłodze sekretariatu, znalazła amerykańską różę.

Przebiegła wzrokiem podpis. Nie jest zawodową modelką, i dobrze. Zerknęła na okładkę i zmarszczyła brwi.

- To magazyn sprzed pół roku.

- Wiem, sprzątałam w szufladzie i...

- Nic nie szkodzi. - Wskazała zdjęcia. - Dowiedz się, gdzie ją znaleźć. Nic więcej, tylko gdzie jest.

Niestety. Sekretarce nie udało się zlokalizować piękności ze zdjęć.

- Zniknęła bez śladu, pani Tanaka. Nikt nie wie, gdzie jest

- Znajdziemy ją - mruknęła Naomi. W myślach obliczała różnicę czasu. Zabrała magazyn, poszła do swojego gabinetu i podniosła słuchawkę.

- Znajdę cię - szepnęła do kobiety na zdjęciu. - I twoje życie zmieni się o sto osiemdziesiąt stopni.

Jednooki kot szedł za Francescą aż do motelu. Miał szaroburą sierść, miejscami wytartą w dawnych walkach, zapadnięte boki i wystające łopatki. Pysk, zniekształcony w wypadku, wyglądał jakby się zapadł z jednej strony. Jedno oko uciekło w głąb czaszki i straszło mlecznym białkiem. Na dodatek miał naderwane jedno ucho. Była wściekła, że zwierzak przyczepił się akurat do niej, i przyspieszyła kroku, skręcając na parking. Denerwowała ją jego brzydota. Nie chciała przebywać w pobliżu tak nieładnego stworzenia, miała idiotyczne wrażenie, że jego brzydota przejdzie na nią, że ludzie oceniają innych po ich towarzyszach.

- Idź sobie! - krzyknęła.

Kot spojrział na nią ponuro, ale szedł dalej. Westchnęła. Czego się spodziewała? Przecież ostatnio pech towarzyszy jej na każdym kroku.

Przespała pierwsze popołudnie i noc w Lake Charles i prawie nie słyszała, jak Dallie wchodzi i wychodzi z pokoju. Kiedy się obudziła, nie było go od dobrych kilku godzin. Półprzytomna z głodu, wstała, poszła do łazienki i doprowadziła się do porządku, korzystając z przyborów toaletowych Dalliego. A potem spojrzała na pięć dolarów, które zostawił jej na jedzenie, i podjęła jedną z najtrudniejszych decyzji w życiu.

Teraz wracała do motelu, niosąc reklamówkę, a w niej dwie pary tanich majtek, najtańszy tusz do rzęs, małą buteleczkę zmywacza do paznokci i pilnik. Za ostatnie kilka centów kupiła jedyny produkt spożywczy, na jaki jąbyło stać - batonik Milky Way. Czuła jego rozkoszny ciężar w torbie. Marzyło jej się jedzenie z prawdziwego zdarzenia - kapłon, dziki ryż, sałata z serem pleśniowym, trufle - ale potrzebowała majtek, tuszu do rzęs i musiała doprowadzić paznokcie do porządku. Wędrując wzdłuż autostrady, rozmyślała o zawrotnych sumach, które przepuściła przez minione lata. Buty za setki dolarów, suknie za tysiące... A dzisiaj najadłaby się do syta za cenę jednej apaszki.

Niestety, nie miała ekwiwalentu jednej apaszki, postanowiła więc rozkoszować się swoim skromnym posiłkiem. Koło motelu rosło rozłożyste drzewo, a pod nim stał wiekowy fotel ogrodowy. Usiądzie tam wygodnie i zje batonik małymi kęsami. Ale najpierw musi się pozbyć kota.

- Sio! - Tupnęła na niego. Kot tylko przechylił łeb. - Idź sobie, potworze, poszukaj kogoś innego! Kot nie drgnął. Wzruszyła ramionami i podeszła do fotela w cieniu. Kot ruszył za nią. Nie zwracała na niego uwagi. Nie zepsuje jej tej przyjemności.

Zdjęła sandały i usiadła, chłodziła stopy w trawie, szukając w torebce czekoladowego skarbu. Batonik wydawał się cenniejszy niż sztabka złota. Ostrożnie rozerwała opakowanie i pośliniła palce, żeby pozbierać czekoladowe okruszki, które opadły na dzinsy.

Ambrozja... Wsunęła czekoladkę do ust i ugryzła. W życiu nie jadła nic równie pysznego. Zmuszała się, by jeść powoli.

Kot wydał dziwny, gardłowy odgłos, który, jak się domyślała, miał być miauknięciem.

Łypnęła na niego. Stał przy drzewie i patrzył na nią jedynym zdrowym okiem.

- Nie ma szans, bestio. Jestem znacznie bardziej głodna niż ty. - Odgryzła kolejny kawałek. - Nie lubię zwierząt, daruj więc sobie te spojrzenia.

Ani drgnął. Dostrzegła wystające żebra i zmierzwioną sierść. Czy to jej wyobraźnia, czy na pokiereszowanym pyszczku naprawdę maluje się smutek i rezygnacja? Kolejny mały kęs. Czekolada już nie wydawała się taka pyszna. Aż za dobrze wiedziała, jak przykry jest głód.

- Do jasnej cholery! - Oderwała kawałek batonika, podzieliła na drobne cząstki i położyła na ziemi, na opakowaniu. Spojrzała na kota. - Cieszysz się teraz, bestio?

Kot podszedł bliżej, przysiadł, pochylił łepkę i zjadł wszystko tak wyniośle, jakby robił jej łaskę.

Dallie wrócił o siódmej wieczorem. Do tego czasu zdążyła doprowadzić paznokcie do porządku, policzyć kwiatki na tapecie i przeczytać Księgę Rodzaju w Biblii leżącej przy łóżku.

Do tego stopnia stęskniła się za jakimkolwiek towarzystwem, że ostatkiem sił się powstrzymała, by nie podbiec do Dalliego, ledwie wszedł do środka.

- Na zewnątrz jest najbrzydszy kot, jakiego widziałem - powiedział i rzucił klucz na stolik. - Nie - znoszę kotów. To jedyne zwierzęta, których nie lubię.

Akurat w tej chwili Francesca też za nimi nie przepadała, więc milczała.

- Trzymaj. - Podał jej papierową torebkę. - Przyniosłem ci coś do jedzenia.

Z jękiem rozerwała opakowanie.

- Hamburger! O Boże... I frytki! Cudownie! Uwielbiam cię. - Zachłannie wepchnęła dwie frytki do ust.

- Jezu, Francie, zachowujesz się, jakbyś umierała z głodu, a przecież zostawiłem ci pieniądze na lunch.

Wyjął czyste ubrania z walizki i zamknął się w łazience. Słyszała szum prysznica. Kiedy wyszedł, w dzinsach i koszulce, zaspokoila głód, ale nie potrzebę towarzystwa. Z przerażeniem patrzyła, że Dallie znowu szykuje się do wyjścia.

- Idziesz gdzieś?

Usiadł na skraju łóżka i wciągnął buty.

- Mam spotkanie z panem Pearlem.

- O tej porze? Uśmiechnął się. - Pan Pearl przyjmuje o każdej porze.

Miała wrażenie, że czegoś nie łapie, ale nie wiedziała, co to może być. Odsunęła resztki jedzenia i wstała.

- Mogę iść z tobą? Poczekam w samochodzie.

- Raczej nie, Francie. Takie spotkania czasami ciągną się do białego rana.

- Nic nie szkodzi, naprawdę. - Była na siebie zła, że nalega, ale obawiała się, że nie wytrzyma dłużej sama w pokoju.

- Przykro mi, laleczko. - Wsunął portfel do kieszeni.

- Nie nazywaj mnie tak. Nie znoszę tego! - Podniósł znacząco brew, szybko zmieniła więc temat.

- Powiedz, jak ci dzisiaj poszło w golfa?

- Dzisiaj miałem tylko trening, zawody będą we czwartek. Złapałaś Nicky'ego?

Pokręciła przecząco głową. Nie miała ochoty ciągnąć tego tematu.

- Ile zarobisz, jeśli wygrasz ten turniej?

Włożył na głowę czapkę bejsbolową.

- Tylko dziesięć tysięcy, to nieważny turniej, gram tu, bo obiecałem to staremu kumplowi.

Suma, którą zaledwie rok temu zbyłaby wzruszeniem ramion, wydawała się zawrotna.

- Ależ to cudownie, Dallye! Dziesięć tysięcy! Musisz wygrać! Spojrzał na nią ze zdumieniem.

- A dlaczego?

- Jak to? Żebyś zdobył te pieniądze. Wzruszył ramionami.

- Póki buick jeździ bez zarzutu, nie zależy mi na pieniądzach, Francie.

- Bzdura. Wszystkim zależy na pieniądzach.

- Mnie nie. - Wyszedł, ale zaraz się cofnął.

- Francie, co na progu robi papier po hamburgerze? Chyba nie dokarmiasz tego kota?

- Żartujesz. Nienawidzę kotów.

- No, wreszcie mówisz z sensem. - Skinął jej głową i wyszedł. Ze złości kopnęła krzesło i na nowo zabrała się do liczenia kwiatków na tapecie.

- Pearl to piwo! - wrzasnęła pięć nocy później, kiedy wrócił z półfinału turnieju. Zamachała mu przed nosem otwartym czasopismem. - Cały czas zostawiasz mnie tu samą jak palec, a sam chodzisz na piwo!

Skeet odstawił kije golfowe.

- Musisz wziąć jaśnie panienkę do galopu, Dallye. Swoją drogą, czemu zostawisz gazety na wierzchu?

Dallye wzruszył ramionami i masował obolałe ramię.

- Skąd mogłem wiedzieć, że umie czytać?

Skeet zachichotał i wyszedł. Słowa Dallyego dotknęły ją boleśnie. Powróciły nieprzyjemne wspomnienia jej złośliwych uwag, które, gdy je wypowiadała, wydawały się dowcipne, ale teraz okazały się po prostu okrutne.

- Myślisz, że jestem śmieszna, co? - zapytała cicho. - Bawi cię mówienie dowcipów, których nie rozumiem, i rzucanie aluzji, których nie łapię. Nie wysilasz się nawet, by ze mnie kpić za moimi plecami, śmiejesz mi się prosto w twarz.

Rozpiął koszulę.

- Jezu, Francie, nie rób z tego afery.

Ściągał koszulę przez głowę.

- I tak nie spodobałoby ci się w barach, do których chodzimy ze Skeetem. Nie mają tam obrusów, a jedzenie jest smażone na głębokim tłuszczu.

Przypomniała sobie bar Pod Smutnym Indianinem i przyznała Dallyemu rację, a potem spojrzała na telewizor i rysunkowy serial sprzed lat.

- Nie szkodzi, naprawdę. Uwielbiam tłuste jedzenie. A obrusy i tak są niemodne. W zeszłym roku na przyjęciu dla Nuriejewa mama użyła podkładek!

- Ale nie takich z mapą Luizjany - zauważył.

- Porthault nie ma wzorów z mapami.

Westchnął, podrapał się w głowę. Dlaczego na nią nie patrzy?

- To żart, Dallye. Ja też potrafię żartować.

- Bez urazy, Francie, ale twoje żarty są mało śmieszne.

- Dla mnie, owszem. I dla moich przyjaciół.

- Tak? To kolejna sprawa. Nie spodobaliby ci się moi kumple. To golfiści i farmerzy. Większość z nich mówi z błędami.

- Szczerze? - Znowu zerknęła na ekran telewizora. - Spodoba mi się każdy, kto nie jest postacią z kreskówki.

Uśmiechnął się i poszedł do łazienki, skąd wypadł, wściekły, dziesięć mi nut później.

- Dlaczego moja szczoteczka do zębów jest mokra?! - ryknął.

No, teraz na nią patrzył- z wściekłością. Zagryzła dolną wargę, robiąc minę, jak miała nadzieję, rozkosznie skruszoną.

- Musiałam ją pożyczyć.

- Pożyczyć? To najobrzydliwsza rzecz, jaką słyszałem!

- No tak, widzisz, moją niestety zgubiłam i...

- Pożyczyć!- Cofnęła się, widząc, że Dallye wpada w prawdziwą furję. Skarbie, tu nie chodzi o szklanekę cukru! Mówimy o cholerniej szczoteczce do zębów! Nie ma nic bardziej osobistego!

- Myłam ją za każdym razem - zauważyła.

- Za każdym razem! A zatem to nie jednorazowy wybryk! No nie! - Cisnął w nią szczoteczka. - Weź ją sobie! Ignorowałam to, że używasz mojego mydła, że bierzesz mój krem do golenia i nie zakręcasz dezodorantu! Ale tego już za wiele!

- Nie pojmowała tego, ale sprawa ze szczoteczka naprawdę wyprowadziła go z równowagi.

A jeśli ją wyrzuci? W panice podbiegła do niego.

- Dallye, przepraszam. Naprawdę. - Położyła mu ręce na piersi, odchyliła głowę do tyłu, zajrzała w oczy. - Nie gniewaj się. - Przynęła się bliżej, przytuliła policzek do jego piersi. Żaden mężczyzna jej się nie oprze. Żaden, musi się tylko postarać. Czyż Chloe od dzieciństwa nie uczyła jej, jak uwodzić?

- Co ty wyprawiasz? - zapytał.

Nie odpowiedziała, tylko wtuliła się w niego jak senna kotka. Wdychała jego czysty, męski zapach. Nie wyrzuci jej; nie pozwoli mu na to. Bez niego jest niczym. Otoczyła jego szyję ramionami, wspięła się na palce, pocałowała go w brodę.

- Do czego zmierzasz? - zapytał spokojnie. - Do łóżka?

- Cóż, to nieuniknione, prawda? - Starła się mówić nonszalancko. - Do tej pory zachowywałaś się jak na dżentelmena przystało, ale w końcu dzielimy pokój.

- Uprzedzam się, Francie. To nie jest dobry pomysł.

- Nie? Dlaczego? - Spojrzała mu zalotnie w oczy pomalowane tuszem za grosze. Kokietka idealna.

- To jasne. - Objął ją w talii. - Nie lubimy się. Naprawdę chcesz iść do łóżka z facetem, który cię nie lubi? Który rano nie będzie cię szanował? Bo tak to się skończy, jeśli nie przestaniesz się o mnie ocierać.

- Nie wierzę ci. - Dawna pewność siebie wróciła nagle. - Nie wierzę, że mnie nie lubisz, po prostu nie chcesz się do tego przyznać.

- Tu nie chodzi o lubienie. - Powiedział ochryple. - Tylko o pożądanie. Pochylił głowę i iedziła, że chce ją pocałować. Z uwodzicielskim uśmiechem wysunęła się z jego ramion.

- Daj mi chwileczkę.

Uciekła do łazienki.

Starła się opanować zdenerwowanie. Teraz. Teraz ma szansę przywiązać go do siebie, upewnić się, że jej nie wyrzuci, nie zostawi samej na pastwę losu. A poza tym znowu poczuje się jak dawna Francesca.

Co za szkoda, że nie ma jedwabnej koszuli nocnej. Ani szampana i pięknej sypialni z widokiem na morze. Uważnie przyjrzała się swojemu odbiciu. Wygląda koszmarnie. Musi się uczesać, umalować... Wypłukała usta wodą. Nie pokaże się mu przecież w majtkach za grosze! Drżącymi rękami zdjęła dżinsy i bieliznę, przy okazji dostrzegła zapomniany włoszek na udzie i zgoliła go szybko. Musi zgasić światło.

Owinęła się ręcznikiem.

A jeśli mu się nie spodoba? Jeśli będzie beznadziejna, jak z Evanem Varianem i rzeźbiarzem z Marrakeszu? A jeśli... Jej wzrok zatrzymał się na flakoniku perfum. A jeśli brzydko pachnie? Bez namysłu porwała buteleczkę, rozchyliła uda i prysnęła.

- Co ty wyprawiasz, do cholery?

Dallie stał w progu. Od kiedy? Co widział? Wyprostowała się, speszona, przyłapaną na gorącym uczynku.

- Nic. Nic nie robię. Spojrzał na butelkę perfum.

- Czy w tobie nie ma nic prawdziwego?

- Jak to? Wszedł do łazienki.

- Wypróbujesz nowe zastosowanie dla perfum, Francie? Tak? - Pochylił się nad nią. - Masz firmowe dżinsy, firmowe buty, firmową walizkę. Co jeszcze?

- Dallie?

- Jesteś klientką idealną. To, co masz, określa, kim jesteś.

- To nie jest śmieszne. - Odstawiła flakonik, czerwona ze wstydu. Pokręcił głową, znużony.

- Ubieraj się, Francie. Nic na to nie poradzę. Wychodzimy.

- A czemuż zawdzięczam to, że wielkodusznie zmieniłeś zdanie? - warknęła. Szczerze mówiąc, złotko, obawiam się, że zrobisz sobie krzywdę sama rzucił przez ramię.

Rozdział 12

Bar Cajun prezentował się zdecydowanie lepiej od baru Pod Smutnym Indianinem, choć i to nie był lokal, w którym urządziłaby przyjęcie. Przycupnął piętnaście kilometrów od Lake Charles, przy autostradzie. Prowadziły do niego skrzypiące drzwi. W ponurym wnętrzu metalowy wentylator pisał przeraźliwie. Za ich stolikiem, na ścianie pyszniła się sztuczna ryba piła w otoczeniu plakatów reklamowych piwa i chleba. Podkładki pod talerze były dokładnie takie, jak Dallie mówił, choć zapomniał dodać, że mają postrzępione brzegi i napis: LUIZJANA - KRAJ PANA BOGA.

Ładniutka ciemnowłosa kelnerka w dżinsach i koszulce bez rękawów podeszła do ich stolika. Spojrzała na Francescę z mieszaniną ciekawości i źle skrywanej zazdrości, a następnie zwróciła się do Dalliego:

- Ej, Dallie, słyszałam, że wychodzisz na prowadzenie. Gratulacje.

- Dzięki, złotko. Miałem szczęście w tym tygodniu i tyle.

- Gdzie Skeet?

Francesca z niewinną miną wpatrywała się w solniczkę na środku stołu.

- Coś mu zaszkodziło, wołał zostać w hotelu. - Dallie posłał Francescę groźne spojrzenie i zapytał, na co ma ochotę.

Przyszło jej do głowy mnóstwo smakołyków: homar z rusztu. Pasztet z kaczki z pistacjami, świeże ostrygi - ale przez minionych pięć dni dużo się nauczyła.

- A co polecasz? - zapytała.

- Chili jest niezłe, ale raki biją je na głowę.

- To poproszę raki - powiedziała. Oby tylko nie były smażone na głębokim tłuszczu. - I trochę zieleniny do tego, dobrze?

- Ciasto cytrynowe może być?
- Żartujesz, prawda? Uśmiechnął się i spojrzął na kelnerkę.
- Mary Ann, przynieś Francie dużą sałatę z pomidorami. A dla mnie smażony okoń i ogórki konserwowe, takie jak wczoraj.

- Ledwie kelnerka się oddaliła, podeszło dwóch mężczyzn w koszulkach polo. Już po chwili rozmowy zorientowała się, że to inni zawodnicy z turnieju. Chcieli ją poznać. Stanęli po obu jej stronach i obsypywali komplementami, pokazywali też, jak wyjmować białe mięso z raków, których półmisek stanął przed nią. Śmiała się gardłowo z ich opowieści, pochlebiała im bezwstydnie i błyskawicznie owinęła ich sobie dokoła palca. Była w doskonałym humorze.

Dallie tymczasem gawędził z fankami zajmującymi sąsiedni stół. Obie kobiety pracowały w jednej z licznych w Lake Charles rafinerii. Francesca obserwowała ukradkiem, jak z nimi rozmawiał. Kiwał się na krześle, przesunął czapkę na tył głowy, oparł butelkę piwa na klatce piersiowej i uśmiechał się leniwie, opowiadając jeden z tych swoich beznadziejnych kawałów. Wkrótce cała trójka śmiała się z niewybrednych aluzji do jego „kija”.

Choć każde z nich rozmawiało z kimś innym, miała wrażenie, że coś ich łączy, że Dallie poświęca jej tyle samo uwagi, co ona jemu. Ale może tylko tak się jej zdawało. Scena w motelu wstrząsnęła nią do głębi. Tuląc się do niego sprawiła, że przekroczyli niewidzialną barierę i teraz było za późno, żeby się wycofać, choćby tego chciała.

Trzej potężni farmerzy, których Dallie przedstawił jako Louisa, Pata i Stoneya przysunęli sobie krzesła do ich stolika. Stoney nie mógł oderwać wzroku od Franceski, co chwila dolewał jej tandetnego chablis z butelki, która postawił jeden z golfistów. Flirtowała z nim bezwstydnie, zaglądała w oczy z intensywnością, którą bardziej wyrafinowanych mężczyzn rzucała na kolana. Wiercił się niespokojnie, nerwowo luzował kołnierzyk i udawał, że piękne kobiety flirtują z nim co dzień.

Z czasem obie grupy usiadły razem i wszyscy opowiadali sobie anegdoty i dowcipy. Francesca zaśmiała się głośno i sączyła chablis. Czowała się świetnie - była to zasługa alkoholu i tego, że wreszcie znalazła się w centrum uwagi. Wydawało jej się, że golfiści, farmerzy, sekretarki z rafinerii to jej najlepsi przyjaciele. Uwielbienie mężczyzn sprawiało jej przyjemność, zazdrość kobiet podbudowała pewność siebie, a bliskość Dalliego dodawała siły. Rozbawił wszystkich opowieścią o nieoczekiwanym spotkaniu z aligatorem na polu golfowym na Florydzie. Nagle zapragnęła się z nimi podzielić choćby małą cząstką siebie.

- Ja też znam anegdotę o zwierzętach - oznajmiła radośnie. Wszyscy spojrzeli z oczekiwaniem.

- O rany - mruknął Dallie pod nosem.

Nie zwracała na niego uwagi. Oparła rękę na stole i zaszczyciła ich obiecującym uśmiechem.

- Znajomy mojej mamy otworzył hotel niedaleko Nairobi - zaczęła. Widząc tępy wyraz ich twarzy, dodała: - Nairobi w Kenii, w Afryce... Polecieliśmy tam mniej więcej na tydzień. Fantastyczne miejsce. Przepiękna długa weranda, z której schodziło się prosto do basenu, i pyszne drinki na bazie rumu. Słowa ilustrowała bogatą gestykulacją. - Drugiego dnia pobytu zapałowaliśmy się do landrowerów i pojechaliśmy na fotosafari. Po mniej więcej godzinie drogi zza zakrętu wyskoczył na nas ten stwór... obrzydliwy, okazało się, że to guziec, taka świnia. - Urwała dla lepszego efektu. - Oczywiście zwierzę padło jak długi... Wtedy Raoul, taki naprawdę okropny Francuz - przewróciła oczami, żeby wiedzieli, jaki straszny był Raoul - wysiadł i zrobił zdjęcia biednemu guźcowi, jak leży na zakurzonej drodze. I wtedy, zupełnie nie wiem dlaczego, moja mama powiedziała do Raoula: „Nie uważasz, że fajne byłoby zdjęcie guźca w twojej kurtce od Guccio?”

Francesca roześmiała się na samo wspomnienie.

- Oczywiście wszyscy uznali, że to świetny pomysł, zwłaszcza że guziec nie krwawił, nie ubrudziłby więc kurtki. Raoul się zgodził. Do spółki z dwoma innymi uczestnikami wyprawy ubrali guźca w tę kurtkę. Oczywiście to było okrutne, ale wszyscy świetnie się bawiliśmy.

Powoli do niej docierało, że słuchacze pograżyli się w kompletnej ciszy, a na ich twarzach malowała się pustka. Ten brak reakcji sprawił, że tym bardziej zapragnęła, żeby spodobała się im jej anegdota, żeby ją polubili. Mówiła coraz szybciej, podkreślając słowa coraz energiczniejszymi gestami:

- No i tak stoimy sobie na zakurzonej drodze, patrzymy na martwego biedaka... I kiedy Raoul ustawiał obiektyw... - Urwała dla lepszego efektu, zagryzła dolną wargę. - Kiedy Raoul ustawiał obiektyw, guziec zerwał się na równe nogi, otrząsnął się i uciekł w zarośla! - Roześmiała się, zachwyco na puentę, lekko przechyliła głowę i czekała, aż pozostali zawtórują jej śmiechem.

Uśmiechali się grzecznie.

Przestała się śmiać, kiedy do niej dotarło, że nie zrozumieli dowcipu.

- Nie rozumiecie? - W jej głosie pojawiły się histeryczne tony. - Do dzisiaj gdzieś w Kenii lata po buszu biedny guziec w kurtce od Gucciego!

W martwej ciszy, która zaległa po jej słowach, rozległ się głos Dalliego: - No niech mnie, Francie, niezła historyjka. A teraz zatańczymy. - Zanim zdążyła zaprotestować, złapał ją niezbyt delikatnie za ramiona i pociągnął na mały parkiet przy szafie grającej. Ledwie zaczęli poruszać się w rytm muzyki, szepnął jej do ucha:

- Pierwsza zasada wśród normalnych ludzi, Francie, brzmi następująco: nigdy, przenigdy, nie kończ zdania słowem Gucci.

Poczuła na piersi przytłaczający ciężar. Chciała, żeby ją polubili, a tylko wyszła na idiotkę. Opowiedziała anegdotę, która wcale ich nie rozśmieszyła, anegdotę, którą nagle zobaczyła ich oczami i rozumiała, że nie powinna jej opowiadać.

Tego było już za wiele.

- Przepraszam - mruknęła przez łyzy. Dallie nie zdążył jej powstrzymać, błyskawicznie wybiegła na dwór. Znużona, oparła się o brudną półcieżarówkę.

Co się z nią dzieje? Przypomniała sobie, jak Nicky się zaśmiewał, gdy opowiadała tę historię, Cissy Kavendish pożyczła chusteczkę od Nigela MacAllistera, bo aż się popłakała ze śmiechu. Nagle ogarnęła ją fala tęsknoty. Dzisiaj znowu próbowała dodzwonić się do Nicky'ego, ale nawet lokaj nie odbierał. Usiłowała sobie wyobrazić Nicky'ego w tym obskurnym barze - na darmo. Dla odmiany wyobraziła więc sobie, że ma rodowe szmaragdy Gwynwycków na szyi i siedzi u szczytu stołu hepplewhite'a w jadalni Nicky'ego, udało jej się to od razu, tylko że... po drugiej stronie stołu zamiast Nicky'ego pojawił się Dallie Beaudine, w spranych dżinsach, obcisłej koszulce. Dallie, przystojny jak młody Bóg, w eleganckiej jadalni Nicky'ego.

Usłyszała skrzypnięcie drzwi. Dallie podszedł do niej i podał jej torebkę.

- Cześć, Francie - zaczął miękko.

- Cześć, Dallie. - Wzięła od niego torebkę i popatrzyła na nocne rozgwieżdżone niebo.

- Dobrze się spisałaś.

Roześmiała się gorzko.

Wsunął wykałaczkę w usta.

! Mówię poważnie. Kiedy już zdałaś sobie sprawę, że zrobiłaś z siebie idiotkę, zachowałaś się przyzwoicie. Nie urządziłaś scen na parkiecie, tylko wyszłaś dyskretnie. Wszyscy byli pod wrażeniem. Chcą, żebyś wróciła.

Przedrzeźniała go celowo:

- No nie!

Roześmiał się cicho. Drzwi skrzypnęły znowu i wyszło dwóch mężczyzn.

- Cześć, Dallie! - zawołali.

- Cześć KC, Charlie!

Wsiedli do poobijanego dżipa Cherokee, a Dallie wrócił do rozmowy z Francescą.

- Wiesz, Francie, wydaje mi się, że już nie darzę cię taką niechęcią jak na początku. To znaczy nadal jesteś cholernie upierdliwa i nie do końca w moim typie, ale czasami... Popisałaś się w tej historyjce z guźcem. Zaangażowałaś się całą sobą, nawet kiedy stało się jasne, że sama kopiesz sobie grób.

Z knajpy dobiegał brzęk talerzy i zawodzenie szaty grającej. Francescą wbiła obcasy w żwir podjazdu.

- Chcę do domu - powiedziała nagle. - Nie podoba mi się tutaj. Chcę wrócić do Anglii, gdzie wszystko jest jasne. Chcę odzyskać moje ubrania, dom, samochód... Chcę znowu mieć pieniądze i przyjaciół, którzy mnie lubią. - Chciała także znowu mieć matkę, ale tego nie

powiedziała.

- Użalasz się nad sobą, co?
- A nie mam powodów? Na moim miejscu nie robiłbyś tego samego?
- Nie wiem. Nie sądzę, że bym był szczęśliwy, prowadząc życie sybaryty.

Nie do końca wiedziała, co to znaczy, ale miała ogólne pojęcie, i zdenerwowało ją, że człowiek, który najwyraźniej nie zna podstaw gramatyki, używa słów, których ona nie rozumie.

Oparł się na łokciu.

- Słuchaj, Francie, czy masz jakikolwiek plan awaryjny?
- Oczywiście, wyjdę za Nicky'ego. Już ci to mówiłam. - Dlaczego na samą myśl ogarnia ją rozpacz?

Wyjął wykałaczkę z ust i cisnął w mrok.

- Daj spokój, Francie. Masz taką ochotę na małżeństwo z Nickym jak na popsucie sobie fryzury.

Spojrzała na niego.

- Szczerze mówiąc, nie mam wyjścia. Nie rozumiesz? Nie mam ani grosza! Muszę za niego wyjść! - Widziała, jak otwiera usta, zapewne by wygłosić kolejną mądrość klasy robotniczej, i nie dała mu dojść do słowa. - Nic nie mów, Dallye! Niektórzy ludzie przyszli na ten świat, żeby zarabiać pieniądze, inni - żeby je wydawać. Ja zdecydowanie należę do tej drugiej kategorii. Nie mam zielonego pojęcia, jak zarobić na życie. Próbowałam aktorstwa i widzisz, czym to się skończyło. Nie mogę zostać modelką, bo jestem za niska. Jeśli mam do wyboru: zasuwać w fabryce albo wyjść za Nicky'ego, wybieram małżeństwo, to jasne! Zamyślił się na chwilę.

- Jeśli jutro wygram, zgram nieźłą sumkę. Chcesz, żebym ci kupił bilet do domu?

Spojrzała na niego. Daszek czapeczki zasłaniał mu pół twarzy, widziała tylko piękne usta.

- Zrobiłbyś to?
- Już ci mówiłem, Francie. Póki mi starczy na benzynę i rachunki w barze, pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Ba, ja nie lubię pieniędzy. Powiem ci coś: choć uważam się za Amerykanina i patriotę, w głębi serca jestem marksistą.

Roześmiała się i ta reakcja dowodziła dobitnie, że spędza z nim za dużo czasu.

- Dzięki za propozycję, Dallye, ale choć bardzo chciałabym z niej skorzystać, muszę tu jeszcze trochę zostać. Nie mogę w takim stanie wrócić do Londynu. Nie znasz moich przyjaciół. Miesiącami bawiliby się moim kosztem.

Oparł się o półcieżarówkę.

- Niezli przyjaciele, Francie.

Poruszył drażliwy temat, a ona nie chciała o tym nawet myśleć.

- Wracaj do środka - powiedziała. - Ja tu jeszcze trochę zostanę.
- Chyba nie. - Zwrócił się w jej stronę, tak że mdłe światło z werandy knajpy oświetlało jego twarz, zmieniało mu rysy: wydawał się starszy, ale nie mniej przystojny. - Wydaje mi się, że mamy co innego do roboty.

Jego słowa wzbudziły nieprzyjemne dreszcze, lecz jako kobieta Serritellich flirt miała w genach. Jakaś jej część chciała uciekać do knajpy, jednak uśmiechnęła się słodko i niewinnie.

- Tak? A co?

- Może, hm... małe sam na sam? - Uśmiechnął się lekko, leniwie. - Wskakuj do buicka, jedziemy.

Nie chciała wsiąść do buicka. A może właśnie chciała? Dallye budził w niej nowe uczucia, uczucia, którym uległaby z ochotą gdyby się sprawdziła w łóżku i gdyby była jedną z tych kobiet, które nie zawracają sobie głowy myślą, że spadnie na nie kropla cudzego potu. Nie może się jednak wycofać, bo wyjdzie na idiotkę. Podeszła do samochodu i tłumaczyła sobie, że skoro ona się nie poci, może mężczyzna równie wspaniały jak Dallye Beaudine też nie ma tego problemu?

Patrzyła jak spokojnie, bez pośpiechu, podchodzi do buicka i wyjmując kluczyki z kieszeni, wsiada do samochodu, wkłada kluczyk do stacyjki i włącza radio.

- Lubisz country, Francie? Czy wolisz co innego? Kurczę, zapomniałem dać Patowi wejściówkę na finał. Poczekaj, zaraz wrócę. - Otworzył drzwiczki.

Odprowadzała go wzrokiem. Nadal szedł powoli, leniwie. Z baru wyszli golfiści. Wdał się z nimi w rozmowę. Patrzyła, jak kręci głową i naśladuje zamach kijem golfowym. Westchnęła, rozczarowana. Dallye Beaudine nie wygląda, jakby targała nim namiętność.

W końcu wrócił do buicka. Do tego czasu zdążyła się tak zdenerwować, że z trudem opanowała drżenie. Czy wszystkie kobiety w jego życiu są tak wspaniałe, że uważa ją za jedną z wielu? Kąpiel wszystko załatwi, powtarzała sobie, gdy ruszyli. Puści gorącą wodę, wtedy jej włosy kręcą się uroczo. Umaluje się dyskretnie, spryska pościel perfumami, przykryje lampę ręcznikiem, żeby dawała stłumione światło i...

- Coś nie tak, Francie?

- A czemu pytasz? - mruknęła sztywno.

- Bo przykleiłaś się do drzwiczek.

- Tak mi wygodnie. Znowu sięgnął do radia.

- Jak chcesz. Więc co? Country czy pop?

- Ani jedno, ani drugie. Wolę rocka. - Nagle wpadł jej do głowy doskonały pomysł. - Od dziecka uwielbiałam rocka. Najbardziej lubię Rolling Stonesów. Mało kto o tym wie, ale Mick napisał dla mnie trzy piosenki, kiedy byliśmy razem w Rzymie.

Na Dallyem nie zrobiło to specjalnego wrażenia, brnęła więc dalej. Przecież to tylko małe kłamstewko, naprawdę zna Micka Jaggera, przynajmniej na tyle, żeby się witać na przyjęciach.

- Zatrzymaliśmy się w fantastycznym apartamencie z widokiem na Villa Borghese. Byliśmy tam całkiem sami, mogliśmy się kochać nawet na tarasie. Oczywiście to nie było nic trwałego. Ego Micka... i do tego Bianca... A ja wtedy poznałam księcia. - Urwała. - Nie, nie tak. Najpierw poznałam Ryana O'Neala, dopiero potem księcia.

Dallye spojrział na nią, potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć wody z uszu, i zajął się prowadzeniem samochodu.

- Lubisz kochać się w plenerze, Francie?

- Pewnie, podobnie jak większość kobiet, prawda? - W rzeczywistości nie wyobrażała sobie nic gorszego.

Jechali w milczeniu. Nagle skręcił w boczną drogę, na jej końcu widniała kępa cyprysów, porośniętych oplątą.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyknęła. - Dokąd jedziesz? Zawracaj w tej chwili! Chodźmy do motelu!

- Pomyślałem, że ci się tu spodoba, w końcu miałaś tylu sławnych kochanków i w ogóle. - Zatrzymał samochód między cyprysami. Przez otwarte okno wleciały dziwne, nieznane owady.

- Czy tam jest bagno? - zapytała przerażona. Wyteżył wzrok.

- Chyba tak. Nie możemy za bardzo oddalać się od samochodu. Aligatory zazwyczaj żerują w nocy. - Zdjął czapeczkę z głowy, odłożył na tablicę rozdzielczą i spojrział na nią wyczekująco.

Mocniej przywarła do drzwiczek.

- Chcesz pierwsza, czy ja mam zacząć? - zapytał w końcu. Była czujna.

- O co ci chodzi?

- O grę wstępna. Miałaś tylu sławnych kochanków, że trochę się speszyłem.

Może lepiej będzie, jeśli ty narzucisz tempo.

- Ja... dajmy sobie spokój. To... błąd. Wracajmy do motelu.

- To kiepski pomysł, Francie. Kiedy już się na coś zdecydujesz, trzeba to dociągnąć do końca. Zwłaszcza kiedy obiecujesz facetowi, że...

- Niczego ci nie obiecywałam. Przecież tylko trochę flirtowaliśmy. Zrozum, ja wcale nie poczuje się niezręcznie, jeśli z tego zrezygnujemy, i ty na pewno też nie...

- Ależ owszem. Pewnie nawet nie uda mi się jutro dobrze zagrać. Jestem zawodowcem, Francie. A zawodowy sportowiec ma ciało jak precyzyjny mechanizm. Jeśli nie będę w formie, przegram łatwy mecz... przez ciebie, złotko.

Dopiero teraz dotarło do niej, że Dallie mówi z bardzo silnym akcentem i nagle zrozumiała, że z niej żartuje.

- Cholera, Dallie! Nie rób mi tego! I tak umieram ze zdenerwowania!

Roześmiał się, objął ją ramieniem, po przyjacielsku, przyciągnął do siebie.

- Dlaczego po prostu nie powiesz, że się denerwujesz, tylko sama sobie wszystko komplikujesz?

Dobrze jej było w jego ramionach, ale jeszcze mu nie wybaczyła, że się z niej nabijał.

- Tobie łatwo powiedzieć. Najwyraźniej dobrze się czujesz w każdym możliwym łóżku. Ja nie. - Głęboko nabrała tchu i powiedziała, co ją gryzie. - Szczerze mówiąc... ja nie lubię seksu. - No, proszę. Powiedziała to. Teraz może się z niej śmiać do woli.

- A to dlaczego? Seks jest przyjemny i nic nie kosztuje.

- Nie jestem typem sportsmenki.

- Aha. No tak, to wszystko wyjaśnia. Ciągłe nie zapomniała, że są na skraju bagna.

- Nie możemy wrócić do motelu, Dallie?

- Nie, Francie. Ledwie tam przyjedziemy, zamkniesz się w łazience i zaczniesz eksperymentować z fryzurą, makijażem i perfumami. - Odsunął jej włosy z szyi i pocałował. - Pieściłaś się kiedyś na tylnym siedzeniu samochodu?

Zamknęła oczy. Rozkoszując się doznaniem.

- A liczy się limuzyna księcia? Delikatnie ugryzł ją w ucho.

- Tylko jeśli okna zaparowały.

Nie wiedziała, kto wykonał pierwszy ruch, ale nagle usta Dalliego były na jej wargach, a dłonie błądziły po jej ciele. Odruchowo rozchyliła usta. Całował powoli, leniwie. Zanim się zorientowała, wsunęła ręce pod koszulkę Dalliego, spragniona dotyku jego skóry. Nie chciała już zachować kontroli nad sytuacją, chciała, żeby ten pocałunek trwał wiecznie. Rozkoszowała się dotykiem warg, języka, skóry tego wspaniałego mężczyzny. Nie myślała już, co będzie dalej. Zaczął całować jej szyję. Zachichotała.

- To prywatny żarcik, czy powiesz, co cię tak bawi? - mruknął z ustami wtulonymi w szyję Franceski.

- Po prostu dobrze się bawię. - Uśmiechała się, kiedy ją całował i mocował się z jej koszulką. Nagle coś sobie przypomniała.

- Dlaczego na koszulce, którą mi dałeś pierwszej nocy, było logo Uniwersytetu Teksaskiego? - zapytała.

- Bo tam studiowałem. Odsunęła się, zaskoczona.

- Ty? Nie wierzę!

Spojrzał na nią z komiczną powagą.

- Uzyskałem tytuł magistra literatury angielskiej. Chcesz sobie obejrzeć mój dyplom, czy możemy wrócić do tego, co robimy tu i teraz?

- Literatura angielska? - Zniosła się śmiechem. - Nie do wiary! Przecież ty ledwo mówisz! Teraz go uraziła.

- Coś takiego. Ale mi powiedziałaś.

Ciągle roześmiana, przywarła do niego tak gwałtownie, że stracił równowagę i upadł na kierownicę. I powiedziała zadziwiające słowa:

- Mogłabym cię zjeść, Dallie Beaudinie.

Tym razem to on się roześmiał, ale niedługo to trwało, bo zamknęła mu usta pocałunkiem. Zapomniała, że się denerwuje i nie ma pojęcia o seksie. Usiadła mu na kolanach.

- Mamy tu za mało miejsca, złotko - mruknął w jej rozchylone usta. Odsunął ją, otworzył drzwiczki i wysiadł z samochodu. Wyciągnął do niej rękę.

Wysiadła posłusznie, ale zamiast zaproponować bardziej przestronne tylne siedzenie, przycisnęła ją do samochodu i pocałował. Odrobina światła z otwartego samochodu sprawiała, że ciemności nad bagnem wydawały się jeszcze bardziej nieprzeniknione. Wyobraziła sobie aligatory czyhające pod samochodem na jej stopy w sandałkach z odkrytymi palcami. Otoczyła szyję Dalliego ramionami i podciągnęła się, jedną nogą stojąc na jego stopie, drugą oplatając jego udo.

Czuła dłoń Dalliego na piersi i znowu ogarnęło ją zdenerwowanie. Tym razem nie miało nic wspólnego z aligatorami.

- Dallie, kupmy szampana. Szampan... szampan pomoże mi się odprężyć.

- Ja ci pomogę. - Rozpiął guzik w jej dżinsach i mocował się z zamkiem.

- Dallie! - krzyknęła. - Jesteśmy na dworze!

- Tak jest. Ty, ja i bagno. - Suwak ustąpił.

- Ja... ja chyba nie jestem gotowa. - Wsunął dłoń pod jej koszulkę, nakrył nią pierś Franceski, pocałował delikatnie w usta. Narastała w niej panika. Musnął brodawkę palcem. Jęknęła. Chciała, żeby miał ją za kochankę doskonałą, ale jak to osiągnąć w środku bagna? - Ja... mam ochotę na szampana. I stłumione światło... i pościel... Dallie.

Puścił jej pierś i delikatnie położył dłoń na policzku.

- Nieprawda, złotko. Niczego nie potrzebujesz, ty wystarczysz. Musisz to zrozumieć, Francie. Polegaj na sobie, nie na rekwizytach, którymi się otaczasz.

- Boję się. - Chciała rzucić to od niechcienia, ale jej nie wyszło. - Pewnie uznasz, że to śmieszne, ale Evan Varian powiedział, że jestem oziębła, a ten rzeźbiarz, Szwed, w Marrakeszu...

- Daruj sobie na razie tę opowieść, dobrze?

Poczuła, jak wraca jej bojowy nastrój, i spojrzała na niego oskarżycielsko:

- Celowo mnie tu przywiozłeś, prawda? Bo wiedziałeś, że mi się to nie spodoba! - Oburzona, wycelowała palcem w buicką. - Nie należę do kobiet, które uprawiają seks na tylnym siedzeniu samochodu.

- A kto tu mówi o tylnym siedzeniu? Przyglądała mu się przez chwilę.

- O nie! Nie położę się na ziemi!

- Też nie lubię na ziemi.

Więc gdzie? Jak?

- Daj spokój, Francie. Przestań kombinować i planować, nie zastanawiaj się, który profil masz ładniejszy. Daj się ponieść emocjom.

- Chcę wiedzieć, gdzie.

- Wiem o tym, złotko, ale ci nie powiem, bo zaczniesz się zadreć, czy kolory się nie gryzą. Po raz pierwszy w życiu zrób coś, nie zastanawiając się nad tym, czy ślicznie wyglądasz.

Poczuła się, jakby podsunął jej lustro pod nos, nieduże i zamglone, ale jednak lustro. Czy naprawdę jest taka próżna? Taka wyrachowana? Nie chciała się z tym pogodzić, a jednak... Dumnie uniosła podbródek i energicznie szarpnęła swoje dżinsy.

- Dobrze, proszę bardzo, zrobimy, jak chcesz. Ale nie oczekuj nic specjalnego. - Wąska nogawka zaczęła się na sandałku. Francesca pochyliła się, żeby uwolnić stopę. Usiadła na fotelu kierowcy. - Co, Dallie, podnieca cię to? Cholerny świat!

Chciał do niej podejść, ale spojrzała na niego wrogo zza rozpuszczonych włosów.

- Nie waż się mnie tknąć. Mówię poważnie. Sama sobie poradzę.

- To kiepski początek, Francie.

- Idź do diabła! - W końcu wyzwoliła się z dżinsów i wstała, w koszulce, sandałkach i bieliznie. - No proszę! I uprzedzam, nie zdejmę niczego więcej, póki sama nie będę chciała!

- W porządku. - Otworzył ramiona. - Chodź do mnie. Uspokój się.

Wtuliła się w niego. Przez chwilę tylko ją obejmował, a potem znowu zaczął całować. Upadła tak nisko we własnych oczach, że nawet nie starała się mu zaimponować. Niech sam się męczy. Po chwili stwierdziła, że to bardzo przyjemne. Czuła dłonie Dalliego na plecach, a potem na piersiach, muskał je delikatnie, od niechcienia. Francesce było gorąco i zimno jednocześnie. Czy rzeźbiarz też dotykał jej piersi? Na pewno, ale nie mogła sobie przypomnieć. A potem Dallie zadarł jej koszulkę i dotknął piersi ustami, swoimi cudownymi ustami.

Westchnęła głośno, gdy pieścił je językiem. Nie wiadomo kiedy, znowu zaczęła błędzić dłońmi pod jego koszulką. Nagle uniósł Franceskę, przeszedł kilka kroków i posadził. Na masce buicka.

- O nie! - krzyknęła.
- Spróbuj tylko - powiedział.

Otworzyła usta, żeby mu oznajmia, że za żadne skarby światła nie pozwoli, by ją obmacywał na masce samochodu, ale zinterpretował jej gest jako zaproszenie i pocałował namiętnie. Nie wiedziała, jak do tego doszło, ale usłyszała swój jęk, gdy pocałunek stawał się coraz gorętszy. Wygięła się w łuk, ofiarowała mu się, zapomniała o poniżającej pozycji. Złapał ją za kostkę.

- O, tutaj. - Postawił stopę Franceski na zderzaku.

Nie protestowała.

Przesuń się troszkę do przodu, o tak. - Mówił ochryple, nie spokojnie jak zwykle, oddychał szybko. Szarpnęła jego koszulkę, spragniona dotyku nagiego ciała. Zdjął ją szybko i sięgnął do majteczek Franceski.

- Dallye...

- Już dobrze, kochanie, już dobrze. - Ściągnęła je i poczuła pod pośladkami chłodny metal maski. - Francie, wzrok mnie nie mylił, prawda? W kuferku miałaś pigułki antykoncepcyjne?

Skinęła głową. Nie chciała psuć nastroju, wdając się w zawile wyjaśnienia, jak to lekarz poradził jej, by nie brała pigułek, póki nie ustabilizuje się jej okres, a i tak na pewno nie zajdzie w ciążę.

Dallye pieścił wewnątrz jej ud. Delikatnie dotykał jedwabistej skóry, za każdym razem zbliżając się do tej części ciała, której nie uważała za piękną i której nie chciała mu pokazać, a która teraz zdawała się dziwnie rozedrgana i gorąca.

Nagle przestał głaskać, pieścić, muskać... dotknął jej. W środku.

- Dallye... - ni to krzyknęła, ni jęknęła.
- Dobrze? - wymamrotał ochryple.
- Tak. Tak.

Zamknęła oczy przed bladym księżycem Luizjany, żeby nic jej nie rozpraszało, gdy rozkoszowała się tą pieszczotą. Odwróciła głowę, ale nawet nie poczuła brudu z maski na policzku. Jego ruchy stawały się coraz szybsze. Bardziej rozsunał nogi Franceski. Opierała stopy na chromowanym zderzaku. Dallye rozpiął swoje dżinsy. Uniósł jej biodra.

Jęknęła, gdy poczuła go w sobie. Pochylił się nad nią, ale zaraz się cofnął.

- Boli?
- Nie. Jest... cudownie.
- Bo tak ma być, złotko.

Chciała, żeby miał ją za doskonałą kochanką, chciała zrobić wszystko jak należy, ale świat odpływał, kręciło jej się w głowie, czuła cudowną falę gorąca. Jak ma się skupić, kiedy tak jej dotyka? Nagle zapragnęła poczuć go bardziej. Owinęła nogi wokół bioder Dallyego i przyciągnęła do siebie.

- Spokojnie, skarbie - szepnął. - Nie spiesz się. - Poruszał się w niej powoli, całował ją i sprawiał, że czuła się tak dobrze, jak nigdy dotąd. - Jesteś tu, złotko? - szepnął ochryple.

- O, tak... Dallye... mój cudowny Dallye... mój kochany Dallye... - Osiągnęła szczyt.

Stęknął głośno i ten dźwięk napełnił ją poczuciem siły, rozpałił i znowu osiągnęła orgazm. Po chwili poczuła na sobie jego ciężar.

Odwróciła głowę, tak że dotykała policzkiem jego włosów. Był taki cudowny, prawdziwy, piękny. W niej. Zauważyła, że oboje są spoceni, poczuła, jak kropla potu Dallyego spada jej na ramię. I co z tego? Czy to miłość, zastanawiała się sennie. Gwałtownie otworzyła oczy. Zakochała się. To jasne. Dlaczego wcześniej na to nie wpadła? Tego jej brakowało w życiu. Zakochała się.

- Francie? — mruknął.
- Tak?
- Wszystko w porządku?
- Tak.

Uniósł się na łokciach i się uśmiechnął.

- Co powiesz, gdybyśmy wrócili do hotelu i powtórzyli to w łóżku, tak jak chciałaś?
W drodze powrotnej tuliła się do niego, żuła gumę i snuła wizje wspólnej przyszłości.

Rozdział 13

Naomi Jaffe Tanaka weszła do domu, niosąc zakupy - złociste figi, słodką gorgonzolę, chrupiącą bagietkę. Postawiła elegancką aktówkę na granitowym blacie w kuchni.

W zadumie wyłożyła ser na porcelanowy talerzyk. Tylko jedna rzecz dzieli ją od miejsca w radzie nadzorczej agencji - Dziewczyna z Iskrą. Dziś rano Harry Rodenbaugh zagroził, że przekaże zlecenie komu innemu, jeśli Naomi w najbliższym czasie nie znajdzie odpowiedniej kandydatki.

Zdjęła szare pantofle i dalej rozpakowywała zakupy. Dlaczego tak trudno znaleźć tę dziewczynę? Wydzwaniały z, sekretarką wszędzie, gdzie się dało -na darmo. Ona gdzieś tam jest, tak, ale gdzie? Znużona, Naomi masowała sobie skronie. Migrena nie dawała jej spokoju. Nie ma dzisiaj na nic siły. Weźmie prysznic, włoży stary szlafrok i napije się wina, zanim przejrzy dokumenty, które ze sobą przyniosła. Jedną ręką rozpiniała perłowe guziki bluzki, drugą sięgnęła do kontaktu na ścianie. Jak leci, siostrzyczko?

Z krzykiem odwróciła się w stronę, z której dochodził głos jej brata.

- Boże!

Gerry Jaffe rozwalił się na kanapie. Jego sprane dzinsy i wypłowiała koszula nie pasowały do eleganckiego wnętrza. Miał ciemne falujące włosy, które tworzyły niesforną czuprynę w stylu afro. Coraz bardziej widoczne stawały się blizna na lewym policzku i bruzdy wokół jego pięknych ust, które nie tak dawno doprowadzały koleżanki Naomi do szaleństwa. Za to nos Gerry'ego się nie zmienił - nadal był wielki i dumny, orli. A w oczach nadał płonął fanatyczny ogień.

- Jak się tu dostałeś? - warknęła. Była zła i niespokojna. Nie miała siły na dalsze problemy, a Gerry zawsze oznaczał kłopoty. Jednocześnie cieszyła się na jego widok; zawsze był dla niej starszym bratem, któremu za wszelką cenę chciała dorównać.

- Nie pocałujesz mnie?

- Nie zapraszałam cię tutaj.

Wydało jej się, że wyczuwa w nim zmęczenie, ale to wrażenie zaraz znikło. Zawsze był dobrym aktorem.

- Mogłeś najpierw zadzwonić - syknęła. Przypomniała sobie, że widziała jego zdjęcia w gazetach, przewodził demonstracji przeciwko zbrojeniom atomowym. - Aresztowano cię znowu, tak?

- Cóż znaczy jedno aresztowanie w kraju wolności? - Uśmiechnął się zawadiacko.

Nagle przypomniała sobie, jak w dzieciństwie kupował jej cukierki, kiedy miała ataki astmy. Zmiękła. Kochała go i nienawidziła zarazem.

- Przestań się wygłupiać! Jesteś cholernie nieodpowiedzialny. Kiedy ty wreszcie wydorosłeś?

Milczał, stał tylko i patrzył na nią. Spochmurnieli oboje. Jego uwagi nie uszła droga sukienka Naomi i eleganckie pantofle.

- Stary pewnie jest w końcu z ciebie dumny - stwierdził cicho. - Jego mała Naomi stała się kapitalistyczną świnią, jak on.

- Nie zaczynaj.

Kiedy na niego patrzyła, wydawało jej się, że znowu dostrzega jego znużenie.

- Masz kłopoty? - Wzruszył ramionami.

Naprawdę jest znużony, stwierdziła. I mimo wszystko jest jej bratem.

- Chodź do kuchni, musisz coś zjeść.

Patrzyła, jak łączywie pochłania kanapki z rostbefem i żółtym serem, takie jakie lubił

najbardziej. Nagle ogarnęła ją duma - jej brat jest najlepszy z nich wszystkich, najwierniejszy starym ideałom. Ale jest też dinozaurem, przeżytkiem minionej epoki w dobie szalejącego egoizmu. Walczył z wiatrakami i wołał o pokój, lecz ludzi ogłuszały słuchawki walkmanów.

Nalał sobie mleka z kartonu.

- Co u mamy? - zapytał od niechcienia, ale jej nie zmylił.

- Artretyzm jej dokucza, ale poza tym wszystko dobrze,

Gerry opłukał talerz i odstawił na suszarkę. Zawsze bardziej niż ona dbał o porządek.

- U taty też - dodała nagle. Nie będzie go zmuszała, by sam o niego zapytał. - Wiesz, że w zeszłym roku przeszedł na emeryturę?

- Tak, wiem. Czy czasami pytają o...

Naomi położyła mu rękę na ramieniu.

- Myślę o tobie, Gerry - powiedziała miękko. - Tylko że... nie jest im łatwo.

- Jasne - zachnął się.

- Ich przyjaciele plotkują... - Zdawała sobie sprawę, że to kiepskie uzasadnienie.

Skinął głową i wrócił do saloniku. Stał przy oknie, wpatrzony w miasto.

- Po co przyszedłeś, Gerry?

Zapalił papierosa, nie odrywając wzroku od panoramy Manhattanu.

- Żeby odpocząć, siostrzyczko. Po prostu.

Dallie wygrał turniej w Lake Charles.

- No pewnie, że wygrał - mamrotał Skeet, gdy we trójkę wracali do hotelu ze srebrnym pucharem i czekiem na dziesięć tysięcy dolarów. - To nieistotny turniej, dlatego gra piłki, które powinny przejść do historii. Czemu nie dajesz takich popisów na ważnych turniejach, co?

Francesca zdjęła sandały i rzuciła się na łóżko. Wszystko ją bolało, bo przeszła na piechotę całe pole golfowe? zaliczyła wszystkie osiemnaście dołków. Chciała dopingować Dalliego i jednocześnie pilnować, żeby żadne sekretarki z rafinerii nie zbliżyły się za bardzo. Teraz, gdy go kocha, wszystko się zmieni w jego życiu, zdecydowała. Będzie grał dla niej i wygrywał, jak dzisiaj, i zarobi dużo pieniędzy, żeby mieli z czego żyć. Byli kochankami od niecałej doby, zdawała więc sobie sprawę, że nieco przedwcześnie snuje te plany, ale nie mogła się powstrzymać.

Dallie wyciągnął koszulę zza paska szarych spodni.

- Skeet, jestem zmęczony i boli mnie ręka. Możemy o tym później pogadać?

- Zawsze tak mówisz. Nie ma żadnego później, załatwmy to od razu. Jeśli jeszcze raz...

- Przestań! - Francesca zerwała się z łóżka i spojrzała groźnie na Sk-eta. - Daj mu spokój, słyszysz? Nie widzisz, że jest zmęczony? Zachowujesz się, jakby przegrał ten turniej, do licha! Był świetny!

- Świetny, akurat - syknął Skeet. - Grał jak łamaga i sam o tym wie. Wiesz co, Fran-ces-co, zajmij się makijażem, a Dalliego zostaw mnie. - Wyszedł, trzaskając drzwiami.

Francesca spojrzała na Dalliego.

- Zwolnij go. Jest nieznośny. Wszystko ci komplikuje. Westchnął i ściągnął koszulę przez głowę.

- Daj spokój, Francie.

- To twój podwładny, ale zachowuje się, jakbyś to ty u niego pracował. Musisz z tym skończyć. - Obserwowała, jak wyjmuje z papierowej torby sześciopak piwa. Za dużo pije, uświadomiła sobie nagle, choć nigdy tego po nim nie widać. Kilka razy zauważyła też, jak łyka jakieś pigułki - zapewne nie witaminy. W odpowiedniej chwili przekona go, by zaprzestał jednego i drugiego.

Otworzył puszkę piwa.

- Francie, nie próbuj wejść między mnie i Skeeta.

- Nie próbuję. Chcę ci tylko pomóc.

- Tak? Opuść sobie. - Dopił piwo do końca. - Idę pod prysznic.

Nie chciała, żeby się na nią gniewał, uśmiechnęła się więc zalotnie.

- Może umyć ci plecy?

- Jestem zmęczony - burknął. - Daj mi spokój.

Rozebrał się, rozkręcił kran na cały regulator i wszedł pod prysznic. Strumień wody przyjemnie masował mu obolały bark. Zamknął oczy, ale nadal miał pod powiekami obraz Franceski, jej miłosne rozmarzenie. Powinien to przewidzieć. Francie wmawia sobie, że się w nim zakochała, to widać. Cholera, trzeba było trzymać się od niej z daleka, ale spędzili razem kilka dni i jego opanowanie ma pewne granice. Zresztą wzruszyła go tą opowieścią o guźcu.

Mimo wszystko niepotrzebnie rozpinął rozporek. Teraz przylgnie do niego jak zły szeląg, będzie oczekiwała kwiatów, czerwonych serduszek i innych bzdur, na które nie miał najmniejszej ochoty. Zwłaszcza teraz, gdy na horyzoncie majaczy powrót do Wynette, gdy Halloween nadciąga wielkimi krokami, gdy ma na wyciągnięcie ręki tuzin kobiet, które bardziej mu odpowiadają. A jednak, choć tego nigdy jej nie powie-jest jedną z najpiękniejszych, jakie kiedykolwiek widział. I obawiał się, że prędzej czy później znowu wyląduje z nią w łóżku.

Prawdziwy z ciebie skurczybyk, co Beaudine? - Niedźwiedź pojawił się nieoczekiwanie, z aureolą nad głową. Cholerny Niedźwiedź.

Jesteś do niczego, bracie, szepnął mu do ucha. I to pod każdym względem. Wiedział o tym twój ojciec, wiem ja. Halloween się zbliża, na wypadek, gdybyś zapomniał...

Dallie rozkręcił zimną wodę, żeby nie słyszeć dalszych słów.

Sytuacja z Franceską uległa zmianie. Nie poprawiła się też następnego dnia, gdy wjechali do Teksasu i Dallie stwierdził, że słyszy jakiś dziwny dźwięk.

- Jak myślisz, co to? - zapytał Skeeta. - Przecież regulowaliśmy silnik nie dalej jak trzy tygodnie temu. Zresztą ten hałas dobiega z tyłu. Słyszysz?

Skeet pochłaniał artykuł o Ann-Margaret w najnowszym wydaniu „People”, więc tylko potrząsnął głową.

- Może to rura wydechowa. - Dallie spojrzał na Franceskę. - Słyszałaś coś, Francie?

- Nic a nic - odparła szybko.

I wtedy wewnątrz buicka wypełniło głośne, chrapliwe miauknięcie. Skeet podniósł głowę.

- Co to było?

Dallie zaklął.

- Już ja wiem, co. Cholera, Francie, zabrałaś tego paskudnego kota, tak?

- Słuchaj, Dallie, nie denerwuj się - łagodziła. - Wcale nie miałam takiego zamiaru. Po prostu wsiadł za mną do samochodu i nie mogłam go wyrzucić.

- No pewnie, że za tobą wsiadł! - zachnął się. - Karmiłaś go, tak? Chociaż ci mówiłem, żebyś tego nie robiła!

Chciała, żeby ją zrozumiał.

- Ja... jest taki wychudzony, że jedzenie stawało mi w gardle, kiedy wiedziałam, że on głoduje.

Skeet zachichotał. Dallie łypnął na niego.

- Co cię tak bawi, do cholery?

- Nic a nic - odparł Skeet, uśmiechnięty od ucha do ucha. - Zupełnie nic.

Dallie zjechał na pobocze i otworzył drzwiczki. Odwrócił się i zajrzał przez oparcie na podłogę, gdzie kot kulił się obok przenośnej lodówki.

- Wyrzuć go, Francie.

- Samochód go rozjedzie! - zaprotestowała. Sama nie wiedziała, czemu tak przejmuje się losem kota, który ani razu nie okazał jej choćby odrobiny sympatii. - Nie możemy go wyrzucić przy autostradzie. Zaraz zginie.

- Świat nic na tym nie straci - burknął Dallie. Pochylił się i starał się wypędzić kota z samochodu. Zwierzak wyprężył się, syknął i wbił pazury w kostkę Franceski.

Krzyknęła z bólu.

- Zobacz, co narobiłeś! - wrzasnęła do Dalliego. Położyła sobie nogę na kolanie i oglądała podrapaną skórę. - Paskudny kot! - syknęła do zwierzaka. - Dobrze, niech cię wyrzuci prosto pod koła autobusu!

Dallie nagle się uśmiechnął. Po chwili namysłu zatrzasnął drzwiczki i spojrzał na Skeeta.

- Wiesz co, niech Francie zatrzyma sobie kota. Nie mam serca rozdzielać tak dobrej pary.

Jeśli komuś odpowiadają małe miasteczka, Wynette w Teksasie to dobry wybór. Wielkomiejskie światła San Antonio są tylko o dwie godziny drogi, jeśli ktoś nie przejmuje się durnymi ograniczeniami prędkości, które biurokraci z Waszyngtonu narzucili obywatelom Teksasu. Ulice Wynette ocieniały rozłożyste drzewa, w parku pyszniła się marmurowa fontanna. Ludzie byli twardzi i prości: farmerzy i ranczerzy. Dbali, by w radzie miasta zasiadało tylu konserwatywnych demokratów i baptystów, by sprawy zostawały po staremu. Mówiąc krótko - jeśli ktoś już przyjechał do Wynette, zostawał tam na stałe.

Tak jak panna Sybil Chandler. Zanim wzięła pod swoje skrzydła dom przy Cherry Street, był to nudny wiktoriański potworek. W pierwszym roku pomalowała brązowe framugi na delikatny pastelowy róż i fiolet i powiesiła na ganku paprocie we własnoręcznie uplecionych koszach. Nadal niezadowolona, ozdobiła ramy okienne szlaczkiem z jasnopomarańczowych króliczków. A na zakończenie podpisała swoje dzieło na drzwiach, pod skrzynką pocztową. Spodobało jej się to tak bardzo, że dodała skondensowany życiorys:

Dzieło panny Sybil Chandler.
Emerytowanej nauczycielki.
Przewodniczącej Koła Przyjaciół Biblioteki w Wynette.
Wielbicielki W.B. Yeatsa.
Ernesta Hemingwaya i innych.
Buntowniczk.

A potem uznała, że za bardzo przypomina to epitafium, i zostawiła tylko pierwszą linijkę, na reszcie malując oczywiście kolejnego króliczka.

Buntowniczka. W porównaniu z literackimi rebeliantami z dawnych lat, jej dokonania wydawały się marne, ale przecież jej rebelia zaczęła się zaledwie dwanaście lat temu. Miała wówczas pięćdziesiąt cztery lata. Rzuciła pracę w prestiżowej bostońskiej szkole dla dziewcząt, spakowała skromny dobytek i wyruszyła do Teksasu. Przyjaciele uważali, że straciła rozum, jednak ona ich nie słuchała. Miała dosyć ustabilizowanego, przewidywalnego życia.

Lecąc samolotem z Bostonu do San Antonio, przebrała się w toalecie. Zmieniła surowy wełniany kostium na pierwsze w życiu dzinsy i kolorową koszulę. Przez resztę lotu podziwiała swoje nowiutkie kowbojki i czytała artykuły o kobiecym orgazmie.

Wybrała Wynette, zamykając oczy i celując palcem w mapę Teksasu. Rada szkolna zatrudniła ją na podstawie imponujących referencji, kiedy jednak zjawiała się w szkole w dzinsach, fioletowej koszuli, z długimi kolczykami w uszach, dyrektor zastanawiał się, czy od razu jej nie zwolnić. Uspokoiła go rzetelnością, fachowością i powagą. Tydzień później zaczęła uczyć, a trzy tygodnie potem skrzyczała radę szkolną za usunięcie *Buszującego w zbożu* ze szkolnej biblioteki.

J.D. Salinger wrócił na półki, a średnia maturalna w Wynette wzrosła o sto punktów. Panna Sybil Chandler straciła dziewictwo z B.J. Randallem właścicielem sklepu elektrycznego, który uważał, że nie ma kobiety wspanialszej od niej.

Wszystko było dobrze, póki B.J. nie umarł, a panna Sybil nie przeszła na emeryturę w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. Miała za dużo czasu i za mało pieniędzy; coraz częściej bez celu snuła się po ciasnym mieszkanku. Pewnej nocy wyszła na ulicę i tam, w koszuli nocnej, znalazł ją Dallas Beaudine, jak kuliła się na rogu Main i Elwood.

Odłożyła słuchawkę po cotygodniowej rozmowie z Holly Grace i spojrzała na zegarek.

Za kilka godzin chłopcy wrócą do domu. Ominęła dwa kundle Dalliego, odstawiła konewkę i wzięła robótkę, usiadła w fotelu przy oknie. Przypomniała jej się zima 1965 roku, kiedy w jej klasie pojawił się chudy, wysoki i zabójczo przystojny zbuntowany nastolatek.

- Nie toleruję spóźniałstwa, żucia gumy i przekleństw. Na jutro napiszesz krótki esej o sobie.

Przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

- Pieprz się, paniusiu.

Nic dziwnego, że ją zamurowało. Zanim odzyskała głos, już wyszedł.

Taki był początek ich przyjaźni. Nachodziła go w domu, gdzie zamiast rodziców zastała tylko ponurego Skeeta. Natychmiast zorientowała się, że to nie Skeet opiekuje się Dalliem, co Dallie Skeetem. W końcu wrodzona inteligencja chłopca wzięła górę nad szczeniackim buntem. Zaczął czytać książki, które mu podsuwała, choć później twierdził, że zabrał się do nich tylko po to, żeby wreszcie dała mu spokój. Jej praca przyniosła efekty-kiedy miał osiemnaście lat, skończył szkołę średnią z wyróżnieniem.

Tęskniła za nim, gdy wyjechał na studia. I on, i Skeet zawsze wracali do Wynette i odwiedzali ją, ilekroć nie grali w golfa. Miał na to jednak coraz mniej czasu. Kiedyś nie widzieli się prawie przez rok. Niemal go nie poznała, kiedy znalazł ją, oszołomioną i nieszczęśliwą, na rogu Main i Elwood.

Nie wiadomo dlaczego, Francesca wyobrażała sobie, że Dallie mieszka w nowoczesnym apartamencie tuż przy polu golfowym, nie posiadała się więc ze zdumienia, kiedy zobaczyła pastelowy wiktoriański domek. Przyglądała mu się z niedowierzaniem.

- Czy mi się zdaje, czy na framugach są króliki? - zapytała.

- Dokładnie dwieście pięćdziesiąt sześć - odparł Skeet. - Siedem, jeśli policzymy tego na drzwiach. Dallie, zobacz, na garażu jest tęcza.

- Pewnego dnia złamie sobie kark, włącząc na drabinę - burknął Dallie. Spojrzał na Francescę. - Francie, zachowuj się jak trzeba, jasne? Mówię poważnie.

Traktował ją jak dziecko, nie jak kochankę, ale nim zdążyła odpowiedzieć, drzwi się otworzyły i stanęła w nich przedziwna starsza pani. Długi siwy koński ogon powiewał za nią, okulary na złotym łańcuszku podskakiwały na jaskrawożółtym dresie, gdy do nich biegła.

- Dallas! Skeet! Cudownie!

Dallie zamknął ją w niedźwiedzim uścisku, a ledwie ją wypuścił, podbiegł do niej Skeet.

Francesca przyglądała się z zaciekawieni tej scenie. Dallie mówił, że jego matka nie żyje, więc kto to jest? Babka? Nie miał żadnych krewnych, jeśli nie liczyć tajemniczej Holly Grace. Czy to ona? Francesca jakoś nie mogła w to uwierzyć. Wmówiła sobie, że Holly Grace to siostra Dalliego, zresztą jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić starszej pani w motelu, z handlarzem z Tulsy. Kot wyskoczył z samochodu, rozejrzał się z pogardą i zniknął pod schodami.

- A to kto, Dallas? - Kobieta spojrzała na Francescę. - Przedstaw mi przyjaciółkę.

- To jest Francie... Francesca - poprawił się. - Stary F. Scott oszalałby na jej punkcie, panno Sybil, gdyby więc sprawiała jakieś kłopoty, proszę dać mi znać. - Francesca posłała mu mordercze spojrzenie, ale nie zwracał na nią uwagi. - Panna Sybil Chandler... Francesca Day.

Małe brązowe oczka przyglądały się jej uważnie i nagle miała wrażenie, że starsza pani zagląda jej do serca.

- Jak się pani ma? - zapytała grzecznie i poruszyła się niespokojnie.

Panna Sybil rozpromieniła się, słysząc jej akcent i wyciągnęła rękę.

- Angielka! Cudowna niespodzianka! Nie zwracaj uwagi na Dallasa, oczaruje nawet nieboszczyka, ale to drań. Czytujesz Fitzgeralda?

Francesca widziała film *Wielki Gatsby*, ale to się chyba nie liczy.

- Niestety, nie - przyznała. - Mało czytam.

Panna Sybil mlasnęła z dezaprobatą.

- Cóż, wkrótce to zmienimy, prawda? Chłopcy, wnieście bagaże do środka. Dallas, czy ty zujesz gumę?

- Tak jest, psze pani.

- Nie wejdiesz do domu ani z gumą, ani w czapce. Francesca zachichotała, gdy starsza pani weszła do środka. Dallie cisnął gumę w krzaki.

- Poczekaj tylko - mruknął złowrogo do Franceski. Skeet zachichotał.

- Wygląda na to, że dzięki naszej Francie złapiemy oddech - stwierdził.

Dallie odpowiedział uśmiechem.

- Już widzę, jak panna Sybil zaciera ręce, zanim się do niej dobierze. - Spojrzał na Francescę. - Naprawdę nie czytałaś Fitzgeralda?

Powoli ogarniało ją wrażenie, że przyznała się do serii krwawych zabójstw.

- Przecież to nie zbrodnia. - Zachichotał.

- Tutaj, owszem. Jezu, ależ się wpakowałaś.

Trzy dni po przyjeździe do Wynette Francesca wymknęła się z sypialni, którą wyznaczyła jej panna Sybil. Miała na sobie jeden z podkoszulków Dalliego i zadziwiające majteczki z czarnego jedwabiu, które nie wiadomo jakim cudem znalazły się wśród ubrań pożyczonych od panny Sybil.

Odkąd tu przyjechali, rzadko widywała Dalliego. Wychodził rano i wracał wieczorem, spędzała więc całe dni z panną Sybil. Zaledwie dzień po przyjeździe starsza pani wepchnęła jej w ręce egzemplarz *Cicha jest noc* i poradziła, żeby się nie dąsała, kiedy nie wszystko układa się po jej myśli. Denerwowało ją, że Dallie ją porzucił. Zachowywał się jak gdyby nigdy nic, jakby nie spędzili razem nocy. Początkowo nie zwracała na to uwagi, ale teraz postanowiła walczyć o to, czego chce. A chciała się kochać.

Jego głos wyrwał ją z zadumy.

- Francie, jeśli to ty, wchodź i nie hałasuj tak!

- Cicho! - Wbiegła do jego sypialni. - Bo nas usłyszysz!

Był w ubraniu. Grał w golfa: strzelał do pustej butelki po piwie.

- Panna Sybil jest ekscentryczką, ale nie jest pruderyjna. Chyba była rozczarowana, kiedy powiedziałem, że zamieszkamy osobno.

Francesca też, ale nie będzie teraz do tego wracać.

- Słuchaj, prawie cię ostatnio nie widuję. Myślałam, że nadal się na mnie gniewasz przez Bestię.

- Bestię?

- Tego cholernego kota. - W jej głosie pojawiła się irytacja. - Znowu mnie podrapał.

Dallie się uśmiechnął, ale zaraz spoważniał.

- Szczerze mówiąc, Francie, uznałem, że lepiej będzie, jeśli na jakiś czas damy sobie spokój. Chyba nie masz ochoty na jeszcze więcej komplikacji w życiu. Jestem nieodpowiedzialny, jeśli chodzi o kobiety. - Wziął zamach. - To nie napawa mnie dumą, rozumiesz, ale nic na to nie poradzę. Jeśli więc chodzą ci po głowie bzdury w stylu wspólnych śniadanków i ręczników pod kolor szlafroka, z naszymi monogramami, zapomnij o tym.

Zostało w niej jeszcze dosyć starej, wyniosłej Franceski, by zdołała roześmiać się chłodno mimo guli w gardle.

- Doprawdy, Dallie, co ty pleciesz? Wychodzę za Nicky'ego, zapomniałeś już? To moje ostatnie chwile na wolności. - Tylko że wcale nie wyjdzie za Nicky'ego. Wczoraj znowu dzwoniła, miała nadzieję, że wybłaga małą pożyczkę, żeby choć trochę uniezależnić się od Dalliego. Lokaj powiedział, że pan Nicholas jest w podróży poślubnej.

Dallie podniósł głowę.

- Naprawdę? Żadnych romantycznych bzdur? Żadnych długoterminowych planów?
- Skądże.

Przysiadła na fotelu i błędziła wzrokiem po półkach pełnych książek, jakby były ciekawsze niż mężczyzna tuż obok.

- To fascynacja, skarbie - odparła lekko. - Jesteś jedyny w swoim rodzaju, wiesz chyba.
- Nic więcej?
- Dallye, nie chcę cię obrazić, ale kobiety mojego pokroju nie tracą głowy dla zubożałych golfistów. - A właśnie że tak, dodała w myślach. Ja tak.
- To prawda. Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, żebyś straciła głowę dla kogokolwiek zubożalego.

Później, gdy leżała w jego ramionach, zmęczona miłością, dumiała, jakie to dziwne - odrzuciła zaloty samego księcia Walii, a zakochała się w Dalliem Beaudinie. Musnęła ustami jego pierś. Zanim zasnęła, obiecała sobie, że zmusi go, by ją pokochał. Stanie się taką kobietą, jakiej pragnął, a wtedy odwzajemni jej uczucie.

Dallye miał kłopoty z zaśnięciem i wiedział, że tak będzie jeszcze przez kilka tygodni. Halloween go przytłaczało. Uciekał od wspomnień, wyobrażał sobie, że jest na polu golfowym albo rozmyślał o Francesce. Była osobą, która miała o sobie bardzo wysokie mniemanie tylko dlatego, że uganiała się po Europie, zajadając ślimaki, jednak Dallye uważał, że nauczyłaby się o wiele więcej, gdyby spędziła trochę czasu na kocu z chłopakiem z Wynette.

Nie była na tyle doświadczona w łóżku, by się odprężyć, widział, że cały czas się denerwuje, czy wszystko robi jak trzeba.

Wiedział też, że sobie wmówiła, że go kocha, ale wystarczy doba w Londynie, by o nim zapomniała. Jednak, mimo że nie chciał się przed sobą do tego przyznać, jakaś jego cząstka będzie za nią tęsknić, choć to uparta i zarozumiała baba. Godzinami przeglądała się w lustrze, robiła bałagan, gdziekolwiek stanęła, jakby oczekiwała, że służba zaraz wszystko posprząta. Ale i tak się starała, widział to. Pomagała pannie Sybil, opiekowała się tym cholernym kotem i starała się zaprzyjaźnić ze Skeetem, opowiadając mu o wszystkich gwiazdach, które znała. Zabrała się nawet do lektury Salingera. I co najważniejsze, powoli przyjmowała do wiadomości, że świat nie powstał tylko po to, żeby spełniać jej zachcianki.

Jednego był pewien. Stary Nicky dostanie o wiele lepszą kobietę, niż wysłał do Ameryki.

Rozdział 14

Niewiele brakowało, a Naomi Jaffe Tanaka tańczyłaby dokoła biurka. Wreszcie zlokalizowała swoją Dziewczynę z Iskrą! Dyktowała sekretarce polecenia.

- Nie kontaktuj się z nią, sama to zrobię. Tylko sprawdź, czy wszystko się zgadza.
- Sekretarka podniosła głowę.
- Nie odrzuci tej oferty, co?
 - Na pewno nie. Nie odrzuca się takiego wynagrodzenia. - Mimo pewności w głosie Naomi zawsze się wszystkim denerwowała. - Chcę tam polecieć najszybciej, jak to możliwe.

Sekretarka wyszła, a Naomi, po chwili wahania, zadzwoniła do swego mieszkania. Był tam -nie zniknął. Niepotrzebnie pozwoliła mu zostać. Gdyby ktoś w agencji się dowiedział...

- Odbierz, do cholery.
- Krematorium i burdel, słucham?
- Nie możesz powiedzieć: halo, jak normalny człowiek? - warknęła. Dlaczego się na to godzi? Policja chce go przesłuchać, jednak Gerry twierdził, że aresztują go pod fałszywym zarzutem handlu narkotykami. Wiedziała, że sam od dawna nie bierze, a tym bardziej nie sprzedaje niczego nielegalnego, ale z dawnych czasów została w niej nieufność do władz. Może rzeczywiście nie chodzi o zwykłe przesłuchanie?

- Bądź grzeczna, bo się rozłączę - zagroził.
- Bomba - syknęła. - Czy jak będę naprawdę wredna, wyprowadzisz się?

- Dostałaś list z podziękowaniem od organizacji dobroczynnej. Marne pięćdziesiąt dolców.
- Nie masz prawa czytać mojej korespondencji.
- Kupujemy sobie zbawienie, co, siostrzyczko?

Naomi nie dała się złapać na przynętą. Milczała, dopóki jej nie przeprosił.

- Przepraszam. Umieram z nudów.
- A przejrzałaś informatory o studiach prawniczych? - zapytała spokojnie.
- Nie zaczynaj znowu.
- Gerry...
- Nie sprzedam się!
- Pomyśl tylko. Nie, nie sprzedasz się. Zrobisz więcej dobrego, walcząc w ramach...

Bzdura! Co może jeden prawnik więcej wobec groźby wojny atomowej! - A jednak, mimo krzyków i złości, wiedziała, że myśl o studiach wcale nie jest mu taka wroga. Musi jednak sam do tego dojrzeć, nie naciskała więc. - Słuchaj, Gerry, muszę wyjechać na kilka dni. Proszę cię, zniknij z mojego mieszkania, zanim wrócę.

- Dokąd jedziesz?

Zerknęła do notesu i uśmiechnęła się pod nosem. Za niecałą dobę Dziewczyna z Iskrą będzie jej.

- Do Wynette w Teksasie - odparła

Francesca w dzinsach, sandałkach i kolorowej bluzce panny Sybil siedziała obok Dalliego w lokalnej spelunie o nazwie Roustabout. Po trzech tygodniach straciła rachubę, ile wieczorów spędzili w tej knajpie, ale dzisiaj po raz pierwszy stali bywalcy oprócz rytualnego: „Cześć, Dallie” - rzucili też kilka razy: „Cześć, Francie”.

I bardzo ją to cieszyło.

Młoda dziewczyna zsunęła maskę czarownicy na tył głowy i pocałowała Skeeta w policzek.

- Ej, Skeet, ty zgredzie, jeszcze cię zaciągnę przed ołtarz. Zachichotał.
- Za młoda dla mnie jesteś, Eunice. Wykończysz mnie!
- Święta racja, złotko. - Roześmiała się wesoło i odeszła z przyjaciółką, która bardzo nierozważnie przebrała się za hurysę, odsłaniając pulchny brzuch.

Francesca się uśmiechnęła. Dallie był w złym humorze, ale ona bawiła się świetnie. Większość gości Roustabout zjawiała się w dzinsach i kapeluszach kowbojskich, choć niektórzy przebrali się, jak na Halloween przystało.

- Hej, Dallie! - zawołała jakaś kobieta. - Chodź, urządzamy konkurs wyławiania jabłek z wody!

Dallie wstał gwałtownie, chwycił Franceskę za ramię i cicho warknął:

- Jeszcze tego mi trzeba. Idziemy tańczyć.

Milczała, ale jego ponura mina sugerowała, że nie o to mu chodzi. Wstała posłusznie. Ciągnął ją, wśród czarno-pomarańczowych dekoracji, do szafy grającej. Po drodze potarcił kilka osób, ale nie zwracał sobie głowy przeprosinami. Zastanawiała się, co się z nim dzieje. Dlaczego jest wściekły? Zespół na chwilę przestał grać. Dallie wyjął monetę z kieszeni. Miejscowi jęknęli jednogłośnie.

- Nie pozwól mu, Francie! - wrzasnął Curtis Molloy.

Uśmiechnęła się zawadiacko przez ramię.

- Przykro mi, złotko, jest ode mnie większy. Zresztą strasznie się wkurza, kiedy się wtrącam. - Roześmieli się, słysząc jak posługuje się ich słownictwem z wytwornym brytyjskim akcentem.

Dallie wybrał dwie piosenki, te same, które puszczał przez cały wieczór, ilekroć zespół robił przerwę.

- Curtis od lat tyle nie gadał - mruknął do Franceski. - Rozkręciłaś go. Nawet kobiety cię polubiły. - Zabrzmiało to bardziej jak obelga niż komplement.

Nie zwracała uwagi na jego zły humor.

- A ty? - zapytała zalotnie. - Też mnie lubisz?

Poruszał się z kocią gracją.

- Oczywiście - burknął. - Nie sypiałbym z tobą, gdybym cię nie lubił. Jezu, uwielbiam tę piosenkę.

Liczyła na bardziej romantyczną deklarację, ale nauczyła się już, że musi się cieszyć tym, co ma. Zamknęła oczy i dopasowała się do niego w tańcu tak, jak dopasowała się do niego w sypialni. Patrzyli sobie w oczy, wsłuchani w muzykę. Miała wrażenie, że czuje łączącą ich więź. A potem nastrój zepsuło kolejne salto jej żołądka.

Nie jestem w ciąży, powtarzała sobie. To niemożliwe. Lekarz powiedział jasno, że nie zajdzie w ciążę, póki nie ustabilizują się jej miesiączki. Mimo to martwiły ją poranne mdłości, i to do tego stopnia, że któregoś dnia, kiedy panny Sybil nie było w pobliżu, zajrzała do ulotki na temat planowania macierzyństwa. Ku swemu przerażeniu odkryła, że ma wszystkie symptomy. Nerwowo obliczyła, że po raz pierwszy kochała się z Dalliem prawie miesiąc temu.

Tańczyli jeszcze przez chwilę, a potem wrócili do stolika. Rozkoszowała się dotykiem jego dłoni na plecach, podobało jej się, że obejmuje ją zaborczo. Może to dobrze, że zaszłam w ciążę, dumiała. Dallie nie jest typem, który wsunie mi sto dolarów do kieszeni i zawiezie na zabieg. Nie marzyła o dziecku, ale nauczyła się już, że wszystko ma swoją cenę. Może dziecko sprawi, że Dallie z nią zostanie, a wtedy wszystko się ułoży. Przekona go, żeby przestał pić i zaczął dbać o siebie, a on zacznie wygrywać i kupi dom w mieście. Nie tak kiedyś planowała swoją przyszłość, ale wiedziała, że będzie szczęśliwa.

Jednak nie do końca mogła to sobie wyobrazić. Napiła się piwa.

Z zadumy wyrwał ją kobiecy głos, leniwy jak upalne teksaskie popołudnie.

- Hej, Dallie - powiedziała nieznajoma. - Wygrałeś coś dla mnie?

Francesca wyczuła w nim zmianę, napięcie, którego jeszcze przed chwilą nie było, i gwałtownie podniosła głowę.

Przy ich stoliku stała najpiękniejsza kobieta, jaką w życiu widziała. Dallie zerwał się z miejsca i objął ją serdecznie. Francesce wydawało się, że czas stanął w miejscu, gdy dwie jasne głowy zbliżyły się do siebie. Byli tacy piękni, tacy amerykańscy, w dżinsach i kowbojkach, że nagle poczuła się mała i zwyczajna. Kobieta miała na głowie kowbojski kapelusz, zsunięty do tyłu, tak że jasne włosy otaczały jej twarz złocistą falą. W rozpięciu kraciastej koszuli rysowały się bujne piersi, a obcisłe dżinsy podkreślały zgrabne nogi. Spojrzała Dalliemu w oczy i szepnęła tak cicho, że tylko Francesca ją usłyszała:

- Chyba nie myślałeś, że w Halloween zostawię cię samego, skarbie?

Strach, który ogarnął Francescę, nagle ustąpił, gdy dotarło do niej, jacy są podobni.

Oczywiście... Mogła się od razu domyślić. To na pewno jego siostra, słynna Holly Grace.

Chwilę później Dallie potwierdził jej domysły. Wypuścił blond boginię z ramion i spojrzał na Francescę.

- Holly Grace, to jest Francesca Day. Francie, przedstawiam ci Holly Grace Beaudine.

- Bardzo mi miło. - Francesca uśmiechnęła się ciepło. - Od razu widać, że jesteś siostrą Dalliego; jesteście bardzo podobni.

Holly Grace poprawiła kapelusz na głowie i przyglądała się jej uważnie.

- Przykro mi, że cię rozczaruję, złotko, ale nie jestem jego siostrą. Francesca spojrzała zdziwiona.

- Jestem jego żoną.

Rozdział 15

Francesca słyszała, jak Dallie woła japo imieniem. Biegła coraz szybciej, oślepią łzami. Sandaalki ślizgały się na żwirze, gdy biegła przez parking, do szosy. Jednak nie miała z nim szans, dogonił ją błyskawicznie.

- O co chodzi?! - ryknął, złapał ją za ramię, odwrócił do siebie. Co ci strzeliło do głowy, żeby skłąć mnie przy wszystkich, którzy cię polubili, i wybiec?

Krzyczał na nią, jakby to była jej wina, jakby to ona kłamała i zdradzała, jakby to ona na miłość odpowiedziała zdradą. Spoliczkowała go.

Odpowiedział tym samym.

Była drobna i mała, a szarpnęła ją tak mocno, że zachwiała się i wpadła na najbliższy samochód.

- Jezu, Francie, ledwie cię dotknąłem. - Wyciągnął do niej rękę.

- Ty draniu! - Uderzyła go jeszcze raz, tym razem trafiła w szczękę. Złapał ją za rękę.

Uspokój się, słyszysz? Bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

Kopnęła go z całej siły. Nawet skórzane kowbojki nie uchroniły go przed bólem.

- Cholera! - jęknął.

Wzięła zamach, żeby znowu go kopnąć, ale zablokował ruch jej nogi swoją i upadła, prosto w żwir podjazdu.

- Skurczybyk! - Na jej policzkach łzy mieszały się z kurzem. - Zdrajca! Zapłacisz mi za to! - Nie zwracała uwagi na obolałe kolana i zadrapania. Wstała i znowu rzuciła się na niego. Nic nie szkodzi, że ją skrzywdzi, niech ją nawet zabije. I dobrze. Tak będzie najlepiej.

I tak umrze z rozpacz.

- Przestań, Francie! - krzyknął, gdy wstała. - Nie zbliżaj się, bo zrobię ci krzywdę.

Ty draniu! - szlochała. - Ty żonaty draniu! Zapłacisz mi za to! - I znowu rzuciła się na niego: wypielegnowana, rasowa, rozpieszczona angielska kotka zaatakowała amerykańską pumę.

Holly Grace stała w tłumie innych gapiów, którzy wyszli przed Roustabout.

- Nie mieści mi się w głowie, że Dally'ego o mnie nie powiedział - mruknęła do Skeeta. - Zazwyczaj mówi o mnie, mniej więcej trzydzieści sekund po poznaniu, każdej nowej dziewczynie.

- Nie wygłupiaj się - zachnął się Skeet. - Rozmawialiśmy przy niej o tobie setki razy i dlatego tak się wkurzył. Wszyscy wiedzą, że wzięliście ślub lata temu. To kolejny dowód na to, jaka z niej idiotka. - Zmarszczył brwi, zmartwiony. - Widzę, że nie chce zrobić jej krzywdy, ale jeśli walnie go w czule miejsce, ani się obejrzy, a trafi do szpitala a Dally'ego do więzienia pod zarzutem pobicia. A nie mówiłem, Holly Grace? Ta kobieta to nic, tylko kłopoty.

Holly Grace upiła łyk piwa z butelki Dally'ego i mruknęła:

- Jeśli przewodniczący PGA się o tym dowie, Dally'ego wyleci z ligi zawodowej.

Holly Grace patrzyła, jak reflektory odbijają się we łzach na policzkach Franceski. Może ta mała jest więcej warta, niż Skeet uważa. Ale rozumu nie ma za grosz. Tylko wariat rzuca się na Dallasa Beaudine bez nabitej broni i pejsza. Skrzywiła się, gdy Francesca kopnęła go w kolano. W odpowiedzi obezwładnił ją, wykręcił jej rękę do tyłu.

Holly Grace spojrzała na Skeeta.

- Zaraz znowu go kopnie. Musimy interweniować, zanim będzie za późno. - Odstawiła butelkę. - Skeet, ty zajmij się małą ja biorę na siebie Dally'ego.

Skeet się nie sprzeciwił. Nie przepadał za Francesca, ale wiedział, że tylko Holly Grace jest w stanie uspokoić rozwścieczonego Dally'ego. Podeszli do walczących.

- Daj mi ją, Dally'ego - mruknął Skeet.

Francesca pisnęła z bólu. Bolały ją wykręcone ramiona i twarz wbita w pierś Dally'ego. Nie zabił jej. Jednak jej nie zabił.

- Puść mnie! - wrzasnęła w jego koszulkę. Nikt nie miał wątpliwości, że krzyczy do Skeeta.

Dally'ego się nie ruszał. Łypnął na Skeeta nad głową Franceski.

- Pilnuj swoich spraw.

Holly Grace wkroczyła do akcji.

- Ej, skarbie - zaczęła lekko. - Jest mnóstwo rzeczy, o których muszę ci opowiedzieć. - Poglaskała go po ramieniu w ten charakterystyczny sposób: wiedziała, że do niej należy i może go dotykać, jak jej się podoba. - Widziałam cię w telewizji na turnieju Kaisera. Długie piłki były OK, ale jak mogłeś tak schrzanić to finałowe podanie?

W końcu Dally'ego puścił Franceskę i Skeet zdołał odciągnąć ją od niego... zanim jednak to zrobił, zdążyła z całej siły wbić zęby w pierś Dally'ego. Wrzasnął, a Skeet objął ją mocno.

- Wariatka! - sapnął Dallie i rzucił się na nią, ale Holly Grace zasłoniła Francescę własnym ciałem- nie pozwoli, żeby Dalliego usunięto z ligi zawodowej. Opanował się, położył jej rękę na ramieniu. Na jego skroni pulsowała mała żyłka.

- Zabierz mi ją sprzed oczu, Skeet, i to już! Kup jej bilet do domu i niech się tu więcej nie pokazuje!

Skeet ciągnął ją za sobą, ale w ostatniej chwili Francesca usłyszała, jak Dallie mówi cicho i miękko:

- Przepraszam...

Przepraszam... Jednym słowem chce naprawić wszystko, co zniszczył w jej życiu? A potem usłyszała, co powiedział dalej:

- Przepraszam, Holly Grace.

Francesca nie protestowała, kiedy Skeet zaprowadził ją do samochodu i wyjechał na autostradę. Jechali w milczeniu przez kilka minut, w końcu Skeet przerwał ciszę:

- Słuchaj, Francie, zatrzymam się na stacji benzynowej i zadzwonię do znajomej, żeby cię przenocowała. Jest bardzo miła. Jutro rano przyjadę z twoimi rzeczami i odwiozę cię na lotnisko w San Antonio. Ani się obejrzysz, a będziesz z powrotem w Londynie.

Nie reagowała. Spojrzał na nią, zatroskany. Po raz pierwszy odkąd się znali, zrobiło mu się jej żal. Kiedy nie gadała, była ładniutka. Widział, że bardzo cierpi.

- Słuchaj, Francie, niepotrzebnie się tak zdenerwowałaś z powodu Holly Grace. Gdybyś nie wpadła w taki szal, Dallie zatrzymałby cię pewnie jeszcze trochę.

Francesca się skrzywiła. Zatrzymałby ją- tak jak trzyma swoje psy. Przełknęła łzy. Wołała nie myśleć, jak bardzo się poniżyła.

Skeet nacisnął pedał gazu i po chwili znaleźli się przy stacji benzynowej.

- Poczekaj tu, zaraz wracam.

Kiedy Skeet zniknął w budynku, Francesca wysiadła z samochodu i pobiegła wzdłuż autostrady. Mrużyła oczy, oślepiona reflektorami nadjeżdżających samochodów, gnała, jakby chciała uciec od samej siebie. Nie zwolniła nawet, kiedy dopadł ją skurcz.

Godzinami włóczyła się po Wynette, nie wiedziała, dokąd idzie i wcale jej to nie obchodziło. Mijała wystawy sklepowe i uśpione domy i zastanawiała się, czy umarła już ostatnia cząstka dawnej Franceski... ta najlepsza -jej wieczny optymizm. Nawet w najgorszych chwilach po śmierci Chloe wierzyła, że kłopoty to tylko stan przejściowy. A teraz zrozumiała, że to nie-prawda.

Poślizgnęła się na smętnych resztkach dyni i upadła na chodnik. Przez chwilę leżała bez ruchu. Nie zwracała uwagi na zakrwawione kolano i bolące biodro. Mężczyźni jej nie rzucają - to ona odchodzi. Zaczęła płakać. Czym sobie na to zasłużyła? Naprawdę jest taka okropna? Czyżby przyszedł czas pokuty za krzywdy, które wyrządziła innym? W oddali zaszczekał pies. W oknie na piętrze zapaliło się światło.

Nie wiedziała wiedziała, co robić, leżała więc na chodniku i płakała. Jej plany, marzenia. .. wszystko legło w gruzach. Dallie jej nie kocha. Nie ożeni się z nią. Nie będą żyli długo i szczęśliwie.

Nie przypominała sobie, kiedy znowu ruszyła dalej, ale po pewnym czasie potknęła się o krawężnik, podniosła głowę i zorientowała się, że stoi przed pastelowym domkiem Dalliego.

Holly Grace skręciła na podjazd i zgasła silnik. Dochodziła trzecia nad ranem. Dallie kulił się na siedzeniu pasażera, ale nie wierzyła, żeby zasnął. Wysiadła, obeszła buicka dokoła i otworzyła drzwiczki od strony pasażera, gotowa go podtrzymać, gdyby miał wypaść. Ani drgnął.

- Chodź, skarbie. - Szarpnęła go za ramię. - Ułożymy cię do łóżka. Dallie mruknął coś niezrozumiale i wystawił jedną nogę.

- Tak jest - zachęcała go. - No, chodź.

Pomogła mu wstać i zarzuciła sobie jego ramię na szyję, jak wiele razy przedtem.

Jakaś jej cząstka miała ochotę pozwolić mu osunąć się na ziemię, ale tak naprawdę nie dopuściłaby do tego za żadne skarby świata - nawet za nowiutkiego porsche, świetną posadę i najprzystojniejszego kochanka. Kochała Dalliego Beaudine prawie najbardziej na świecie - prawie, bo bardziej kochała samą siebie. Dallie ją tego nauczył. To była ważna lekcja, choć sam nigdy jej nie opanował.

Wyprostował się gwałtownie i sam ruszył do domu. Chwiał się lekko, ale biorąc pod uwagę, ile wypił, trzymał się doskonale. Holly Grace obserwowała go uważnie. Minęło już sześć lat, a on nadal nie pozwolił Danny'emu odejść.

Pobiegła za nim i zobaczyła, jak ciężko siada na schodach prowadzących na werandę.

- Wracaj do mamy - powiedział cicho.

- Zostaję. - Ściągnęła kapelusz z głowy i rzuciła go na fotel na werandzie.

- Wracaj. Jutro po ciebie wpadnę.

Mówił wyraźniej niż zwykle -najlepszy dowód, że jest bardzo pijany. Usiadła koło niego i, wpatrzona w mrok, poruszyła najbardziej bolesny temat:

- Wiesz, o czym dzisiaj myślałam? - zagaіła. - O tym, jak sadzałeś sobie Danny'ego na ramionach, a on ciągnął cię za włosy i piszczął z radości. Czasami przeciekała mu pieluszka i kiedy zdejmowałeś go sobie z karku, zostawała ci mokra plama na koszulce. Zawsze mnie to wtedy bawiło - mój śliczny młodziutki mąż chodzi z mokrą plamą na koszulce. - Dallie nie reagował. Holly Grace przerwała na chwilę, a potem mówiła dalej: - Pamiętasz, jak strasznie się pokłóciliśmy, kiedy zabrałeś go do fryzjera i kazałeś ściąć te śliczne loczki? Rzuciłam w ciebie podręcznikiem antropologii, a później kochaliśmy się na podłodze w kuchni... tylko że żadne z nas nie zamiętało jej od tygodnia i płatki kukurydziane Danny'ego przykleiły mi się do pleców, że już nie wspomnę o innych miejscach.

Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach. Położyła mu rękę na ramieniu.

- Przypomnij sobie dobre chwile, Dallie - poprosiła miętko. - To już sześć lat. Przestań wspominać najgorsze, myśl o dobrych chwilach.

- Holly Grace, byliśmy beznadziejnymi rodzicami.

Zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Nieprawda. Kochaliśmy Danny'ego. Nie wierzę, że ktokolwiek bardziej kochał swoje dziecko niż my. Pamiętasz, jak sypiał z nami, choć wszyscy ostrzegali, że wyrośnie na pedała?

Dallie podniósł głowę.

- Wiesz, co pamiętam? - odparł z goryczą. - To, jak wieczorami chodziliśmy na imprezy i zostawialiśmy go pod opieką dwunastolatek! A jeśli żadnej nie znaleźliśmy, zabieraliśmy go z nami do barów i knajp, karmiliśmy chipsami i poiliśmy seven-up, jeśli zaczynał płakać! Jezu...

Holly Grace wzruszyła ramionami i cofnęła rękę.

- Mieliśmy po osiemnaście lat, kiedy się urodził. Sami byliśmy dziećmi. Robiliśmy, co w naszej mocy.

- Za mało!

Nie zwróciła uwagi na jego wybuch. Lepiej niż on uporała się ze śmiercią Danny'ego, choć do dzisiaj odwracała wzrok, jeśli dostrzegła rodziców z małym blondynkiem. Dallie bardzo przeżywał Halloween, bo to rocznica śmierci ich synka. Dla niej gorszy był dzień jego urodzin.

Nie zapomniała jeszcze, jak jechała na pole golfowe pożyczonym samochodem. Choć trwała sesja, Dallie, zamiast się uczyć, zakładał się z farmerami i grał, żeby zdobyć pieniądze na kołyskę. Kiedy odeszły jej wody, wpadła w panikę. Nie chciała sama znaleźć się w szpitalu i pojechała do niego.

W ciągu niecałych dziesięciu minut ściągnęli go z pola.

Podbiegł do niej i powiedział:

- Rany. Holly Grace nie mogłaś jeszcze trochę poczekać? Byłem o krok od ósmego dołka... - A potem roześmiał się, porwał ją na ręce i trzymał, póki nie krzyknęła, targana skurczami.

Na samo wspomnienie poczuła gulę w gardle.

- Danny był taki śliczny - szepnęła. - Pamiętasz, jak się baliśmy, kiedy przywieźliśmy go do domu ze szpitala?

Odparł cicho, zduszonym głosem:

- W dzisiejszych czasach trzeba mieć pozwolenie na posiadanie psa, ale dziecko możesz mieć bez żadnych dokumentów.

Zerwała się na równe nogi.

- Do cholery, Dallie! Chciałam z tobą opłakiwać naszego synka, a nie wysłuchiwać, jak wszystko niszczysz i kalasz!

Pochylił się jeszcze bardziej, opuścił ramiona.

- Niepotrzebnie przyjechałaś. Wiesz, co się ze mną dzieje w okolicach Halloween.

Położyła mu rękę na głowie.

- Pozwól Danny'emu odejść.

- A ty? Pozwoliłabyś mu odejść, gdybyś to ty go zabiła?

- Ja też wiedziałam o tej pokrywie.

- I kazałaś mi ją naprawić. - Wstał powoli, podszedł od skraju werandy. - Dwukrotnie mi mówiłaś, że zawias jest uszkodzony i że chłopcy z sąsiedztwa odkrywają studnię i wrzucają kamienie. To nie ty zostałaś wtedy z Dannym. Nie ty miałaś go pilnować.

- Dallie, uczyłeś się, nie zasnąłeś pijany przed telewizorem, kiedy on wyszedł na dwór.

Zamknęła oczy. Nie chciała o tym myśleć. Nie chciała sobie wyobrażać ślicznego dwulatka, jak chwiejnie maszeruje przez podwórko i z dziecięcą ciekawością zagląda do odkrytej studni. Traci równowagę. Wpada do środka. Nie chciała sobie wyobrażać, jak walczy o życie w mętnej wodzie, jak płacze. O czym myślał w tych ostatnich chwilach, gdy wysoko nad głową widział krąg światła? O niej, jego mamie, której przy nim nie było, która nie wzięła go na ręce? Czy o ojcu, który się z nim bawił i siłował, aż malec pisał z radości? O czym myślał, zanim małe płuca wypełniła woda?

Mrugała szybko, chcąc powstrzymać łzy. Podeszła do Dalliego i objęła go w pasie od tyłu. Oparła głowę na jego barku.

- Bóg daje nam życie w prezencie - stwierdziła. - Nie możemy stawiać wymagań.

Dalie zadrżał. Przywarła do niego z całej siły.

Francesca obserwowała ich spod drzewa orzechowego, rosnącego przy werandzie. W nocnej ciszy słyszała każde słowo. Było jej niedobrze... jeszcze gorzej niż po ucieczce z knajpy. Jej cierpienie wydawało się niczym w porównaniu z tym, co oni przeżywali. Jednak wcale nie знаła Dalliiego. Widziała tylko roześmianego lekkoducha, który niczym się nie przejmował. A tymczasem ukrył przed nią fakt, że ma żonę... i że jego synek nie żyje. Patrzyła na wtulone w siebie postacie na ganku, widziała ich rozpacz i bliskość, która zdawała się równie potężna i niewzruszona jak dom - bliskość, u której podstaw leżało wspólne życie, szczęście i tragedia. Zrozumiała, że ją z Dalliem łączył tylko seks i że miłość ma wymiary, których istnienia nawet nie podejrzewała.

Patrzyła, jak Dallie i Holly Grace wchodzi do domu i przez moment najlepsza jej część życzyła im, by znaleźli pocieszenie w swoich ramionach.

Naomi nigdy dotąd nie była w Teksasie i gdyby miała jakikolwiek wybór, sytuacja nie uległaby zmianie. Półciężarówka wyprzedziła ją, jadąc z oszołamiącą szybkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę. Doprawdy, niektórzy ludzie powinni zostać w miejskich korkach. Na przykład ona. Jest typowym mieszcuchem i denerwuje ją wstążka drogi niknąca za horyzontem. A może to nie przestrzeń działa jej na nerwy, tylko Gery, siedzący obok niej.

Uparł się, że pojedzie z nią. To dla niego najlepszy kamuflaż, tłumaczył. Gliny wypatrują męczyzny podróżującego samotnie, nikt nie zwróci uwagi na parę. Az Teksasu już tylko rzut beretem do Meksyku, gdzie przeczeka najgorętszy okres.

Już niemal zapomniała, jak w latach sześćdziesiątych wszyscy wszędzie wietrzyli obecność policji, obawiali się podsłuchów i kamer. Gerry miał na tym tle obsesję, zachowywał się, jakby J. Edgar Hoover, szef FBI, podsłuchiwał go osobiście. Naomi uważała, że nieco przesadza - nikt przecież nie zwracał na niego uwagi. Nagle zrobiło jej się smutno z tego powodu. Dawniej policja bardzo uważnie śledziła poczynania jej brata.

Szyld oznajmiał, że wjechali do miasta Wynette. Przeszył ją dreszcz podniecenia. Wreszcie znalazła swoją Iskrę. Miała nadzieję, że słusznie postąpiła, nie uprzedzając o swoim przyjeździe, ale czuła instynktownie, że musi opowiedzieć jej o wszystkim osobiście. Musi stanąć z nią twarzą w twarz.

Gerry zerknął na zegarek.

- Nie ma jeszcze dziewiątej. Pewnie nadal śpi. Musieliśmy tak wcześnie wyjechać?

Nie odpowiedziała i tak nie zwróciłby uwagi na jej słowa. Gerry myślał tylko o jednym: jak w pojedynkę zbawić świat. I uniknąć glin, oczywiście. Teraz kulił się za mapą, na wypadek, gdyby przyszczaty nastolatek na stacji benzynowej okazał się agentem FBI.

- Gerry, skończyłeś trzydzieści dwa lata - mruknęła, wracając na autostradę. - Nie masz już tego dosyć?

- Nie sprzedam się, Naomi.

- Wiesz co, moim zdaniem ta ucieczka do Meksyku to akt poddania się, rezygnacji. Ale gdybyś studiował prawo... byłbyś idealnym prawnikiem, uczciwym, o niewzruszonych zasadach...

- Nie zaczynaj znowu!

Czyjeś się zdawało, czy nie był już taki pewny siebie?

- Pomyśl o tym, dobrze? - poprosiła. - W Meksyku.

- Tak, tak. Pamiętaj, obiecałaś, że podwieziesz mnie bliżej Del Rio.

- Jezu, czy ty zawsze myślisz tylko o sobie? Spojrzał na nią z niesmakiem.

- Świat jest na krawędzi katastrofy nuklearnej, a ty sprzedajesz perfumy! Nie chciała kolejnej kłótni, w milczeniu przemierzali więc ulice Wynette.

Gerry rozejrzał się nerwowo, a gdy nie dostrzegł nikogo podejrzanego, z zainteresowaniem przyglądał się wiktoriańskiemu domkowi.

- Fajnie tu. - Wskazał króliki na framugach. - Wyczuwam pozytywne wibracje.

Naomi wzięła torbę i aktówkę. Już miała wysiąść, gdy Gerry złapał ją za ramię.

- To dla ciebie bardzo ważne, prawda, siostrzyczko?

- Gerry, nie rozumiesz tego, ale uwielbiam moją pracę. Skinął głową i się uśmiechnął.

- Powodzenia, malutka.

Francescę obudził odgłos zamykanych drzwiczek samochodu. W pierwszej chwili nie zdawała sobie sprawy, gdzie jest, ale zaraz wszystko sobie przypomniała. W nocy jak zwierzę, które chce zdechnąć w samotności, wpełzła do buika, skuliła się na tylnym siedzeniu i tam zasnęła. Wspomnienia wydarzeń ostatniej nocy były niezwykle przykre. Przeciągnęła się, krzywiąc się przy tym z bólu. Kot, który spał na podłodze, podniósł oszepeczony łepok i zamiauczał.

I wtedy zobaczyła cadillaca.

Wstrzymała oddech. Odkąd sięgała pamięcią, wielkie drogie samochody były zwiastunami samych przyjemności. Kojarzyły się z bogatymi mężczyznami, egzotycznymi miejscami, eleganckimi przyjęciami. Poczowała irracjonalny przypływ nadziei. Może ktoś ze starych przyjaciół odkrył jej miejsce pobytu i przyjechał, żeby ją zabrać; znów będzie żyła jak dawniej. Odgarnęła włosy z twarzy brudną ręką, wysiadła z trudem i poszła do domu. Nie miała siły, by spojrzeć w twarz Dalliemu, a tym bardziej Holly Grace. Skradała się cicho po schodach prowadzących na werandę. Powtarzała sobie, że nie może liczyć na zbyt wiele; może cadillakiem przyjechał dziennikarz na wywiad z Dalliem albo sprzedawca ubezpieczeń - ale i tak wstrzymała oddech z napięcia. Usłyszała nieznany kobiecy głos i przystanęła, niezauważona.

- ... wszędzie jej szukam - mówiła kobieta. -I wreszcie się dowiedziałam, że przebywa tutaj.

- Coś takiego, tyle zachodu przez jedną reklamę - mruknęła panna Sybil.

- Nie, to nie tak. To coś o wiele więcej. Jesteśmy jedną z najważniejszych agencji reklamowych na Manhattanie. Planujemy kampanię reklamową nowych perfum i potrzebna nam jest jej twarz, piękna kobieta, która stanie się naszą Dziewczyną z Iskrą. Wystąpi w telewizji, pojawi się na billboardach w całym kraju. Będzie jedną z najbardziej rozpoznawalnych twarzy w Stanach. Wszyscy będą ją znali.

Francesca miała wrażenie, że odzyskała dawne życie. Dziewczyna z Iskrą! Szukali jej! Radość pulsowała jej w żyłach jak adrenalina, gdy zrozumiała, co mówi ta kobieta. Będzie mogła odejść od Daliiego z dumnie podniesioną głową! Dobra wróżka z Manhattanu odda jej wiarę w siebie!

- Niestety nie mam pojęcia, gdzie ona jest - odparła panna Sybil. - Przykro mi, że trudziła się pani na darmo. Proszę mi zostawić wizytówkę, przekażę ją Dallasowi. Dopilnuje, żeby ją dostała.

- Nie! - Francesca szarpnęła za kłamekę, przerażona, że kobieta zniknie, zanim zdąży z nią porozmawiać. - Nie! Tu jestem! Ja...

- Co się dzieje? - usłyszała gardłowy głos. - Jak leci, panno Sybil? Nie przywitałam się wczoraj, przepraszam. Nie zaparzyła pani przypadkiem kawy?

Francesca zastygła w bezruchu. Holly Grace, w koszulce Daliiego, schodziła ze schodów. Ziewnęła. Francesca czuła, jak ciepłe uczucia wobec niej rozptywiają się bez śladu. Nawet teraz, nieumalowana i rozczochrana, była piękna.

Francesca odchrząknęła i weszła do pokoju, zwracając na siebie uwagę wszystkich.

Kobieta z Nowego Jorku, w eleganckim szarym kostiumie, sapnęła głośno.

- Boże! Jest pani jeszcze piękniejsza niż na zdjęciach! - Uśmiechnęła się szeroko i zrobiła kilka kroków. - Pani pozwoli, że pierwsza pogratuluję, że została pani Dziewczyną z Iskrą.

I wyciągnęła rękę do Holly Grace Beaudine.

Rozdział 16

Równie dobrze Francesca mogła stać się niewidzialna - nikt nie zwracał na nią uwagi. Tkwiła na progu, a kobieta z Nowego Jorku zachwycała się Holly Grace, omawiała szczegóły kontraktu, terminy sesji i opowiadała o jej zdjęciach, zrobionych na jakiejś imprezie dobroczynnej w Los Angeles, na którą Holly Grace poszła z pewnym piłkarzem.

- Ale ja pracuję w handlu artykułami sportowymi - zaprotestowała Holly Grace. - To znaczy, pracowałam, póki nie wdałam się z szefem w dyskusję o równouprawnieniu... Pani nie rozumie. Ja nie jestem modelką.

- Ale będzie pani - zapewniła Naomi. - Tylko proszę obiecać, że pani nie zniknie bez śladu. Pani agent zawsze musi wiedzieć, gdzie pani jest.

- Nie mam agenta.

- Tym też się zajmujemy.

A więc to nie po mnie przyjechała dobra wróżka, myślała Francesca. Nikt się mną nie zaopiekuje. Nie dla mnie cudowny kontrakt. Zobaczyła swoje odbicie w lustrze w ramie z muszli - dzieło panny Sybil. Była rozczochrana, podrapana i posiniaczona, na ramionach miała zaschnięte smugi brudu i krwi. Jak mogła się łudzić, że uroda w życiu wystarczy? Nie ma porównania do Holly Grace i Daliiego. Chloe się myliła. Nie wystarczy ładnie wyglądać, bo zawsze znajdzie się ktoś piękniejszy. Odwróciła się i wyszła na dwór.

Naomi Tanaka wyszła godzinę temu. Holly Grace wróciła do sypialni Daliiego. Po krótkim zamieszaniu związanym z wynajętym samochodem, który w tajemniczy sposób zniknął, kiedy Naomi weszła do domu, panna Sybil zawiozła ją do jedyne w Wynette hotelu. Naomi zapewniła Holly Grace, że ma czas do jutra, żeby przejrzeć kontrakt ze swoim prawnikiem i przemyśleć jej propozycję. Holly Grace właściwie nie miała się nad czym zastanawiać. Proponowali zawrotną sumę - sto tysięcy dolarów, i to wyłącznie za to, że będzie się

wdzięczyła przed kamerami i uśmiechała na pokazach. Przypomniła sobie, jak brakowało im pieniędzy najedzenie.

Z kubkiem kawy w ręku weszła do pokoju Dalliego. Jego łóżko przypominało plac boju — nawet w nocy nie zaznał spokoju. Postawiła jego kubek przy łóżku i podniosła swój do ust.

Dziewczyna z Iskrą. Znaleźli ją w idealnej chwili. Miała już dość walki, udowadniania wszystkim, że jest równie dobra, jak koledzy, a jednak tkwić na tym samym stanowisku. Była gotowa podjąć nowe wyzwanie. I zarobić mnóstwo pieniędzy. Już dawno obiecała sobie, że jeśli los da jej szansę, wykorzysta ją bez wahania.

Usiadła w starym fotelu. Złota bransoleta na kostce lśniła w słońcu. Nagle wyobraziła sobie, co ją czeka: ciuchy od najlepszych projektantów, kosztowne futra, słynne nowojorskie restauracje. Po tylu latach wreszcie los się do niej uśmiechnął.

Spojrzała na Dalliego. Ci, którzy wiedzieli, że od dawna nie mieszkają razem, w kółko pytali, czemu do tej pory się nie rozwiedli. Nie rozumieli, że im odpowiada taki stan rzeczy, że są dla siebie rodziną.

Spojrzała na zarysy jego nóg pod kołdrą. Dawniej ten widok budził w niej pożądanie. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy kochali się po raz ostatni. Wiedziała tylko, że gdyby znowu poszli razem do łóżka, powróciłyby ich stare problemy. Ona na nowo stanie się zagubioną nastolatką, a on - zestresowanym chłopakiem, który robi, co w jego mocy, by utrzymać rodzinę w obliczu nadciągającej klęski. Kiedy przestali ze sobą sypiać, przekonali się, jaka to ulga, pozbyć się tamtej osobowości. Partnerów do łóżka można znaleźć na każdym kroku, prawdziwych przyjaciół - nie.

Dallie jęknął przez sen i przewrócił się na brzuch. Dała mu jeszcze chwilę, żeby się przeciągnął, a potem podeszła do niego. Odstawiła swój kubek, sięgnęła po jego.

- Przyniosłam ci kawę. Wypij to, a wrócisz do świata żywych.

Usiadł, oparł się o wezgłowie i, nadal zaspany, wyciągnął rękę. Podała mu kubek i odsunęła jasne włosy z czoła. Nawet teraz, w półprzytomny i nieogolony, był niezwykle pociągający. Kiedy byli małżeństwem, bardzo jato denerwowało. Budziła się brzydka jak noc, a on wyglądał jak gwiazdor filmowy. Zapewniał ją że rano jest najpiękniejsza, ale nie wierzyła mu. Jeśli o nią chodzi, nie był obiektywny. Uważał, że jest najpiękniejszą kobietą na świecie.

- Widziałaś dzisiaj Francie? - mruknął.

- Tak, przez sekundę w salonie, ale zaraz wybiegła. Dallie, jestem daleka od krytykowania twojego gustu, jeśli chodzi kobiety, ale wydaje się niezbyt... zrównoważona. - Oparła się o wezgłowie, podkuliła kolana i zachichotała na wspomnienie sceny na parkingu Roustabout. - Ale cię zaatakowała, co? Ma za to u mnie plusa. To jedyna kobieta, oprócz mnie, która odważyła się na ciebie rzucić.

Łypnął na nią wrogo.

- Tak? No, to widzę, że macie sporo wspólnego. Obie za dużo gadacie, zwłaszcza rano.

Holly Grace nie zwracała uwagi na jego zły humor. Zawsze był zły po przebudzeniu. Mówiła dalej. Czasami udawało się jej wydobyć z niego interesujące strzępy informacji, zanim w pełni odzyskał panowanie nad sobą.

- Muszę przyznać, że dawno nie przygarnąłeś równie interesującej przybłędy - jest nawet lepsza niż ten klaun z rodeo. Skeet mówił, że zdemolowała ci pokój w Nowym Orleanie. Żałuję, że tego nie widziałam. - Oparła się na łokciu. - A tak z czystej ciekawości: dlaczego jej o mnie nie powiedziałeś?

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej znad krawędzi kubka, a potem odsunął go od ust, nie pijąc nawet łyka.

- Nie pleć bzdur. Oczywiście, że o tobie wiedziała. Twoje imię w kółko pojawiało się w rozmowach.

- Skeet powiedział to samo, ale czy któryś z was choć raz użył słowa: żona?

- Na pewno. Ja... albo Skeet... albo panna Sybil. - Przeczesał włosy palcami. - Sam nie wiem.

- Przykro mi, skarbie, ale mam wrażenie, że wczoraj po raz pierwszy usłyszała tę straszną nowinę.

Zniecierpliwiony, odstawił kubek.

- No i co z tego? Francie widzi tylko siebie, nie zależy jej na nikim innym. Jeśli o mnie chodzi, to skończona sprawa.

Nie zaskoczył jej tym. Wczorajsza awantura na parkingu wyglądała na ostateczne pożegnanie... chyba że zainteresowani kochają się do szaleństwa, jak oni kiedyś.

Gwałtownie odrzucił kołdrę i wstał, prawie nagi, jeśli nie liczyć białych slipów. Przyglądała mu się z przyjemnością i zastanawiała się, co za kretyn stwierdził, że kobiety nie lubią patrzeć na męskie ciała. Pewnie jakiś jajogłowy grubas z potrójnym podbródkiem.

Dallie poczuł na sobie jej wzrok, odwrócił się i łypnął gniewnie, choć wiedziała, że w głębi duszy się cieszy, że go podziwia.

- Muszę zapytać Skeeta, czy dał jej pieniądze na samolot. Jeśli nikt jej nie dopilnuje, wpakuje się w jeszcze większe tarapaty.

Holly Grace przyjrzała mu się uważniej, zaskoczona przypływem zazdrości. Już od dawna nie przeszkadzało jej, że Dallie ma inne kobiety, zwłaszcza że sama też nie żyła w celibacie, ale nie podobało jej się, że zależy mu na kobiecie, której sama nie zaakceptowała, co dowodzi, jaka z niej paskudna hipokrytka.

- Polubiłeś ją, co?

- Była w porządku - odparł sztywno.

Holly Grace chciała dowiedzieć się o wiele więcej, na przykład, jaka była w łóżku, ale wiedziała, że nic z niego nie wyciągnie, dała więc na razie spokój. Zresztą Dallie wreszcie oprzytomniał i mogła podzielić się z nim najważniejszą nowiną dnia.

Zareagował dokładnie tak, jak się spodziewała.

Powiedziała, żeby się wypchał.

Wyjaśnił, że cieszy się z tej propozycji, ale uważa, że problemem jest jej podejście.

- Moje podejście to nie twój zakichany interes! - syknęła.

- Holly Grace, kiedyś zrozumiesz, że szczęście nie jest opakowane w banknoty dolarowe. Chodzi o coś więcej.

- A od kiedy niby jesteś takim ekspertem w tej kwestii? Nawet głupek wie, że lepiej być bogatym niż biednym. I nawet jeśli ty postanowiłeś sobie do końca życia pozostać nieudacznikiem, nie znaczy, że ja zrobię to samo.

Kłócili się i ranili jeszcze przez pewien czas, potem siedzieli, obrażeni, w milczeniu. Dallie zadzwonił do Skeeta, Holly Grace poszła się ubrać. Dawniej przerwaliby tę ciszę w łóżku, licząc naiwnie, że seks rozwiąże problemy ducha. Ale teraz byli mądrzejsi i z czasem gniew im minął. Wkrótce razem zeszli do kuchni na śniadanie.

Mężczyzna za kierownicą cadillaca budził strach, choć był niepokojąco przystojny; czarnowłosy, krępy, gniewny, o bystrych, czujnych oczach. Miała nieprzyjemne wrażenie, że już gdzieś widziała tę twarz, ale nie mogła sobie przypomnieć, gdzie. Dlaczego nie zastanowiła się choć przez chwilę, gdy zaproponował, że ją podwiezie? Nie, bez namysłu wsiadła do samochodu. Zapytała go, co robił przed domem Dalliego, a on odparł, że jest szoferem, ale pasażerka już go nie potrzebuje.

Usiłowała wyjąć stopę spod kota, ale zwierzę kurczowo się jej uczepiło, dała więc spokój. Mężczyzna spojrział na nią przez kłęb dymu z papierosa, a potem znów bacznie obserwował drogę. Co chwila nerwowo zerkał w boczne lustro. Drażniło ją to. Czego się obawia? Może wcale nie jest szoferem? Może ukradł ten samochód? Dlaczego nie poczekała, aż Skeet odwiezie ją na lotnisko w San Antonio? Nie umierałaby teraz ze strachu. Po raz kolejny dokonała niewłaściwego wyboru. Dallie miał rację, kiedy powtarzał, że nie ma za grosz zdrowego rozsądku.

Dallie... Zagryzła usta i przyciągnęła kuferek z kosmetykami do piersi. Siedziała w kuchni, nie mogąc się poruszyć, a panna Sybil poszła na górę, spakowała jej rzeczy i wręczyła kopertę, w której była suma wystarczająca na bilet do Londynu. Francesca patrzyła tępo na kopertę. Wiedziała, że nie powinna jej przyjąć, a jeśli to zrobi, straci resztki szacunku do samej siebie.

Poczuj się jak prostytutka, która przyjmuje wynagrodzenie za swoje usługi. Ale jeśli jej nie przyjmie... Wzięła pieniądze i czuła, jak umiera jej ostatnia niewinna, radosna cząstka. Nie patrząc w oczy pannie Sybil, wsunęła pieniądze do kufereka. Nagle zrobiło się jej niedobrze. Boże, a jeśli naprawdę jest w ciąży? Z najwyższym trudem powstrzymała odruch wymiotny. Starsza pani łagodniejszym niż zwykle głosem powiedziała, że Skeet odwiezie ją na lotnisko.

Francesca dumnie pokręciła głową i oznajmiła najbardziej wyniosłym tonem, na jaki mogła się zdobyć, że ma inne plany, porwała kuferek i wybiegła. Bała się, że jeszcze chwila, a rzuci się pannie Sybil w ramiona i z płaczem wyzna, że nie ma pojęcia, co robić.

Cadillac wpadł w koleinę. Jakiś czas temu zjechali z głównej drogi. W zadumie przyglądała się wydłużającym się cieniom na poboczu... i nagle coś ją uderzyło. To już nie była ta sama Francesca, co miesiąc temu. Czegoś się nauczyła.

- Jedziemy na zachód! - krzyknęła nagle. - A nie do San Antonio!

- To skrót. - Mężczyzna odłożył mapę.

Znowu zbierało się jej na mdłości. Gwałt... morderstwo... Może to zbiegły więzień? Zostawi jej poćwiartowane zwłoki gdzieś na poboczu? Nie wytrzyma tego dłużej. Ma złamane serce, jest zmęczona i nie stać jej na kolejną katastrofę. Daremnie szukała wzrokiem innego samochodu. Dostrzegła jedynie, o wiele kilometrów dalej, maszt radiowy.

- Proszę mnie wypuścić - powiedziała spokojnie, jakby wcale się nie obawiała, że chory psychicznie morderca zadźga ją na teksaskiej szosie.

Nie mogę- odparł. Jego oczy lśniły jak kawałki czarnego marmuru. -Proszę poczekać, dopóki nie dojedziemy bliżej granicy z Meksykiem, później panią wypuszczę.

Denerwowała się coraz bardziej. Mężczyzna głęboko zaciągnął się papierosem.

- Proszę posłuchać, nie pani nie zrobię, nie uznaję stosowania przemocy, po prostu wolałbym, żeby jechała ze mną kobieta, to nie budzi podejrzeń glin...

Nie udało mu się jej uspokoić, jeśli taki miał zamiar. Dotarło do niej, że to naprawdę zbieg. Nie zdołała powstrzymać ogarniającej jej hysterii. Zwolnił na zakręcie. Nerwowo szarpnęła za klamkę.

- Ej! - Zahamował i złapał ją za ramię. Samochód się zatrzymał. - Proszę się uspokoić. Nie pani nie zrobię.

Usiłowała mu się wyrwać. Krzyczała. Kot wskoczył na siedzenie obok niej.

- Proszę mnie wypuścić! - wrzasnęła.

Mężczyzna trzymał mocno. Mówił, nie wyjmując papierosa z ust.

- Spokojnie. Chcę tylko dojechać bliżej granicy i...

Wydawało się jej, że czarne oczy patrzą coraz groźniej.

- Nie! - krzyknęła. - Chcę wysiąść! Tutaj! Zaraz! - Ze zdenerwowania nie mogła znaleźć klamki w drzwiach. Naparła na nie całym ciałem. Kot, zaskoczony zamieszaniem, wyprężył grzbiet i wbił pazury w udo mężczyzny.

Ten krzyknął z bólu i usiłował zepchnąć kota, który zamiauczał rozpaczliwie.

- Proszę go zostawić! - Francesca przestała się mocować z drzwiami i ruszyła kotu na ratunek. Uderzyła mężczyznę w ramię. Kot nie puszczał jego uda.

Niech pani go zabierze! - wrzasnął mężczyzna. Machnął ręką i przy okazji, niechcący wytrącił sobie papierosa z ust. Rozżarzony niedopałek wpadł mu za rozchełstaną koszulę. Jęknął z bólu, gdy żar dotknął skóry.

Trafił łokciem w klakson.

Francesca waliła go w klatkę piersiową.

Kot włożył mu na ramię.

- Precz! - wrzasnął.

Francesca ponownie szarpnęła za klamkę, która tym razem ustąpiła. Wyskoczyła z wozu. Kot za nią.

- Oszałała pani! - wrzasnął kierowca, wyciągnął sobie papierosa zza koszuli i masował obolałe udo.

Francesca zobaczyła swój kuferek na przednim siedzeniu i rzuciła się w stronę otwartych drzwiczek, ale mężczyzna zobaczył, co robi, zatrzasnął drzwi i nacisnął pedał gazu.

- Mój kuferek! - zawołała. - Proszę mi go oddać!
- Sama go sobie weź! - Pokazał jej środkowy palec i odjechał w obłoku kurzu.
- Mój kuferek! - krzyczała. - Muszę go odzyskać!

Biegła za cadillakiem, dopóki nie zniknął jej z oczu. Wtedy osunęła się na kolana pośrodku drogi.

Serce waliło jej w piersi jak oszalałe. Roześmiała się, dziko, nieludzko. No, to wreszcie się doigrała. Tylko że tym razem złotowłosego rycerz nie wybawi jej z opresji. Obok rozległo się chrapliwe miauknięcie. Nie ma nikogo, oprócz jednookiego kota.

Wstrząsały nią dreszcze. Otuliła się ramionami. Bała się, że lada chwila rozpadnie się na kawałki, tu, pod bezkresnym, bezchmurnym niebem, na pustej drodze, w obłoku kurzu... Straciła już wszystko. Tu, w tym kraju, straciła wszystko, co miała. Wszystko, czym była.

Powracały wspomnienia cytatów z Biblii, słowa dawno zapomnianych niań, coś o drodze do Damaszku, o upadku i powstaniu... Ukryła dłonie w kurzu i zapragnęła cudu, isticie biblijnego cudu, który pozwoliłby jej odrodzić się na nowo... Czekwała na głos niebios, który do niej przemówi i wskaże drogę. Czekwała i nagle zaczęła się modlić, po raz pierwszy w życiu:

- Boże, błagam... spraw cud. Boże, odezwij się do mnie... Daj mi znak...

Była to szczerza, żarliwa modlitwa, jej wiara, zrodzona w chwili rozpacz - niezachwiana, bezgraniczna. Bóg jej odpowie. Musi. Czekwała na zwiastuna z płonącym mieczem, który poprowadzi ją ku nowemu życiu.

- Zrozumiałam nauczkę, Boże. Naprawdę. Już nigdy nie będę samolubna. - Czekwała. Łzy rzeźbiły jasne smugi na zakurzonych policzkach. Czekwała na posłańca i nagle zobaczyła jakąś postać... początkowo niewyraźną. Skupiła się, szukała w najdalszych zakątkach umysłu, szukała w wyobraźni tej wizji posłańca. Szukała i znalazła...

Scarlett O'Hara.

Zobaczyła Scarlett leżącą na ziemi Tary, na tle wzgórze w technikolorze. Scarlett, która ślubuje:

„Bóg mi świadkiem, że już nigdy więcej nie będę głodna”.

Francesca czuła, jak ogarnia ją histeryczny śmiech przez łzy. Przysiadła na piętach i roześmiała się na całe gardło. Typowe, pomyślała. Czego innego się spodziewała? Inni ludzie w odpowiedzi na modlitwy dostają pioruny i aniołów. Ona dostała Scarlett.

Wstała i szła, bezmyślnie, przed siebie, w tumanach kurzu. Nagle wyczuła coś w tylnej kieszeni. Sięgnęła tam i wyjęła - dwudziestopięciocentową monetę. Spojrzała na nią. Sama w obcym kraju, bez dachu nad głową, prawdopodobnie w ciąży - nie może zapominać o tej katastrofie - stała na teksaskiej drodze, mając tylko ubranie na grzbiecie, jedną monetę w dłoni i wizję Scarlett O'Hary.

I nagle ogarnęła ją dziwna euforia, poczuła, że może wszystko. To Ameryka, kraj wielkich szans. Miała siebie dosyć, nie podobało jej się to, kim się stała. Była gotowa zacząć od nowa.

Córka Black Jacka spojrzała na drobną monetę w dłoni, zważyła ją i zamyśliła się głęboko. Skoro ma zacząć od początku, nie chce mieć niczego, co ją wiąże z przeszłością. Bez namysłu cisnęła monetę w dal.

W bezkresnej przestrzeni nie słyszała nawet, gdzie dwudziestopięciocentówka upadła.

Rozdział 17

Holly Grace siedziała na zielonej drewnianej ławce i obserwowała, jak Dallie ćwiczy dalekie piłki. W koszyku z piłeczkami prześwitywało już dno, a nadal posyłał wszystkie piłki na prawo. Skeet przycupnął obok i naciągnął kapelusz na oczy, żeby nie patrzeć, co Dallie wyprawia.

- Co z nim? - mruknęła Holly Grace. Przesunęła okulary słoneczne na czubek głowy. - Nieraz widziałam, jak gra na kacu, ale nigdy tak źle. Nawet nie stara się skorygować błędu, w kółko uderza tak samo.

- To ty czytasz w nim jak w książce - sapnął Skeet. - Wiesz, o co chodzi?

- Ej, Dallye! - zawołała Holly Grace. - W życiu nie widziałam gorszych podań! Daj sobie spokój z tą Angielką i skup się na piłce, dobrze?

Dallye wziął zamach.

- Nie wsadź nosa w nie swoje sprawy!

Wstała, obciągnęła białą bluzeczkę i podeszła do niego. Mężczyzna, którego mijana, tak zapatrzył się na jej pełne piersi, że nawet nie trafił w piłeczkę. Uśmiechnęła się zawadiacko i stwierdziła, że celowałaby lepiej, gdyby przyglądał się temu, w co uderza.

Dallye wyprostował się powoli. W popołudniowym słońcu jego włosy lśniły złotem. Holly Grace zmrużyła oczy.

- Skarbie, w Dallas rozniosą cię na strzępy. Dam Skeetowi pięćdziesiątka, żeby postawił przeciwko tobie.

Dallye sięgnął po butelkę piwa.

- Wiesz, Holly Grace, najbardziej kocham cię za to, że umiesz mnie zmotywować.

Przytuliła się do niego i wciągnęła w nozdrza charakterystyczny zapach przepoconej koszulki i skórzanych uchwytów kijów golfowych.

- Mówię, co myślę, skarbie. - Cofnęła się, zadrżała mu w oczy. - Martwisz się o nią, tak?

Dallye zapatrzył się w dal.

- Czuję się za nią odpowiedzialny, nic na to nie poradzę. Źle się stało, że Skeet pozwolił jej odejść. Wie, jaka ona jest. Wplątuje się w horrory, w barowe awantury, sprzedaje ciuchy w lombardach. No i wczoraj rzuciła się na mnie, nie?

Holly Grace z uwagą przyglądała się białym rzemykom swoich sandałów.

- Prędzej czy później będziemy musieli się rozwieść.

- Niby po co? Chcesz wyjść za mąż?

- Skądże. Ale... to nie jest dobre ani dla mnie, ani dla ciebie, wykorzystujemy nasze małżeństwo jako zasłonę dymną przed silniejszym zaangażowaniem.

Przyglądał się jej podejrzliwie.

- Znowu czytałaś „Cosmo”, tak?

- Dostyc tego! - Energicznie włożyła słoneczne okulary, podeszła do ławeczki i zabrała torebkę. - Nic da się z tobą rozmawiać! Jesteś taki ograniczony!

- Przyjadę po ciebie o szóstej! - zawołał za nią. - Zaprosisz mnie na kolację. Holly Grace odjeżdżała z piskiem- opon, a Dallye podał kije Skeetowi.

- Zagrajmy partyjkę. Może pójdzie mi lepiej.

Nie poszło. Nie wiedział, co się dzieje. Nieprawda, wiedział aż za dobrze. Miał za dużo kobiet na głowie, i tyle. Miał też wyrzuty sumienia z powodu Francie. Za skarby świata nie mógł sobie przypomnieć, czyjej mówił, że jest żonaty, ale to nie powód, żeby się zachowywała, jakby się jej oświadczył! Do licha, ostrzegał ją przecież, że nie interesuje go trwały związek. Dlaczego kobiety takie są? Mówisz im prosto w oczy, że się z nimi nie ożenisz, a one kiwają głową ze słodkim uśmiechem i zapewniają, że wcale im na tym nie zależy, a w głębi duszy już wybierają serwis stołowy? Między innymi dlatego nie chciał rozwodu. Ale przede wszystkim dlatego, że stanowili z Holly Grace rodzinę.

Kiedy schrzanił dwie piłki pod rząd, stwierdził, że ma na dzisiaj dosyć. Odesłał Skeeta do domu i przez dłuższy czas włóczył się po polu golfowym, wyciągał zgubione piłki z zarośli, jak dawniej, w dzieciństwie. W pewnym momencie zdał sobie sprawę, że dochodzi szósta, a jeszcze musi się przebrać i jechać do Holly Grace. Spóźni się, a ona się wkurzy. Tak często się spóźniał, że z czasem przestała walczyć o punktualność. Sześć lat temu też się spóźnił. O dziesiątej mieli wybrać w domu pogrzebowym dzieciną trumienkę. Przyszedł dopiero o dwunastej.

Zamrugnął szybko. Czasami ból stawał się nie do zniesienia. Niekiedy umysł płatał mu figle i widział Danny'ego, tak wyraźnie jak własne odbicie w lustrze. A potem wracało wspomnienie wykrzywionej bólem twarzy Holly Grace, gdy jej powiedział, że ich synek nie żyje, że pozwolił, by ich śliczny jasnowłosy chłopczyk umarł.

Wściekle machnął kijem. Nie chciał myśleć o Darmym. Wołał wspominać Holly Grace, taką jaką pamiętał ze szkoły...

Była najpiękniejszą dziewczyną w Wynette i wszyscy chłopcy chcieli się z nią umówić.

On też, ale zdawała się go nie zauważać, kiedy przechodziła, dumna, wyniosła, kusząca. A jednak zgodziła się pójść z nim na szkolny bal... I od tego wszystko się zaczęło. Kilka tygodni później poszli do łóżka – dla obojga był to pierwszy raz. Bardzo szybko zaczęli używać prezerwatyw, ale wtedy Holly Grace spodziewała się już dziecka.

Skeet znalazł sobie pracę na budowie, pod Austin, żeby im pomóc. Dallye studiował, po zajęciach pracował jako dekarz, w wolnych chwilach dorabiał na polu golfowym. Musieli wspierać finansowo matkę Holly Grace, biedną, zagubioną Winonę, i nie było im łatwo.

Dallye od dawna znał smak biedy, znosił to więc spokojnie, ale nie Holly Grace. Serce mu się krajało, gdy widział przerażenie na jej twarzy. Miał uczucie, że jązawiodł, i wszczynał awantury - gorzkie, bolesne kłótnie, podczas których zarzucał jej, że nic nie robi. Mówił, że nie sprząta, że jest leniwa, że nie umie gotować. A ona warczała, że Dallye za mało zarabia, domagała się, by przestał grać w golfa i studiował ekonomię.

- Nie chcę studiować ekonomii! - wrzasnęła kiedyś. Cisnął podręcznikiem o kuchenny blat. - Chcę studiować literaturę i grać w golfa!

Rzuciła talerzem o podłogę.

- Skoro tak bardzo chcesz grać w golfa, po co studiujesz literaturę?

- Bo w mojej rodzinie nikt dotąd nie skończył studiów! Będę pierwszy! -W tej chwili Danny zaczął płakać. Dallye wziął go na ręce, ukrył twarz w miękkich lokach i unikał wzroku Holly Grace. Jak miał wytłumaczyć, że musi udowodnić coś całemu światu, skoro sam nie wiedział, co to jest?

Tak jak pod pewnymi względami byli podobni, pod innymi różnili się jak niebo i ziemia. Kłócili się coraz bardziej, walczyli coraz ostrzej, wyszukiwali swoje najsłabsze miejsca, żeby boleśniej się zranić, a potem wstydzili się gorzkich słów. Skeet twierdził, że kłócili się, bo byli tak młodzi i niedojrzali, że wychowywali nie tylko Danny'ego, ale i siebie nawzajem. I miał rację.

Ich małżeństwo od początku nie było łatwe. A potem umarł Danny.

Wyrzuty sumienia zżerały Dallyego jak rak. Od razu wyprowadzili się z domu, w którym doszło do tragedii, ale i tak sny o studni prześladowały go co noc. W tych snach widział zerwany zawias, odwracał się i szedł do garażu po narzędzia, żeby go naprawić. Jednak nigdy nie zdążył na czas. Nagle znowu był w Wynette, albo, co gorsza, przed starą przyczepą na przedmieściach Houston, w której spędził dzieciństwo. Wiedział, że musi zawrócić, naprawić zawias, ale coś go powstrzymywało.

Budził się złany potem, w zmiętej pościeli. Często okazywało się, że Holly Grace też nie śpi: płakała z twarzą wtuloną w poduszkę, żeby mu nie przeszkadzać. I to było najgorsze. Nigdy wcześniej nie płakała. Nie uroniła ani jednej łzy podczas trudnych lat w Wynette, z niezaradną, zagubioną matką; nie płakała, kiedy nie mieli grosza przy duszy, nawet na pogrzebie Danny'ego siedziała nieruchoma jak marmurowy posąg - to on szlochał jak dziecko. A teraz płakała i wiedział, że wydarzyło się najgorsze.

Poczucie winy nie dawało mu żyć. Wystarczyło, by zamknął oczy, a widział Danny'ego, jak do niego biegnie na pulchnych nóżkach, w dżinsowych ogrodniczkach. Słońce błyszczy w jasnych lokach. Widział niebieskie oczy, szeroko otwarte ze zdumienia, i niewiarygodnie długie rzęsy. Słyszał dziecinny śmiech. Widział Danny'ego, a potem słyszał szloch Holly Grace i jego poczucie winy potęgowało się tak bardzo, że pragnął umrzeć, jak Danny.

W końcu powiedziała, że odchodzi, że nadal go kocha, ale znalazła sobie pracę w Fort Worth, w sklepie ze sprzętem sportowym. Tej nocy znowu obudził go jej płacz.

Przez chwilę leżał z otwartymi oczami, a potem odwrócił ją brutalnie i uderzył w twarz. I jeszcze raz. A później zerwał się z łóżka i wybiegł z domu. Niech Holly Grace Beaudine zapamięta, że jej mężem był skurczybyk, który ją bił, a nie jakiś nieodpowiedzialny dzieciak, przez którego płakała, bo zabił ich dziecko.

Kiedy wyjechała, pił tyle, że nie był w stanie grać w golfa. W końcu Skeet zadzwonił po Holly Grace. Przyjechała.

- Po raz pierwszy od dawna jestem szczęśliwa - powiedziała. - Spróbuj i ty.

Minęło sporo czasu, zanim nauczyli się tej nowej miłości. Początkowo zawsze od razu szli do łóżka i stare kłótnie ożywały na nowo. Czasami próbowali być razem, ale mieli różne oczekiwania wobec życia i nigdy im się nie układało. Kiedy po raz pierwszy zobaczył ją

z innym mężczyzną, miał ochotę zamordować oboje, ale wtedy wpadła mu w oko ładniutka sekretarka, więc się opanował.

Często rozmawiali o rozwodzie, ale żadne nie ruszyło palcem w tej sprawie. Dallye kochał Skeeta całym sercem, Holly Grace oddałaby życie za matkę, ale to oni, Dallye i Holly Grace, stanowili prawdziwą rodzinę, a jeśli miało się ciężkie dzieciństwo, niełatwo jest zrezygnować z rodziny.

Rozdział 18

W ciągu następnych miesięcy Francesca sporo się dowiedziała o sobie. Tamtego strasznego dnia, gdy szła w tumanie kurzu teksaską drogą, napotkała niski, biały budynek na odludziu - była to stacja radiowa. Nie myślała o dumie, nie zadzieriała nosa, pokornie przyjęła jedyną pracę, jaką mogła dostać - została sprzątaczką. Początkowo nocowała w budynku stacji, dopóki nie zaoszczędziła tyle, że było ją stać na obskurny pokój nad garażem, ciasny, brzydki, ale własny.

W sytuacji, gdy miała nóż na gardle i dziecko w brzuchu, okazało się, że jest bardziej inteligentna, niż kiedykolwiek przypuszczała. Szybko się uczyła, niczego nie zapomniała, a jej umysłu nie ograniczały idee wpojone przez nauczycieli. Po trudnych pierwszych miesiącach ciąży odkryła też w sobie niewyczerpane, zdawałoby się, siły do ciężkiej pracy. Wykorzystała to: nocami czytała do późna, słuchała starych radiowych nagrań i szycowała się do pierwszego poważnego kroku w karierze.

- Clare, masz chwilę? - zapytała któregoś dnia. W spoczonej dłoni ścisnęła kasetę. Szefowa, zgorzkniała, surowa kobieta, świetny fachowiec, straciła pracę w dobrej, dużej rozgłośni na rzecz ślicznej debutantki, i nie cierpiała Franceski całym sercem. Z sadystyczną przyjemnością wyznaczała jej najgorsze, najczarniejsze zadania. Teraz przeglądała katalog branżowy i na wet nie raczyła podnieść głowy. Porządkowała zbiory muzyczne stacji.

Nie był to imponujący zbiór - ot, wielka szafa pełna płyt i kaset. Francesca celowo zagadnęła ją właśnie w tej chwili, na neutralnym gruncie; nie chciała stanąć przed Clare, która wszechmocna jak pan Bóg, siedziała za swoim biurkiem i bez namysłu decydowała o jej być albo nie być.

- Mam cały dzień - syknęła Clare ironicznie. - Wiesz, od kilku godzin nic nie robię i tylko czekam, aż ktoś znajdzie mi jakieś zajęcie.

Nie był to zbyt obiecujący początek, ale Francesca puściła złośliwość mimo uszu i stanęła w drzwiach. Miała na sobie swój najnowszy nabytek - szarą męską koszulę. Pod nią związała dżinsy sznurkiem. Francesca spojrzała Clare prosto w oczy:

- Chciałabym dostać posadę Tony'ego, kiedy odejdzie.

- To żart, prawda?

Nie. - Francesca zacisnęła usta i mówiła dalej z całą pewnością siebie, najakąbyto ją stać. - Dużo ćwiczylam. Jeny pomógł mi nagrać taśmę demo. - Wyciągnęła rękę z kasetą. - Chyba dam radę.

Clare uśmiechnęła się zimno.

- Ciekawe, zwłaszcza że masz wyraźny brytyjski akcent i w życiu nie siedziałas przed mikrofonem. Oczywiście słodziutka cheerleaderka, która mnie wygryzła z posady w Chicago, też w życiu nie była na antenie, powinnam się więc chyba pilnować?

Francesca nie dała się sprowokować.

Bardzo chciałabym spróbować. Mój brytyjski akcent może się okazać zaletą.

- Sprzątasz kible. - Clare zapaliła papierosa. - Do tego cię zatrudniłam.

Francesca nie dawała za wygraną.

- I robię to dobrze, prawda? Dobrze sprzątam kible i robię wszystko, co mi każesz. Daj mi szansę.

- Nie ma mowy.

Francesca nie mogła dłużej owijać w bawełnę. Musi myśleć o dziecku, o przyszłości.

- Wiesz, Clare, coraz bardziej mi ciebie żal.

- Jak to?

- Znasz to powiedzenie, że nie zrozumiesz innej osoby, póki nie znajdziesz się na jej miejscu? Rozumiem cię, Clare. Wiem doskonale, co to znaczy, kiedy cię dyskryminują ze względu na to, kim jesteś, nieważne, jak ciężko pracujesz. Wiem, co to znaczy, kiedy odmawia ci się szansy - nie dlatego, że nie masz odpowiednich umiejętności, tylko dlatego, że szef ulega swoim uprzedzeniom.

- Uprzedzeniom! - Z płuc Clare wydobył się dym. - Nie jestem uprzedzona! To ja padłam ofiarą uprzedzeń i dyskryminacji!

Teraz Francesca już nie mogła się wycofać, brnęła więc dalej.

- Nie poświęcisz nawet kwadransa, żeby wysłuchać mojej taśmy demo. Jak to nazwiesz, jeśli nie dyskryminacją i uprzedzeniem?

Clare zacisnęła usta w wąską linię.

- Dobrze, Francesco, wysłucham tej taśmy, ale nie licz na zbyt wiele. - Wyrwała jej kasetę z dłoni.

Francesca nie mogła się skupić do końca dnia. Musi dostać tę pracę. Po pierwsze, potrzebuje pieniędzy... Po drugie, bardzo chciała, żeby coś jej się wreszcie udało. Radio to medium bez obrazu, w którym błyszczące zielone oczy i śliczny profil nie mają znaczenia. Radio to jej papierek lakmusowy; tu udowodni, że nie musi posługiwać się swoją urodą, żeby coś osiągnąć.

O wpół do drugiej Clare zawołała ją do siebie. Francesca starała się iść z dumnie podniesioną głową, ale nie najlepiej jej to szło.

- Nie jest strasznie - zaczęła Clare. - Ale nie jest też rewelacyjnie. - Rzuciła kasetę na biurko.

Francesca starała się nie okazać rozczarowania.

- Mówisz zbyt gardłowym głosem - ciągnęła Clare rzeczowo. - I za szybko, akcentujesz nie te słowa, co trzeba. Jediną zaletą jest akcent. Gdyby nie on, byłabyś kopia wszystkich kiepskich didżejów z tej stacji.

Francesca rozpaczliwie doszukiwała się w głosie Clare personalnej urazy, cienia mściwości, ale słyszała jedynie świetnego fachowca.

- Nagram jeszcze jedną taśmę - poprosiła.

Clare odchyliła się na trzeszczącym krześle.

- Bez sensu. Takie stacje jak nasza to radio z osobowością. Jeśli ludzie chcą muzyki, szukają czegoś innego. Aby sobie poradzić w rozgłośni mówionej, nawet tak gównianej jak nasza, musisz pamiętać, że mówisz do ludzi, nie do mikrofonu. Bo jeśli nie, będziesz kolejną gwiazdką.

Francesca porwała kasetę i ruszyła do drzwi. Obawiała się, że samokontroli nie wystarczy jej już na długo. Jak mogła być tak naiwna i sądzić, że poradzi sobie w radiu? Kolejne rozwiane złudzenie. Kolejny zamek na piasku runął.

- Jedyne, co mogę ci zaproponować, to zastępstwa za chorych w weekendy. Francesca odwróciła się na pięcie.

- Zastępstwa? Naprawdę?

- Jezu, Francesco, nie robię ci żadnej łaski. Po prostu usiądziesz przed mikrofonem w niedzielę wielkanocną, kiedy i tak nikt nie słucha radia. Ale Francesca nie pozwoliła odebrać sobie tej chwili radości. Wieczorem wyjęła puszkę kociego jedzenia z szafki kuchennej

i wdała się w codzienną rozmowę z Bestią.

- Będę kimś - zwierzyła mu się. - Nieważne, jak ciężko będę musiała pracować, żeby to osiągnąć. Zostanę najlepszą spikerką w KDSC. – Bestia zadął tylną łapę i oddał się wieczornej toalecie. Francesca łypnęła groźnie. - To obrzydliwie, co robisz. Nie łudź się, że będę tolerowała takie zachowanie w obecności mojej córeczki.

Bestia nie zwracał na nią uwagi. Wyjęła z szuflady zardzewiały otwieracz i przebiła wieko puszek, ale nie otwierała jej jeszcze. Rozmarzonym wzrokiem wpatrywała się wdał. Instynkt podpowiadał, że urodzi córeczkę-śliczną malutką Amerykankę, którą od małości nauczy, że nie można polegać jedynie na urodzie. Bo mała na pewno odziedziczy urodę po rodzicach. Będzie czwartym pokoleniem pięknych kobiet Serritellich i pobije wszystkie poprzedniczki na głowę. Francesca obiecała sobie, że nauczy córeczkę tego wszystkiego, czego musiała nauczyć się sama, tych wszystkich rzeczy, które kobieta musi wiedzieć, żeby nie wylądować na środku zakurzonej drogi w Teksasie.

Bestia wyrwał ją z marzeń - walił łapką w jej stopę, znudzony czekaniem na kolację. Szybko otworzyła puszkę.

- Nazwę ją Natalie. To śliczne imię, takie kobiece, a zarazem pełne siły. Co ty na to?

Bestia nie spuszczał wzroku z miseczki z kolacją, na którą, jego zdaniem, stanowczo za długo musiał czekać. Francesca poczuła guł w gardle. Kobieta nie powinna mieć dziecka, skoro jej jedynym towarzyszem jest kot. Zaraz jednak odepchnęła tę myśl od siebie. Nikt jej nie zmuszał do urodzenia tego dziecka. Sama podjęła tę decyzję i teraz nie będzie się nad sobą użalać. Kucnęła i postawiła miseczkę na sfatygowanym linoleum. Usiadła obok kota.

- Wiesz co, Bestio? Dzisiaj stało się coś cudownego. - Poglaskała miękkie kocie futerko. - Poczułam, jak mój dzidzius się rusza...

Trzy tygodnie po rozmowie w gabinecie epidemia grypy zdziesiątkowała personel KDSC i Clare była zmuszona posadzić Francescę za mikrofonem w środowy ranek.

- Pamiętaj, mówisz do ludzi - warknęła, gdy Francesca z duszą na ramieniu szła do studia.

Było ciasne i duszne. Ogromny stół kontrolny zajmował lwią część pomieszczenia. Po jego prawej stronie widniała szyba, po drugiej - płyty wybrane na ten tydzień czekały w małych przegródkach. Oprócz tego był tam stojak z kasetami i setki ostrzeżeń i upomnień na małych karteczkach.

Francesca usiadła za mikrofonem i niezdarnie założyła słuchawki. Cały czas drżały jej ręce. W tak małej stacji jak KDSC nie było inżynierów dźwięku -prowadzący sami obsługiwali sprzęt. Francesca uczyła się tego godzinami.

Serwis informacyjny dobiegał końca. Francesca ze strachem patrzyła na szeregi barwnych przycisków. Denerwowała się tak bardzo, że rozmywały się jej przed oczami, traciły kształty, topiły się, jak zegarki na obrazie Salva-dora Dali. Z trudem wzięła się w garść. Skupiła się, znalazła właściwy przycisk, włączyła mikrofon. Poczuła strużkę potu między piersiami. Musi dzisiaj dać z siebie wszystko, inaczej Clare nigdy więcej nie wpuści jej na antenę.

Myślała, że nie oderwie języka od podniebienia, kiedy w końcu z trudem otworzyła usta.

- Witajcie - wychrypiała. - Tu radio KDSC, przy mikrofonie Francesca Day i środowy muzyczny ranek.

- Mówiła zbyt szybko, słowa zlewały się w jedno, plotła, co jej ślina na język przyniosła, choć w myślach ćwiczyła ten pierwszy występ setki razy. W panice włączyła piosenkę w nieodpowiednim momencie. Jęknęła i wtedy zdała sobie sprawę, że nie wyłączyła mikrofonu i jej jęk poszedł w eter.

Clare obserwowała ją przez okno i kręciła głową z politowaniem. Francesca niemal słyszała, jak mówi z pogardą:

- Gwiazdeczka.

W końcu uspokoiła się na tyle, by dalej poprowadzić audycję, ale w ciągu ostatnich miesięcy wysłuchała tylu nagrań prezenterów z prawdziwego zdarzenia, że sama zdawała sobie sprawę, jaka jest kiepska. Plecy bolały ją z napięcia. Kiedy audycja wreszcie się skończyła i Francesca wyszła ze studia, Katie uśmiechnęła się ciepło i mruknęła coś o nerwach debutantki, a Clare syknęła, że kolejny prezenter padł ofiarą grypy i Francesca wraca na antenę następnego dnia po południu. Powiedziała to takim tonem, że Francesca nie

miała wątpliwości, jak oceniła jej debiut.

Tego wieczoru grzebała w przypalonej jajecznicy jednym z czterech krzywych widelców, jakie miała, i zastanawiała się, co robi nie tak. Dlaczego nie mówi do mikrofonu tak, jakby mówiła do ludzi?

Ludzie. Nagle coś jej przyszło do głowy. Odłożyła widelec. Clare ciągle mówi o ludziach, ale gdzie oni są? Pod wpływem impulsu zerwała się z krzesła i sięgnęła po stertę magazynów, które przyniosła z rozgłośni. W końcu wybrała fotografie czterech osób, i wyobraziła je sobie jako swoich słuchaczy: matkę z dzieckiem, siwą starszą panią, kosmetyczką i otyłego kierowcę ciężarówki, jednego tych, którzy przemierzają cały kraj i słuchają KDSC przez około sześćdziesiąt kilometrów. Patrzyła na nich przez cały wieczór, wymyślała im życiorysy i charaktery. Jutro będzie mówiła tylko do nich, do tej czwórki.

Następnego dnia przykleiła ich zdjęcia nad konsolą. Starsza pani upadła jej dwa razy, tak bardzo Francesca się denerwowała. Kolega z porannej zmiany włączył serwis informacyjny. Francesca założyła słuchawki. Koniec naśladowania didżeja. Zrobi to po swojemu. Spojrzała na fotografie: młoda matka, staruszka, kosmetyczka, kierowca ciężarówki. Mów do nich, do cholery. Bądź sobą, nie myśl o niczym.

Serwis informacyjny dobiegł końca. Francesca utkwiała wzrok w ciepłym spojrzeniu młodej matki, włączyła mikrofon i głęboko zaczerpnęła tchu.

- Witajcie, tu Francesca w czwartkowe popołudnie. Jak wam dzisiaj idzie? Mam nadzieję, że cudownie. A jeśli nie, może poprawimy wam humor. - Jezu, zachowuje się jak Mary Poppins. - Zostanę z wami całe popołudnie, na dobre i na złe, oczywiście, jeśli znajdę odpowiedni przycisk na konsolce. - Lepiej, odprężyła się trochę. - Zaczniemy do muzyki. - Spojrzała na kierowcę ciężarówki. Mógłby być kumplem Dalliego - wygląda na takiego, który lubi sprośne kawały, piwo i futbol. Uśmiechnęła się ciepło. - A teraz makabryczna piosenka Debby Boone. Obiecuję, że później puszcę coś fajniejszego.

Włączyła płytę, wyłączyła mikrofon i spojrzała przez szybę. Patrzący na nią trzy zdumione twarze - Katie, Clare i chłopak od serwisów informacyjnych. Francesca zagryzła usta, przygotowała taśmę reklamową, i zaczęła liczyć. Nie doszła jeszcze do dziesięciu, a Clare wpadła do studia.

- Czyś ty oszalała? Co to ma być? Makabryczna piosenka?

- Radio z osobowością. - Francesca wzruszyła ramionami i posłała Clare niewinne spojrzenie, jakby chodziło o drobiazg bez znaczenia.

Katie wsadziła głowę przez drzwi.

- Clare, ludzie dzwonią. Co robimy?

Clare zamyśliła się na moment.

- Dobra, panno z osobowością. Odbieraj telefony na antenie. I nie zdejmuj palca z guzika opóźniającego emisję o dwie sekundy, bo ludzie nie zawsze wyrażają się cenzuralnie.

- Na antenie? Na żywo? Żartujesz!

- Sama chciałaś. Nie sypia się z żeglarzami, jeśli boisz się trypra. - Clare wyszła, stanęła przy oknie i zapaliła papierosa.

Debby Boone skończyła śpiewać i Francesca puściła reklamę lokalnej pralni. A potem włączyła swój mikrofon. Ludzie, upomniała się. Mówisz do ludzi.

- Czekamy na telefony. Halo? Tu Francesca. Tak?

- Wierzysz w szatana! - usłyszała skrzeczący starczy głos. - Nie wiesz, że Debby Boone napisała tę pieśń o Panu Bogu?

Francesca spojrzała na zdjęcie przemiłej starszej pani. Jak mogła tak ją potraktować? Najeżyła się.

- A skąd to wiesz? Od Debby?

- Nie wymądrzaj się! - zaskrzeczała staruszka. - W kółko puszczaście piosenki o seksie, a jak raz trafi się coś ładnego, musisz się z tego nabijać, co? Jak ktoś nie lubi tej piosenki, grzeszy przeciwko Bogu.

Francesca łypnęła groźnie na siwowłosą staruszkę na zdjęciu.

- Bardzo ograniczone pojęcie!

Kobieta odłożyła słuchawkę, co zabrzmiało jak wystrzał. Francesca trochę za późno przypomniała sobie, że powinna być miła dla słuchaczy. Uśmiechnęła się do zdjęcia młodej matki.

- Przepraszam. Może nie powinnam tego mówić, ale ona była okropna, chyba się ze mną zgodzicie?

Kątem oka widziała, jak Clare ociera pot z czoła. Poprawiła się szybko.

- Cóż, jeszcze nie tak dawno temu też byłam bardzo ograniczona, więc nie powinnam nikogo krytykować... - Kolejny telefon. - Tu Francesca. Słucham?

- No... ja... Tu Sam. Dzwonię z knajpy dla kierowców ciężarówek Diamond, na dziewięćdziesiątce. Słuchaj, ja... cieszę się, że powiedziałaś to o tej piosence.

- Też ci się nie podoba, Sam?

- Nie, uważam, że to syfiasta, pedalska muzyka i...

Francesca w ostatniej chwili włączyła guzik opóźniający.

- Sam, brzydko się wyrażasz. Nie rozmawiam z tobą- wysapała i szybko się rozłączyła.

Ten incydent wyprowadził ją z równowagi. W tej chwili zadzwoniła następna słuchaczka, przedstawiła się jako Sylwia.

- Skoro uważasz, że ta piosenka jest kiepska, po co ją puszczasz? - zapytała.

Francesca zdecydowała, że ma tylko jedno wyjście: być sobą, na dobre i na złe. Spojrzała na kosmetyczkę.

- Wiesz, Sylwio, na początku ją nawet lubiałam, ale tyle razy ją puszczaaliśmy, że mam jej dosyć. A musiałam ją zagrać, bo inaczej wylecę z pracy. Szczerze mówiąc, szefowa i tak mnie nie lubi.

Clare otworzyła usta w niemej wściekłości.

- Wiem, co masz na myśli - odparła Sylwia. A potem, ku zdumieniu Franceski, wyznała, że jej szefowa też jej utrudnia życie. Francesca zadała kilka pytań i Sylwia, najwyraźniej gadatliwa, odpowiadała bardzo szczerze. Francesca wpadła na pewien pomysł. Zrozumiała, że niechcący dotknęła czułego punktu. Poprosiła, by i inni dzwonili i podzielili się doświadczeniami o przełożonych.

Telefony nie ustawały przez większą część audycji.

Po programie wyszła ze studia spocona jak mysz, ale nabuzowana adrenaliną. Katie wskazała drzwi do gabinetu Clare.

Francesca weszła tam z dumnie podniesioną głową. Clare rozmawiała przez telefon.

- Tak, rozumiem pana. Oczywiście. I dziękuję za telefon. Oczywiście, że z nią porozmawiam. - Odłożyła słuchawkę i spojrzała groźnie na Francescę, już nie taką szczęśliwą.

- To był twój ostatni rozmówca z anteny - wyjaśniła Clare. Ten, który, jak to ujęłaś, mówi jak koleś, który najpierw się upija, a potem tłucze żonę i dzieci, a jeszcze później wysyła je po piwo.

Clare założyła ramiona na wąłym biuście.

- Problem polega na tym, że to jeden z naszych głównych sponsorów. Doniedawna.

Francesce zrobiło się niedobrze. Posunęła się za daleko. Tak bardzo skupiła się na rozmowie z fotografiami, że jęponiosło i zapomniała się, mówiąc o kilka słów za dużo. Czy ostatnio niczego się nie nauczyła? Czy zawsze musi sama wszystko zepsuć swoją głupotą? Pomyślała o dziecku i instynktownie nakryła brzuch dłonią.

- Przepraszam, Clare. Nie chciałam... Poniosło mnie. - Odwróciła się, chciała uciec jak najszybciej, żeby w spokoju wylizać rany, ale nie zdążyła.

- Dokąd się wybierasz?

- Do... do łazienki.

- Jezu, byle kłopot i gwiazdka gaśnie. Francesca odwróciła się na pięcie.

- Do cholery, Clare!

- Tak jest, do cholery! Ostrzegłam cię, że mówisz za szybko, prawda? Jutro masz zwolnić!

- Za szybko? - Francesca nie wierzyła własnym uszom. Przez nią KDSC straciło sponsora, a Clare się na nią drze, bo mówi za szybko? I wtedy dotarło do niej, co usłyszała.

- Jutro?
- Pewnie.

Francesca gapiała się na nią z niedowierzaniem.

- Ale sponsor? Przecież dzwonił?
- Pieprzyć go. Siadaj, mała. Zrobimy z tego niezły program.

I zrobiły. Rozmowy Franceski ze słuchaczami były największym hitem, jaki się trafił w małej, lokalnej stacji. Słuchacze ją uwielbiali: za akcent, za dowcip i przede wszystkim za to, że była taka jak oni i nie ukrywała oburzenia, obrzydzenia czy radości.

Clare wpadła na genialny pomysł - wysyłała ją w teren - do więzienia, na festyn, na pokazy samochodowe... a Francesca relacjonowała to wszystko, z przejściem i zapalem, który przykuwał słuchaczy do odbiorników.

Pod koniec ciąży mogła być z siebie zadowolona - ma pracę, po raz pierwszy w życiu założyła sobie konto w banku, kupiła używany samochód... Rozmyślała o tym pewnego dnia, wychodząc ze studia. Nagle z zamyślenia wyrwał ją znajomy przeciągły głos:

- Ja nie mogę... ten idiota zrobił ci dziecko!

Rozdział 19

Dobry humor Franceski przysł bez śladu. Holly Grace oparła dłonie na białych obcisłych spodniach. Miała paznokcie pomalowane na fioletowo.

- Jezu, ten facet w ogóle nie zmądrzał, odkąd za niego wyszłam.

Francesca skrzywiła się boleśnie. Wszyscy przyglądali się im ciekawie. Czują, że się rumieni. Miała ochotę zakryć brzuch dłońmi.

- Dziewczyny, chcecie pogadać w moim gabinecie? - Clare stanęła w progu. Najwyraźniej rozkoszowała się dramatem rozgrywającym się na jej oczach.

Holly Grace szybko wyczuła, że ona tu rządzi, i odparła stanowczo:

- Nie, dziewczyny wyskoczą teraz na drinka. Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu.
- Proszę bardzo. - Clare wskazała drzwi. - Francesco, mam nadzieję, że jutro opowiesz o tym słuchaczom. Na pewno będą zachwyceni.

Francesca trzymała się kilka kroków za Holly Grace, gdy szły przez parking do eleganckiego srebrzystego mercedesa. Nie miała ochoty iść nigdzie w towarzystwie akurat tej kobiety, ale jeszcze mniej uśmiechała jej się myśl o tej rozmowie na oczach wścibskich współpracowników. Starła się rozluźnić spięte ramiona. Nie może pozwolić, by Holly Grace tak szybko zbijała ją z pantafelku.

Wnętrze mercedesa, wyłożone jasnoszarą skórzaną tapicerką, pachniało świeżymi pieniędzmi. Holly Grace usiadła za kierownicą, poklepała ją czule i wyjęła okulary przeciwsłoneczne z torebki, którą bezbłędne oko Franceski od razu zidentyfikowało jako dzieło Hermesa. Francesca chłonęła wzrokiem najdrobniejsze szczegóły stroju Holly Grace, poczynając od turkusowej koszulki bez rękawów, przez obcisłe, szyte na miarę białe spodnie, po skórzane sandały od Ferragamo i chromowaną bransoletę od Peretti. Reklamy Iskry były wszędzie, Francesca wiedziała więc, że Holly Grace świetnie sobie radzi.

Z całą nonszalancją, na jaką było ją stać, zakryła płamę z kawy na żółtej sukience ciążowej.

W milczeniu jechały do Sulphur City. Robiło jej się niedobrze ze strachu. Teraz, gdy Holly Grace wiedziała o dziecku Franceski, na pewno powie wszystko Dalliemu. A jeśli on zacznie stawiać jakieś żądania wobec dziecka? Co wtedy? Patrzyła niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Nie będzie teraz o tym myśleć.

Na przedmieściach Sulphur City Holly Grace zwolniła, gdy mijaly dwa przydrożne bary, przyjrzała się im uważnie i jechała dalej. Przy trzecim, najbardziej obskurnym, uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Tu chyba dobrze nas nakarmią. Zobacz, trzy ciężarówki i sześć harleyów. Co ty na to?

Na samą myśl o jedzeniu Francesce zbierało się na mdłości; chciała jak najszybciej mieć

z głowy tę rozmowę:

- Wszystko mi jedno. Nie jestem głodna.

Holly Grace stuknęła palcami w kierownicę.

- Ciężarówka to dobry znak, ale z harleyowcami nigdy nie wiadomo. Niektórzy są tak naćpani, że wszystko im jedno, co jedzą. - Akurat wtedy czwarta ciężarówka skręciła na podjazd. To rozwiało wątpliwości Holly Grace.

Kilka minut później usiadły przy stoliku w rogu knajpy. Francesca niezdarnie, uderzając brzuchem o blat stołu, Holly Grace z wdziękiem modelki. Nad ich głowami straszły bycze rogi i skóra grzechotnika, udrapowana między starymi tablicami rejestracyjnymi. Holly Grace przesunęła okulary przeciwsłoneczne na tył głowy i wskazała butelkę sosu tabasco na stole.

- Dobrze tu karmią.

Podeszła kelnerka. Holly Grace zamówiła półmisek dań meksykańskich, Francesca - mrożoną herbatę. Holly Grace nie skomentowała jej braku apetytu. Usiadła wygodnie, przeczesała palcami długie włosy i pod nosem wtórowała piosence, która leciała z szafy grającej. Francesce ta sytuacja wydawała się dziwnie znajoma, jakby nieraz przesiadywała z Holly Grace w knajpach. Zdawało jej się, że już gdzieś widziała tę nonszalancką postawę, grę światła w jasnych włosach... Nagle zrozumiała: Holly Grace przypomina jej Dallięgo.

Cisza się przeciągała. Francesca nie mogła tego dłużej wytrzymać. Atak to jej jedyna linia obrony, stwierdziła.

- To nie jest dziecko Dallięgo - oznajmiła. Holly Grace spojrzała na nią sceptycznie.

- Umiem liczyć.

- Naprawdę. - W jej wzroku pojawił się chłód. - Nie komplikuj mi życia. To nie twój interes.

Holly Grace bawiła się bransoletką od Perettięgo.

- Jechałam do Hondo dziewięćdziesiątką i usłyszałam cię w radiu. Nie wierzyłam własnym uszom. Ba, mało brakowało, a wylądowałabym na poboczu! Masz świetny program. - Podniosła na nią jasne, niebieskie oczy. - Dallię bardzo się zdenerwował, kiedy tak zniknął bez słowa. Co prawda nie dziwię ci się, że się wkurzyłaś, kiedy się o mnie dowiedziałaś, ale i tak nie powinnaś była zniknąć, nie rozmawiając z nim. To wrażliwy facet.

Francesca rozważała wiele odpowiedzi, ale nie zdecydowała się na żadną z nich. Dziecko kopnęło ją w żebro.

- Wiesz, Francie, mieliśmy z Dallięm synka, ale umarł. - Żadnych emocji w jej głosie. Po prostu stwierdzała fakt.

- Wiem. Bardzo mi przykro. - Jak pusto i płytko to brzmi!

Jeśli spodziewasz się dziecka Dallięgo i nic mu nie chcesz powiedzieć, jesteś okrutna.

- To nie jego dziecko - powtórzyła. - Miałam romans w Anglii, tuż przed przyjazdem do Stanów. To dziecko tamtego faceta. Niestety, ożenił się z jasnowłosą matematyczką, zanim zdążyłam mu powiedzieć o ciąży. - Wymyśliła tę historyjkę w samochodzie. Na nic lepszego nie było jej stać, zresztą jest to jedyna wersja, w którą Dallię uwierzy, jeśli ją usłyszy. Udało jej się posłać Holly Grace dawne wyniosłe spojrzenie. - Dobry Boże, nie myślałaś chyba, że chciałabym urodzić dziecko Dallięgo, nie oczekując od niego finansowego wsparcia? Nie jestem aż taka głupia.

Wyczuła, że uderzyła w odpowiednią nutę. Holly Grace nie była już taka pewna siebie. Kelnerka przyniosła mrożoną herbatę. Francesca upiła łyk i powoli bawiła się słomką. Opowiadać dalej o Nickym, żeby kłamstwo wydało się bardziej wiarygodne, czy milczeć? Musi ją przekonać do tej wersji.

- Dallię jest dziwny, jeśli chodzi o dzieci - zaczęła Holly Grace. - Nie uznaje aborcji bez względu na okoliczności, co moim zdaniem jest najlepszym przykładem męskiej hipokryzji. Ale gdyby wiedział, że spodziewasz się jego dziecka, rozwiódłby się ze mną i ożenił z tobą.

Francesca poruszyła się niespokojnie.

- Nie potrzebuję łaski. Nie musi się ze mną żenić. - Odzyskała panowanie nad sobą. - Zresztą nieważne, co sobie o mnie myślisz; nie podrzuciłabym jednemu mężczyźnie dziecka drugiego.

Holly Grace skręcała w palcach papierowe opakowanie słomki.

- Dlaczego nie usunęłaś? Ja bym tak zrobiła.

Francesca nie mogła się nadziwić, z jaką łatwością wróciła do roli zepsutej, bogatej dziewczynki. Wzruszyła ramionami.

- A zawsze zagładasz do kalendarza? Kiedy się zorientowałam, co się dzieje, było już za późno.

Niewiele mówiły, póki przed Holly Grace nie pojawił się talerz wielkości zachodniego Teksasu.

- Na pewno nie masz ochoty? Właściwie powinnam schudnąć ze dwa kilogramy, zanim wrócę do Nowego Jorku.

Gdyby nie napięcie, Francesca parsknęłaby śmiechem, patrząc na stertę jedzenia na talerzu. Chciała zmienić temat i zapytała Holly Grace o karierę. Holly Grace z apetytem zabrała się do pierwszej enchilady.

- Słyszałaś kiedyś, jak sławne modelki narzekają, że ich praca wcale nie jest taka wspaniała, że to ciężka harówka? Moim zdaniem wszystkie kłamią jak psy, bo w życiu nie zarobiłam takich pieniędzy, wkładając w pracę tak niewiele wysiłku. A we wrześniu mam zdjęcia próbne do serialu. – Nałożyła sobie ostrej zielonej salsy na wszystko, z wyjątkiem sandałów od Ferragamo. Odrzuciła włosy do tyłu, podniosła taco, ale nie ugryzła go. Uważnie przyglądała się Francesce. - Szkoda, że jesteś taka niska. Znam z tuzin foto grafów, którzy uznaliby, że umarli i trafili do gejowskiego nieba, gdyby mogli cię fotografować... I oczywiście gdybyś nie była w ciąży.

Francesca milczała. Holly Grace też nic nie mówiła. Odłożyła taco, za to zaatakowała widelcem stertę smażonej fasolki.

- Nie wtrącamy się z Dalliem w nasze życie erotyczne, ale tym razem chyba złamię tę zasadę. Nie jestem pewna, czy mówisz prawdę, choć nie pojmuję, czemu miałybyś kłamać.

Francesca poczuła przyływ nadziei, ale nie dała niczego po sobie poznać.

- Nie obchodzi mnie, czy mi wierzysz, czy nie. Holly Grace nadal grzebała widelcem w fasoli.

- Jest bardzo drażliwy, jeśli chodzi o dzieci. Jeśli mnie okłamałaś... Francesca poszła na całość z duszą na ramieniu.

- Słuchaj, wyszłabym na tym lepiej, gdybym ci wmówiła, że to jego dziecko. Nie pogardziłabym teraz dodatkową gotówką.

Holly Grace najeżyła się jak lwica broniąca młodych.

- Tylko nie próbuj go w nic wkręcić, bo przysięgam na Boga, powtórzę w sądzie wszystko, co mi tu dzisiaj powiedziałaś. Nie łudź się, że będę obserwowała bezczynnie, jak Dallie wydaje pieniądze na cudzego dzieciaka. Jasne?

Francesca nie pokazała po sobie, że odczuwa ulgę. Uniosła tylko ze zdziwienia brwi i westchnęła, jakby ją śmiertelnie nudziła ta rozmowa.

- Boże, wy Amerykanie, lubujecie się w melodramatach.

Oczy Holly Grace stały się zimne i twarde jak szafiry.

- Nie oszukuj go, Francie. Może i nietypowe z nas małżeństwo, ale jedno skoczyłoby w ogień dla drugiego.

Francesca nie dała się zastraszyć.

- To ty dążyłaś do tej rozmowy. Rób, co chcesz. - Sama zadbam o siebie, pomyślała dumnie. I o moje dziecko.

Holly Grace nie spojrzała na nią z szacunkiem, ale nic nie powiedziała. Kiedy zbierały się do wyjścia, Francesca zapłaciła rachunek, choć nie było jej na to stać. Przez następne dni ze strachem wpatrywała się w drzwi stacji radiowej, a gdy Dallie się nie pojawił, zrozumiała, że Holly Grace trzymała język za zębami.

Sulphur City to małe, szare, bezbarwne miasteczko, którego jedynym powodem do dumy była huczna impreza z okazji czwartego lipca. Wówczas sprowadzano na rynek karuzele, wypożyczoną od Objazdowego Show Wielkiego Dana. Dokoła wyrastały stoiska i namioty, które sięgały nawet zwirowanego parkingu. Pod markizami w paski starsze panie chwaliły się swoimi wypiekami, obok Krajowe Towarzystwo Ochrony Płuc pokazywało makabryczne zdjęcia chorych organów. Hodowcy orzeszków kłócili się z kaznodziejami, a dzieci uwijały

się między namiotami, zjadały lody i przyglądały się zwierzętom w klatkach.

Francesca z trudem przebijała się przez tłum. Szła do namiotu KDSC. Każdy krok sprawiał trudności, bolały ją plecy i nogi. Była dopiero dziesiąta rano, a słupek rtęci już osiągnął trzydzieści stopni i rósł nadal. Czuła, jak między piersiami spływa jej strużka potu. Obrzuciła tęsknym spojrzeniem stoisko z lodami, ale za dziesięć minut musi być na antenie, przeprowadzi wywiad ze świeżo wybraną Miss Sulphur City. Starszy farmer nadchodzący z przeciwka zwolnił i obrzucił ją wzrokiem pełnym podziwu. Nie zwracała na niego uwagi. Była w dziewiątym miesiącu ciąży, niemożliwe, żeby się komuś spodobała. To na pewno jakiś wariat, którego podniecają kobiety z brzuchem jak balon.

Dochodziła już do namiotu rozgłośni, gdy dotarli do niej dźwięki trąbki z placyku, na którym szykowała się szkolna orkiestra. Spojrzała w tamtą stronę. Młodziutki ciemnowłosy chłopiec podniósł trąbkę do ust. Zagrał *Yankee doodle dandy* i odchylił głowę do tyłu, tak że słońce odbijało się w trąbce.

Blask oślepił, ale Francesca nie mogła oderwać oczu od tego widoku.

Chwila zdawała się trwać bez końca w bezlitosnym, rozżarzonego meksykańskiego słońcu. W dusznym powietrzu mieszał się zapach prażonej kukurydzy, kurzu, końskiego nawozu i gofrów. Minęły ją dwie rozchichotane Meksykaneczki z dziećmi wspartymi na biodrach. Niedaleko hałasowała karuzela. Jedna z Meksykanek roześmiała się głośno i powiedziała coś po hiszpańsku, nieco dalej wystrzeliły sztuczne ognie i nagle Francesca zrozumiała, że i ona jest częścią tego wszystkiego.

Stała bez ruchu, chłoneła zapachy i widoki. Nie wiadomo kiedy, stała się częścią pospolitego tygla, wtopiła się w amerykańską masę, w krainę wyrzutków i rebeliantów. Wiatr bawił się jej włosami, aż powiewały jak kasztanowa flaga. W tym momencie poczuła, że jest w domu i że jest sobą. W Anglii nigdy nie doświadczyła nic podobnego. Nie wiedziała, jak do tego doszło, ale ten kraj ją wchłonął i zmienił, aż nagle stała się jedną z nich. Była upartą, odważną, twardą Amerykanką.

- Ej, Francie, złaż z tego słońca, bo dostaniesz udaru.

Odwróciła się energicznie. Holly Grace, w dżinsach od znanego projektanta, stała tuż obok i lizała winogronowe lody. Serce Franceski błyskawicznie podeszło do gardła. Nie widziała jej od tamtego lunchu dwa tygodnie temu, choć często o niej myślała.

- Sądziłam, że już wróciłaś do Nowego Jorku - zaczęła ostrożnie.

- Właściwie to jestem w drodze, ale pomyślałam, że wpadnę tu jeszcze i zobaczę, co u ciebie.

- Dally jest z tobą? - Ukradkiem przeczesywała wzrokiem tłum za jej plecami.

Na szczęście Holly Grace przecząco pokręciła głową.

Nie, postanowiłam mu na razie niczego nie mówić. W przyszłym tygodniu ma turniej, niepotrzebne mu takie rewelacje. Wyglądasz, jakbyś miała zaraz urodzić.

- Bo tak się czuję. - Odruchowo pomasaowała bolące plecy. Holly Grace patrzyła na nią ze współczuciem, Francesca dodała więc impulsywnie: - Lekarz mówi, że w przyszłym tygodniu.

- Boisz się?

Dotknęła dłonią brzucha i wyczuła malutką stopkę.

- Wiesz, w tym roku tyle przeszłam, że nie wierzę, by poród był gorszy. - Spojrzała w stronę namiotu KDSC i zobaczyła, że Clare macha do niej energicznie.

- Poza tym - dodała - chętnie sobie trochę poleżę.

Holly Grace zachichotała.

- Nie uważasz, że powinnaś już przestać pracować?

- Pewnie, ale szefowa da mi tylko miesiąc płatnego urlopu. Nie chcę wykorzystać ani dnia, póki dziecko się nie urodzi.

- Ta baba chyba pożera metal na śniadanie.

- Bez gotowania.

Holly Grace się roześmiała i Francesca poczuła dziwną więź z nią. Razem szły do namiotu, gawędząc o pogodzie. Podmuch ogrzanego wiatru przycisnął sukienkę do wydatnego brzucha. Gdzieś daleko zawyła syrena. Dziecko kopnęło ją trzy razy.

Nagła fala bólu sprawiła, że pod Francesca ugięły się kolana. Odruchowo złapała Holly Grace za rękę.

- Ojej...

Holly Grace cisnęła lody na ziemię i objęła ją mocno.

- Trzymaj się.

Francesca jęczała i starała się odzyskać oddech. Czuła, jak wody spływają jej po nogach. Spojrzała na Holly Grace i zrobiła krok w mokrych sandałkach. Zaciśnięła ręce na brzuchu.

- Natalie... prawdziwa dama... tak... nie postępuje...

A na placyku z namiotem młodzieńki trębacz znowu wznosił trąbkę do rozżarzonego teksańskiego nieba i zagrał, wkładając w to całe serce. *Yankee doodle dandy...*

JASNOŚĆ

Rozdział 20

Przywarł plecami do ściany, zaciśnął dłoń na rękojeści noża. Jego kciuk pieszczotliwie muskał guzik sprężynowca. Nie lubił widoku krwi, zwłaszcza kobiecej, ale czasami nie ma innego wyjścia. Przechylił głowę na bok... tak jest, usłyszał odgłos, na który czekał - ciche brzęknięcie drzwi windy. Kiedy kobieta wysiadzie z kabiny, gruba, miękka wykładzina w holu ekskluzywnej nowojorskiej kamienicy stłumi jej kroki. Skupił się, w każdej chwili gotów do ataku.

Przesunął palcem po guziku w rękojeści sprężynowca. Miasto to wielka dżungla, a on jest urodzonym drapieźnikiem. Robi, co do niego należy.

Nikt już nie pamiętał imienia, pod jakim przyszedł na świat. Czas i brutalność zatarty wspomnienia. Teraz wszyscy znali go jako Siekacza.

Wielkiego Siekacza.

Liczył sekundy. Wiedział dokładnie, ile czasu zajmie jej pokonanie drogi od windy do korytarza, w którym czaił się, wtulony w pastelową tapetę. Po chwili wyczuł zapach jej perfum. Sprężył się do skoku. Jest piękna, znana... i wkrótce będzie martwa!

Zaatakował z wrzaskiem mrozącym krew w żyłach.

Krzyknęła, cofnęła się, upuściła torebkę. Wcisnął guzik w rękojeści noża, spojrzał na nią i przesunął okulary na czubek głowy.

- Poderżnę ci gardło, Chino Colt! - wrzasnął Wielki Siekacz tryumfalnie.

A ja ci stłukę tyłek, Theodorze Day! - Holly Grace Beaudine nie rzucała słów na wiatr i wymierzyła mu klapsa w siedzenie spodni moro.

Przycisnęła rękę do piersi. - Naprawdę, Teddy, jeszcze jeden taki numer, a porządnie złoję ci skórę.

Teddy, chłopiec o ilorazie inteligencji sto siedemdziesiąt, jak stwierdził zespół naukowców w jego dawnej szkole w modnej dzielnicy Los Angeles, nie uwierzył w ani jedno jej słowo, ale na wszelki wypadek uściskał ją serdecznie. Kochał Holly Grace prawie tak samo, jak mamę.

- Byłaś wczoraj super - zapewnił ją. - Strasznie mi się podobało, jak się posługiwałaś kastetem. Nauczysz mnie? - Co wtorek kładł się później niż zwykle, mama pozwalała mu oglądać serial *China Colt* z Holly Grace w roli głównej, choć uważała, że za dużo tam przemocy jak dla dziewięciolatka.

Zobacz, jaki mam nóż! Mama mi kupiła w Chinatown.

Holly Grace posłusznie obejrzała nabytek i przeczesła ostrzem rdzawe kosmyki Teddy'ego.

- Świetny, ale uczesz się czasem, bracie!

Teddy spojrzał na nią z niesmakiem i odebrał swój skarb. Wsadził na nos okulary w plastikowych oprawkach i zmierzwił sobie grzywkę.

- Chodź do mojego pokoju. Mam nową tapetę ze statkiem kosmicznym. Nie oglądał się za nią, pomknął korytarzem, błyskając podeszwami adidasów.

Holly Grace się uśmiechnęła. Miał na sobie koszulkę z Rambo, wpuszczoną w spodnie moro, podciągnięte wysoko i mocno ściągnięte paskiem, tak jak lubił. Boże, jak ona go kocha.

Pomógł jej pozbyć się okropnego bólu i rozpaczy po Dannym, które, jak dawniej sądziła, zostaną z nią na zawsze. Jednak gdy odprowadzała go wzrokiem, pojawiło się ukłucie niepokoju. Był grudzień 1986 roku. Dwa miesiące wcześniej skończyła trzydzieści osiem lat. Jakim cudem tak się zestarzała, nie mając dziecka?

Pochyliła się po upuszczoną torebkę i wspominała tamten upiorny czwarty lipca, gdy Teddy się rodził. Pojechała z Francescą do szpitala i została z nią aż do rozwiązania. Dziecko przyszło na świat jeszcze czwartego lipca, tuż przed północą. Kobiety spojrzały na malutką pomarszczoną twarzyczkę, na siebie, i wymieniły uśmiechy. W tej chwili zawiązały pakt miłości i przyjaźni, który trwał do dzisiaj.

Wraz z upływem lat rósł szacunek Holly Grace do Franceski i teraz nie знаła osoby, którą szanowałyby bardziej. Jak na kogoś, kto zaczynał dorosłe życie z mnóstwem wad, Francescą osiągnęła zadziwiająco wiele. Awansowała z lokalnej rozgłośni radiowej do stacji telewizyjnej, stopniowo pracowała w coraz większych stacjach, aż jej program w Los Angeles zwrócił uwagę szefów wielkich stacji. Od dwóch lat prowadziła cotygodniowy program *Francesco dzisiaj*, emitowany z Nowego Jorku, który bił wszelkie rekordy popularności.

Widzowie szybko ją pokochali, choć Holly Grace nie mogła pojąć, jak może przeprowadzać wywiady, nawet nie udając, że obowiązuje ją dziennikarski obiektywizm. Mimo oszałamiającej urody i resztek brytyjskiego akcentu sprawiała, że widzowie się z nią identyfikowali. Inni gospodarze talk-show - Barbara Walters, Phil Donahue, Oprah Winfrey - zawsze panowali nad sytuacją. A Francesca po prostu skakała na głęboką wodę, w efekcie czego powstawały najbardziej spontaniczne programy w historii telewizji.

Głos Teddy'ego wyrwał ją z zadumy.

- Pospiesz się, Holly Grace!

- Idę, już idę! - zawołała, a we wspomnieniach wróciła do dnia, gdy Teddy skończył pół roku. Przyleciała wtedy do Franceski do Dallas; tam się przeprowadziła po awansie do większej rozgłośni. Często rozmawiały telefonicznie, ale było to ich pierwsze spotkanie od narodzin Teddy'ego. Francesca powitała Holly Grace okrzykiem radości i serdecznym pocałunkiem, a później z dumą podała jej malutkie zawiniątko. Holly Grace spojrzała na poważną małą twarzyczkę i wszelkie wątpliwości, które jeszcze miała na temat ojca Teddy'ego, rozwiązywały się bez śladu. Nawet w najśmielszych marzeniach nie uwierzyłaby, że jej piękny mąż spędził to dziecko. Teddy był uroczy i pokochała go od razu, ale nie sposób zaprzeczyć, że był najbrzydszym bobasem, jakiego w życiu widziała. W niczym nie przypominał Danny'ego. Ktokolwiek był ojcem tego malca, nie był to Dally Beaudine.

Upływające lata okazały się dla Teddy'ego łaskawe. Miał zgrabną, kształtną główkę, choć nieco za dużą do drobnego ciała. Rdzawe włosy, cienkie, delikatne i proste jak druty, opadały na brwi tak jasne, że niemal niewidoczne. Wydawało się, że jego twarz składa się wyłącznie z wystających kości policzkowych. Czasami, gdy ustawił głowę pod odpowiednim kątem, Holly Grace wydawało się, że widzi przedsmak tego, jaki będzie jako mężczyzna - silny, wyrazisty, atrakcyjny na swój sposób. Na razie jednak, nawet jego matka nie oszukiwała się, twierdząc, że jest ładnym dzieckiem.

- No chodź, Holly Grace! - Teddy wysadził głowę przez drzwi. - Szybko!

- Już ja cię pogonię! - krzyknęła, ale posłusznie przyspieszyła kroku. Już w drodze zdjęła puchową kurtkę i poprawiła biały sweterek i dzinsy, wpuszczone w ręcznie robione włoskie buty. Jasne włosy, jej znak firmowy, opadały na plecy złotą falą z platynowymi pasemkami. Jeśli nie liczyć odrobiny brązowego tuszu na rzęsach i różu na policzkach, nie miała makijażu. Uważała drobne zmarszczki w kącikach oczu za oznakę charakteru. Zresztą ma dzisiaj dzień wolny i nie chciała marnować czasu na makijaż.

Salonik w mieszkaniu Franceski to symfonia pastelowożółtych ścian, brzoskwiniowych obić i angielskich akcentów, na przykład szyfonowych obić. Był to salonik nonszalancko elegancki i dyskretnie bogaty; „Home and Garden” uwielbia fotografować takie wnętrza, ale Francesca nie miała zamiaru wychowywać synka w klatce i całkiem nieświadomie zniweczyła wysiłki projektanta. Pejzaż Huberta Roberta, który wisiał nad marmurowym kominkiem, ustąpił czerwonemu dinozaurowi (kredka, Theodore Day, ok. 1981). Siedemnastowieczna włoska komódka musiała się

zadowolę się miejscem w kącie, by zrobić miejsce dla ukochanego pomarańczowego fotelika Teddy'ego. Musiała też ścierpieć na sobie ciężar telefonu z Myszką Miki - prezentu od Teddy'ego i Holly Grace na trzydzieste pierwsze urodziny Franceski.

Holly Grace weszła do środka, rzuciła torebkę na gazetę i skinęła Consu-eli, Meksykance, która cudownie opiekowała się Teddym, ale nigdy nie zmywała naczyń. Dopiero po chwili zobaczyła nastolatkę na kanapie, pochłoniętą lekturą czasopisma. Dziewczyna miała szesnaście, siedemnaście lat, źle rozjaśnione włosy i wielki siniak na policzku. Holly Grace zatrzymała się w pół kroku i gniewnie spojrzała na Teddy'ego.

- Matka znowu to zrobiła, tak? - szepnęła ze złością.

- Mama prosiła, żebyś jej nie przestraszyła.

- No i proszę, co się dzieje, ledwie wyjadę do Kalifornii na trzy tygodnie. - Holly Grace złapała Teddy'ego za ramię i pociągnęła go do sypialni, żeby dziewczyna ich nie słyszała. Zamknęła drzwi i krzyknęła:

- Cholera, myślałam, że z nią porozmawiasz! Nie mieści mi się w głowie, że znowu to zrobiła!

Teddy majstrował przy pudle po butach, w którym trzymał swoją kolekcję znaczków.

- Ma na imię Debbie. Jest fajna. Ludzie z opieki społecznej już znaleźli jej rodzinę zastępczą, za kilka dni wyjeżdża.

- Teddy, to prostytutka. Pewnie ma na rękach ślady od igieł.

Chłopczyk wydał policzki, jak zawsze, kiedy nie chciał o czymś rozma-
wiać. Holly Grace jęknęła głośno.

- Słuchaj, skarbie, zadzwonimy do Los Angeles, dobrze? Wiem, że jesteś małym geniuszem i chociaż masz dopiero dziewięć lat, musisz pilnować tej twojej szalonej matki. Wiesz, że nie ma za grosz zdrowego rozsądku, jeśli chodzi o takie sprawy - przygarnianie bezdomnych dzieciaków, użeranie się z rozjuszonymi alfonsami. Kieruje się sercem, nie głową.

- Lubię Debbie. - Teddy nie dawał za wygraną.

- Jennifer też lubieś, a pamiętasz, jak ci ukradła pięćdziesiąt dolców ze skarbonki, zanim wyjechała?

- Ale zostawiła liścik, w którym obiecała, że mi wszystko odeśle. Poza tym, tylko ona jedna coś zabrała.

Holly Grace wiedziała, że nie wygra tej bitwy.

- Trzeba było przynajmniej do mnie zadzwonić.

Teddy zdjął przykrywkę z pudełka i włożył sobie na głowę. Holly Grace westchnęła. Czasami chłopczyk był rozsądny, ale czasami zachowywał się zupełnie jak Francesca.

Pół godziny później przebijali się przez zatłoczone ulice. Jechali do Greenwich Village.

Holly Grace zatrzymała samochód na czerwonym świetle i pomyślała o potężnym napastniku z drużyny New York Rangers, z którym umówiła się na kolację. Na pewno jest wspaniały w łóżku, szkoda tylko, że ona tego nie doświadczy. AIDS naprawdę ją wkurzał. Dopiero co kobiety zdobyły wolność i swobodę seksualną, a tu przyplątała się ta paskudna choroba i zepsuła całą zabawę. Kiedyś uwielbiała przygody na jedną noc; dawała z siebie wszystko w łóżku, a potem wyrzucała delikwenta za drzwi, zanim zdążył powiedzieć, co chce na śniadanie. Ci, którzy twierdzili, że takie przygody są dla kobiet poniżające, najwyraźniej lubią gotować. Uparcie starała się nie myśleć o pewnym brunecie, któremu bardzo chętnie szykowała śniadania. To był błąd. Uległa rozszalałym hormonom, ale nie powtórzy więcej tego błędu.

Tak, AIDS zmieniło cały otaczający ją świat. Nawet jej były mąż dochowywał wierności jednej partnerce. Holly Grace nie miałyby nic przeciwko temu, ale czy naprawdę musiał związać się z istotą o imieniu Bambi? Panna Sybil narzekała, że nie namówiła jej nawet na lekturę Danielle Steel.

- Holly Grace? - Teddy podniósł na nią duże oczy. - Czy uważasz, że nauczycielka ma prawo postawić uczniowi dwójkę tylko dlatego, że nie wykonał idiotycznego projektu z biologii?

- To chyba nie jest pytanie teoretyczne - mruknęła.

- Jak to?

- To znaczy, że powinieneś wykonać ten projekt!

- Ale był idiotyczny. - Teddy się naburmuszył. - No bo po co mam zabijać owady i przyczepiać je szpilką do kartonu? No, po co?

Wszystko stało się jasne. Choć Teddy uwielbiał bawić się w wojnę i na każdym skrawku papieru rysował przerażające, krwawe walki, w głębi duszy był pacyfistą. Kiedyś widziała, jak zwoził pająka z siedemnastego piętra. Chciał go wypuścić na trawnik.

- A co na to mama?

- Zadzwoń do nauczycielki i zapytaj, czy nie mógłbym tych owadów po prostu narysować, ale panna Pearson się nie zgodziła i się pokłóciły. Mama nie lubi panny Pearson. Uważa, że wywiera na nas za duży nacisk, choć jesteśmy klasą wyjątkowo zdolnych dzieci. Wtedy mama zaproponowała, że zabije za mnie te owady.

Holly Grace przewróciła oczami na samą myśl, że Francesca miałaby cokolwiek zabić. Jeśli naprawdę trzeba by było utłuc jakieś robaki, domyślała się już, kto miałby wykonać czarną robotę.

- No, to chyba problem z głowy?

Teddy się obruszył.

- Za kogo ty mnie uważasz? Co za różnica, kto je zabije? I tak zginęłyby przeze mnie.

Holly Grace uśmiechnęła się pod nosem. Kocha tego dzieciaka. Całym sercem.

Naomi Jaffe Tanaka Perlman mieszkała w uroczym domku w staroświeckim zakątku Greenwich Village. Bluszcz oplatał zielone okiennice i białe ściany domku, który kupiła, gdy kilka lat temu założyła własną agencję reklamową. Mieszkała w nim ze swoim drugim mężem, Benjaminem R. Perlmanem, który wykładał nauki polityczne na Uniwersytecie Columbia. Według Holly Grace dobrali się jak w korcu lewicowego maku. Wspierali finansowo wszelkie możliwe fundacje dobroczynne, wydawali przyjęcia, zapraszając na nie ludzi, którzy najchętniej widzieliby CIA w gruzach, i raz w tygodniu pracowali w kuchni wydającej posiłki dla bezdomnych. A Naomi nigdy nie była równie szczęśliwa. Powiedziała kiedyś, że po raz pierwszy czuje się spełniona.

Naomi wprowadziła ich do przytulnego saloniku, przesadnie, zdaniem Holly Grace, kołysząc biodrami - przecież jest dopiero w piątym miesiącu ciąży. Bardzo ją lubiła, naprawdę, zaprzyjaźniły się od czasów Dziewczyny z Iskrą, ale Holly Grace nie mogła opędzić się od myśli, że jeśli wkrótce nie zdecyduje się na dziecko, będzie za późno.

- - Dlatego mnie obleje z przyrody. - Teddy poszedł za Naomi do kuchni i opowiadał o nieszczęsnym projekcie.

- To barbarzyństwo - stwierdziła Naomi. Mikser zawarczał głośno. - Moim zdaniem powinieneś złożyć petycję. To pogwałcenie twoich praw obywatelskich. Porozmawiam z Benem.

- Nie trzeba - mruknął mały. - Już i tak mam dosyć kłopotów z tą nauczycielką.

Po chwili wrócili do saloniku, Teddy z butelką soku bez konserwantów, Naomi z drinkiem dla Holly Grace. -

- Słyszałaś o tym strasliwym projekcie owadobójczym u Teddy'ego w szkole? - zapytała. - Na miejscu Franceski pozwałabym szkołę, naprawdę.

Holly Grace upiła łyk truskawkowego daiquiri.

- Na razie Francesca ma ważniejsze sprawy na głowie.

Naomi z uśmiechem odprowadzała Teddy'ego wzrokiem. Poszedł do sypialni po szachy Bena.

- Myślisz, że to zrobi? - szepnęła.

- Nie wiem. Kiedy ją widzisz, jak tarza się z Teddym po podłodze i chichocze jak wariatka, wydaje się to niemożliwe. Ale kiedy się denerwuje i zadziera nosa, od razu widać, że w jej żyłach płynie błękitna krew i wtedy wszystko jest możliwe.

Naomi usiadła po turecku, w tej pozie wyglądała jak ciężarny Budda.

- Z założenia jestem przeciwna monarchii, ale muszę przyznać, że Francesca Serritella Day Brancusi brzmi imponująco.

Teddy wrócił i rozstawiał figury na szachownicy.

- Skup się, Naomi. Grasz niewiele lepiej od mamy.

Nagle wszyscy troje podskoczyli nerwowo, gdy rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

- Ojej! - Naomi niespokojnie zerknęła na Holly Grace. - Tylko jedna znana mi osoba tak

puka.

- Nie waż się go wpuścić, póki tu jestem! - Holly Grace poruszyła się gwałtownie i wylała na biały sweterek połowę daiquiri.

- Gerry! - Teddy już pobiegł do drzwi.

- Nie otwieraj! - wrzasnęła Holly Grace. - Teddy!

Za późno. W życiu Teddy'ego było zbyt niewiele mężczyzn, by zrezygnował z okazji spotkania się z jednym z nich. Już otworzył drzwi.

- Cześć, Teddy! - Gerry Jaffe przybił z nim piątkę. - Jak leci, bracie?

- Super, Geny! Dawno cię nie widziałem. Gdzie byłeś?

- W sądzie, smyku, broniłem porządnych ludzi, którzy odrobinę uszkodzili elektrownię atomową Shoreham.

- Wygrałeś?

- Powiedzmy, że to był remis.

Gerry nigdy nie żałował decyzji, którą podjął dziesięć lat temu w Meksyku. Wrócił do Stanów, zmierzył się ze sfabrykowanym oskarżeniem o handel narkotykami, a gdy oczyszczono go ze wszystkich zarzutów, zapisał się na studia prawnicze. Widział, jak jego dawni koledzy, przywódcy studenckiej rewolty, zmieniają barwy: Eldridge Cleaver oddał się Jezusowi, Jeny Rubin sprzedał się kapitalistom, Bobby Seale sprzedawał keczup, a Abbie Hoffman zaangażował się w działalność ekologiczną. Tak więc odpowiedzialność za losy świata spoczywała na barkach Gerry'ego Jaffe'a. Im bardziej mu to ciążyło, tym bardziej błaznował.

Cmoknął Naomi w policzek i przytulił się do jej brzucha.

- Słuchaj, dzieciaku, siedź tam, ile się da. Świat to miejsce do bani. Mówi wujek Gerry.

Teddy uznał, że to najzabawniejsza przemowa pod słońcem, i skręcał się ze śmiechu. To zwróciło na niego uwagę dorosłych, śmiał się więc coraz głośniejsze, w końcu przestał być rozkoszny, a stał się irydujący. Naomi uważała, że dzieciom trzeba pozwolić się realizować, dlatego nie skarciła chłopca, a Holly Grace, która w takie bzdury nie wierzyła, nie odrywała wzroku od Gerry'ego i nie zwracała uwagi na Teddy'ego.

Gerry zrezygnował z bujnego afro gdzieś koło roku 1980, tuż po zdany egzaminie adwokackim, ale nadal nosił dłuższe włosy i teraz ciemne loki, lekko przyprószone siwizną, muskały kołnierzyk skórzanej kurtki, pod którą miał bawełnianą bluzę. Całości codziennego stroju dopełniały drelichowe spodnie. Usta Gerry'ego były równe zmysłowe jak dawniej, nos również wydatny, oczy również płonące. I właśnie te oczy zawróciły Holly Grace w głowie, gdy ponad rok temu wpadli na siebie na jednym z przyjęć u Naomi.

Holly Grace nadal nie do końca pojmowała, co w Gerrym urzekło ją na tyle, że się w nim zakochała. Z pewnością nie były to jego poglądy polityczne. Holly Grace święcie wierzyła, że Stany Zjednoczone muszą mieć broń atomową na wypadek wojny nuklearnej, co jego doprowadzało do szału. Kłócili się o to wiele razy, ale zawsze godzili w łóżku, i był to najlepszy seks od lat. Gerry miał niewiele zahamowań w życiu publicznym i jeszcze mniej w sypialni.

Holly Grace pociągało w nim coś więcej, nie tylko erotyczna sprawność. Przede wszystkim był równie aktywny jak ona. Podczas trzymiesięcznego związku razem zapisali się na kurs spadochronowy, wspinali się w górach i uczyli paralotniarstwa. Życie z nim to jedna niekończąca się przygoda. Uwielbiała go i towarzyszącą mu aurę napięcia. Podobało jej się, że Gerry angażował się we wszystko, od polityki po jedzenie, jego głośny, nieskrępowany śmiech, jego uczuciowość. Kiedyś przyłapała go, jak szlochał, oglądając reklamę. Wyśmiała go, ale wcale się nie zawstydził. Ba, pokochała nawet jego szowinizm. W przeciwieństwie do Dalliego, który, mimo pozorów staroświeckiej galanterii, był najbardziej nowoczesnym mężczyzną, jakiego знаła, Gerry hołdował wizjom związków damsko-męskich żywcem wziętych z lat pięćdziesiątych. A kiedy zwracała mu na to uwagę, cudownie się peszył, naprawdę przerażony, że on, ulubieniec radykałów - nie pojmuje przemian obyczajowych. Podeszedł do niej.

- Witaj, Holly Grace.

Odstawiła kieliszek z resztkami daiquiri na stolik i zrobiła taką minę, jakby z trudem sobie przypominała, jak on właściwie ma na imię.

- O, witaj, Gerry.

Nie nabrał się na jej pozorny chłód. Podeszedł z determinacją, która wywołała u niej dreszcz

oczekiwania.

- Nie waż się mnie tknąć, przebrzydły komunistyczny terrorysto! - syknęła i wyciągnęła rękę, jakby odpędzała wampira krucyfiksem.

- Boże, Holly Grace, jak ty się wyrażasz! - Zatrzymał się w pół kroku i nie odwracając się, powiedział: - Naomi, zabierz na chwilę Teddy'ego do kuchni, dobrze?

- Ani się waż, Naomi - syknęła Holly Grace.

- Przykro mi, kochana, ale ciężarne źle znoszą stres. Chodź, Teddy, zrobimy prażoną kukurydzę.

Holly Grace głęboko zaczerpnęła tchu. Tym razem nie da się Gerry'emu, o nie. Byli razem przez trzy miesiące i przez ten czas bezczelnie ją wykorzystywał. Ona traciła dla niego głowę, a on pilnował, by jego nazwisko często pojawiało się w gazetach. Holly Grace nie mieściło się w głowie, że tak się dała nabrać. Radykałowie nigdy się nie zmieniają. Zawsze szukają okazji, by głosić swoje idiotyczne poglądy.

Gerry wyciągnął do niej rękę, ale obawiała się, że fizyczny kontakt zmąci jej jasność umysłu, cofnęła się więc, zanim jej dotknął.

- Łapy przy sobie, gnojku! - Doskonale sobie bez niego radzi i nic tegonie zmieni. Jest za stara, żeby pozwolić, by ten sam facet złamał jej serce dwukrotnie.

- Nie uważasz, że nasze rozstanie trwa już wystarczająco długo? - zapytał. - Brakuje mi ciebie.

Spojrzała na niego lodowato.

- A co? Już cię nie pokazują w telewizji? - Boże, uwielbia, kiedy loki opadają mu na kark, są takie miękkie i delikatne. Dawniej godzinami się nimi bawiła.

- Nie zaczynaj znowu, Holly Grace.

- Co, odkąd zerwaliśmy, już nie wygłaszasz mów w dzienniku? - dodała okrutnie. - Skorzystałaś na naszym związku, co? Ja budowałam zamki na lodzie, jak idiotka, a ty pisałaś oświadczenia dla prasy.

- Holly Grace, wkurzasz mnie, wiesz? Kocham cię. Nigdy w życiu nikogo tak nie kochałem. Łączyło nas coś pięknego.

Znowu to robi. Znowu łamie jej serce.

- Łączył nas tylko seks - syknęła.

- Nieprawda!

- A niby co? Nie lubię twoich przyjaciół, nie podzielam twoich poglądów. Wiesz, że nienawidzę Żydów.

Z jękiem opadł na kanapę.

- Jezu, znowu to samo!

- Jestem antysemitką, Gerry, naprawdę. Nie zapominaj, że pochodzę z Teksasu. Nienawidzę Żydów, czarnuchów i uważam, że miejsce pedałów jest w więzieniu. I co miałabym robić z takim różowym mięczakiem jak ty?

- Nieprawda, że nienawidzisz Żydów - tłumaczył jej powoli, jak dziecku. - Trzy lata temu podpisałaś petycję dotyczącą praw gejów, opublikowały ją wszystkie nowojorskie dzienniki. Rok później spotykałaś się z pewnym obrońcą z drużyny Pittsburgh Steelers.

- Miał bardzo jasną karnację- obruszyła się. - I przysięgał, że zawsze głosuje na republikanów.

Gerry wstał powoli. W jego oczach mieszały się czułość i troska.

- Słuchaj, skarbie, nie zrezygnuję z polityki dla nikogo, nawet dla ciebie. Zdaję sobie sprawę, że nie popierasz...

- Jesteście nieznośni i zarozumiali! - krzyknęła. - Każdy, kto nie podziela waszych poglądów, to ograniczony głupek! Wiesz co? Nikt normalny nie chce żyć w cieniu bomby atomowej, ale też nie uważa, że powinniśmy pozbywać się naszych rakiet, podczas gdy Sowieci siedzą na tonach amunicji.

- Nie uważasz, że Sowieci...

- Nie będę cię słuchać.... - Porwała torebkę z kanapy i zawołała Ted-dy'ego. Dallis miał rację, kiedy powtarzał, że za pieniądze nie da się kupić szczęścia. Ma trzydzieści siedem lat i chce założyć rodzinę. I mieć męża, który by ją kochał, a nie medialne zmieszanie, jakie jej

towarzyszy.

- Holly Grace, proszę...

- Pieprz się.

- Cholera! - Złapał ją za ramiona-przeciagnął do siebie i pocałował, przekonany, że słowa nie rozwiążą ich problemu. Byli tego samego wzrostu, ale Holly Grace sporo ćwiczyła w siłowni, musiał się więc nieźle postarać, by ją utrzymać przy sobie.

- No, skarbie - szepnął. - Kochaj mnie.

Poddała się na chwilę, póki nie dotarło do niej, co robi. Zesztywniała, a Gerry zsunął usta na jej szyję i pocałował długo, mocno.

- Znowu mi to robisz! - Odskoczyła od niego z krzykiem.

Celowo ją naznaczył. Nie przeprosił.

- Ilekroć na to spojrzysz, pomyśl, że odrzucasz najwspanialszą rzecz, jaka się nam przydarzyła.

Holly Grace zignorowała go, spojrzała na Teddy'ego, który w tej chwili wszedł do pokoju, i warknęła:

- Zabieraj się, idziemy.

- Ależ Holly Grace...

- I to już! - Rzuciła chłopcu kurtkę, porwała swoją z wieszaka i już ich nie było.

Gerry udawał, że ogląda rzeźbę na kominku. Unikał wzroku siostry. Choć przekroczył już czterdziestkę, nie przywykł do tego, że to jemu przypada rola dojrzałego, odpowiedzialnego partnera. Zazwyczaj otaczały go kobiety, które mu matkowały, sprzątały i zgadzały się z tym, co mówi. Nie przywykł do pyskatej teksaskiej piękności, która miała mocniejszą głowę od niego i roześmiałaby mu się w twarz, gdyby poprosił, aby mu zrobiła pranie. Kochał ją tak bardzo, że jakaś jego część wyszła teraz razem z nią. Nie zaprzeczał, że wykorzystał prasowe zamieszanie dokoła ich związku. Zrobił to instynktownie, jak mnóstwo innych rzeczy. Nie mógł przecież zrezygnować z takiej okazji. Dlaczego ona nie pojmuje, że to nie ma nic wspólnego z tym, jak ją kocha?

Naomi stanęła obok i znowu pochylił się nad jej brzuchem.

- Halo? Znowu wujek Gerry. Jeśli jesteś chłopcem, pilnuj jaj, bo kobiety już ostrzą sobie na nie zęby.

- Nie żartuj, Gerry. - Naomi opadła na fotel.

Skrzywił się.

- Dlaczego nie? Sama przyznasz, że ta sprawa z Holly Grace jest po prostu komiczna.

- Spieprzyłeś to - usłyszał.

- Nie mogą dyskutować z bzdurnymi argumentami! - zachnął się. - Wie, że ją kocham, ją, a nie jej nazwisko!

- Ona chce mieć dziecko, Geny - powiedziała cicho Naomi. Znieruchomiał.

- Tak jej się tylko wydaje.

- Jezu, ależ z ciebie dupek. Ilekroć się spotkacie, gadacie o polityce. Chciałabym chociaż raz usłyszeć, jak ona przyznaje, że rozpaczliwie pragnie dziecka, a ty nadal nie dorosłeś do ojcostwa.

- To nie ma z tym nic wspólnego! - warknął. - Nie pozwolę, by moje dziecko żyło w cieniu atomowego grzyba.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Kogo chcesz oszukać, Geny? Boisz się ojcostwa. Boisz się, że schrzanisz sprawę tak samo, jak nasz ojciec, niech mu ziemia lekka będzie.

Geny nie odpowiedział. Nie chciał, żeby Naomi zobaczyła łzy w jego oczach, odwrócił się więc na pięcie i wybiegł bez pożegnania.

Rozdział 21

Francesca uśmiechnęła się do kamery, gdy rozbrzmiały pierwsze takty muzyki zapowiadającej program *Francesca dzisiaj*.

- Witajcie. Mam nadzieję, że przygotowaliście sobie zapas przekąsek i skorzystaliście z toalety, bo w czasie programu nie oderwiecie się od telewizorów!

Spojrzała w kamerę numer dwa, gdzie zapłonęło czerwone światelko.

- Dzisiaj zapraszamy na drugą część programu o arystokracji brytyjskiej. Jak sami wiecie, odkąd tu przyjechaliśmy, szło nam raz lepiej, raz gorzej, ja sama przyznaję, że nasze ostatnie spotkanie okazało się okropnie nudne, ale dzisiaj będzie o wiele lepiej.

Kątem oka widziała, jak Nathan Hurd, producent, oparł dłonie na biodrach - wyraźny znak, że jest niezadowolony. Bardzo nie lubił, kiedy przyznawała na ekranie, że jedna z ich produkcji wyszła gorzej niż pozostałe, ale jej ostatni gość był przeraźliwie nudny i nawet najbardziej impertynenckie pytania nie pobudziły go do żywszej reakcji. Niestety, w przeciwieństwie do pozostałych, akurat ten odcinek nadawano na żywo i niczego nie dało się zrobić.

- Mam dziś w studiu czwórkę młodych ludzi, dzieci najwybitniejszych brytyjskich arystokratów. Czy zastanawialiście się kiedykolwiek, jak to jest, dorastać ze świadomością, że wasze życie jest już zaplanowane? Czy młodzi arystokraci się buntują? Zapytajmy ich o to.

Zazwyczaj program *Francesca dzisiaj* nagrywano w Nowym Jorku, ale czasem realizowali go gdzie indziej, tak jak teraz, gdy cała ekipa przyjechała do Anglii.

Francesca spojrzała na elegancką młodą kobietę.

- Lady Jane, czy wyobraża pani sobie, że łamie tradycję rodzinną i ucieka z szoferem?

Lady Jane zarumieniła się i roześmiała. Francesca wiedziała, że szykuje się ciekawe spotkanie.

Dwie godziny później, po udanym nagraniu, które sprawi, że Amerykanie po raz kolejny pokochają jej program, zmęczona, ale zadowolona, wracała do hotelu. Amerykanie zazwyczaj wybierają hotel Claridge - jest dla nich kwintesencją Londynu, ale Francesca zawsze wolała małe hotel Connaught - tylko dziewięćdziesiąt pokoi, doskonała obsługa i minimalne szanse, że na korytarzu spotkasz gwiazdę rocka.

Weszła do holu, spowita w czarne rosyjskie norki do pół łydki. W jej uszach połyskiwały wielkie brylantowe kolczyki. Myliłby się ktoś jednak, oczekując, że pod eleganckim futrem kryje się równie konserwatywna kreacja. Jeszcze w studiu przebrała się z nudnego kostiumu, w którym nagrywała program, w jeden ze swoich ulubionych zestawów. Miała na sobie obcisłe czarne skórzane spodnie i obszerny malinowy sweter z wizerunkiem fioletowego misia. Teddy bardzo ją lubił w tym stroju, bo czarne skórzane spodnie, jak u motocyklisty, i pluszowe misie zawsze mu się podobały.

Na myśl o Teddym uśmiechnęła się ciepło. Bardzo za nim tęskniła. Rozstania z synem ciążyły jej coraz bardziej; do tego stopnia, że poważnie się zastanawiała, czy nie zażądać od stacji telewizyjnej poważnych zmian w jej kontrakcie. Co z tego, że ma dziecko, skoro nie ma dla niego czasu? Spo-chmurniała. Ostatnio była w kiepskim humorze i czuła, jak chmura depresji nadciąga nieubłagane, niezawodny znak, że za dużo pracowała.

Zerknęła na zegarek, licząc w myślach. Wczoraj Holly Grace zabrała Teddy'ego do Naomi, dzisiaj wybierali się do muzeum morskiego. Może jeszcze ich złapie, zanim wyjdą. Zmarszczyła brwi, gdy przypomniła sobie, co mówiła Holly Grace - Dallas Beaudine wybiera się do Nowego Jorku. Nawet teraz, po tylu latach, na myśl o Teddym i Dalliem w jednym mieście ogarniał ją niepokój. Nie obawiała się, że Dallye pozna prawdę; przecież Teddy w niczym go nie przypominał. Ale nie chciała, by miał cokolwiek wspólnego z jej synkiem.

Rzuciła futro na wieszak i zamówiła rozmowę z Nowym Jorkiem. Bardzo się ucieszyła, gdy Teddy podniósł słuchawkę.

- Tu rezydencja rodziny Day. Theodore przy telefonie. Dźwięk jego głosu sprawił, że łyzy zapiekły ją pod powiekami.

- Cześć, skarbie.

- Mama! Wiesz co? Wczoraj poszliśmy do Naomi i przyszedł Gerry i znowu się pokłócili z Holly Grace. Dzisiaj idziemy do muzeum, a później do niej do domu i zamówimy chińszczyznę. A Jason, wiesz, mój przyjaciel...

Francesca z uśmiechem słuchała paplaniny Teddy'ego. W końcu przerwał, by nabrać tchu, i wtedy powiedziała:

- Tęsknię za tobą, synku. Pamiętaj, już niedługo wracam i wtedy polecimy razem do Meksyku, na całe dwa tygodnie! - Miał to być jej pierwszy urlop, odkąd podpisała umowę ze stacją, i oboje cieszyli się na ten wyjazd od dawna.

- A popływasz w oceanie?

- Zamoczę nogi - ustąpiła. Prychnął gniewnie, po męsku.

- Co najmniej do pasa.

- Do kolan. Ani kroku dalej.

- Wiesz, mam, straszny z ciebie tchórz - stwierdził poważnie. - Większy niż ze mnie.

- Święta racja.

- Uczysz się do egzaminu? - zapytał.

- Pouczę się w samolocie - obiecała.

Od dawna odkładała na później ubieganie się o obywatelstwo amerykańskie. Zawsze miała coś pilniejszego do zrobienia, aż pewnego dnia dotarło do niej, że mieszka tu od dziesięciu lat, a jeszcze nigdy nie głosowała. Zawstydzona, w tym samym tygodniu zaczęła, z pomocą Teddy'ego, żmudny proces ubiegania się o obywatelstwo.

- Bardzo cię kocham - powiedziała.

- Ja ciebie też.

- Będiesz dzisiaj wyjątkowo miły dla Holly Grace? Pewnie tego nie rozumiesz, ale bardzo się denerwuje po spotkaniach z Gerrym.

- Nie wiem, czemu. Gerry jest super.

Francesca uznała, że nie ma sensu tłumaczyć zawiłości stosunków dam-sko-męskich dziesięciolatkowi, który, uważa, że wszystkie dziewczynki są do bani.

- Bądź dla niej miły, dobrze?

Odłożyła słuchawkę i zastanawiała się, w co się ubrać na randkę z księciem Stefanem Markiem Brancuzim. Weszła do łazienki. Na ogromnej wannie leżała kostka jej ukochanego mydła i amerykański szampon. W hotelu Connaught robili wszystko, by goście mieli ulubione kosmetyki i gazety pod ręką. Wiedzieli także, że Teddy zbiera kapsle od butelek, i zawsze, kiedy się wymęldowywała, dostawała pokaźną kolekcję europejskich kapsli od piwa. Nie miała serca im powiedzieć, że w przypadku Teddy'ego

ilość Uczyła się bardziej niż jakość. Obecnie coca-cola była pepsi o trzysta dziewięćdziesiąt cztery kapsle.

Weszła do wanny i zamknęła oczy. Umiera ze zmęczenia. Odda wszystko za urlop. Coraz częściej zastanawiała się, jak długo jeszcze ma zamiar to ciągnąć? Czy Naomi i Holly Grace będą nadal spędzać z jej dzieckiem więcej czasu niż ona?

Holly Grace. Wspomnienie przyjaciółki sprawiło, że wróciła myślami do Dallasa Beaudine'a.

Ich romans wydarzył się tak dawno, że wydawało się, iż to tylko przypadek, że akurat on jest ojcem Teddy'ego. Nie on go rodził, nie on obchodził się bez kosmetyków, byle mieć pieniądze na ortopedyczne buty, nie on nie spał po nocach, martwiąc się, jak wychować dziecko znacznie inteligentniejsze niż ona. To Francesca sprawiła, że Teddy jest taki, a nie inny. Holly Grace nalegała bezustannie, ale Francesca nie chciała Dalliego wpuścić na nawet na margines swojego życia.

- Daj spokój, Francie, to już dziesięć lat - jęknęła Holly Grace ostatnio. - Niedługo przyjedzie do Nowego Jorku na rozmowy z szefami stacji telewizyjnej, chcą, żeby został komentatorem zawodów. Pozwól mi zabrać Teddy'ego na spotkanie z nim. Obaj słyszą o sobie od lat, czas, żeby się poznali.

- Nie! - Użyła jedyne argumentu, który zdawał się trafiać do Holly Grace. - Tamten czas z Dalliem to najgorsze, najbardziej poniżające chwile w moim życiu. Nie chcą do tego wracać. Nie chcę się z nim kontaktować i nie chcę, żeby Teddy miał z nim cokolwiek wspólnego. Wiesz, co o tym myślę, Holly Grace, i obiecałaś, że dasz mi spokój. Holly Grace powoli traciła cierpliwość.

- Francie, mały wyrośnię na pedała, jeśli nie będzie częściej przebywał z mężczyznami.

- Jesteś dla niego idealnym ojcem - ucięła Francesca, zdenerwowana i zarazem wzruszona. Holly Grace niewzruszenie trwała przy jej boku od lat.

Holly Grace postanowiła potraktować jej słowa poważnie.

- No, atlety z niego nie zrobiłam. - Spochmurniała. - Szczerze mówiąc, Francie, on jest jeszcze gorszy w sporcie niż ty.

- No i co z tego. Pamiętasz, rzucałam mu piłki!

- No, niech mnie, to dopiero były przełomowe chwile historii w bejsbolu, ślepy łapie, kaleka rzuca. W życiu nie widziałam...

- Tobie poszło niewiele lepiej. Spadł z konia, kiedy go zabrałaś do stadniny, i złamał sobie palec, kiedy uczyłaś go grać w rugby.

- I dlatego chcę, żeby poznał Dalliego. Może on będzie wiedział, co z nim zrobić. - W zadumie żuła łydę selera. - Sama nie wiem... to pewnie przez to, że Teddy ma cudzoziemską krew. Przecież gdyby Dallie był jego ojcem, nie miałybyśmy tego problemu. Każdy Beaudine ma sport we krwi.

Co ty wiesz! Francesca wróciła do rzeczywistości. Woda w wannie stygła nieprzyjemnie i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że zostało jej niecałe dwadzieścia minut do przyjścia Stefana. Zaprosił ją na swój jacht, na kolację. Choć zmęczona, cieszyła się na ten wieczór. Po wielu miesiącach długich rozmów telefonicznych czuła, że nadszedł czas, by ich związek wszedł w inną, bardziej intymną fazę.

Musnęła gąbką piersi i poczuła przyjemny dreszcz - najlepszy znak, że czas zakończyć roczny celibat. Nie planowała tego, po prostu nie umiałyby zmieniać partnerów jak rękawiczki, jak robiła to kiedyś Holly Grace. Nieważne, czego domagało się ciało - Francescę brzydziła myśl o seksie bez emocji.

Dwa lata temu była o krok od poślubienia młodego charyzmatycznego kongresmana z Kalifornii. Był przystojny, dobry w łóżku i odnosił sukcesy. Jednak nie bawiły go jej dowcipy, a nastoletnie uciekiniarki doprowadzały do szału, zerwała więc z nim. Książę Stefan Marco Brancuzi to pierwszy mężczyzna, z którym od roku miała ochotę iść do łóżka.

Wyszła z wanny, przed lustrem zrobiła sobie makijaż. Malowała się szybko i fachowo, bo w jej zawodzie trzeba dobrze wyglądać, ale nie przyglądała się swoim zielonym oczom, nie zachwycała się kasztanowymi włosami. Już dawno nauczyła się, że piękność bywa przekleństwem, nie błogosławieństwem, a siła woli bierze się z ciężkiej pracy, nie dają jej piękne rzęsy.

Ale ciuchy to już inna sprawa.

Po namyśle zdecydowała się na prostą czarną kreację od Gianni'ego Versace. Suknia odsłaniała plecy, podkreślała talię i opadała miękko do pół łydki. Zanim wyszła, spojrzała na futro. Po chwili wahania narzuciła je na ramiona. Nie chciała go przyjąć, ale Stefan nalegał. Drażniła ją myśl, ile małych istotek musiało zginąć, żeby ona miała modny płaszcz.

Nie. Odłożyła futro i sięgnęła po fioletowy szal, i po raz pierwszy tego wieczoru uważnie przyjrzała się swojemu odbiciu. Suknia od Versace, brylanty w uszach, włoskie szpilki - wszystko to kupiła sobie sama. Z

uśmiechem szła do windy.

Boże, błogosław Amerykę.

Rozdział 22

Sprzedajesz się, ot co. Mów, co chcesz, owijaj to w bawełnę, jasne, nowe perspektywy i poszerzanie horyzontów, ale obaj wiemy, że się poddajesz i tyle.

Skeet i Dallie siedzieli w taksówce, w korku na Piątej Alei.

- Jestem realista. - Dallie się zirytował. - Gdybyś nie był tak uparty, zrozumiałbyś, że taka okazja nie zdarza się dwukrotnie. - Dallie zawsze się złościł, gdy nie on siedział za kierownicą, ale jeśli na dodatek samochodem jest taksówka w sercu Manhattanu, a kierowca prawie nie mówi po angielsku, to groziło wybuchem.

Przed chwilą wyszli ze Skeetem z bardzo eleganckiej restauracji, gdzie szefowie stacji telewizyjnej przez dwie godziny nakłaniali go, by został ich komentatorem golfowym. W zeszłym roku komentował kilka turniejów, gdy nie grał z powodu złamanego nadgarstka, i entuzjastyczna reakcja widzów podsunęła stacji pomysł, by zatrudnić go na stałe.

Dallie poświęcił się i z tej okazji wbił w elegancki garnitur. Skeet nie był tak wielkoduszny - wystąpił w sztruksowej marynarce z supermarketu i krawacie z 1973 roku, który wygrał w rzutki.

- Sprzedajesz się - powtarzał Skeet uparcie.

Dallie odwrócił się gniewnie w jego stronę.

- Straszny z ciebie hipokryta! Odkąd pamiętam, nasyłasz na mnie agentów z Hollywood i namawiasz, żebym pozował do zdjęć w samych majtkach, za to kiedy oferują mi godną pracę, pieprzysz, że się sprzedaję.

Tamte oferty nie przeszkadzałyby ci grać w golfa. Do cholery, Dallie, nic by się nie stało, gdybyś gościnnie wystąpił w jednym czy drugim serialu, ale tu chodzi o co innego. Cały sezon. Masz przez cały sezon siedzieć na tyłku i wypowiadać idiotyczne uwagi o różowych koszulkach Grega Normana, tymczasem Norman przejdzie do historii golfa. To koniec twojej kariery! Nie przypominam sobie, żeby ci goście ze stacji mówili, żebyś komentował czasami, kiedy się nie zakwalifikujesz, jak Nicklaus. Nie, chcą cię na stałe.

Dallie nie pamiętał, by Skeet kiedykolwiek wygłosił równie długą mowę, i to sprawiło, że na chwilę się uspokoił. Wtedy jednak Skeet dodał coś pod nosem i Dallie wkurzył się na nowo. Nie nawrzeszczał na niego tylko dlatego, że wiedział, że Skeet bardzo przeżywał ostatnie sezony.

Wszystko zaczęło się kilka lat temu, gdy wyszedł z baru po kilku piwach i omal nie zabił dzieciaka na rowerze. Na szczęście nic się nie stało, dzieciak wyszedł z tego ze złamanym żebrem, a gliniarze potraktowali Dalliego o wiele łagodniej, niż na to zasłużył, ale wtedy przejrzał na oczy. Dobra, niech alkohol psuje mu golfa, ale nie chciał przecież nikogo zabić. Postanowił przestać pić. Nie było łatwo, co świadczyło, że wbrew temu, co twierdził, miał poważny problem z alkoholem, ale się udało.

Ku jego zdumieniu niemal od razu zaczął lepiej grać. Miesiąc później zajął trzecie miejsce w turnieju Bob Hope. Skeet miał łzy w oczach. Dallie słyszał, jak mówi do Holly Grace przez telefon:

-Wiedziałem, że tak będzie! Poczekaj tylko, Holly Grace. Zostanie jednym z wielkich. Nasz chłopak wreszcie pokazał, co potrafi.

Ale tak się nie stało, nie do końca. Co sezon zajmował drugie, trzecie, czwarte miejsce w jednym z ważnych turniejów, ale w końcu wszyscy zrozumieli, że teraz, w wieku trzydziestu siedmiu lat, zbliża się do końca kariery i nigdy nie wygra wielkiego turnieju.

- Masz odpowiednie umiejętności - mówił Skeet, wpatrzony w ponure miasto za oknem taksówki. - I masz talent, ale coś ci nie pozwala wygrać. Szkoda, że nie wiem, co to jest.

Dallie wiedział, ale milczał.

- Posłuchaj mnie, Skeet. Wiadomo, że golf w telewizji jest nudny jak flaki z olejem. Proponują mi niezłe pieniądze, żebym nieco ożywił transmisję. Nie rozumiem, co widzisz złego w przyjęciu ich oferty.

- A od kiedy tak się przejmujesz pieniędzmi? - zdziwił się Skeet.

- Odkąd spojrzalem w kalendarz i zobaczyłem, że mam trzydzieści siedem lat, od wtedy - burknął Dallye i zastukał w szybę dzielącą pasażerów do taksówkarza. - Ej, tu mnie wypuść! .

- A ty dokąd?

- Do Holly Grace. Sam.

- I tak usłyszysz od niej to samo, co ode mnie.

Dallye wysiadł. Taksówka odjechała. Zrobił jeden krok i wlaź w psia kupę. Bomba. Dobrze mu tak, skoro zjadł lunch wart więcej niż budżet niejednego kraju w Trzecim Świecie.

Nie zwracał uwagi na spojrzenia mijających go kobiet, energicznie czyścił podeszwę o krawężnik. I wtedy dopadł go Niedźwiedź, tu w środku Nowego Jorku.

Podpisz, póki cię chcą, szeptał. Ile jeszcze będziesz się łudził?

- Nie łudzę się! -Dallye szedł Piatą Aleją w stronę mieszkania Holly Grace.

Niedźwiedź ruszył za nim. Z niesmakiem potrząsnął głową. Myślałeś, że jak przestaniesz chlać, to wszystko się ułoży, co, mały? Myślałeś, że to takie proste. Czemu nie powiesz Skeetowi prawdy? Czemu nie powiesz, że nie masz jaj i boisz się wygrywać?

Dallye przyspieszył kroku. Może Niedźwiedź go nie dogoni? Ale Niedźwiedź był z nim od dawna i nie tak łatwo się go pozbędzie.

Holly Grace mieszkała w luksusowym apartamentowcu wznoszącym się nad Muzeum Sztuki Współczesnej. Mawiała, że sypia na najszlachetniejszych malarzach świata. Portier rozpoznał Dallyego i wpuścił go do jej mieszkania.

Nie było w jego stylu - zdecydowanie za białe i za nowoczesne. Ściągnął marynarkę, krawat, włączył magnetofon i usiadł w niewygodnym fotelu, za małym, jak dla kogoś jego wzrostu. Nagle jego wzrok zatrzymał się na kilku fotografiach w srebrnych ramkach na pianinie. On, Holly Grace i jej mama, kilka wspólnych zdjęć... i Danny, latem 1969 roku.

Podniósł ją ze ściśniętym sercem. Danny, roześmiany, pogodny, z kropelką śliny na zawsze zastygłą w kąciku ust. Gdyby żył, miałby osiemnaście lat. Dallye sobie tego nie wyobrażał. Nie wyobrażał sobie syna, wysokiego jak on, jasnowłosego, smukłego, pięknego jak matka. Dla niego Danny na zawsze pozostanie brzdącem na krzywych nóżkach.

Nie chciał o nim myśleć. Ból zawsze mu towarzyszył. Już nie tak dotkliwy, ale zawsze obecny. Spojrzał na inne zdjęcie - Francesca. Przysiadła na wielkim gładzie, roześmiana, i posadziła sobie na kolanach tłustego bobasa. Dobrze wspominał tamte chwile z nią.

Kto by pomyślał, że robi taką karierę? I to sama! Bez niczyjej pomocy wychowywała dziecko i pracowała zawodowo. Fakt, zawsze była odważna, chciała brać się z życiem za bary, nie zważając na konsekwencje. Nagle przemknęło mu przez głowę, że Francesca już dobiega do mety, podczas gdy on nadal nie wyruszył z bloków startowych.

Nie spodobała mu się ta myśl. Poszedł do kuchni. Holly Grace zawsze miała dla niego lemoniadę w lodówce. Znowu wrócił myślami do Franceski. Zawsze ją podziwiał za szczerość. Przecież bez wysiłku mogłaby mu wmówić, że mały to jego dziecko. Ale nie, wołała radzić sobie sama.

Wrócił do saloniku. Przypomniał sobie, że we wszystkich wywiadach Francesca twierdziła, że jej synek jest owocem krótkiego, nieudanego małżeństwa, tak nieudanego, że nie chciała zdradzić nazwiska ojca i mały nazywał się Day. Chyba tylko Holly Grace, on i Skeet wiedzieli, że żadnego męża nie było, ale szanowali Francescę na tyle, by trzymać język za zębami.

Jej przyjaźń z Holly Grace zastanawiała go od dawna i wielokrotnie prosił byłą żonę, że chciałby na własne oczy zobaczyć, jak to wygląda.

- Moim zdaniem ty gadasz o sporcie, a ona o butach - zakończył.

- Nie jest taka - sprzeciwiła się Holly Grace. - To znaczy, tak, gada o butach, ale nie tylko.

- Co za ironia losu, że akurat ona sama wychowuje chłopca - zauważył. - Na pewno wyrośnie na dziwaka.

Holly Grace nie spodobała się ta uwaga, nie mówił więc nic więcej, ale widział, że to samo chodzi jej po głowie.

Taśma się skończyła. Wstawał, by ją odwrócić, gdy usłyszał Holly Grace.

- Cześć, Dallye, portier mówił, że cię wypuścił. Miałeś przyjść jutro.

- Zmiana planów. Jezu, Holly Grace, to mieszkanie wygląda jak gabinet lekarski.

Holly Grace stanęła w progu z dziwną miną.

- Francesca zawsze mówi to samo. Wiesz, Dallye, czasami mnie przerażacie.

- Czemu?

Rzuciła torebkę na kanapę.

- Nie uwierzysz, ale czasami jesteście do siebie bardzo podobni. To znaczy, nie tak jak my, bo my jesteśmy jak dwa ziarenka w korcu maku. Jesteśmy podobni fizycznie, tak samo mówimy, mamy te same zainteresowania: seks, sport, samochody.

- Do czego zmierzasz? Bo głodny jestem.

- Macie z Francescą odmiennie zainteresowania: ona uwielbia ciuchy, wielkie miasta, brzydzi się potem i ma bardzo liberalne poglądy, pewnie dlatego, że jest imigrantką, a ty nie zwracasz uwagi na ubranie i jesteś prawicowym radykałem. Pozornie wszystko was dzieli.

- Delikatnie mówiąc.

- A jednak jesteście podobni. Kiedy tu weszła po raz pierwszy, powiedziała to samo, co ty. I wiesz co, nie uwierzysz, ale pobiła cię, jeśli chodzi o przybłądy. Najpierw przygarniała bezdomne koty. Potem psy, co było ciekawe, bo boi się ich panicznie. Teraz przerzuciła się na ludzi - zbiera z ulicy kilkunastoletnie uciekinierki, które sprzedają się za grosze.

- Naprawdę? - Dallye podniósł głowę z zainteresowaniem. - A co z nim robi, kiedy... - urwał, gdy Holly Grace zdjęła kurtkę i zobaczył siniaka na jej szyi. - Co to? Malinka?

- Nie będę o tym rozmawiać. - Zakryła szyję dłonią i poszła do kuchni. Poszedł za nią.

- Cholera, Gerry Jaffe, tak? Ten komuch?

- Nie komuch. - Holly Grace wzięła sobie piwo z lodówki. - Ma inne poglądy niż ty, ale to nie znaczy, że jest komuchem. Zresztą wcale nie jesteś takim konserwatystą, za jakiego chcesz uchodzić.

- Moje poglądy nie mają tu nic do rzeczy, skarbie. Nie chcę, żebyś cierpiała.

- A skoro o kochankach mowa: jak się miewa Bambi? Nauczyła się już czytać, nie poruszając ustami?

- Holly Grace...

- Przysięgam na Boga, nie rozwiodłabym się z tobą, gdybym przypuszczała, że zaczniesz się umawiać z idiotkami.

Rozwiedli się, bo kiedy prasa zwęszyła informacje o niekonwencjonalnym małżeństwie gwiazdy nowego serialu i zawodowego golfisty, ulubieńca publiczności, dziennikarze nie dawali im spokoju. Holly Grace znosiła to lepiej, ale Dallye nienawidził paparazzich i kilka razy użył siły, żeby się ich pozbyć. W rezultacie przewodniczący PGA zawiesił go na kilka miesięcy i Holly Grace uznała, że trzeba coś z tym zrobić. Stąd rozwód.

- Daj mi spokój. - Dallye się skrzywił. To fakt, Bambi to była wielka pomyłka, ale czy Holly Grace musi mu ciągle o tym przypominać?

W drzwiach zazgrzytał klucz. Z holu dobiegł zdyszany dziecięcy głos.

- Ej, Holly Grace, udało mi się! Na piechotę!

- Super! - Nagle wstrzymała oddech. - Cholera! Francie mnie zabije. To Teddy, jej synek. Odkąd zamieszkała w Nowym Jorku, kazała mi przysiąc, że się nie spotkacie.

Dallye poczuł się urażony.

- A co, ona uważa mnie za zboczeńca? Przecież go nie porwę.

- Wstydzi się i tyle.

Nic z tego nie rozumiał. W tej chwili Teddy wbiegł do kuchni, rozczochrany, roześmiany.

- Wiesz, co znalazłem na schodach? Superśrubę. Pójdziemy jeszcze raz do tego muzeum? Jest fajne i... - Urwał, bo zobaczył Dallyego. - Rany! - Otwierał i zamykał buzię jak rybka w akwarium.

- Teddy, oto jedyny i niepowtarzalny Dallas Beaudine - powiedziała Holly Grace. - Wreszcie go poznałeś.

Dallye wyciągnął rękę.

- Cześć, Teddy. Dużo o tobie słyszałem.

- Rany! - powtórzył Teddy z zachwytem. Też chciał wyciągnąć rękę, ale z tego wszystkiego zapomniał, którą. Dallye mu pomógł. Wziął za prawą i uścisnął.

- Holly Grace mówiła, że się lubicie.
- Oglądaliśmy cię w telewizji miliony razy! - poinformował Teddy entuzjastycznie. - Holly Grace opowiadała mi o golfie i w ogóle.
- Fajnie. - Ładny to on nie jest, stwierdził Dallie. Bawiła go mina chłopca; jakby zobaczył samego pana Boga. Jego mama jest śliczna, pewnie zatem z Nicky'ego był straszny brzydal.
Teddy wiercił się niespokojnie, wpatrzony w Dalliego jak w obraz. Okulary zjechały mu na czubek nosa i chciał je poprawić, ale z emocji zrzucił na ziemię.
- Proszę... - Dallie schylił się po nie.
Teddy też. Obaj kucali, dwie głowy pochyliły się do siebie, ruda i blond. Dallie podał chłopcu okulary. Ich twarze dzieliło niecałe pół metra. I wtedy Dalliemu świat zwałił się na głowę.
- O Boże!
Teddy, przyglądając mu się ze zdumieniem, włożył okulary.
Dallie złapał go za rękę tak mocno, że mały się skrzywił. Holly Grace wyczuła, że coś jest nie tak, widząc, jakim wzrokiem Dallie patrzy na Teddy'ego.
- Dallie?
Nie słyszał jej. Czas się cofał. Znowu był dzieckiem, dzieckiem wpatrzonym w rozwścieczone oblicze Jayceego Beaudine'a.
Tylko że tym razem nie była to wielka, potężna, nieogolona twarz, ale malutka, dziecinna.

Francesca jęczała z rozkoszy, gdy Stefan całował jej piersi... I nagle zadzwonił telefon.
- Idioci! - warknął. - Mówiłem, żeby mi nie przeszkadzano! Jednak atmosfera prysła i podniósł słuchawkę.
- Do ciebie. Coś pilnego.
No nie. Zamorduje Nathana Hurda za takie numery. Nawet producent nie ma prawa zawracać jej głowy w wolny wieczór.
- Nathan, zamorduję cię... - Stefan stuknął karafką w stół i nie dosłyszała.
- Co? Nie słyszę.
- Tu Holly Grace. Przestraszyła się nie na żarty.
- Wszystko w porządku?
- Nie. Lepiej usiądź.
Ciężko osunęła się na kanapę, przerażona cichym, stłumionym głosem przyjaciółki.
- Co się dzieje? Jesteś chora? Coś z Gerrym? - Stefan przestał marudzić, gdy usłyszał panikę w jej głosie.
- Nie, Francie, nie. Chodzi o Teddy'ego.
- Co? - Francesca obawiała się, że serce wywie się jej z piersi.
Holly Grace mówiła coraz szybciej.
- Zniknął. Dzisiaj, ode mnie z domu. Chyba Dallie go porwał - dodała po chwili.
- O Boże! - Francesce zbierało się na mdłości. Niby dlaczego Dallie miałby porywać Teddy'ego? Tylko jeden powód przychodził jej do głowy, ale to niemożliwe, nikomu nie powiedziała. A jednak... Ogarnęła ją wściekłość. Jak mógł tak postąpić?
- Francie, jesteś tam?
- Tak.
- Muszę cię o coś zapytać. - Znowu długa cisza i Francesca wiedziała już, co zaraz usłyszy. - Kiedy Dallie go zobaczył, coś się z nim stało. Dlaczego?
- Nie wiem.
- Francie...
- Nie wiem, Holly Grace! - krzyknęła. - Nie wiem. - Uspokoila się. - Znasz go lepiej niż ktokolwiek inny. Jak myślisz, może go skrzywdzić?
- Skądże. - Zawahała się. - Nie fizycznie. Ale nie wiem, bo nie chcesz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.
- Kończę, chcę jeszcze dzisiaj złapać samolot do Nowego Jorku. - Czuła, jak drży jej głos. - Postaraj się dowiedzieć, gdzie może być Dallie. I na Boga, trzymaj się z daleka.

Nie chcę, żeby Teddy... Już wracam.

- Francie, powiedz mi, co się dzieje.
- Kocham cię, Holly Grace. Bardzo. - Francesca odłożyła słuchawkę.

Wpatrzona w noc nad Atlantykiem, leciała do domu. Dręczyły ją niezliczone pytania. Gdzie jesteś Teddy? Czy się boi? Co Dallie mu powiedział? Wiedziała od Holly Grace, że w gniewie bywa nieobliczalny, ba, niebezpieczny. Ale nie wierzyła, że skrzywdziłby małego chłopca.

Ona to inna sprawa.

Rozdział 23

Teddy przyglądał się Dalliemu, gdy stali w McDonalddie przy autostradzie. Też chciałby mieć taką koszulę w kratę, szeroki skórzany pas i dzinsy z naderwaną kieszenią. Mama zawsze wyrzuca jego dzinsy, kiedy się przetrąną kolanach. I takie buty kowbojskie! Musi poprosić o nie świętego Mikołaja!

Dallie niósł tacę z jedzeniem na tył restauracji. Teddy biegł za nim, przebierając szybko nogami. Na początku, kiedy wyjechali z Manhattanu, pytał go, czy ma konie i czy widział rodeo, ale Dallie nie był zbyt rozmowny, więc Teddy w końcu umilkł, choć miał jeszcze mnóstwo pytań.

Holly Grace zawsze mu opowiadała o Dallisie Beaudinie -jak się poznali w Wynette, jak Dallie uciekł z domu i poznał Skeeta Coopera, jak przemierzali kraj wzdłuż i wszerz, grając w golfa z bogaczami. Gdy Teddy przeniósł się z mamą do Nowego Jorku, błagał ją, by pozwoliła mu poznać Dalliego, ale zawsze znajdowała jakąś wymówkę. I proszę! Teddy wiedział, że oto nastąpił najwspanialszy dzień jego życia.

Tylko że najbardziej na świecie chciał wracać do domu, bo wcale nie było tak, jak sobie wymarzył.

Dallie go chyba nie lubił. Wydawał mu się ponury i milczący. Teddy wolałby, żeby klepnął go w ramię i powiedział: „Ej, bracie, mam nadzieję, że wyruszysz ze mną i Skeetem w drogę”.

Teddy sięgnął po colę i udał, że z zainteresowaniem ogląda plakaty reklamujące śniadanie w McDonalddie. Dziwne, że Dallie zabiera go na spotkanie z mamą - nie wiedział nawet, że oni się znają. Ale jeśli Holly Grace uznała, że tak jest w porządku, nie ma nic przeciwko temu.

Dallie odezwał się nieoczekiwanie.

- Zawsze nosisz te okulary?

- Nie zawsze. - Zdjął je, złożył starannie i schował do kieszeni. Plakaty straciły na ostrości. - Mama mówi, że ważne jest to, jaki człowiek jest w środku, a nie na zewnątrz.

Dallie prychnął i spojrzał na jego hamburgera.

- Dlaczego nie jesz?

Teddy odepchnął kanapkę palcem.

- Jest z keczupem, a prosiłem bez niczego. Dallie spojrzał na niego z ukosa.

- A komu przeszkadza odrobina keczupu?

- Jestem uczulony - odparł Teddy.

Dallie znowu się zachnął i Teddy wywnioskował, że nie podobają mu się chłopcy, którzy nie lubią keczupu i mają alergię. Rozwahał, czy i tak nie zjeść hamburgera, żeby udowodnić Dalliemu, że potrafi, ale było mu niedobrze, keczup kojarzył mu się z krwią i dostawał po nim wysypki na całym ciele.

Zastanawiał się, co powiedzieć, żeby Dallie go polubił. Zazwyczaj nie miał takich problemów z dorosłymi. Z innymi dziećmi tak - to normalne, czasami się kogoś lubi, czasami nie.

- Mój iloraz inteligencji wynosi prawie sto siedemdziesiąt punktów - powiedział. Nie chciał się chwalić, uznał po prostu, że Dalliego to zainteresuje.

Kolejne prychnięcie i Teddy wiedział, że znowu nie trafił.

- Skąd takie imię? Teddy? - zapytał Dallie.

- Kiedy się urodziłem, mama czytała książkę o takim chłopcu, który miał na imię Teddy, napisał ją J.R. Salinger.

Dallie spochmurniał jeszcze bardziej.

- J.D. Salinger - poprawił.

Znowu ruszyli w drogę. Dallie był na siebie wściekły. Zachowywał się jak ostatni drań, tak, ale nie mógł się opanować. Wściekłość nie pozwalała mu logicznie myśleć. Miał wrażenie, że pozbawiono go części jego męskości. Ma trzydzieści siedem lat i czym się może pochwalić? Żalną karierą? Był fatalnym mężem i niekompetentnym ojcem. A teraz jeszcze to.

Suka. Cholerna, zakłamana suka, rozpuszczona egoistka. Urodziła jego dziecko i nie puściła pary z ust. Przez tyle lat oszukiwała Holly Grace. A on w to wszystko uwierzył. Boże, zemściła się na nim, i to jak. Odebrała mu syna.

Zerknął na chłopczyka na sąsiednim siedzeniu. Jego ciało i krew, jak Danny. Francesca już pewnie wie, że zniknął. Ta myśl sprawiła mu ponurą satysfakcję. Niech cierpi.

W Wynette niewiele się zmieniło przez te lata, zauważyła Francesca. Patrzyła na miasteczko zza szyb wynajętego samochodu. Była tu już drugi dzień. Los spletał jej figła - rzucił ją tam, gdzie to wszystko się zaczęło. To Holly Grace zasugerowała Wynette.

- Dallie zawsze tam wraca, kiedy cierpi - powiedziała znacząco i Francesca skuliła się, słysząc oskarżycielski ton jej głosu. Ich dziesięcioletnia przyjaźń zawisła na włosku. Nie dziwiła się Holly Grace, że tak źle zniosła prawdę o tym, kto jest ojcem Dalliego, ale liczyła, że przyjaciółka zrozumie jej argumenty. Nie rozumiała.

- Wiesz co, Francie? - Holly Grace aż poczerwieniała ze złości. - Nie masz pojęcia, czym dla Dalliego jest rodzina. Przez całe życie jej szukał i budował z przygodnie napotkanych ludzi. Ma Skeeta, pannę Sybil, mnie, przybłędów. Ale to... To go zabije. Jeden syn nie żyje, drugiego przed nim ukryłaś.

Domek nadal witał lawendowymi ścianami, choć pomarańczowe króliki odświeżono ręką już nie tak wprawną, jak dawniej. Wysiadła z samochodu.

Rozdział 24

Przepraszam... pani Day? Rozejrzała się czujnie, słysząc dziewczęcy głos. Błagam, nie, pomyślała. Nie dzisiaj, kiedy mam tysiące spraw na głowie. Zanim się odwróciła, wiedziała, co zobaczy- zdesperowaną, smutną i twardą zarazem, tanie ciuchy i tandetne kolczyki. Wiedziała, co usłyszy. Ale nie dziś. Dziś nie ma siły na cudze kłopoty. Dziewczyna w dżinsach i różowej bluzie podeszła do samochodu.

- Ja... widziałam panią na stacji benzynowej... i... Ja... nie mogłam uwierzyć, że to naprawdę pani... ja... słyszałam o pani od takiej dziewczyny, którą kiedyś spotkałam... Że pani... no...

Wiesć się rozniosła. Od Dallas do St Louis, od Los Angeles do Nowego Jorku, młode uciekinierki powtarzały sobie o frajerce z telewizji. Najwyraźniej wieści dotarły też do Wynette w Teksasie.

- Jak mnie znalazłaś? - zapytała.

- No... pytałam. Ktoś powiedział, że pewnie tu się pani zatrzymała.

- Jak się nazywasz?

- Dora... Doralee. - Dziewczyna chciwie zaciągnęła się papierosem.

- Kiedy ostatnio jadłaś? - zapytała Francesca.

- Niedawno - obruszyła się Doralee.

Akurat. Pewnie batoniki i ciastka z supermarketu.

- Może wejdziemy do środka i pogadamy?

- Dobra.

Francesca obawiała się, co powie panna Sybil, widząc nieoczekiwanego gościa, ale stara nauczycielka powitała Doralee równie serdecznie jak samą Francescę poprzedniego dnia.

Początkowo chciała zatrzymać się w hotelu, ale już podczas rozmowy telefonicznej z wdzięcznością przyjęła zaproszenie. Tu, w tym domu, czuła się bliżej Teddy'ego.

Pół godziny później spała, zmęczona nerwami i podróżą.

Następnego dnia po Dalliem nie było ani śladu, a Holly Grace zadzwoniła z wiadomością, że Skeet zniknął.

- Jak to zniknął? - powtórzyła Francesca. - Miał się z tobą skontaktować, gdyby coś wiedział.

- Pewnie Dallie ściągnął go do siebie i kazał trzymać język za zębami.

Skeet rzeczywiście siedział w samochodzie, razem z Dalliem i Teddym.

- Co to za zwierzaki, Skeet? - Teddy ciekawie przyciskał nos do szyby. - O, tam!

- Chyba ci kazałem zapiąć pas - warknął Dallie. - Do cholery, Teddy, nie wolno się wiercić podczas jazdy! Zapnij pas, bo spuszczę ci lanie!

Skeet zmarszczył brwi i zerknął do tyłu. Teddy patrzył na Dalliego z identyczną miną jak Dallie, kiedy kogoś nie lubił.

- To kozy angorskie, Teddy. Z ich wełny robi się eleganckie swetry. Ale Teddy'ego już nie interesowały kozy. Bawił się kłamrą pasa.

- Zapiąłeś? - warknął Dallie.

- No.

- Tak, proszę pana - poprawił Dallie. - Kiedy rozmawiasz z dorosłymi, masz mówić: proszę pana i proszę pani, rozumiesz?

- No.

Dallie odwrócił się gwałtownie.

- Tak, proszę pana - mruknął mały. - Kiedy wreszcie zobaczę mamę? - zapytał Skeeta.

- Już niedługo - zapewnił Skeet. - Na razie weź sobie oranżadę z przenośnej lodówki.

Teddy zajął się szukaniem napoju, a Skeet mruknął do Dalliego:

- Jesteś dla niego strasznie surowy, wiesz o tym?

- Nie wtrącaj się - warknął Dallie. - Sam nie wiem, po co cię ściągnąłem. - Zacisnął dłonie na kierownicy. - Nie widzisz, co ona mu zrobiła? Opowiada na prawo i lewo, jaki ma iloraz inteligencji, ale nie złapie najprostszej piłki! Widziałeś, co się działo w motelu, kiedy do niego rzuciłem!

Skeet się zamyślił.

- Sport to nie wszystko.

- Wiem, ale on jest dziwny. Nie wiadomo, co mu chodzi po głowie. Nosi okulary. I jest strasznie chudy. I mały. Danny był o wiele większy.

- Podobnie jak jego mama.

Dallie zacisnął usta. Skeet milczał.

Teddy nie słyszał słów, ale wiedział, że rozmawiają o nim. Oranżada piekła go w gardle. Już wczoraj przestał sobie wmawiać, że wszystko jest w porządku. Dallie chyba go porwał. Bardzo chciał już wrócić do mamy.

Poczuł lzy pod powiekami. Nie chciał się rozpląkać jak małe dziecko, wpatrywał się więc uporczywie w fotel Dalliego. Dallie patrzył na szosę, nie na niego, Teddy ukradkiem rozpiął więc pas bezpieczeństwa. Żaden dupek nie będzie rozkazywał Wielkiemu Siekaczowi.

Francesce śnił się Teddy. Opowiadał o zajęciach z przyrody, o projekcie o owadach, wołał ją, wyciągał ręce...

- Mamo! Mamo!

Obudziła się nagle, gdy małe ciało upadło na łóżko obok niej.

- Mamo!

W pierwszej chwili nie wiedziała, czy to sen, czy jawa, ale zaraz roześmiała się radośnie.

- Teddy! Mój Teddy! - Przyciągnęła go do siebie, śmiejąc się i płacząc jednocześnie. - O Boże!

Miała niejasne wrażenie, że Dallie obserwuje ją od progu, ale nic ją to nie obchodziło. Odzyskała synka! W koncu jednak podniosła wzrok na mężczyznę stojącego w drzwiach.

Był tak zagubiony, nieszczęśliwy i samotny, że w pierwszej chwili miała ochotę wyciągnąć do niego rękę i zaprosić do nich, do rodziny na łóżku. Zanim jednak cokolwiek zrobiła, odszedł, a ona zajęła się synkiem.

- Mamo, chcę do domu - szeptał.

Przytuliła go do siebie. Jak mu powiedzieć o Dalliem? Uznała, że musi to zrobić, ale jak? Nie umiała kłamać, nawet historyjka o Świętym Mikołaju brzmiała fałszywie w jej ustach. Trudno, musi spróbować.

- Teddy, wiesz, że zawsze trzeba mówić prawdę - zaczęła. - Ale czasami mama musi poczekać, aż jej dziecko jest na tyle duże, żeby zrozumieć.

Teddy gwałtownie wyrwał się z jej objęć.

- Muszę iść do Skeeta - powiedział. - Obiecałem, że zaraz wrócę. Muszę iść.

- Teddy! - Francesca dopadła go w drzwiach. - Musimy porozmawiać!

- Nie chcę - mruknął.

On wie, uznała. Domyśla się i nie chce słyszeć tego, co mam mu do powiedzenia. Objęła go mocno.

- Teddy, chodzi o Dalliego.

- Nie chcę tego słuchać!

Przytuliła go mocniej i szeptała:

- Dawno temu znaliśmy się z Dalliem... kochaliśmy się... ale nam się nie układało, więc się rozstaliśmy. - Uklękła przy nim, złapała za ręce, zajrzała w oczy. - Teddy, to co ci mówiłam o twoim tacie, że był Anglikiem i umarł...

Teddy gwałtownie potrząsnął głową.

- Muszę iść, mamo! Muszę! Dallie to świnia! Nienawidzę go!

- Teddy!

- Nie! - Wyrwał się jej i wybiegł z pokoju.

Ukryła twarz w dłoniach. Co między nimi zaszło, głowiła się, że Teddy, jej słodki, kochany Teddy, który lubi wszystkich dokoła, nienawidzi akurat Dalliego? Dlaczego nienawidzi mężczyzny, który, czy mały tego chce, czy nie, jest jego ojcem?

W pokoju gościnnym, dokąd Francesca zajrzała, szukając Teddy'ego, Do-ralee spała jak zabita. Wcześniej Francesca zmobilizowała się na tyle, że zadzwoniła do lokalnego ośrodka pomocy społecznej i poprosiła, aby znaleziono dla dziewczyny rodzinę zastępczą.

Wreszcie Teddy znalazł się w piwnicy. Skeet szlifował papierem ściernym kij golfowy. Teddy, ze smugami łez na policzkach, przyglądał mu się z uwagą. Obaj milczeli, ale była to przyjazna cisza.

- Teddy obiecał mi pomóc segregować kije - oznajmił Skeet jak gdyby nigdy nic. - Normalnie nie pozwoliłbym na to małemu chłopcu, ale to porządny facet. Wie, kiedy trzeba milczeć i trzymać język za zębami.

Francesca najchętniej uściskałaby Skeeta, ale tylko przytuliła do siebie Teddy'ego.

- Chcę do domu, mamo - powiedział mały. - Kiedy wracamy? - Nagle zeszywniał i od razu wiedziała, że Dallie wszedł do warsztatu.

- Mamo, chodźmy na górę - poprosił Teddy. - Skeet, chodź. Dallie położył mu rękę na ramieniu.

- Idź ze Skeetem. Ja muszę porozmawiać z mamą. Teddy złapał Francescę za rękę.

- Skeet, musimy przejrzeć kije, prawda? Tak mówięś. Mama nam pomoże.

- Później to zrobicie - warknął Dallie. - Chcę porozmawiać z twoją mamą. Skeet odłożył drewniany kij.

- Chodź, smyku. Pokażę ci puchary.

Francesca wiedziała, że nie może dłużej odwlekać tej konfrontacji. Delikatnie odczepiła palce Teddy'ego od swojej ręki.

- Idź, skarbie. Zaraz do was dołączę.

Teddy zacisnął usta. Wychodził, ale przy drzwiach odwrócił się i krzyknął do Dalliego:

- Nie rób jej krzywdy, słyszysz? Nie skrzywdź mojej mamy! Francesca była w szoku.

Dallie milczał.

- Dallie nic mi nie robi - zapewniła szybko. - Znamy się od dawna.

Skeet wyprowadził Teddy'ego z piwnicy.

- Co ty mu zrobiłeś?! - krzyknęła, gdy zostali sami. - Nigdy się tak nie zachowywał.
- Chcę być jego ojcem, a nie ulubieńcem - burknął Dallie.
- Nie możesz tak po prostu wkroczyć w jego życie i odgrywać tatusia! -Choć jego wściekłość ją przerażała, mówiła, co myślała, bez zastanowienia. - Po pierwsze, on cię nie chce. Po drugie, ja ci na to nie pozwolę.

Uśmiechnął się lodowato.

- Francesco, mamy do wyboru: załatwimy to sami albo do roboty wezmą się prawnicy, cholerni krwiopijcy. A w dzisiejszych czasach ojcowie mają wiele praw. Zwłaszcza jeśli matki poświęcają się karierze. Na twoim miejscu nie wracałbym jeszcze na wschód. Musimy to wszystko jakoś ustalić.

- Porwałes go! - wrzasnęła. - Nie masz prawa!

Odwróciła się na pięcie i ruszyła na górę.

- Francie! - Puściła jego wołanie mimo uszu. - Francie! - Biegł za nią, dogonił, złapał za ramię. - Słuchaj, Francie, ja nie chciałem...

- Nie dotykaj mnie! - Chciała się wyrwać, ale nie puszczał, chciał dokończyć tę rozmowę, chyba ją przeprosić, ale była zbyt zdenerwowana, by to do niej dotarło.

- Puszczaj! - Szarpnęła się.

- Porozmawiamy, choćbym miał cię zwięzać...

Nie dokończył, bo nie wiadomo skąd, zaatakowało go małe tornado.

- Mówiłem ci, żebyś jej nie krzywdził! - wrzasnął Teddy, młóćąc małymi piąstkami. - Ty dupku!

- Teddy! - Francesca zwróciła się do synka, bo Dallie ją puścił.

- Nienawidzę cię! - wrzeszczał Teddy.

- Nie zrobię jej krzywdy! - zapewniał Dallie, usuwając się przed jego ciosami. - Teddy! Nic jej nie zrobię!

- Przestań, Teddy! - krzyczała Francesca. Na darmo. Spojrzała na Dal-liego. Byli równie bezradni.

- Nienawidzę cię!

- No nie, to już szczyt wszystkiego - rozległ się przeciągły głos.

- Holly Grace! - Teddy zostawił Dalliego i pobiegł do jedynej osoby w tym zagmatwanym świecie, której nadal ufał bezgranicznie.

- Cześć, Teddy. - Przytuliła go mocno. -Nieźle się spisales, skarbie. Dallie jest wielki, ale dales mu radę.

- Jak możesz mówić mu coś takiego?

- Doprawdy, Holly Grace!

Holly Grace wodziła wzrokiem od jednego do drugiego, pogłaskała Teddy'ego i pokręciła głową.

- A niech mnie. Co za spotkanie. Gorętszego nie było od randki generała Shermana z Atlantą.

Rozdział 25

Francesca zabrała Teddy'ego z objęć Holly Grace, przycisnęła do siebie i wybiegła. Myślała o jednym: iść na górę, spakować ich rzeczy i już na zawsze wyjechać z Wynette. Kiedy jednak weszła do saloniku przez łukowato sklepione drzwi, znieruchomiła w pół kroku.

Chyba cały świat chciał zobaczyć, jak jej życie rozsypuje się niczym domek z kart. Skeet Cooper zjadał przy oknie ciasto czekoladowe. Panna Sybil usadowiła się na kanapie z Doralee. Sprzątaczką, która pomagała starszej pani w prowadzeniu domu, stanęła w drzwiach wejściowych. A Gerry Jaffe nerwowo przechadzał się po pokoju.

Francesca spojrzała na Holly Grace, ciekawa, jak ta zareaguje na obecność Gerry'ego, ale Holly Grace czule obejmowała Dalliego i na nic nie zwracała uwagi. Jeśli Francesca kiedykolwiek się zastanawiała, wobec kogo Holly Grace będzie lojalna, teraz wszystko stało się

jasne.

- Musiałaś wszystkich tu przyciągnąć? - warknęła Francesca.

Holly Grace nawet na nianie spojrziała, ale dostrzegła Gerry'ego i zaklęła szpetnie.

Gerry wyglądał, jakby nie spał od kilku nocy. Podbiegł do Holly Grace.

- Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś i nie powiedziałaś, co tu się dzieje?

- Nie zadzwoniłam! - wrzasnęła Holly Grace. - A niby dlaczego miałabym do ciebie dzwonić? I skąd ty się tu właściwie wzięłaś?

Sprzątaczką przyglądała się zebranym ze źle skrywaną ciekawością. Dallis zaś patrzył na Gerry'ego z mieszaniną ciekawości i wrogości; oto jedyny, oprócz niego, mężczyzna, który zdołał okiełznać narowistą Holly Grace.

Francesca czuła narastającą migrenę.

- Jak to, skąd się tu wziąłem? - zachnął się Gerry. - Zadzwoniłem do Naomi z Waszyngtonu, dowiedziałem się, że Teddy'ego porwano i że wszyscy bardzo się denerwują. A co myślałaś? Że zostanę w Waszyngtonie i będę się zachowywał, jakby nic się nie stało?

Kłótnia między Holly Grace a Gerrym przybierała na sile, gdy nagle zadzwonił telefon. Nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi, nawet sprzątaczką. Francesca czuła, że się dusi. Myślała tylko o jednym, aby jak najszybciej zabrać stąd Teddy'ego. Telefon ciągle dzwonił. Sprzątaczką wreszcie niechętnie ruszyła do kuchni, żeby go odebrać. Holly Grace i Gerry pograżyli się w gniewnym milczeniu.

W tym momencie Dallis spojrział na Doralee.

- A to kto? - zapytał z cieniem zainteresowania.

Skeet pokręcił głową i wzruszył ramionami.

Panna Sybil nerwowo szukała czegoś w koszyku z robótkami ręcznymi. Holly Grace spojrziała z niesmakiem na Francescę. Dallis poszedł wzrokiem za jej spojrzeniem i patrzył na Francescę wyczekująco.

- Ma na imię Doralee - poinformowała sztywno. - Nie miała gdzie spać. Dallis zamyslił się na chwilę, a potem skinął głową dziewczynie.

- Witaj, Doralee.

Holly Grace ciskała błyskawice wzrokiem. Gniewnie wydeła usta.

- Nie mogę! Wy dwoje! Czy nie dość wam kłopotów? Sprzątaczką wysadziła głowę z kuchni.

- Telefon do pani Day.

Francesca puściła jej słowa mimo uszu. Głowa jej pękała, ale uznała, że dosyć się nasłuchiwała od Holly Grace.

- Holly Grace Beaudine, ani słowa więcej. Skąd się tu wzięłaś? Sytuacja jest wystarczająco trudna, nie musisz jeszcze zjawiać się nie wiadomo skąd i rozpościerać skrzydeł nad Dallisem jak stara kwoka. To dorosły facet! Nie musisz walczyć za niego. I bronić go przede mną.

- Może nie przyjechałam tylko z jego powodu, na to nie wpadłaś, co? - prychnęła Holly Grace.

- Może obawiałam się, że żadne z was nie ma tyle oleju w głowie, by uporać się z tą sytuacją.

- Tak, ty akurat nadajesz się do tego doskonale - odparła ze złością Francesca. - Mam już po uszy wysłuchiwanie...

- Pani Day, telefon - przypomniała sprzątaczką. - Co mam powiedzieć temu panu? Twierdzi, że jest księciem.

- Mamo! - jęknął Teddy żałościwie. Drapał się po brzuchu, całym w wysypce i tytał gniewnie na Dallisego.

Holly Grace wyciągnęła rękę w stronę Doralee.

- Tu masz najlepszy przykład! Nigdy nie myślisz, tylko...

Doraleezerwała się na równe nogi.

- Nie będę tego słuchać!

- Holly Grace, to nie twoja sprawa - włączył się Gerry.

- Mamo! - rozpląkał się Teddy. - Mamo, swędzi mnie! Chcę do domu!

- Porozmawia pani z tym całym księciem czy nie? - dopytywała się sprzątaczką.

Francesca miała wrażenie, że w jej głowie rozszalał się młot pneumatyczny. Najchętniej nawrzeszczałaby na wszystkich i błagała, żeby zostawili ją w spokoju. Wieloletnia przyjaźń z Holly Grace wali się w gruzy. Doralee zaraz się na kogoś rzuci. Teddy ma łzy w oczach.

- Błagam... - jęknęła, ale nikt jej nie słyszał.

Tylko Dallie.

Podszedł do Skeeta.

- Zajmij się Teddym, dobrze?

Skeet skinął głową i zbliżył się do chłopca. Rozgniewane głosy przybierały na sile. Dallie podszedł do niej i, nieoczekiwanie, przerzucił sobie Francescę przez ramię. Sapnęła głośno.

- Przepraszamy was bardzo - mruknął Dallie. - Musicie trochę poczekać. - I zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, wyszedł, niosąc ją na ramieniu.

- Mamo! - wrzasnął Teddy.

Skeet nie pozwolił mu za nimi pobiec.

- Nie denerwuj się, smyku. Twoi rodzice zawsze się tak zachowują, kiedy są razem. Zacznij się do tego przyzwyczajać.

Francesca zacisnęła powieki i oparła głowę o chłodną szybę w samochodzie Dalliego. Powinna teraz unieść się słusznym gniewem i nakrzyczeć na niego za zachowanie w stylu jaskiniowca, ale cieszyła się, że zabrał ją od głośnych, zdenerwowanych głosów. Niepokoiła się tylko, że zostawiła Teddy'ego, ale Holly Grace się nim zaopiekuje.

Słuchała piosenki w radiu. Barry Manilow. Dallie już wyciągał rękę, by zmienić stację, ale spojrzał na nią i zmienił zdanie. Przejechali już kilkanaście kilometrów i Francesca zdążyła się trochę uspokoić. Dallie nic nie mówił; zważywszy na ostatnie wydarzenia, jego milczenie było przyjemną odmianą. Zapomniała już, jaki jest spokojny, kiedy nic nie mówi.

Zamknęła oczy i drzemała, póki nie skręcili w wąski podjazd i po chwili samochód zatrzymał się przed dwupiętrowym domkiem, stojącym w czereśniowym sadzie, na wzgórzu. Powyżej domu dumne cedry wznosiły się w niebo. Spojrzała na Dalliego.

- Gdzie jesteśmy?

Przekręcił kluczyk w stacyjce i wysiadł bez słowa. Śledziła go wzrokiem, gdy obszedł samochód dokoła i przytrzymał jej drzwiczki. Oparł się o dach, pochylił lekko i spojrzał na nią. Gdy patrzyła w chłodne, niebieskie oczy, stało się z nią coś dziwnego. Nagle miała wrażenie, że głodowała od dawna, a teraz proponowano jej smakowity deser. Zawstydził ją ten przyływ słabości. Zmarszczyła brwi.

- Ależ ty jesteś ładna - powiedział Dallie miękko.

- Nie ładniejsza od ciebie - syknęła, zdecydowana zdławić w zarodku rodzące się dziwne uczucie. - Gdzie jesteśmy? Czyj to dom?

- Mój.

- Twój? Jesteśmy najwyżej trzydzieści kilometrów do Wynette. Po co ci dwa domy tak blisko siebie?

- Po tym, co się tam działo, chyba nie powinnaś o to pytać. - Odsunął się, żeby mogła wysiąść.

Zamyślona, spojrzała na ganek.

- To twoja kryjówka, tak?

- Można tak powiedzieć. Bardzo proszę, nie rozgłaszaj wszem wobec, że cię tu przywiozłem. Wszyscy wiedzą o tym domku, ale do tej pory trzymali się z daleka. Jednak kiedy się dowiedzą, że tu byłaś, uznają, że droga wolna i zaraz zwałą mi się na głowę ze śpiworami, koszykami z robótkami i oranżadą.

Ruszyła w stronę ganku, ciekawa, jak domek wgląda w środku, ale zanim tam doszła, położył jej rękę na ramieniu.

- Francie? Słuchaj, musisz pamiętać, że to mój dom i w środku nie możemy się kłócić.

W życiu nie widziała, żeby miał równie poważną minę.

- A skąd pomysł, że chcę się kłócić? - zapytała.

- Masz to we krwi.

- We krwi! Najpierw porwasz mojego syna, potem mnie i masz czelność twierdzić, że chcę się kłócić!

- Jestem pesymistą. - Usiadł na najwyższym stopniu.

Francesca spłotła ramiona. Zdawała sobie sprawę, że wygrał tę potyczkę. Zadrzała.

Wyniósł ją z domu bez zakietu, a robiło się coraz zimniej.

- Co robisz? Dlaczego siedzisz?

- Jeśli już mamy się kłócić, załatwmy to tutaj, bo w środku musimy być dla siebie bardzo uprzejmi. Mówię poważnie, Francie. Ten dom to moja ostoja i nie pozwolę, byśmy kłócili się w środku.

- To idiotyczne. - Szczękała zębami z zimna. - Mam mnóstwo spraw do omówienia i nie sądzę, żeby nam się to udało bez kłótni.

- Poklepał stopień koło siebie.

- Zimno mi - sapnęła, ale usiadła posłusznie, w głębi duszy zachwycona pomysłem domu, w którym nie wolno się kłócić. Ciekawe, jak wyglądałyby stosunki międzyludzkie, gdyby takich domów było więcej? Tylko Dallye mógł wymyślić coś takiego. Ukradkiem przysunęła się bliżej, do jego ciepłego ciała. Zapomniała już, jak przyjemnie pachniał -czystością mydłem. -Nie możemy posiedzieć w samochodzie? - zaproponowała. - Masz na sobie tylko koszulę. Na pewno też ci zimno.

- Tutaj załatwmy to szybciej. - Odchrząknął. - Po pierwsze, przepraszam za głupią uwagę, że kariera jest dla ciebie ważniejsza niż Teddy. Nigdy nie twierdziłem, że jestem chodzącym ideałem, ale to był cios poniżej pasa i bardzo mi wstyd z tego powodu.

Oplotła kolana ramionami.

- Masz pojęcie, co czuje pracująca matka, kiedy słyszy coś takiego?

- Nie myślałem - mruknął. I dodał na swoją obronę: - Do licha, Francie, nie możesz się tak wkurzać, ilekroć walnę głupstwo. Za bardzo się przejmujesz.

Wbiła paznokcie w ramiona. Dlaczego mężczyźni zawsze tacy są? Skąd im przychodzi do głów, że mogą mówić kobietom najgorsze, najbardziej raniące słowa, a kobiety będą trzymały język za zębami? Przyszło jej na myśl wiele interesujących ripost, ale nic nie powiedziała, bo znacznie opóźniłoby to wejście do ciepłego wnętrza.

- Teddy nie jest podobny do żadnego nas - powiedziała stanowczo. - Jest jedyny w swoim rodzaju.

- Widzę to. - Rozsunął kolana, oparł na nich łokcie i wbił wzrok w podłogę. - Ale to nie jest zwykły dzieciak.

Odezwały się wszystkie tłumione matczyne lęki i obawy. Teddy nie uprawia żadnego sportu, dlatego Dallye go nie akceptuje.

- A co ma zrobić? - zachnęła się. - Pobić koleżankę? - Znieruchomiał i pożałowała, że to powiedziała.

- Jak sobie z tym poradzimy? - zapytał cicho. - Nie potrafimy zachowywać się jak ludzie cywilizowani. Może lepiej będzie, jeśli zdamy się na krwiopijców.

- Naprawdę tego chcesz?

- Wiem tylko, że mam dosyć awantur z tobą, a nie minął nawet jeden dzień.

Coraz bardziej szczękała zębami.

- Teddy cię nie lubi, Dallye. Nie będę go zmuszała, żeby więcej z tobą przebywał.

- Nie dogadaliśmy się jeszcze, i tyle. Na to trzeba czasu.

- To nie takie proste.

- Nic nie jest proste.

Tęsknie spojrzęła na drzwi.

- Przestańmy na razie rozmawiać o Teddym, wejdźmy do środka, rozgrzejemy się, a potem wrócimy tutaj.

Dallye skinął głową, wstał i wyciągnął do niej rękę. Podała mu swoją, ale jego dotyk sprawiał jej taką przyjemność, że czym prędzej wyrwała mu dłoń. Muszą jak najbardziej ograniczyć kontakt fizyczny. Wydawało się przez chwilę, że czyta w jej myślach. Potem zajął się zamkiem w drzwiach.

- Ta Doralee to niezłe ziółko - zauważył. Otworzył drzwi i przesunął się na bok. Jej oczom ukazał się hol wyłożony terakotą. - Ile przybłądów przygarnełaś przez te lata?

- Masz na myśli ludzi czy zwierzęta?

Zachichotał. Weszła do saloniku i przypomniała sobie jego cudowne poczucie humoru.

W saloniku na podłodze leżał wypłowiały dywan, półmrok rozjaśniały mosiężne lampki, fotele kusyły do wypoczynku. Wyposażenie było wygodne i nijakie... jeśli nie liczyć obrazów na ścianach.

- Skąd je masz? - zapytała, podziwiając posępny pejzaż: ciemne górskie zbocze, usiane ludzkimi kośćmi.

- A, różnie - odparł, jakby sam tego nie wiedział.

- Cudowne! - Teraz jej uwagę przykuła martwa natura z egzotycznymi, jaskrawymi kwiatami.

- Nie wiedziałam, że kolekcjonujesz dzieła sztuki.

- Nie tyle kolekcjonuję, co wiem, to, co mi się podoba.

Uniosła brew, dając mu do zrozumienia, że już się nie da nabrać na numer z wiejskim głupkiem. Prostacy nie kupują takich obrazów.

- Dallas, czy kiedykolwiek zdarza ci się prowadzić rozmowę, nie wciskając ludziom kitu?

- Chyba nie. - Uśmiechnął się i wskazał jadalnię. - Mam tam jeden akryl. Pewnie ci się spodoba. Kupiłem go w małej galerii w Camel, po tym, jak przegrałem eliminacje do ważnego turnieju w Pebble Beach. Wpadłem w depresję i miałem do wyboru: albo się upić, albo kupić obraz. Inne dzieło tego samego malarza mam w domu w Karolinie Północnej.

- Nie wiedziałam, że masz dom w Karolinie Północnej.

- Taki nowoczesny, wygląda jak sejf bankowy, wiesz, z małutkimi okienkami. Nie przepadam za nim, inne moje domy są bardziej tradycyjne.

- Inne?

Wzruszył ramionami.

- Nie mogłem już dłużej znieść moteli, a po wygranych turniejach miałem więcej gotówki, niż mi potrzeba do szczęścia, poza tym wreszcie zgłosili się do mnie producenci, żebym reklamował ich produkty... Musiałem w coś zainwestować, kupiłem więc kilka domów w różnych częściach kraju. Maszochotę na drinka?

Nagle do niej dotarło, że od wczoraj nic nie jadła.

- Raczej na coś do jedzenia. A potem chciałabym wrócić do Teddy'ego. -I zadzwonić do Stefana, dodała w myśli. I spotkać się z pracownikiem opieki społecznej, żeby porozmawiać o sytuacji Doralee. I z Holly Grace, do niedawna najlepszą przyjaciółką.

- Za bardzo go rozpuszczasz - zauważył Dallye, idąc do kuchni.

Zatrzymała się w pół kroku. Po krótkim zawieszeniu broni nie został nawet ślad. Dopiero po chwili się zorientował, że za nim nie idzie, odwrócił się więc, żeby zobaczyć, co ją powstrzymało. Na widok jej miny westchnął, złapał ją za ramię i wyprowadził przed dom. Trzymał tak mocno, że nie zdołała się wyrwać.

Chłodny podmuch wiatru przeszył ją na wskroś. Energicznie odwróciła się na pięcie.

- Nie oceniam mnie jako matki, Dallye. Znasz Teddy'ego zaledwie od paru dni, nie wyobrażaj więc sobie, że masz pojęcie, co to znaczy go wychowywać. Nie wiesz, jaki on jest!

- Wiem, co widzę. Do cholery, Francie, nie chciałabym sprawić ci przykrości, ale on mnie rozczarował, i tyle.

Kolejne ukłucie bólu. Jakim sposobem Teddy, jej Teddy, jej duma i chluba, jej ciało i krew, może kogoś rozczarować?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła chłodno. - Interesuje mnie jedynie to, że i on jest tobą rozczarowany.

Dallye wbił ręce w kieszenie, wpatrzony w wierzchołki cedrów. Milczał przez dłuższą chwilę, w końcu się odezwał:

- Wracajmy do Wynette. To chyba nie był dobry pomysł.

W domu nie było nikogo poza Skeetem i Teddym. Dallye znowu wyszedł, nie mówiąc, dokąd idzie. Francesca zabrała synka na spacer. Dwukrotnie usiłowała porozmawiać z nim o Dallyem, ale Teddy nie chciał o nim słyszeć, a ona nie nalegała. Teddy natomiast nie mógł się nachwalić Skeeta Coopera.

Wrócili do domu. Teddy pobiegł do kuchni po kanapkę, a Francesca zeszła do piwnicy. Skeet lakierował kij golfowy, który uprzednio wypolerował papierem ściernym.

Nie podniósł wzroku, gdy weszła, i przez kilka minut obserwowała go przy pracy. W końcu przerwała milczenie.

- Skeet, chciałam ci podziękować, że jesteś taki dobry dla Teddy'ego. Teraz bardzo potrzebuje przyjaciela.

- Nie ma za co - burknął. - To fajny chłopak.

Oparła się o framugę i z przyjemnością obserwowała go przy pracy. Jego powolne, precyzyjne ruchy działały uspakajająco, pozwalały się skupić. Zaledwie dwadzieścia cztery godziny wcześniej myślała o jednym - jak odebrać Teddy'ego Dalliemu, teraz kombinowała, jak ich do siebie zbliżyć. Prędzej czy później Teddy będzie musiał się zmierzyć ze świadomością, kim jest dla niego Dallie. Nie pozwoli, by jej syn dorastał okaleczony emocjonalnie tylko dlatego, że dopuściła do tego, że znenawidził własnego ojca, a jeśli to oznacza kilka dni w Wynette, poświęci się. Podjęła decyzję. Spojrzała na Skeeta.

- Naprawdę lubisz Teddy'ego, prawda?

- Pewnie. Z takim dzieciakiem fajnie mija czas.

- Szkoda, że nie wszyscy są tego zdania - mruknęła.

Skeet odchrząknął.

- Francie, daj Dalliemu trochę czasu. Zdaję sobie sprawę, że jesteś w gorącej wodzie kąpana, że chcesz wszystko załatwić zaraz, teraz, ale niektóre rzeczy muszą potrwać.

- Oni się nie cierpią, Skeet. Uważnie przyjrzał się kijowi i zanurzył pędzel w puszczyce z lakierem.

- Kiedy dwie osoby są do siebie tak podobne, trudno im się dogadać.

- Podobne? - Spojrzała na niego z niedowierzaniem. - Dallie i Teddy wcale nie są podobni.

Posłał jej takie spojrzenie, jakby w życiu nie znał głębszej istoty, pokręcił głową i znowu zajął się lakierowaniem kija.

- Dallie ma wdzięk - wyliczała - uprawia sport i jest przystojny...

Skeet zachichotał.

- Teddy to brzydka! Nie do wiary, że dwoje tak pięknych ludzi jak ty i Dallie spłodziło takie brzydactwo!

- Może jest brzydki fizycznie - obruszyła się - ale ma cudowne serduszko.

Skeet znowu zachichotał, umoczył pędzel i w końcu na nią spojrzał.

- Słuchaj, Francie, rzadko udzielam rad, ale na twoim miejscu ciosałbym Dalliemu kołki na głowie o golfa, nie o Teddy'ego.

Przyglądała mu się ze zdziwieniem.

- A niby dlaczego?

- Nie pozbędziesz się go, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? Teraz, gdy wie, że Teddy to jego dzieciak, będzie zawsze w pobliżu, czy ci się to podoba, czy nie.

Sama doszła do tego wniosku. Powoli skinęła głową. Zwinnie przesunął pędzlem wzdłuż kija.

- Moja rada jest następująca, Francie: zmusz go, żeby lepiej grał w golfa. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Dokładnie to, co powiedziałem.

-- Ale przecież ja nie mam zielonego pojęcia o golfie. Nie pojmuję, co gra Dalliego ma wspólnego z Teddym.

- Z radami jest tak: albo z nich skorzystasz, albo nie. Przyjrzała mu się uważnie.

- Wiesz, dlaczego jest tak krytycznie nastawiony do Teddy'ego, prawda?

- Mam kilka pomysłów.

- Dlatego że Teddy wygląda jak Jaycee? Tak? Zachnął się.

- Na Boga, Dallie nie jest aż taki głupi!

- To o co chodzi?

Odstawił kij na stojak, żeby wysechł.

- Zmusz go do lepszej gry, i tyle. Może będziesz miała więcej szczęścia niż ja.

Nie udało jej się z niego wyciągnąć nic więcej.

Wróciła na górę. Teddy bawił się na podwórku z jednym z psów Dalliego. Na stole kuchennym leżała koperta od Gerry'ego zaadresowana do niej. Otworzyła ją.

*Skarbie, złotko, pulpeciku, gwiazdo,
może wieczorem połączymy siły? Proponuję kolację i naradę wojenną o siódmej. Twoja
najlepsza przyjaciółka to królowa idiotek, a ja jestem królem kretynów. Obiecuję, że nie będę
ci szłochał w mankiet dłużej niż cały wieczór. Kiedy przestaniesz się stawiać i zaprosisz mnie
do programu?*

Z wyrazami szacunku, Zorro

PS Zabierz środki antykoncepcyjne.

Roześmiała się głośno. Mimo trudnych początków na teksaskiej szosie przed dziesięciu laty, bardzo się zaprzyjaźniła z Gerrym, odkąd dwa lata temu przeniosła się na Manhattan. Przez pierwsze trzy miesiące znajomości przeproszał ją, że tak się zachował, choć powtarzała mu, że było to najlepsze, co mogło ją spotkać. Ku zdumieniu Franceski wręczył jej poźółką kopertę. Był tam jej paszport i czterysta dolarów. Już dawno oddała wszystkie długie Dalliemu, za pośrednictwem Holly Grace. Te pieniądze wydali więc na pyszną kolację.

Tego wieczoru przyjechał po nią, ubrany jak zwykle w skórzaną kurtkę i drelichy. Objął ją i po przyjacielsku cmoknął w policzek.

- Witaj, boska. Powiedz, czemu zakochałem się w Holly Grace, a nie w tobie?

- Bo jesteś za mądry, żeby się ze mną męczyć. - Roześmiała się.

- Gdzie Teddy?

- Namówił pannę Sybil i Doralee na kino, jakiś horror o mięsożernych pasikonikach mutantach.

Geny uśmiechnął się, ale zaraz spoważniał i spojrzał na nią z troską.

- Jak się trzymasz? Nie jest ci łatwo, co?

- Bywało lepiej - przyznała. Na razie tylko sprawa Doralee zmierzała do szczęśliwego zakończenia. Tego popołudnia panna Sybil obiecała, że Doralee zostanie tutaj, póki nie znajdzie się dla niej rodzina zastępcza.

- Gadałem z Dalliem - oznajmił Gerry.

- Naprawdę? - Zaskoczył ją tym. Francesca nie wyobrażała sobie ich dwóch razem.

Gerry przytrzymał jej drzwi.

- Udzieliłem mu mało przyjacielskiej porady prawnej i uprzedziłem, że jeśli jeszcze raz wykręci taki numer z Teddym, osobiście ściągnę mu na głowę cały amerykański wymiar sprawiedliwości.

- Już sobie wyobrażam, jak na to zareagował - mruknęła.

- Z sympatii do ciebie oszczędzę ci szczegółów. - Szli do wynajętej toyoty Gerry'ego. - Wiesz, najdziwniejsze, że kiedy już przestaliśmy obrzucać się obelgami, prawie polubiłem skurczybyka. To znaczy, wiesz, wkurza mnie fakt, że był mężem Holly Grace i że nadal są sobie bardzo bliscy, ale kiedy zaczęliśmy gadać, wydawało mi się, że znamy się od lat. Bardzo dziwne.

- Nie daj się nabrać. - Francesca wsiadła do samochodu. - Było ci dobrze w jego towarzystwie, bo bardzo przypomina Holly Grace. Jeśli się lubi jedno, nie sposób nie lubić drugiego.

Zjedli kolację w uroczej knajpce, gdzie podawano pyszną cielecinę. Jeszcze nie skończyli głównego dania, a już wdali się w odwieczną dyskusję, dlaczego Francesca nie zaprosi go do swojego programu.

- Tylko jeden raz, błagam - nalegał.

- Nie ma mowy. Oboje wiemy, że zjawiłbyś się ucharakteryzowany na ofiarę choroby popromiennej albo oznajmiłbyś, że rosyjskie rakiety zmierzają w stronę Nebraski.

- No i co z tego? Twój program oglądają miliony śniętych półgłupków Najwyższy czas, żeby ktoś ich wyrwał z błogiej nieświadomości.

- Nie u mnie - odparła zdecydowanie. - Nie manipuluję widzami.

- Francesco, nie mówimy tu o maleństwie, jakie zrzuciliśmy na Nagasak. Mówimy o megatonach! Tysiącach megaton! Wiesz, co czeka Nowy Jork po takiej eksplozji? Zagłada. Osiem milionów skwierczących trupów i karaluchy, które jako jedyne przeżyją eksplozję, będą ślepe, ale zdolne do rozmnażania.

- Gerry, ja jem. - Na przekór słowom odłożyła widelec. - Słuchaj, kocham cię jak brata, ale nie pozwolę, żebyś zrobił cyrk z mojego programu. - Nie dała mu wytoczyć kolejnych argumentów. Zmieniła temat. - Rozmawiałeś dzisiaj z Holly Grace?

Odłożył sztućce i pokręcił głową.

- Poszedłem do domu jej mamy, ale zobaczyła mnie i wymknęła się tylnymi drzwiami. - Odsunął od siebie talerz i napił się wody.

Był tak nieszczęśliwy, że Francesca nie wiedziała, co robić - pocieszać go, czy starać się przemówić mu do rozumu. On i Holly Grace kochali się, to było jasne jak słońce, ale nie umieli się uporać z problemami. Holly Grace nigdy o tym nie mówiła, ale Francesca wiedziała, jak bardzo chce mieć dziecko. A Gerry nie chciał nawet na ten temat rozmawiać.

- Nie możecie poszukać kompromisowego rozwiązania? - zapytała ostrożnie.

- Ona nie ma pojęcia, co to znaczy kompromis - obruszył się. - Wbiła sobie do głowy, że wykorzystałem ją, żeby...

Francesca jęknęła głośno.

- Nie zaczynaj od początku! Holly Grace chce mieć dziecko, Gerry. Dlaczego żadne z was nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy? Wiem, to nie moja sprawa, ale byłbyś cudownym ojcem, a...

- Boże, czy ty i Naomi razem chodzicie na lekcje upierdliwości? - Gwałtownie odepchnął od siebie szklankę. - Chodźmy do Roustabout.

Było to ostatnie miejsce, na które miała ochotę.

- Nie uważam, żeby...

- Na pewno znajdziemy tam naszych ślicznych. Wejdziemy, udamy, że ich nie widzimy, a potem będziemy się kochać na stole. Co ty na to?

- Nie.

- No chodź, boska. Strasznie nam dali w kość. Odpłacimy im pięknym za nadobne.

Gerry jak zwykle nie zwracał uwagi na jej protesty i kwadrans później weszli do knajpy. Niewiele się tu zmieniło, jeśli nie liczyć reklam piwa i faktu, że w kącie pojawiły się automaty do gry, a poza tym reszta była taka jak dawniej. Przede wszystkim - ludzie.

- No coś takiego, kogo diabli przynieśli - rozległ się gardłowy, przeciągły kobiecy głos, ledwie stanęli w drzwiach. - Ja nie mogę, królowa Anglii, a z nią - król bolszewików we własnej osobie.

- Holly Grace sączyła piwo z butelki. Dallie, obok niej, zadowolił się wodą mineralną. Francesca znowu poczuła dziwne ciepło, gdy przyglądał się jej znad krawędzi szklanki.

- Nie, pomyliłam się, to nie królowa Anglii. - Holly Grace zmierzyła wzrokiem jasną sukienkę od Galanos i czerwony żakiet Franceski. - To ta zapaśniczka w błocie, która występowała w Medina.

Francesca chwyciła Gerry'ego za ramię.

- Chodźmy stąd.

Jego usta zaciskały się w coraz węższą kreskę, ale nie drgnął ani na krok. Holly Grace przesunęła kowbojski kapelusz na czubek głowy i ignorowała go wytrwale, cały czas mówiła do Franceski.

- Coś takiego, Galanos w Roustabout. Kurde, zaraz nas stąd wywalą. Czy ty naprawdę zawsze musisz być w centrum uwagi?

Francesca nie myślała już o Gerrym czy Dalliem; niepokoiła się o Holly Grace. Zachowuje się paskudnie. Puściła ramię Gerry'ego, podeszła do niej i usiadła obok.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

Holly Grace łypnęła na nią gniewnie. Milczała.

- Chodźmy do łazienki, pogadamy - szepnęła Francesca. Holly Grace nie reagowała, dodała więc stanowczo: - I to już.

Holly Grace posłała jej gniewne spojrzenie. Wyglądała jak Teddy w ataku złości.

- Nigdzie z tobą nie idę. Jestem na ciebie wściekła, bo mi nie powiedziałaś prawdy o Teddym. - Spojrzała na Dalliego.

- Zatańcz ze mną, skarbie.

Dallie przyglądał się im z wielkim zainteresowaniem. Wstał i otoczył Holly Grace ramieniem.

- Jasne, złotko.

Chcieli odejść, ale Gerry zagroził im drogę.

- Ciekawe, czemu nadal się tak obejmują - zaczął. - W życiu nie widziałem równie obłudnej...

- Idź, Holly Grace, tańcz do woli - powiedziała Francesca cicho. - Ale pamiętaj, że może ja potrzebuję cię tak samo, jak Dallie.

Holly Grace zawahała się, ale poszła na parkiet.

W tym momencie jeden z gości Roustabout podszedł do Franceski z prośbą o autograf, za nim ruszyli inni i po chwili fani otaczali ją ciasnym wianuszkciem. Rozmawiała z nimi, choć w głębi duszy bardzo się denerwowała. Kątem oka widziała, jak Gerry rozmawia z młodą piersiastą barmanką. Holly Grace tańczyła z Dalliem; poruszali się jak jedno ciało, z gracją i wdziękiem, które narodziły się w ciągu wieloletniej bliskości. Policzki bolały Francescę od ciągłych uśmiechów. Podpisywała się i odpowiadała na pytania, ale fani nie dawali jej spokoju. Przywykli, że gwiazda serialu *China Colt* jest jedną z nich, ale piękna Francesca Day to coś zupełnie innego. Po chwili zobaczyła, jak Holly Grace wymyka się tylnymi drzwiami, i poczuła rękę na ramieniu.

- Przykro mi, przyjaciele, ale Francie już dawno obiecała mi ten taniec.

Po chwili wahania wtuliła się w objęcia Dalliego. Przyciągnął ją do siebie i nagle wydało jej się, że czas się cofnął o dziesięć lat, do czasów, gdy ten mężczyzna stanowił centrum jej świata.

- Dziwnie się tańczy z kobietą w sukience - mruknął. - Masz poduszki w żakiecie?

Mówił miękko, rozbawiony. Jak dobrze jest być w jego ramionach. Zdecydowanie za dobrze.

- Nie pozwól, żeby Holly Grace cię zraniła - szepnął. - Daj jej więcej czasu.

Zaskoczyła ją ta rada, zwłaszcza w tych okolicznościach.

- Jest dla mnie bardzo ważna - odparła z trudem.

- Moim zdaniem najbardziej ją wkurza to, jak ją wykorzystywał ten jej komunistyczny kochaś.

Zrozumiała, że Dallie nie ma pojęcia, na czym naprawdę polega problem w związku Holly Grace i Gerry'ego, i uznała, że nie ona powinna otworzyć mu oczy.

- Prędzej czy później odzyska rozum - ciągnął. - Będzie szczęśliwa, jeśli do tego czasu jej nie skreślisz. A teraz już nie przejmuj się Holly Grace, tylko słuchaj muzyki i tańcz jak trzeba.

Starła się, ale jego bliskość tak na nią działała, że o tańczeniu jak trzeba nie było mowy. Po chwili rozbrzmiała wolna, romantyczna ballada. Poczowała jego podbródek na głowie.

- Ślicznie dzisiaj wyglądasz, Francie.

Jego głos nagle ochryply wyprowadzał Francescę z równowagi. Dallie przyciągnął ją jeszcze bliżej.

- Jesteś taka malutka... już zapomniałem, jaka z ciebie drobinka.

Nie czaruj, błagała w myślach, czując ciepło jego ciała. Nie pozwól, żebym się rozmarzyła i zapomniała o wszystkim, co nas dzieli. Miała dziwne uczucie, że dźwięki dokoła nich tracą na sile, muzyka cichnie, głosy milkną, tak że liczyli się tylko oni.

Objął ją mocniej. To już nie był taniec, lecz pieszczota. Czowała jego ciepło i z całych sił starała się nie ulec jego urokowi.

- Usiądźmy.

- Dobrze.

Ale zamiast wypuścić ją z ramion, wziął ją za rękę i wsunął dłoń pod żakiet, tak że tylko cienki jedwab sukienki dzielił ją od niego. Nie wiedziała, jakim cudem oparła policzek na jego ramieniu. Przytuliła się do niego, jakby wreszcie trafiła do domu.

- Francie - szepnął jej do ucha. - Musimy coś z tym zrobić. Zastanawiała się, czy nie udać, że nie wie, o co mu chodzi, ale nie miała na to siły.

- To tylko chemia. Zniknie z czasem. Przyciągnął ją bliżej.

- Na pewno?

- Na pewno. - Oby nie słyszał drżenia w jej głosie. Nagle się przeraziła. - Boże, Dallie, zdarzało mi się to już setki razy - paplała. - Tysiące. Tobie na pewno też.

- Jasne - mruknął. - Tysiące. - Zatrzymał się nagle i opuścił ramię. - Słuchaj, Francie, jeśli się nie pogniewasz, nie mam ochoty na tańce.
- Jasne. - Błysnęła zębami w sztuczny uśmiech i poprawiła żakiet. - Nie ma sprawy.
- Do zobaczenia później. - Odwrócił się.
- Tak. - Odprowadzała wzrokiem jego plecy.
- Rozstali się bez wrogości, bez krzyków i ostrzeżeń, ale gdy patrzyła, jak wychodzi, miała wrażenie, że szykowali się od nowej, innej bitwy.

Rozdział 26

Dallie usiłował co prawda naprawić stosunki łączące go z Teddym, ale nie angażował się w to specjalnie i panowie nadal unikali się jak ognia. W obecności ojca Teddy wpadał na wszystkie meble, tłukł naczynia i chodził pochmurny. Dallie od razu go krytykował i z każdym spotkaniem ich animozje rosły. Francesca próbowała mediacji, ale od tamtego wieczoru w Roustabout napięcie między nią a Dalliem wzrosło do tego stopnia, że jedynym efektem jej mediacji był jego atak furii.

Po południu trzeciego i ostatniego dnia jej wizyty w Wynette podeszła do Dalliego w piwnicy. Teddy zdążył już uciec do kuchni.

- Czy nie możesz z nim usiąść? Poczytać? Ułożyć puzzle? - zapytała. - Niby skąd ci przyszło do głowy, że nauczy się grać w bilard, jeśli będziesz ciągle na niego wrzeszczał?

Dallie tępnał na podarte zielone sukno na stole bilardowym.

- Nie wrzeszczałem. Nie wtrącaj się. Jutro wyjeżdżasz, zostało mi więc niewiele czasu, żeby nadrobić dziewięć straconych lat, kiedy był poddany kobiecym wpływom.

- Nie tylko kobiecym - syknęła. - Nie zapominaj, że Holly Grace spędza z nim mnóstwo czasu.

Zmrużył oczy.

- A co niby chcesz przez to powiedzieć?

- Lepszy z niej ojciec niż z ciebie.

Dallie odszedł, urażony, ale zaraz wrócił.

- I jeszcze jedno. Wydawało mi się, że miałaś z nim porozmawiać, wytłumaczyć, że jestem jego ojcem.

- Nie ma ochoty na wyjaśnienia. To mądry dzieciak. Sam sobie wszystko poukłada.

Obrzucił ją złośliwym spojrzeniem.

- Wiesz, co jest z tobą nie tak? Nadal jesteś zagubioną rozpuszczoną dziewczynką, która nie przywykła, by coś układało się nie po jej myśli!

Odpowiedziała równie wrogo:

- A ty jesteś durniem, który bez kija golfowego w dłoni nic nie jest wart.

Ciskali w siebie ostrymi słowami, ale choć coraz bardziej podnosili głosy, Francesca miała wrażenie, że żaden z pocisków nie trafiał do celu. Kłótnia była tylko żalną próbą ukrycia faktu, że powietrze między nimi aż iskrzy od tłumionego pożądania.

- Nic dziwnego, że nigdy nie wyszłaś za mąż. W życiu nie znałem równie chłodnej kobiety.

- Wielu mężczyzn jest innego zdania. Prawdziwych mężczyzn, a nie chłopaczków w obcisłych dżinsach, aż człowiek się zastanawia, co i komu chcą w ten sposób udowodnić.

- Od razu widać, gdzie patrzysz.

- Od razu widać, jak się nudzę. - Słowa przecinały powietrze jak pociski i drażniły już nie tylko ich.

W końcu Skeet Cooper miał tego dosyć.

- Mam dla was niespodziankę - powiedział, zaglądając do piwnicy. - Chodźcie na górę.

Nie patrząc na siebie, wbiegli po schodach do kuchni.

Skeet czekał przy drzwiach kuchennych. Miał ze sobą ich kurtki.

- Panna Sybil zabierze Doralee do biblioteki, a wy idziecie ze mną.
- Dokąd? - zapytała Francesca.
- Nie mam ochoty - burknął Dallie.

Skeet wcisnął mu w rękę czerwoną wiatrówkę.

- Nic mnie to nie obchodzi, ale gwarantuję ci, że stracisz pomocnika, jeśli za pół minuty nie będzie cię w moim samochodzie.

Mruczając coś wściekle pod nosem, Dallie poszedł do sfatygowanego forda.

- Do tyłu - polecił mu Skeet. - Francie usiądzie koło mnie. - Dallie mruknął coś znowu, ale się nie sprzeciwił. Francesca robiła, co w jej mocy, by jeszcze bardziej zdenerwować Dalliego - przez całą drogę prowadziła ze Skeetem przyjacielską rozmowę, a na niego nie zwracała najmniejszej uwagi.

Skeetpuszczał mimo uszu jego pytania, dokąd jada, burknął tylko, że znalazł rozwiązanie przynajmniej części ich problemów. Byli już niemal trzydzieści kilometrów od Wynette, na drodze, która wydawała się Francesce dziwnie znana, gdy Skeet zjechał na pobocze.

- Musicie oboje zobaczyć, co mam w bagażniku - powiedział i wyjął zapasowe kluczyki z kieszeni. Rzucił je Dalliemu. - Ty też, Francie. Myślą, że to wam dobrze zrobi.

Dallie łypnął na niego podejrzliwie, ale wysiadł. Francesca także. Razem obeszl samochód dokoła. Dallie już wyciągał ręką do zamka bagażnika, gdy Skeet docisnął gaz do dechy i odjechał w obłoku kurzu.

Francesca odprowadzała znikający samochód zdumionym wzrokiem.

- Co...
- Skurczybyk! - Dallie pogroził pięścią oddalającemu się fordowi. - Zabiją drania! Pożałuje, że się urodził! Powiniennem się domyślić... ten zdrajca...

- Nie rozumiem - wpadła mu w słowo Francesca. - Co on wyprawia? Dlaczego nas zostawił?

- Bo nie może już słuchać twoich awantur!

- Moich awantur?

Zapanowała chwila ciszy, a potem Dallie chwycił ją za ramię.

- Idziemy - powiedział.

- Dokąd?

- Do mojego domku. To kilometr stąd.

- Jak dobrze się składa - rzuciła z przekąsem. - I na pewno nie zaplanowaliście tego razem?

- Uwierz, to ostatnia rzecz, na którą miałbym ochotę - tkwić z tobą na odludziu. Nie ma tam nawet telefonu.

- Myśl o pozytywnej stronie całej sytuacji - prychnęła. - Wedle twoich szczeniackich zasad nie będziemy mogli się kłócić.

- Ażebyś wiedziała. Jedno gniewne słowo i spędzisz noc na ganku.

- Noc?

- Nie sądzisz chyba, że przyjedzie po nas jeszcze dzisiaj, co?

- Żartujesz.

- Skądże.

Przeszli zaledwie kilka kroków, gdy zaczęła nucić starą piosenkę Williego Nelsona, tylko po to, żeby go zdenerwować. Zatrzymał się i łypnął gniewnie.

- Nie bądź takim marudą - rzuciła zaczepnie - musisz przyznać, że to zabawne.

- Zabawne ! A co w tym widzisz zabawnego? Wiesz równie dobrze jak ja, co się dzisiaj stanie.

- Nie, nie wiem. - Dumnie uniosła głowę. Spojrzał na nią kpiąco, sugerując bez słów, że świat nie zna większej hipokrytki. Uznała wówczas, że najlepszą obroną jest atak. - Nawet jeśli masz rację, choć oczywiście nie masz, nie musisz się zachowywać, jakbyś szedł do dentysty na leczenie kanałowe.

- Wolałbym dentystę.

Tym razem pocisk trafił do celu. Zatrzymała się, urażona.

- Naprawdę?

Wbił ręce w kieszenie kurtki i kopnął kamyk na drodze.

- Pewnie.
- Wcale nie.
- A właśnie że tak.

Chyba było po niej widać, jak ją zabolęły jego słowa, bo złagodniał. Nagle podszedł do niej.

- Och, Francie...

Nie wiedzieli, jak do tego doszło, ale po chwili była w jego ramionach i całował ją, najpierw delikatnie i czule, ale tak bardzo się pragnęli, że zaraz pocałunek nabrał głębi i namiętności. Czują palce Dalliego we włosach, oplótła jego szyję ramionami...

Przejeżdżający samochód zatrąbił wściekle. Odskoczyli od siebie, wstrząśnięci. Wydawało się, że trąba powietrzna o niespotykanej sile porwała wszelkie nieporozumienia, wszelkie przeszkody. Byli tylko oni, spragnieni siebie, gotowi, rozpaleni.

Dallie powoli wyjął rękę spod jej sweterka.

- Chodzi o to - zaczął, oddychając ciężko - że kiedy ludzi dopadnie taka gorączka, kiedy pcha ich do siebie chemia, tracą głowy.

- Często ci się to zdarza? - warknęła, zdenerwowana jak kotka, którą ktoś głaszcze pod włos.

- Ostatnio, kiedy miałem siedemnaście lat. Obiecałem sobie wtedy, że zapamiętam nauczkę do końca życia. Do cholery, Francie, mam trzydzieści siedem lat, a ty ile? Trzydzieści?

- Trzydzieści jeden.

- Oboje powinniśmy mieć więcej oleju w głowie, ale nie, proszę, zachowujemy się jak napalone nastolatki. - Z niesmakiem pokręcił głową. - Mamy szczęście, jeśli nie zrobiłem ci malinki na szyi.

- Nie zwalaj winy na mnie - burknęła. - Od tak dawna żyję w celibacie, że pociąga mnie każdy... nawet ty.

- Myślałem, że ty i księżę Stefan...

- Tak, ale jeszcze nie. Niedługo.

- Nie powinno się tego odkładać w nieskończoność.

Ruszyli w drogę. Dallie wziął ją za rękę. Gest, z założenia przyjacielski, rozpalił ją na nowo. Postanowiła, że najskuteczniej rozprawią się z namiętnością, jeśli posłużą się chłodną logiką.

- Nasza sytuacja i bez tego jest skomplikowana. Ta... fascynacja erotyczna sprawi, że wszystko stanie się nie do wytrzymania.

- Wiesz, skarbie, już dziesięć lat temu dobrze całowałaś, ale teraz jesteś mistrzynią.

- Nie robię tego z każdym - oburzyła się.

- Bez urazy, Francie, ale pamiętam, że przed laty, jak przyszło co do czego, musiałaś się jeszcze sporo nauczyć... ale byłaś świetną uczennicą. Powiedz, uzupełniłaś braki w edukacji?

- Nie! Jestem beznadziejna w łóżku! Nie lubię... psuć sobie fryzury.

Zachichotał.

- Nie sądzę, żebyś nadal tak bardzo przejmowała się fryzurą. Czy makijażem.

- O Boże -jęknęła. - Może udajmy, że do niczego nie doszło...

Przyciągnął ją do siebie.

- Skarbie, odkąd się ponownie spotkaliśmy, krążymy dokoła siebie jak kundle. Jeśli nie posłuchamy głosu natury, oszalejemy.

Zamiast mu się sprzeciwić, zapytała:

- Jak myślisz, ile potrwa, zanim ta... fascynacja się... wypali?

- Nie wiem. Bardzo się różnimy. Liczę, że po dwóch, trzech razach nam przejdzie.

Czy ma rację? Na pewno, powtarzała sobie. To słomiany ogień, gwałtowny, ale nietrwały. Po raz kolejny robi z igły widły, jeśli chodzi o seks. Dallie podchodzi do sprawy bardzo swobodnie i powinna się tego od niego nauczyć. Wreszcie wybije go sobie z głowy. I zachowa przy tym godność.

W milczeniu dotarli do małego domku i weszli do środka. Dallie pełnił honory pana domu - wziął od niej kurtkę, ustawił termostat na przyjemną temperaturę, nalał jej wina. Cisza się przeciągała.

Francesca usiadła na kanapie, ale była zbyt zdenerwowana, by wytrzymać w bezruchu. Zerwała się z miejsca.

- Idę do łazienki. Słuchaj, Dallye... ja niczego ze sobą nie zabrałam. Wiem to moje ciało i jestem za nie odpowiedzialna, ale nie spodziewałam się, że wyląduję z tobą w łóżku... Nie twierdę, że podjęłam już decyzję... ale jeśli to zrobimy... Mam nadzieję, że jesteś lepiej na to przygotowany niż ja, bo jeśli nie, powiedz od razu.

Uśmiechnął się.

- Wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję. - Łypnęła na niego gniewnie, zdenerwowana, bo to wszystko działo się dla niej za szybko. Wiedziała, że pakuje się w coś, czego później pożałuje, ale brakowało jej siły woli, by się wycofać. To dlatego, że od roku z nikim nie spałam, tłumaczyła sobie. To jedyne logiczne wytłumaczenie.

Wróciła z łazienki. Dallye siedział na kanapie i pił sok pomidorowy. Usiadła na drugim końcu. Nie wtuliła się w róg, ale też nie położyła mu głowy na ramieniu. Spojrzał na nią.

- Jezu, Francie, wyluzuj się trochę. Przez ciebie i ja się denerwuję.

- Akurat - mruknęła. - Nie przeze mnie. Jesteś równie zdenerwowany jak ja, tylko lepiej to ukrywasz.

Nie zaprzeczył.

- Może weźmiemy razem prysznic na rozgrzewkę?

Pokręciła głową.

- Nie chcę się rozbierać.

- Trudno będzie...

- Nie o to mi chodzi. Pewnie w odpowiedniej chwili się rozbiore... jeśli będę chciała... Ale do tego czasu już się rozgrzeję.

Dallye się uśmiechnął.

- Wiesz co, Francie? Podoba mi się ta rozmowa. Prawie żałuję, że muszę cię pocałować.

Ale tylko prawie. Ten pocałunek był jeszcze lepszy niż tamten przy drodze; słowna utarczka rozpałała ich, sprawiła, że w pieśczości wkradła się pewna szorstkość, idealna w tej, zdaniem obojga, absurdalnej sytuacji. Kiedy ich języki się zetknęły, Francesca po raz kolejny miała wrażenie, że cały świat przestaje istnieć.

Wsunęła mu ręce pod koszulę, on tymczasem pomógł jej zdjąć sweter i rozpiąć bluzkę. Miała na sobie piękną bieliznę, z jedwabnej koronki w odcieniu kości słoniowej. Dallye odsunął delikatny materiał i zamknął usta na nabrzmiałej brodawce.

Kiedy nie mogła już dłużej wytrzymać pieśczości, szarpnęła go za włosy i wpiła się wargami w jego usta, bładziła palcami po plecach Dallyego, w końcu znalazła pasek jego dżinsów. Jąknął i wstał, ciągnąc ją za sobą. Jedwabna bluzka zsunęła się z jej ramion. Dallye wstrzymał oddech.

- Czy zawsze nosisz bieliznę taką jak z filmów dla dorosłych?

- Zawsze. - Wspięła się na palce i lekko ugryzła go w ucho. Dallye niecierpliwie rozplątywał jedwabne tasiemki jej majteczek. Francescę przeszył dreszcz.

- Zanieś mnie na górę - szepnęła. Wziął ją na ręce.

- Jesteś lżejsza niż kije golfowe, złotko.

Sypialnia była przytulna, z kominkiem pod jedną ścianą, szerokim łóżem pod drugą. Ułożył ją delikatnie i sięgnął do jedwabnych tasiemek na biodrach.

- Nie. - Powstrzymała go. - Rozbieraj się, żołnierzu. Spojrzał na nią podejrzliwie.

- Jak to?

- Rozbieraj się. Striptiz.

- Striptiz? - Zmarszczył brwi. - Myślałem, że to ty zrobisz dla mnie... Pokręciła przecząco głową i uśmiechnęła się, uwodzicielsko i złośliwie.

- Rozbieraj się.

- Słuchaj, Francie... Podniosła leniwie rękę.

- Powoli i zmysłowo - mruknęła.

- Och, Francie...

Tęsknie spojrzął na jedwabne miseczki na jej piersiach i przesunął wzrok w dół, na skąpe majteczki. Lekko rozsunała nogi.

- Głupio mi, że robią cyrk z rozbierania się - burknął.

Musnęła palcem skraj majteczek.

- Szkoda. Moim zdaniem faceci twojego pokroju istnieją wyłącznie po to, by zapewniać rozrywkę kobietom, takim jak ja.

Nie odrywał wzroku od jej palców.

- Naprawdę?

Bawiła się tasiemką.

- Sto procent siły, zero procent mózgu... Niby do czego jeszcze się nadajesz?

Patrząc jej w oczy, powoli rozpiął koszulę.

- Wkrótce sama się przekonasz.

Przeszył ją gorący dreszcz. Nagle rozpinanie mankietów koszuli wydało jej się najbardziej erotycznym gestem na świecie. Dallye chyba zauważył, że Francesca oddycha coraz szybciej, bo uśmiechnął się przelotnie, ale zaraz spoważniał, skupiony na tym, co robi. Powoli, bardzo powoli rozpiął guziki koszuli, leniwie, od niechcenia, zsuwał ją z ramion. Lekko rozchyliła usta. Patrzyła jak urzeczona na jego umięśnione plecy, gdy pochylił się, by zdjąć buty i skarpetki. W dżinsach i szerokim skórzanym pasie wyprostował się i wsunął kciuk za pasek.

- Ściągaj stanik - polecił. - Nie zdejmę nic więcej, póki nie zobaczę czegoś fajnego.

Udawała, że się zastanawia, a potem wystudiowanym ruchem sięgnęła za plecy i rozpięła biustonosz. Zsunęła ramiączka, ale nadal trzymała miseczki na piersiach.

- Najpierw pas - mruknęła ochryple. - I rozporek.

Wyjął pas z dżinsów i, ku jej zaskoczeniu, rzucił na łóżko, na jej nogi.

- Może mi się przyda... na ciebie - szepnął.

Głośno przełknęła ślinę. Rozpiął górny guzik i jej oczom ukazał się płaski brzuch. Znieruchomiał - czekał na nią. Zdjęła stanik i wygięła się w łuk, żeby się napatrzył do woli. Teraz to on przełknął ślinę

- Dżinsy, żołnierzu - mruknęła.

Ściągnął spodnie i slipy i stanął przed nią całkiem nagi.

Patrzyła chciwie, bez fałszywej skromności. Był twardy i dumny, piękny, smukły, silny. Opadła na poduszki, jej włosy rozsypały się ciemną falą. Patrzyła, jak podchodzi do łóżka. Przesunął palcem po jej szyi, piersiach, brzuchu, aż do skrawka jedwabiu między nogami.

- Rozwiąż - polecił.

- Sam to zrób - szepnęła.

Usiadł na skraju łóżka i wyciągnął rękę do jedwabnej tasiemki. Powstrzymała go.

- Ustami.

Zachichotał, pochylił się i spełnił jej życzenie. Czowała dłonie Dallyego na sobie, gdy zdejmował z niej ostatnią sztukę bielizny. Rozpalona, błędziła dłońmi po jego ciele. Po kilku minutach sięgnął do szuflady przy łóżku i odwrócił się do niej plecami. Roześmiała się, przysiadła na piętach i objęła go od tyłu.

- Nigdy nie staraj się wyręczyć kobiety - szepnęła mu do ucha i dokończyła to, co zaczęła, pieszcząc go i drażniąc, aż skóra mu zwilgotniała od potu.

- Do licha, Francie - szepnął ochryple - jeśli nie przestaniesz, zostanie ci tylko nudne wspomnienie po tym spotkaniu.

Z uśmiechem opadła na poduszki i rozchyliła uda.

- Nie wierzę.

Pieścił ją, dopóki nie zaczęła błagać, żeby przestał, całował do utraty tchu. W końcu w nią wszedł. Oplotła go nogami i krzyknęła. Sypialnię wypełniły ciche, zdyszane słowa.

- Proszę...

- Cudownie...

- Tak... mocniej...

- Skarbie...

Oboje byli wytrawnymi kochankami - troskliwi i hojni, zawsze spięci, zawsze opanowani. A teraz, rozpaleni i wilgotni, zapomnieli o bożym świecie. Szczytowali niemal jednocześnie, głośno i bez zahamowań.

Kiedy było po wszystkim, nie wiadomo które z nich czuło się bardziej zażenowane.

Rozdział 27

Zjedli skromny posiłek, oboje spięci i speszeni. Przerzucali się kiepskimi dowcipami, a potem wrócili do łóżka. Zajęci miłością, nie mogli rozmawiać, ale akurat na to mieli najmniejszą ochotę. Zasnęli na krótko, obudzili się nad ranem i okazało się, że nadal nie mają siebie dość.

- Ile to już razy? -jęknął Dallie, kiedy skończyli. Wtuliła się w niego.
- Chyba cztery.

Pocałował ją w czubek głowy i mruknął:

- Francie, obawiam się, że tego ognia nie da się tak łatwo ugasić, jak nam się zdawało.

Obudzili się kilka minut po ósmej rano. Francesca przeciągnęła się leniwie. Dallie przyciągnął ją do siebie. Pieścili się powoli, kiedy ich uwagę zwróciły hałasy na dole, a potem kroki zmierzające do sypialni. Dallie zaklął pod nosem. Francesca spojrzała na drzwi i z przerażeniem obserwowała, jak klamka zaczyna się obracać. Miała makabryczną wizję: wyobraziła sobie, że to tabun byłych dziewczyn Dalliego, które wkraczają do sypialni.

- O Boże! - Zareagowała instynktownie. Dała nura pod kołdrę. W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły.

Dallie wydawał się lekko zdenerwowany.

- Na rany boskie, nie mogłaś nawet zapukać?
- Bałam się, że rozleję kawę. Mam nadzieję, że pod kołdrą jest Francie, inaczej będzie mi strasznie głupio.

Materac ugiął się pod ciężarem Holly Grace. Dotknęła biodrem łydki Franceski. Zapach kawy docierał nawet pod kołdrę.

- Mogłaś dla mnie też przynieść – burknął Dallie.

Holly Grace się spieszyła.

- Nie pomyślałam, mam tyle spraw na głowie. Słuchaj, pod kołdrą jest Francie, prawda? Dallie poklepał ją przez kołdrę.
- Nie ruszaj się, Rosalito. Ta wariatka zaraz sobie pójdzie. Holly Grace szarpnęła za kołdrę.
- Francie, wyłaż, muszę z wami porozmawiać. Z obojgiem. Francesca ciasniej otuliła się kołdrą i mruknęła po hiszpańsku pierwsze, co jej przyszło do głowy: przepraszam, jak dojść na pocztę? Dallie zachichotał.
- Francie, wiem, że to ty. - Holly Grace nie dawała za wygraną. – Twoja bielizna poniewiera się po podłodze.

Francesca nie miała innego wyjścia. Z całą godnością, na jaką było ją stać w tej sytuacji, wynurzyła się spod kołdry i łypnęła gniewnie na Holly Grace.

- Czego? - warknęła. - Przez trzy dni nie raczysz się do mnie odezwać. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt?
- Musiałam się zastanowić.
- Nie mogłaś wybrać innego momentu na pogaduszki? - zapytała. Dallie oparł się o wezglowie, rozlewając przy tym kawę Holly, rozluźniony jak zwykle. Leżąca Francesca czuła, że jest na straconej pozycji, więc, speszona, usiadła i otuliła się kołdrą.
- Chcesz łyka? - Dallie podsunął jej kawę.

Odgarnęła sobie włosy z twarzy i podziękowała z przesadną uprzejmością, obiecując sobie, że nie da im się zapędzić w kozzi róg. Holly Grace wstała i podeszła do okna. Przełożyła ręce z przednich do tylnych kieszeni dzinsów. Dopiero teraz Francesca uświadomiła sobie, że przyjaciółka jest o wiele bardziej zdenerwowana, niż daje po sobie poznać. Zdradzały ją nerwowe ruchy i napięte plecy.

Holly Grace bawiła się skrajem firanki.

- Widzicie, chodzi oto... Ze to, w jakiej zastałam was sytuacji, nieco komplikuje moje plany.
- W jakiej sytuacji? - zapytała głupio Francesca.
- Jakie plany? - zawtórował Dallie.

Holly Grace spojrzała na nich.

- Francie, nie denerwuj się, nie chodzi o to, że tego nie pochwalam. Od lat ci powtarzałam, że nie wiesz, co tracisz, nie sypiając z Dallasem Beaudi-ne'em.

- Holly Grace! - oburzyła się Francesca.
- Dzięki, skarbie - mruknął Dallie.

Francesca zorientowała się, że znowu jąwrabiają, napiła się więc kawy i umilkła. Holly Grace tymczasem podeszła do łóżka i spojrzała na byłego męża.

- Dallie, mój zegar biologiczny bije jak szalony. Powtarzałam sobie, że prędzej czy później poznam faceta, za którego będę chciała wyjść. Przez pewien czas nawet łudziłam się, że Gerry... W każdym razie planowałam, że zwolnię nieco, wymyśliłam sobie nawet, że w serialu będą mnie filmować od ramion w górę w czasie kolejnych ciąży. Ale ostatnio do mnie dotarło, że to tylko marzenia... Cierpię. - Podeszła do Franceski.

Francesca widziała smutek w twarzy przyjaciółki i wołała nawet nie myśleć, ile ją kosztowała taka otwartość. Oddała kubek Dalliemu i poklepała materac koło siebie.

- Siadaj, Holly Grace, i mów, co ci chodzi po głowie.

Holly Grace usiadła posłusznie, nie odrywając niebieskich oczu od zielonych Franceski.

- Francie, wiesz, jak bardzo chcę mieć dziecko. Cała ta sprawa z Teddym sprawiła, że myślałam o tym jeszcze więcej niż zwykle. Mam już dosyć kochania tylko cudzych dzieci. Chcę mieć własne. Dallie od lat mi powtarza, że szczęście to nie banknoty dolarowe, i chyba wreszcie dojrzałam do tego, żeby przyznać mu rację.

Francesca z otuchą położyła jej dłoń na ramieniu. Szkoda, że Gerry już wczoraj poleciał od domu, choć po trzech dniach bezowocnych prób wcale mu się nie dziwiła.

- Kiedy wrócisz do Nowego Jorku, musisz otwarcie porozmawiać z Ger-rym. Wiem, że się kochacie i...

- Daj mi spokój z Gerrym! - zachnęła się Holly Grace. - To Piotruś Pan. Nigdy nie dorośnie. Tak, chce się ze mną ożenić, ale dał mi jasno do zrozumienia, że nie chce mieć dzieci.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś. - Dallie był wyraźnie zdziwiony.

- Musicie szczerze porozmawiać. - Francesca nie dawała za wygraną.

- Nie będę go o nic błagała. - Holly Grace wyprostowała się dumnie. -Jestem niezależna finansowo, w miarę dorosła i nie pojmuję, czemu miałabym się łądować w małżeństwo tylko po to, żeby mieć dziecko. Ale musicie mi pomóc.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy, wiesz przecież. Po tym, jak mi pomogłaś, kiedy...
- Pożyczysz mi Dalliego? - zapytała Holly Grace. Dallie wyprostował się gwałtownie.
- Chwileczkę!

Holly Grace nie zwracała na niego uwagi. Cały czas patrzyła Francesce w oczy.

- Zdaję sobie sprawę, że mogłabym o to poprosić wielu innych mężczyzn, ale nie chcę mieć dziecka z byle kim. Kocham Dalliego, poza tym łączy nas Danny. W tej chwili to jedyny mężczyzna, któremu ufam. - W jej oczach pojawił się cień wyrzutu. - Wie, że nie pozbawię go kontaktu z dzieckiem, jak ty. Zdaję sobie sprawę z tego, ile dla niego znaczy rodzina i dziecko będzie w takim samym stopniu moje, jak i jego.

- To do załatwienia między wami - orzekła Francesca stanowczo.

Holly Grace wodziła wzrokiem od jednego do drugiego.

- Nie sądzę - powiedziała w końcu. - Zatrzymała spojrzenie na Dalliem. - Głupio będzie po tylu latach znowu iść razem do łóżka, poczuć się trochę tak, jakbym robiła to z bratem, ale po kilku głębszych wyobrażę sobie, że to Tom Cruise i...

Kiepski żart nie rozładował sytuacji. Dallie miał taką minę, jakby walnęła go pięścią w brzuch.

- Dosyć tego! - Sięgnął po ręcznik leżący przy łóżku.

Holly Grace spojrzała na niego błagalnie.

- Wiem, że masz mi coś do powiedzenia na ten temat, ale czy mógłbyś zostawić mnie z Francie samą, na kilka minut?

- O nie - syknął. - Nie ufam wam. Oto najlepszy przykład, co się stało z kobietami w tym kraju. Zachowujecie się tak, jakby mężczyźni byli nic nieznaczącymi zabawkami, dzięki którym wam się nie nudzi. - Owinął się ręcznikiem pod kołdrą. - I wiecie, co wam powiem? Nie zgadzam się z opinią, że kłopoty się zaczęły wtedy, kiedy kobiety zyskały prawo wyboru. Naszym błędem było nauczyć was czytać! - Zerwał się i szczerzej owinął ręcznikiem. - Jeszcze jedno: mam po dziurki w nosie tego, że traktujecie mnie jak chodzący bank spermy! - Z tymi słowami zatrzaskała za sobą drzwi do łazienki.

Jego wybuch nie zrobił wrażenia na Holly Grace. Spojrzała na Francescę.

- Założmy, że przekonam Dalliego do mojego planu. Co ty na to?

Ta myśl budziła we Francescę o wiele większy niepokój, niż chciałyby przyznać.

- Holly Grace, to, że w chwili słabości wylądowaliśmy w łóżku, nie oznacza, że mogę za niego decydować. To sprawa między wami.

Holly Grace patrzyła na jej bieliznę porozrzucaną na podłodze.

- Rozważ ten problem czysto hipotetycznie: gdybyś naprawdę kochała Dalliego, zgodziłabyś się?

W jej twarzy było tak bolesne pragnienie, że Francesca wiedziała, że musi się zdobyć na szczerłość. Zamyśliła się.

- Bardzo cię kocham, Holly Grace, i rozumiem, że chcesz mieć dziecko, ale gdybym naprawdę kochała Dalliego, nie pozwoliłabym ci go tknąć.

Holly Grace milczała przez chwilę, a potem uśmiechnęła się smutno.

- To tak, jak ja. Wiesz, Francie, w takich chwilach wiem, czemu jesteśmy przyjaciółkami.

Holly Grace ucisnęła jej dłoń i Francesca odetchnęła z ulgą- wreszcie wybaczyła jej, że zataiła przed nią prawdę na temat tego, kto jest ojcem Teddy'ego. Spochmurniała jednak, patrząc na minę przyjaciółki.

- Holly Grace, coś mi się w tym wszystkim nie podoba. Wiesz doskonale, że Dallie się na to nie zgodzi. Wątpię nawet, czy naprawdę tego chcesz.

- Może się zgodzi - oburzyła się Holly Grace. - Jest nieprzewidywalny.

Ale nie w taki sposób. Francesca nawet przez chwilę nie sądziła, że zgodziłby się na szalony plan Holly Grace, i była przekonana, że przyjaciółka też o tym wiedziała.

- Wiesz, kogo mi przypominasz - zaczęła z namysłem. - Faceta, którego boli ząb, więc żeby zapomnieć o tym bólu, wali się młotkiem w głowę.

- Bzdura! - Holly Grace zareagowała tak szybko, że Francesca od razu wiedziała, że trafiła w dziesiątkę. Przyszło jej na myśl, że Holly Grace się boi, kurczowo chwytając się brzytwy, desperacko szuka pociechy, załamana po utracie Gerry'ego. A Francesca mogła ją tylko serdecznie uściskać.

- Ależ wspomniały widok. - Dallie wyszedł z łazienki. Zapinał koszulę. Widać było, że z irytacji zrodził się prawdziwy, groźny gniew. - Zdecydowałyście już o moim losie?

- Francie powiedziała, że nie mogę cię pożyczyć - poinformowała go Holly Grace.

- Holly Grace, wcale tego nie...! - wrzasnęła Francesca, przerażona.

- Tak? - Dallie wepchnął koszulę do dzinsów. - Boże, nienawidzę kobiet. - Wycelował we Francescę oskarżycielsko palec. - To, że w nocy wypaliliśmy dziurę w materacu, nie znaczy, że możesz podejmować za mnie decyzje.

Francesca nie posiadała się z oburzenia.

- Nie podejmowałam żadnych...

Zwrócił się do Holly Grace:

- A ty, jeśli chcesz zrobić sobie dzieciaka, poszukaj w innym rozporoku, bo ja ci nie pomogę.

Francescę ogarniał, jak sama przyznała, niezbyt rozsądny gniew. Ale czy on nie widzi, że Holly Grace bardzo cierpi i nie myśli logicznie?

- Czy nie przesadzasz? - zapytała spokojnie.

- Przesadzam? - Poblądł z wściekłości. Zacisnął pięści.

Szedł w ich stronę. Francesca odruchowo wbiła się głębiej w materac. Nawet Holly Grace się skuliła. Wyciągnął ręce w stronę łóżka, porwał torbę Holly Grace. Wysypał zawartość torebki na posciel, odnalazł kluczyki i oznajmił spokojnie:

- Jeśli o mnie chodzi, idźcie do diabła. - Z tymi słowami wyszedł. Francesca nasłuchiwała, jak odjeżdża, i żałowała, że nie ma już domu, w którym nie wolno się kłócić.

Rozdział 28

Sześć tygodni później Teddy wysiadł z windy i szedł do mieszkania, smętnie ciągnąc za sobą tornister. Nienawidził szkoły. Zawsze ją uwielbiał, a teraz nienawidził. Dzisiaj panna Pearson zapowiedziała, że do końca roku szkolnego mają przygotować projekt na zajęcia z wiedzy o społeczeństwie i Teddy był przekonany, że nie zda. Panna Pearson go nie lubi. Powiedziała, że go wyrzuci z klasy dla szczególnie uzdolnionych dzieci, jeśli się nie zmieni.

Tylko że... od wyjazdu do Wynette nic już go nie bawiło. Cały czas się czegoś obawiał, jakby w jego szafie zamieszkał groźny potwór. I teraz na dodatek wyleci z klasy.

Musi wymyślić jakiś superprojekt, zwłaszcza że skopał tamten o owadach. Musi mieć coś lepszego niż inni, nawet niż ten kujon Milton Grossman. Powiedział, że napisze do burmistrza i zapyta, czy może przepracować jeden dzień w jego biurze. Panna Pearson była zachwycona. Mówiła, że inne dzieci powinny brać z niego przykład, bo Milton wykazuje tyle inicjatywy. Teddy nie pojmował, jak można brać przykład z kogoś, kto dłubie w nosie i śmierdzi naftaliną.

Ledwie wszedł do domu, Consuela wyjrzała z kuchni.

- Teddy, przysłała do ciebie paczka. Jest w twoim pokoju.

- Paczka?

Boże Narodzenie dawno już minęło, jego urodziny wypadały w lipcu, a do walentynek jeszcze dwa tygodnie. Skąd paczka?

Wszedł do pokoju i zobaczył sporej wielkości pudło na podłodze. Nadano je w Wynette w Teksasie. Rzucił kurtkę na krzesło, przesunął okulary na czubek głowy i nerwowo obgryzał kciuk. Z jednej strony, bardzo chciał, żeby paczka była od Dalliego, z drugiej, bał się nawet o nim myśleć. Ilekroć to robił, miał wrażenie, że potwór z szafy czai się tuż-tuż.

Rozciął taśmę klejącą najostrzejszymi nożyczkami, jakie znalazł w pokoju i sprawdził, czy w paczce nie było liściku. Nic - tylko mnóstwo innych, mniejszych pudełek. Rozpakowywał je po kolei, a kiedy skończył, siedział w otoczeniu najwspanialszych chłopięcych skarbów i z zachwytem patrzył na swój łup.

Po jednej stronie ułożył cudownie obrzydliwe paskudztwa - pierdzącą poduszkę, pikantną gumę do żucia, plastikową kostkę lodu z wielką muchą w środku. Inne prezenty miały pobudzić jego intelekt - był tam kalkulator i fajne książki. Dostał też mnóstwo typowo męskich gadżetów: prawdziwy szwajcarski scyzoryk, komplet bardzo dorosłych śrubokrętów, latarkę z gumową rączką. Ale najwspanialszy prezent leżał na samym dnie. W życiu nie widział takiej bluzy.

Z przodu na granatowym tle straszliwy motocyklista gnał z zastraszającą szybkością, wybałuszając oczy i szczerząc zęby. Ślina spływała mu po brodzie. Poniżej fluorescencyjne litery tworzyły napis: THEODORE DAY - URODZONY ROZRABIAKA. Teddy przycisnął bluzę do piersi. Przez ułamek sekundy pozwolił sobie marzyć, że to prezent od Dalliego, ale wiedział, że takich rzeczy nie wysyła się dzieciakowi, którego uważa się za mięczaka, dlatego od razu się domyślił, że paczka pochodzi od Skeeta. Przytulił się do bluzy i wmawiał sobie, że wielki z niego szczęściarz, że ma przyjaciela, który potrafi dojrzeć w nim dziewięcioletniego rozrabiakę, mimo okularów i w ogóle.

Theodore Day - Urodzony Rozrabiaka! Był zachwycony pomysłem, samą myślą, że taki maluch jak on, chłopczyk, który jest do bani w sporcie i którego może wykopią z klasy dla szczególnie uzdolnionych, jest Urodzonym Rozrabiaką!

Teddy podziwiał bluzę, a Francesca kończyła nagranie nowego programu. Czerwona lampka kontrolna zgasła i producent, Nathan Hurd, podbiegł z gratulacjami. Nathan, niski i pulchny, pod wieloma względami przypominał jej Clare Padgett, która obecnie doprowadzała do szaleństwa zespół redakcyjny wiadomości telewizyjnych w Houston. Oboje byli perfekcjonistami i oboje wiedzieli, czego od niej wymagać.

- Uwielbiam, kiedy program kończy się w taki sposób. - Nathan zacierał ręce. - Puścimy to dokładnie w tej formie, a oglądalność skoczy do nieba.

Przed chwilą jej gość, kaznodzieja telewizyjny, wielbny Johnny T. Platt wyszedł ze studia głęboko wzburzony, bo podeszła go sprytnie i wyciągnęła znacznie więcej, niż chciał powiedzieć, na temat jego przedpotopowych poglądów na małżeństwo i rolę kobiety.

- Dzięki Bogu, że nie musimy nagrywać dubla. - Odpięła mikrofon od kolorowego szala.

Nathan wyszedł ze studia razem z nią. Teraz, po nagraniu, gdy nie musiała się już skupiać na każdym drobiazgu, powróciło przygnębienie. Minęło sześć tygodni od powrotu z Wynette. W tym czasie ani razu nie widziała Dalliego. Tyle, jeśli chodzi o jej zamartwianie się, jak pogodzić ojca i syna. Była zagubiona, jak jej kilkunastoletnie uciekiniarki. Dlaczego coś, co było tak bardzo złe, wydawało się tak odpowiednie i właściwe? I dopiero po chwili do niej dotarło, że Nathan coś mówi.

- ..w maju zrobimy program o imigrantach, co ty na to?

Skinęła głową. W styczniu zdała egzamin obywatelski i zaraz po tym dostała zaproszenie z Białego Domu na specjalną ceremonię zaprzysiężenia. Miała to być wyjątkowa uroczystość dla sławnych nowo upieczonych obywateli amerykańskich: oprócz Franceski zapowiedziano udział koreańskiego projektanta mody, rosyjskiego tancerza i dwóch znanych naukowców.

Nathan zatrzymał się w pół kroku.

- Francesco, mam świetne pomysły na przyszły sezon. Musimy bardziej zaangażować się politycznie, masz fantastyczny dar...

- Nathan... - Zawahała się, ale i tak wiedziała, że zwlekała z tym już wystarczająco długo, brnęła więc dalej. - Musimy porozmawiać.

Spojrzał na nią czujnie i puścił przodem do swojego gabinetu, zamknął drzwi i przysiadł na skraju biurka.

Francesca głęboko zaczerpnęła tchu i powiedziała mu, co postanowiła po wielu miesiącach namysłu.

- Nathan, zdaję sobie sprawę, że będziesz wściekły, ale kiedy wygaśnie mój kontrakt, zażądam zmiany warunków.

- Ależ oczywiście - zgodził się ostrożnie. - Wytwórnia na pewno nie pożałuje pieniędzy. Ale bez przesady, rozumiesz.

Nie chodziło o pieniądze. Potrząsnęła głową.

- Nie zgadzam się na program co tydzień. Chcę się ograniczyć do dwunastu audycji rocznie - jeden program na miesiąc. - Ulżyło jej, kiedy w końcu powiedziała to głośno.

Nathan zerwał się z biurka jak oparzony.

- Nie wierzę. Stacja nigdy na to nie pójdzie. To samobójstwo zawodowe!

- Zaryzykuję. Mam dosyć takiego życia, Nathan. Mam po uszy wiecznego zmęczenia. Mam dość przyglądania się, jak obcy ludzie wychowują mojego synka.

Nathan, który widywał swoje córki tylko podczas weekendów i nie zwracał sobie głowy ich wychowaniem, nie miał zielonego pojęcia, o co jej chodzi.

- Jesteś wzorem dla wielu kobiet - zaczął. Postanowił odwołać się od jej uczuć obywatelskich. - Powiedzą, że je porzuciłaś.

- Wątpię. - Odsunęła stertę gazet na bok i przysiadła na kanapie. - Chyba już wiedzą, że chcą być czymś więcej niż mężczyzmi w spódnicach. Od lat walczę w męskim świecie. Wychowaniem mojego dziecka zajmują się obcy, pracuję w takim tempie, że co rano sprawdzam w prospekcie, w jakim hotelu i stanie akurat jestem, zasypiam z trudem i boję się myśleć, ile obowiązków czeka na mnie następnego dnia. Mam tego dosyć, Nathan. Uwielbiam moją pracę, ale nie dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez siedem dni w tygodniu.

Kocham Teddy'ego i mam jeszcze tylko dziewięć lat, zanim wyjedzie do college'u. Chcę spędzać z nim więcej czasu. To jest moje życie, ale szczerze mówiąc, nie czuję się zbyt szczęśliwa.

Zmarszczył brwi.

- Zakładając, że stacja na to pójdzie, w co wątpię, stracisz mnóstwo kasy.

- No tak- zachnęła się. - I co to zmieni? Zmniejszy mi się budżet na ciuchy? Z dwudziestu tysięcy rocznie na dziesięć, tak? Już widzę miliony kobiet, jak się załamują tą sytuacją, jednocześnie głowiąc się, skąd wziąć na nowe buty dla dzieci. - Ile pieniędzy mi potrzeba? Zastanawiała się. Ile władzy? Czy tylko ona ma dosyć zdobywania męskich oznak sukcesu?

- Czego chcesz najbardziej? - Nathan zmienił taktykę, z konfrontacji na pacyfikację. - Może wypracujemy kompromis.

- Czasu - odparła znużona. - Chcę przeczytać książkę, dlatego że mam na to ochotę, a nie dlatego, że autor będzie w moim programie. Chcę przez cały tydzień ani razu nie układać sobie włosów. Chcę jechać z Teddym na wycieczkę klasową. Rozumiesz? - Wypowiedziała na głos pomysł, który od dawna chodził jej po głowie. - I chcę poświęcić część energii, którą wkładałam w pracę, na pomoc tym biednym nastolatkom, które sprzedają się na ulicach całego kraju, bo nie mają dokąd pójść.

- Zrobimy o nich więcej programów - zaproponował szybko Nathan. - Wymyślę coś, żebyś miała więcej wolnego. Zdaję sobie sprawę, że ostatnio dużo pracowałaś, ale...

- Nie ma mowy, Nathan. - Wstała z kanapy. - Muszę zwolnić tempo.

- Francesco...

Cmoknęła go w policzek i wyszła, zanim powiedział coś więcej. Wiedziała, że nawet oszałamiająca popularność jej nie uchroni, jeśli szefowie stacji zdecydują, że przesadziła, żądając ograniczenia czasu pracy, ale musiała zaryzykować. Wydarzenia sprzed sześciu tygodni pokazały jasno, co jest dla niej najważniejsze, i pozwoliły także lepiej poznać samą siebie. Teraz wiedziała, że nie musi już nikomu niczego udowadniać.

Szybko przeglądała plik wiadomości, które dla niej zostawiono, ale nie mogła się na nich skupić, bo jej uwagę przykuła inna teczka - zawodowa kariera Dallasa Beaudine. Starła się wyrzucić go ze swoich myśli, a jednocześnie szukała wszystkiego na jego temat. Nie musiała zaglądać do teczki, znała jej treść na pamięć. Wszystkie artykuły, wszystkie rozmowy telefoniczne prowadziły do jednego wniosku: Dallas Beaudine ma ogromny talent, ale nie ma w nim woli walki. Nie zapomniała rady Skeeta i zastanawiała się, co to ma wspólnego z Teddym, ale nadal nie znalazła odpowiedzi na te pytania.

Już dawno umówiła się ze Stefanem na ten wieczór. Zastanawiała się, czy nie odwołać randki, ale w końcu uznała, że to byłoby tchórzostwo. Stefan oczekiwał od niej czegoś, czego, jak teraz wiedziała, nigdy nie będzie w stanie mu dać. Nie może go dłużej trzymać w niepewności.

Zanim przebrała się na wieczór, zjadła z synkiem kolację w domu. Uderzyło ją, jak bardzo się zmienił. Miała wrażenie, że dźwiga na barkach ciężar całego świata. Niepotrzebnie znowu poszła do łóżka z Dalliem, zaraz skrzywdzi Stefana, stacja wyrzuci ją na bruk... Do tego martwiła się o Teddy'ego.

Był bardzo cichy i zamknięty w sobie. Nie chciał rozmawiać o Wynette i nie pozwalał, by pomogła mu wyplątać się ze szkolnych tarapatów.

- Jak ci dzisiaj poszło z panną Pearson? - zapytała od niechcenia, patrząc, jak ukrywa zielony groszek pod ziemniaczanym puree.

- W porządku.

- W porządku? Odsunął od siebie talerz.

- Muszę odrobić lekcje. Nie jestem głodny.

Zmartwiona, odprowadzała go wzrokiem, kiedy wychodził z jadalni. Szkoda, że wychowawczyni jest taka surowa i restrykcyjna. Przywiązywała większą wagę do stopni niż do samej nauki, co zdaniem Franceski było fatalnym podejściem, zwłaszcza w pracy ze szczególnie uzdolnionymi dziećmi. Aż do tego roku Teddy nigdy nie przejmował się stopniami, a teraz myślał jedynie o nich. Francesca, wkładając elegancką kreację od Armaniego, postanowiła, że porozmawia z dyrektorką szkoły.

- Sobole są beznadziejne - mruknęła Francesca Serritella Day, gdy błyski fleszy oślepiły ją nieoczekiwanie. Wtuliła twarz w kołnierz rosyjskiego futra, zła, że jest wieczór i nie może się ukryć za okularami słonecznymi.

- Większość ludzi nie przyznałaby ci racji, skarbie - zauważył książe Stefan Marco Brancusi. Wziął ją za rękę i prowadził przez tłum paparazzi eh zebranych przed nowojorską restauracją La Côte Basque.

Stefan prowadził ją do limuzyny, Francesca uniosła dłoń w rękawiczkę, daremnie usiłując powstrzymać grad pytań: o pracę, o związek ze Stefanem, a nawet o to, co ją łączy z gwiazdą serialu *China Colt*.

W końcu opadli na miękkie skórzane siedzenia limuzyny i samochód włączył się do ruchu na Wschodniej Pięćdziesiątej Ósmej ulicy. Francesca jęknęła:

- Tyle zamieszania przez futro! Dziennikarze w ogóle nie zawracają ci głowy, czepiają się mnie. Gdybym włożyła stary płaszcz przeciwdeszczowy, nikt nawet by na mnie nie popatrzył. - Paplała dalej, grała na zwłokę, obawiała się chwili, gdy będzie musiała go zranić. W końcu umilkła, pograżyła się we wspomnieniach - myślała o dzieciństwie, o Chloe, o Dalliem... Stefan zerkał na nią co chwila. Gdy limuzyna mijala Cartiera, stwierdziła, że dłużej tego nie wytrzyma.

- Przejdźmy się - zaproponowała.

Było już po północy, lutowa noc straszyla chłodem, a Stefan miał taką minę, jakby się domyślał, co Francesca chce mu powiedzieć, ale dał znak kierowcy, żeby się zatrzymał. Po chwili wędrowali Piątą Aleją, wpatrzeni w obłoki swoich oddechów.

- Stefan. - Zatrzymała się nagle. - Wiem, że szukasz partnerki na całe życie, ale ja nią nie jestem.

Wstrzymał oddech.

- Skarbie, jesteś dzisiaj zmęczona. Może porozmawiamy o tym innym razem...

- Wystarczająco długo zwlekałam - odparła miękko.

Mówiła jeszcze długo i widziała, że go skrzywdziła, ale chyba nie aż tak, jak się tego obawiała. Podejrzewała, że w głębi duszy od dawna wiedział, że nie ona jest jego księżną.

Następnego dnia zadzwonił Dallie. Zaczął rozmowę bez żadnych wstępów, jakby rozstali się poprzedniego dnia w najlepszej komitywie, a nie sześć tygodni temu w gniewie.

- Cześć, Francie. Wiesz, połowa Wynette ma ochotę rozerwać cię na strzępy -

Przypomniała sobie nagle malownicze awantury, jakie urządzała w młodości, ale powstrzymała się z trudem i zapytała spokojnie.

- Dlaczego?

- Strasznie skrytykowałaś tego kaznodzieję w zeszłym tygodniu. Tutejsi bardzo go lubili.

- To oszust - burknęła. Wbiła paznokcie w dłoń. Czy Dallie nie może choć raz otwarcie powiedzieć, o co mu chodzi? Dlaczego zawsze tak wszystko kamufluje?

- No, może, ale zamiast niego będą powtórki starych seriali, więc ludzie się wściekli. - Umilkł na chwilę. Miała ochotę go zabić, ale nie da mu tej satysfakcji, o nie.

- Dallie, mam zaraz spotkanie. Czy zadzwoniłeś tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

- Nie, w przyszłym tygodniu lecę do Nowego Jorku na spotkanie z facetami ze stacji telewizyjnej i tak sobie pomyślałem, że mógłbym we wtorek do ciebie wpaść, przywitać się z Teddym i zabrać cię na kolację.

- Nie mam czasu - burknęła, ciągle zdenerwowana.

- To tylko kolacja, Francie. Nie szukaj problemu tam, gdzie go nie ma. Skoro on nie powie, co go gryzie, ona robi to za niego.

Nie spotkamy się, Dallie. Dałam ci szansę. Nie wykorzystałaś jej.

Zaległo przeciągające się milczenie. Wmawiała sobie, że powinna odłożyć słuchawkę, ale nie mogła się na to zdobyć. Kiedy Dallie odezwał się ponownie, w jego głosie nie było śladu poprzedniej bez troski.

- Przepraszam, Francie. Powinienem zadzwonić wcześniej, Musiałem sobie to wszystko poukładać. Potrzebowałam czasu.

- A teraz ja potrzebuję...
- W porządku - zgodził się powoli. - Ale pozwól mi chociaż zobaczyć się z Teddym.
- Nie.
- Muszę naprawić to, co schrzaniłem. Nie będę go ponaglał. Tylko na chwilę.

Zrobiła się twarda przez minione lata; musiała, a jednak teraz, kiedy ta twardość była jej bardzo potrzebna, widziała jedynie synka, jak wsuwa zielony groszek pod puree.

- Na kilka minut - zgodziła się. - Nie dłużej.
- Świetnie. - Ucieszył się jak nastolatek. I dodał szybko: - A później zabiorę cię na kolację. Nie zdążyła zaprotestować, bo już się rozłączył.

Zanim portier zadzwonił, anonsując jego przybycie, Francesca doprowadziła się do granicy załamania nerwowego. Przebierała się trzykrotnie, wreszcie zdecydowała się na bardzo odważny strój - zielony satynowy gorset i szmaragdowozieloną aksamitną minispódniczkę. Kolory podkreślały odcień jej oczu i, w jej mniemaniu przynajmniej, dodawały jej powagi. Nie przejmowała się, że prawdopodobnie za bardzo się wystroiła jak na wieczór z Dalliem. Pewnie zabierze ją do podejrzanej spelunki z zafoliowaną kartą dań, ale to jej miasto. Niech on się dostosuje.

Consuela otworzyła drzwi wejściowe. Niewiele brakowało, a Francesca zemdlaby ze zdenerwowania. Nie mogła się opanować. Wyszła mu na spotkanie do saloniku.

Niósł spory pakunek. Przez chwilę podziwiał czerwonego dinozaura, ale usłyszał jej kroki i się odwrócił. Miał na sobie świetnie skrojony szary garnitur, białą koszulę i granatowy krawat. Nigdy dotąd nie widziała go w garniturze i instynktownie oczekiwała, że zacznie luzować krawat pod szyją i nerwowo poprawiać marynarkę, ale nie zrobił tego.

Zlustrował ją wzrokiem pełnym podziwu.

- Jezu, Francie, wyglądasz super nawet w stroju dziwki.

Miała ochotę się roześmiać, ale uznała, że sarkazm będzie bezpieczniejszy.

- Gdybym znowu miała popaść w samozachwyty, wystarczy pięć minut w twoim towarzystwie.

Roześmiał się i lekko pocałował ją w usta. Smakował gumą do żucia. Przeszył ją dreszcz. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Jesteś najpiękniejszą kobietą na świecie i dobrze o tym wiesz. Odsunęła się od niego szybko. Rozejrzał się po saloniku, wodził wzrokiem od lustra w stylu Ludwika XVI do pomarańczowego fotelika Teddy'ego.

- Przytulnie tu.

- Dziękuję - mruknęła sztywno, zdenerwowana faktem, że znowu go widzi. Po co im to? Nie mają nawet o czym rozmawiać.

- Teddy jest w domu? - Przełożył paczkę z ręki do ręki.

- W swoim pokoju. - Wołała nie tłumaczyć, że mały dostał ataku, gdy się dowiedział, że Dallie wpadnie do nich.

- Mogłabyś go tu zawołać?

- Ja... nie wiem, czy mi się uda. - Spochmurniał.

- Powiedz mi więc, gdzie jest jego pokój. Zawahała się, ale poprowadziła go korytarzem. Teddy siedział za biurkiem i bawił się samochodzikami.

- Czego chcesz? - warknął, gdy zobaczył, kto stoi za Francesca.

- Przyniosłem ci coś - zaczął Dallie. - Taki spóźniony prezent gwiazdkowy.

- Nie chcę - odparł Teddy gniewnie. - Mama kupuje mi wszystko, czego potrzebuję. - Samochodzik spadł na dywan. Francesca spojrzała groźnie, ale Teddy udał, że tego nie widzi.

- W takim razie daj je jakiemuś koledze. - Dallie położył pudełko na łóżku Teddy'ego.

Chłopiec przyglądał mu się podejrzliwie.

- Co tam jest?

- Chyba buty kowbojskie. Oczy Teddy'ego rozbłysły.

- Buty kowbojskie? Od Skeeta? Dallie przecząco pokręcił głową.

- Skeet przysłał mi mnóstwo fajnych rzeczy - oznajmił Teddy.

- Jakich? - zainteresowała się Francesca. Teddy wzruszył ramionami.

- Pierdzącą poduszkę i takie inne.
- Miło z jego strony - stwierdziła, zdziwiona, że wcześniej nic nie mówił na ten temat.
- Bluza pasowała? - zapytał Dallie.

Tedy wyprostował się i przyglądał mu się uważnie zza okularów. France-sca nie miała pojęcia, o czym mówią.

- Tak. - Teddy powiedział to prawie niesłyszalnym szeptem.

Dallie skinął głową, pogłaskał go po włosach i wyszedł.

- Milczeli w taksówce. Francesca pograżyła się w myślach, Dallie gniewnie łypał na taksówkarza. Wcześniej zbył jej pytanie o incydent z Teddym i, choć było to wbrew jej zasadom, nie naciskała więcej.

Zatrzymali się przed Lutece. Była zaskoczona i rozczarowana zarazem. To najlepsza restauracja w Nowym Jorku, ale czemu chciał jej zaimponować? Dlaczego nie zabrał jej do przytulnej knajpki, tylko pchał się do ekskluzywnego lokalu, w którym będzie się czuł nieswojo? Weszli do środka. Francesca wołała nie myśleć o nadciągającym przykrym wieczorze i zastanawiała się, jak przetłumaczy kartę dań i win, nie raniąc ego mężczyzny, który jej towarzyszył.

Szef sali uśmiechnął się promiennie na jej widok.

- Mademoiselle Day, cieszę się, że znowu panią widzę. - Spojrzał na Dalliego. - Monsieur Beaudine, to już ponad dwa miesiące! Zarezerwowałem pana ulubiony stolik.

Ulubiony stolik! Francesca wpatrywała się w Dalliego. No tak, znowu wpadła w dawną pułapkę. Nabrała się na wizerunek uroczego prostaka, zapomniała, że ten człowiek od lat bywa w najbardziej ekskluzywnych klubach country w tym kraju.

Nagle roześmiała się głośno.

- Wiesz, Dallie, jesteś jedyny w swoim rodzaju!
- A to dlaczego?

- Niewiele znam osób, które równie swobodnie czułyby się i w Lutece, i w teksaskiej spelunie.

Przyjrzał się jej w zadumie.

- Ale ty - tak, prawda?

Te słowa wytrąciły ją z równowagi. Do tego stopnia pochłaniało ją analizowanie tego, co ich różni, że nie mogła przywyknąć do myśli, że mają coś wspólnego. Gawędzili o niczym, ale cały czas pochłaniał ją wzrokiem. Poczuli się piękniejsza niż kiedykolwiek. Promieniała wewnętrzną urodą. Nagle przeraziła się swoją miękkością i rozmarzeniem. Odetchnęła z ulgą, gdy kelner przerwał im rozmowę.

Dallie nie odrywał od niej oczu i kiedy kelner odszedł, stwierdził:

- To była cudowna noc, Francie.

O nie, pomyślała. Nie pójdzie mu tak łatwo. Jest mistrzynią w tej grze; niech teraz on się pomęczy. Już otwierała usta, by zapytać niewinnie, którą noc ma na myśli, ale uśmiechnęła się tylko i powiedziała:

- Tak.

Wziął ją za rękę.

- Przepraszam, że tak na ciebie nakrzyczałem. Holly Grace strasznie mnie zdenerwowała. Źle się stało, że tam przyszła. To nie twoja wina, niepotrzebnie się na tobie wyładowałem.

Skinęła głową, nie przyjmując przeprosin, ale też ich nie odrzucając. Rozmowa zбочzyła na bezpieczniejsze tematy, póki kelner nie przyniósł przystawek. Zapytała wtedy o rozmowy ze stacją telewizyjną. Odpowiadał ostrożnie, ważył każde słowo, co zaintrygowało ją na tyle, że dopytywała dalej.

- Jeśli podpiszesz ten kontrakt, nie będziesz mógł brać udziału w najważniejszych turniejach, tak? - Wyłowila ślimaka z garnuszka z sosem maślanym.

Wzruszył ramionami.

- Niedługo i tak będę za stary na zawodowstwo. Równie dobrze mogę odejść teraz, póki proponują mi duże pieniądze.

Dane o jego karierze stały jej przed oczami. Kreśliła coś palcem na obrusie i nagle, jak niedoświadczony podróżnik stawiający po raz pierwszy nogę na nieznanym lądzie, zagaiła:

- Holly Grace wspominała, że w tym roku prawdopodobnie nie zagrasz w turnieju US Classic.

- Chyba nie.

- Myślałam, że nie zrezygnujesz z gry, póki nie wygrasz ważnego turnieju.

- Dobrze sobie radzę. - Zacisnął dłoń na szklance. I zaczął opowiadać o pannie Sybil i Doralee, które bardzo się polubiły. Francesca rozmawiała z obydwoma nie dalej jak dwa dni temu, bardziej więc zainteresował ją fakt, że Dallie zmienił temat, niż to, co mówił.

Kelner przyniósł dania główne - dla Dalliego eskalopki w gęstym, aromatycznym sosie, dla niej - paszteciki z krabami i pieczarkami. Sięgnęła po widelec i spróbowała jeszcze raz.

- US Classic prawie dorównuje rangą turniejowi Masters, prawda?

- Ano. - Umoczył mięso w zawiesistym sosie. - Wiesz, co ostatnio usłyszałem od Skeeta? Jego zdaniem jesteś naszą najciekawszą przybłądą. To nie lada komplement, zwłaszcza że dawniej cię nie cierpiał.

- Jestem wzruszona.

- Przez dłuższy czas przyznawał palmę pierwszeństwa jednookiemu włóczędze, który bekał różne melodie, ale chyba zmienił zdanie podczas twojej ostatniej wizyty. Oczywiście niewykluczone, że znowu mu się odmieni.

Paplał dalej. Uśmiechała się, kiwała głową, zachęcała, by mówił więcej, aż zapomniał, że jego towarzyszka przez minione dziesięć lat wyciągała z ludzi najszybsze sekrety z takim wdziękiem, że ofiara umierała z uśmiechem na ustach.

Delikatnie rozkroiła szparaga.

- Czemu nie wygrasz najpierw w turnieju US Classic, a dopiero potem nie zajmiesz się komentowaniem? Boisz się?

Najeżył się jak przestraszony jeź.

- Boję się? Niby od kiedy tak się znasz na golfie, że wiesz, czego się boi zawodowiec?

- Prowadząc taki program jak mój, wie się trochę o wszystkim - odparła wymijająco.

- Gdybym wiedział, że jesteś tu służbowo, zostałbym w domu.

- Ale wtedy stracilibyśmy ten uroczy wieczór.

Wystarczyła jego ponura mina, by uznała, że Skeet Cooper miał rację. Wiedziała też, że od gry Dalliego zależy nie tylko szczęście jej syna - jej własne także. Nie miała tylko pojęcia, co począć z tą wiedzą. Napiła się wina i zmieniła temat.

Nie chciała iść z nim do łóżka tej nocy, ale czuła, jak w miarę upływu czasu jej zmysły budzą się do życia. Rozmowa przestała się kleić, za to ich spojrzenia były coraz dłuższe, coraz bardziej znaczące. Przy deserze nie mogli oderwać od siebie oczu i zanim się zorientowała, wyładowała w jego łóżku w hotelu.

W ciągu następnych miesięcy Dallie miał zadziwiająco dużo do załatwienia w Nowym Jorku. Najpierw musiał się spotkać z producentem kijów golfowych, którego produkty miał reklamować. Potem wpadł „po drodze” z Houston do Phoenix. Później nasza go nieprzeparła ochota, by się nawdychać spalin. Francesca nie przypominała sobie, kiedy czuła się równie beztrosko, kiedy śmiała się równie radośnie. Dallie potrafił być czarujący, kiedy chciał, a ona już dawno wydorosłała na tyle, by nie ukrywać przed sobą własnych uczuć. Wiedziała, że ryzykuje, że Dallie może złamać jej serce, ale znowu się w nim zakochała.

Mimo to zdawała sobie sprawę z dzielących ich przeszkód i jej miłość miała słodko-gorzki posmak. Nie była już naiwną dwudziestojednolatką, nie budowała zamków na piasku. Wiedziała, że Dallie ją lubi, ale chyba nie zaangażował się tak, jak ona.

Teddy nadal nie dawał się przekonać. Dallie bardzo chciał zdobyć jego zaufanie, ale w towarzystwie chłopca zachowywał się sztywno i surowo, jakby bał się być sobą. Wspólne wyjścia często kończyły się katastrofą - Teddy coś psocił, a Dallie na niego krzyczał. Nie chciała się do tego przyznać, ale oddychała z ulgą, gdy chłopiec miał inne plany podczas wizyt Dalliego.

W pewną kwietniową niedzielę Francesca zaprosiła Holly Grace, żeby razem obejrzały finał ważnego turnieju golfowego. Dallye był w czołówce, miał szansę na zwycięstwo. Holly Grace była przekonana, że jeśli Dallye wygra, zmieni zdanie i zostanie w lidze, zamiast zajmować się komentowaniem rozgrywek.

- Schrzani to - burknął Teddy. Wszedł do pokoju i usadowił się przed telewizorem. - Jak zawsze.

- Nie tym razem - zapewniła Francesca, zdenerwowana jego zachowaniem. - Tym razem mu się uda. - Oby tak było, pomyślała. Poprzedniego wieczoru obiecała mu mnóstwo rozkosznych rzeczy w łóżku, jeśli wygra.

- Od kiedy tak się znasz na golfie? - zapytał wtedy.

Nie przyznała się, że godzinami studiowała przebieg jego kariery, że w wolnym czasie oglądała nagrania z jego starych rozgrywek i szukała klucza do Dallyego Beaudine'a.

- Odkąd oszalałam dla Steve'a Ballesterosa - odparła lekko. - Jest boski. Umówisz mnie z nim?

Dallye prychnął z pogardą, słysząc nazwisko przystojnego Hiszpana, jednego z najlepszych zawodowych golfistów na świecie.

- Jeszcze jedno słowo, a popamiętasz. Jutro nie zwracaj uwagi na Steve'a, skup się na amerykańskim chłopaku.

Patrzyła na niego teraz. Szło mu całkiem nieźle. Jest o krok od wyjścia na prowadzenie.

Zaczęła się przerwa na reklamy. Teddy pomaszerował do siebie. Francesca postawiła na stole półmisek serów, ale ani ona, ani Holly Grace nie mogły jeść ze zdenerwowania.

- Uda mu się - powtórzyła Holly Grace po raz piąty. - Mówił wczoraj, że jest dobrej myśli.

- Cieszę się, że znowu ze sobą rozmawiacie - zauważyła Francesca.

- Znasz nas. Nie możemy się na siebie długo gniewać.

Teddy wrócił w kowbojskich butach i granatowej obszernej bluzie.

- Skąd masz to obrzydlistwo? - Holly Grace z niesmakiem patrzyła na zaślinionego motocyklistę i jaskrawy napis.

- To prezent - mruknął Teddy i z powrotem usiadł przed telewizorem.

A więc to jest ta słynna bluza, pomyślała Francesca. Spojrzała na ekran telewizora, gdzie Dallye szykował się do uderzenia, i na synka.

- Podoba mi się - powiedziała.

Teddy nie odrywał wzroku od telewizora.

- Schrzani to.

- Nie mów tak! - warknęła Francesca. Holly Grace zacisnęła kciuki. Komentator CBS potęgował napięcie.

- Jak myślisz, Ken, czy Beaudine zdoła dziś wygrać?

- Nie wiem. Idzie mu naprawdę świetnie, ale teraz dopadnie go stres, a wiemy, że nie najlepiej sobie z nim radzi.

Francesca wstrzymała oddech, gdy Dallye brał zamach. Pat Summerall stwierdził posępnie:

- To nie wygląda dobrze...

- O nie! - jęknęła Francesca, gdy piłeczka przeleciała nad dołkiem.

- Cholera, Dallye! - Holly Grace zerwała się z miejsca.

- Mówiłem wam, że to schrzani - stwierdził Teddy.

Ze swojego pokoju hotelowego Dallye miał wspaniały widok na Central Park, ale nie zwracał na niego uwagi. Nerwowo przechadzał się po pokoju. W samolocie usiłował czytać, ale nie mógł się skupić. Kolejny raz zwycięstwo umknęło mu sprzed nosa. Nie mógł znieść myśli, że Francesca i Teddy widzieli, jak przegrywa.

Ale nie tylko to nie dawało mu spokoju. Nie mógł przestać myśleć o Holly Grace. Pogodzili się po tamtej awanturze w domku w lesie i nie było więcej mowy, by służył jej jako dawca spermy, ale widział, jak zgasła w niej dawna iskra i wcale mu się to nie podobało. Im więcej o tym myślał, tym bardziej miał ochotę przyłożyć Gerry'emu Jaffie.

Starał się nie myśleć o problemach Holly Grace, ale już dawno wpadł na pewien pomysł i koniecznie chciał go zrealizować. Wyjął z kieszeni świstek z adresem Gerry'ego. Dostał go od Naomi Perlman godzinę temu i od tej pory głowił się, czy z niego skorzystać. Zerknął na zegarek. Wpół do ósmej. O dziewiątej umówił się z Francie na kolację. Był zmęczony i spięty, nie miał ochoty rozwiązywać problemów Holly Grace, ale i tak włożył niebieską kurtkę i wyszedł z pokoju. Jaffe mieszkał w kamienicy niedaleko siedziby ONZ. Dallie zapłacił taksówkarzowi i ruszył do wejścia - i w tej chwili zobaczył Gerry'ego w drzwiach. Gerry dostrzegł go od razu i sądząc po jego minie, nie był zachwycony spotkaniem, jednak zdobył się na zdawkowe kiwnięcie głową:

- Witaj, Beaudine.

- A niech mnie, wielbiciel ruskich! - powiedział z kpiną Dallie. Gerry opuścił rękę, którą chciał mu podać.

- To już nudne.

- Skurczybyk z ciebie, wiesz, Jaffe? - Dallie od razu przeszedł do sedna sprawy.

Gerry był w gorącej wodzie kąpany, ale opanował się, odwrócił na pięcie i chciał odejść. Dallie jednak nie miał zamiaru mu na to pozwolić, nie teraz, kiedy stawką w grze było szczęście Holly Grace. Z niepojętych przyczyn chciała właśnie tego faceta. Niech sama się przekona, co wybrała.

Ruszył za nim i zaraz go dogonił. Ściemniło się już, na ulicach było niewiele przechodniów. Wzdłuż krawężników poniewierały się kontenery ze śmieciami. Minęli zakratowane okna piekarni i wystawę jubilera.

Gerry przyspieszył kroku.

- Idź, pograj w golfa - odgryzł się Gerry.

- Szczerze mówiąc, chciałem z tobą pogadać, zanim pójde do Holly Grace. - To kłamstwo. Dallie nie zamierzał spotkać się z Holly Grace. - Mam ją od ciebie pozdrowić?

Gerry zatrzymał się w pół kroku, pod światłem latarni.

- Trzymaj się od niej z daleka.

Dallie ciągle myślał o wczorajszej przegranej i nie w głowie mu były subtelności, zaatakował więc szybko i bez uprzedzenia.

- To niemożliwe. Nie sposób zrobić kobiecie dobrze w łóżku, nie sposób zrobić jej dzieciaka, jeśli się od niej trzyma z daleka.

Oczy Gerry'ego pociemniały. Złapał Dalliego za poły kurtki.

- O czym ty mówisz?

- Uparła się, że chce mieć dziecko, i tyle. - Dallie nawet nie próbował mu się wyrwać. - A tylko jeden z nas ma dość jaj, by się tego podjąć.

Gerry pobladł i puścił Dalliego.

- Ty pieprzony skurczybyku.

- W pieprzeniu jestem naprawdę dobry, Jaffe. - W teksaskim, rozwlekłym akcencie pojawiły się groźne nuty.

Gerry położył kres dwóm dekadom niestosowania przemocy, wymierzając Dalliemu klasyczny lewy sierpowy. Nie wyszło mu to najlepiej; Dallie widział na co się zanosz, ale nie uchylił się - niech Jaffe ma satysfakcję, że go uderzył, ten jeden jedyny raz. Jeśli Holly Grace tak bardzo go chce, niech go ma, ale najpierw Dallie urządzi mu tę śniadą buźkę.

Gerry opuścił ramiona, dyszał ciężko i patrzył, jak Dallie bierze zamach. Po pierwszym ciosie upadł na pojemniki ze śmieciami. Para nadchodząca z przeciwnej strony na widok walki zawróciła szybko. Gerry wstał powoli i otarł krew z twarzy.

A potem odwrócił się i odszedł.

- Walcz ze mną, skurczybyku! - zawołał za nim Dallie.

- Nie.

- No proszę, klasyczny przykład amerykańskiego samca! Chcesz jeszcze?

Gerry się nie zatrzymał.

- Niepotrzebnie cię uderzyłem i nie zrobią tego więcej.

Dallie go dogonił i szarpnął za ramię.

- Na rany boskie, przed chwilą ci powiedziałem, że zrobią dzieciaka Holly Grace!

Gerry zacisnął pięści, ale się nie poruszył.

Dallie złapał go za poły kurtki i pchnął na latarnię.

- Co z tobą, do cholery? Dla takiej kobiety walczyłbym z całym światem. A ty boisz się jednego faceta?

Gerry spojrzał na niego z pogardą.

- Czy tylko tak rozwiązujesz problemy? Pięściami?

- Ja przynajmniej staram się je rozwiązać. A ty tylko ją unieszczęśliwiłeś.

Gównu wiesz, Beaudine. Od tygodni usiłuję się z nią skontaktować, ale ona nie chce mnie widzieć. Ostatnio udało mi się przekonać strażników w wytwórni, żeby mnie wpuścili, a ona wezwała gliny.

- Czyżby? - Dallie uśmiechnął się nieprzyjemnie i puścił Gerry'ego. - Wiesz co, Jaffe? Nie lubię cię. Nie lubię takich wszechwiedzących dupków, zwłaszcza jeśli wydaje im się, że ratowanie świata jest ważniejsze od ratowania najbliższych.

Geny dyszał ciężko, z trudem formułował słowa:

- Nie masz z tym nic wspólnego.

- Każdy, kto krzywdzi Holly Grace - prędzej czy później będzie miał ze mną coś wspólnego. Ona chce mieć dziecko i z niezrozumiałych dla mnie powodów chce mieć je z tobą.

Gerry oparł się o latarnię. Na chwilę opuścił głowę, ale zaraz podniósł ją znowu. W ciemnych oczach błyszczała rozpacz.

- Powiedz, co w tym złego, że nie chcę mieć dzieci. Dlaczego ona jest taka uparta? Dlaczego nie możemy być tylko we dwoje?

Jego cierpienie poruszyło Dalliego, ale nie okazał tego.

- Ona chce mieć dziecko i tyle.

- Byłbym najgorszym ojcem pod słońcem. Nie mam pojęcia, co trzeba robić...

Dallie roześmiał się gorzko.

- Myślisz, że którykolwiek facet wie?

- Słuchaj, Beaudine. Mam już po dziurki w nosie tego tematu. Najpierw Holly Grace, potem moja siostra i Francesca. A teraz jeszcze i ty. To nie wasza sprawa. Tylko moja i Holly Grace.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie, Jaffe - wycodził Dallie powoli. - Jak chcesz przeżyć resztę życia ze świadomością, że odrzuciłeś najpiękniejszą rzecz, jaka ci się trafiła?

- Myślisz, że nie starałem się do niej dotrzeć?! - krzyknął Gerry. - Nie chce ze mną rozmawiać, rozumiesz?

- Może za mało się starasz.

Gerry zmrużył oczy.

- Daj mi spokój, dobrze? I trzymaj się od niej z daleka. Wasz związek to już przeszłość. Spróbuj ją tknąć, a cię dopadnę. Rozumiemy się?

- Umieram ze strachu. - Dallie skrzywił się pogardliwie.

Gerry spojrzał mu w oczy takim wzrokiem, że przez chwilę Dallie poczuł dla niego niechętny szacunek.

- Chyba mnie nie doceniasz, Beaudine - mruknął Gerry, cicho i poważnie. Przez dłuższą chwilę patrzył Dalliemu w oczy, potem odwrócił się i odszedł.

Dallie popatrzył za nim, a potem zawrócił. Kiedy czekał na taksówkę, na jego wargach błąkał się pogodny uśmiech.

Francesca umówiła się z nim o dziewiątej w przytulnej knajpce, gdzie podawano pyszne meksykańskie jedzenie. Włożyła czarny kaszmirowy sweter i spodnie w zębrę. Pod wpływem impulsu wpięła w uszy asymetryczne srebrne kolczyki. Jak zwykle cieszyła się przekornie, że na spotkanie z nim wkłada coś niekonwencjonalnego. Nie widzieli się od tygodnia, a mieli co świętować. Po trzech miesiącach trudnych negocjacji jej agent dopiął celu - stacja telewizyjna zgodziła się, by poczynając od czerwca, program Franceski pojawiał się na antenie co miesiąc, a nie co tydzień.

Weszła do restauracji i zobaczyła, że Dallie już tam jest, siedzi przy stoliku w rogu, z dala od reszty gości. Ledwie ją zobaczył, wstał i przez chwilę rozpromienił się jak nastolatek. Jej serce fiknęło salto na ten widok.

- Cześć, złotko.
- Cześć, Dallie.

Zwracała na siebie uwagę, idąc przez salę restauracyjną, kiedy więc doszła do stolika, cmoknął ją tylko w policzek, a pocałował porządnie dopiero, kiedy usiadła.

- Rany, Francie, tak się cieszę, że cię widzę.
- Ja też. - Zamknęła oczy, kiedy ją całował, upajała się jego bliskością.
- Skąd wytrzasnąłaś te kolczyki? Ze złomowiska?
- To nie są kolczyki - obruszyła się i wyprostowała dumnie. - Jeśli dobrze pamiętam, artysta, który je zrobił, twierdził, że to ucieleśnione w abstrakcyjnej formie strachy egzystencjalne.

- Coś takiego. Mam nadzieję, że zanim je włożyłaś, odprawiłaś egzorcyzmy.

Uśmiechnęła się. Pochłaniał ją wzrokiem, zachwycał się jej włosami, za rysem piersi pod kaszmirowym sweterkiem. Zrobiło się jej gorąco. Zawstydzona, odgarnęła włosy z twarzy. Kolczyki dźwięczały cicho. Uśmiechnął się, jakby wiedział doskonale, jakie erotyczne wizje stanęły jej przed oczami. A potem rozparł się wygodnie na krześle. Zauważyła, że mimo uśmiechu na twarzy wydaje się znużony i zmartwiony. Postanowiła, że najpierw dowie się, co go gryzie, a dopiero później podzieli się z nim dobrą nowiną o kontrakcie.

- Teddy oglądał wczoraj turniej? - zapytał.
- Tak.
- Comówił?
- Niewiele. Za to włożył kowbojki od ciebie i tę straszliwą bluzę. Nie wiem, jak mogłeś kupić coś tak obrzydliwego.

Dallie się roześmiał.

- Idę o zakład, że ją uwielbia.
- Wczoraj poszedł w niej spać.

Uśmiechnął się. Podszedł kelner z kartą dań. Dallie zdecydował się na kurczaka chili z pieczoną fasolką, a Francesca wzięła krewetki z grilla i sałatkę. Nie była głodna, ale smakowite zapachy pobudziły jej apetyt.

Dallie bawił się solniczką. Rozluźnił się trochę.

- Ludzie krzyczeli za głośno, nie mogłem się skupić.

Zdziwiła się, że w ogóle cokolwiek tłumaczy, ale zbyt dużo czytała o nim, by dać się nabrać na takie usprawiedliwienie. Rozmawiali przez chwilę o Ted-dym, a potem Dallie poprosił ją, by zarezerwowała sobie trochę czasu dla niego w nadchodzącym tygodniu.

- Znowu przyjeżdżam, i to na dłużej. Będą mnie uczyć, jak się zachowywać w studiu telewizyjnym.

Spojrzała ostro. Jej dobry humor zniknął bez śladu.

- Zgodziłeś się zostać komentatorem? Nie patrzył jej w oczy.
- Jutro podpisuję kontrakt, przyniesie go mój krwiopijca.

Podano jedzenie, ale Francesca straciła apetyt. Dallie szykował się do popełnienia wielkiego błędu, choć większość ludzi nie zdawała sobie z tego sprawy. Otaczała go aura klęski. Francesce pękało serce, gdy widziała, jak starannie unika jej wzroku.

Dźgnęła krewetkę widelcem, ale nie mogła tego dłużej znieść. Podniosła głowę.

- Dallye, powinieneś przynajmniej poczekać do końca sezonu. Nie rezygnuj teraz, na tydzień przed turniejem US Classic.

Gwałtownie zacisnął zęby. Patrzył w punkt nad jej głową.

- Prędzej czy później musiałbym odstawić kij do kąta. Równie dobrze mogę zrobić to teraz.

- Pewnego dnia będziesz świetnym komentatorem, ale nie teraz. Masz dopiero trzydzieści siedem lat. Wielu golfistów starszych do ciebie nadal wygrywa ważne turnieje. A Jack Nicklaus?

Zmrużył oczy, ale w końcu spojrzął prosto na nią.

- Wiesz co, Francie? Woląłem, kiedy nie byłaś takim cholernym znawcą golfa. Nie przyszło ci do głowy, że mam dosyć słuchania rad, jak mam grać?

Rozsądek podpowiadał, że powinna dać mu już spokój, ale nie mogła, nie teraz, gdy czuła, że chodzi o coś więcej niż tylko turniej. Bawiła się przez chwilę kieliszkiem od wina, odwzajemniła jego spojrzenie, a potem stwierdziła:

- Na twoim miejscu wygrałabym US Classic, zanim odeszłabym z ligi.

- Doprawdy? - Na jego policzku zadrgał mięsień.

- Tak. - Ściszyła głos, tak że tylko on ją słyszał. - Wygrałabym ten turniej choćby po to, żeby mieć świadomość, że mnie na to stać.

- Chętnie ci pokibicuję, zwłaszcza że z trudem odróżniasz dołek od kija.

- Nie mówimy o mnie, tylko o tobie.

- Wiesz, Francesco, w życiu nie znałem większej ignorantki. - Odłożył widelec. Wokół jego ust pojawiły się głębokie bruzdy. - Tak dla twojej informacji: US Classic to jeden z najtrudniejszych turniejów. Pole, na którym się gra, to koszmar każdego golfisty. A wiesz, kto gra w tym roku? Sami najwięksi: Greg Norman, po pierwsze. Nazywają go białym rekinem. Wiesz dlaczego? Nie tylko dzięki jasnej czuprynie, także dlatego, że uwielbia zapach krwi. Ben Crenshaw - jego krótkie piłki to historia golfa. Fuzzy Zoeller. Udaje przy-jemniaczka, żartuje i zachowuje się, jakby mu na niczym nie zależało, a w rzeczywistości kopie ci grób. Twój ukochany Steve Ballesteros będzie mruczał coś po hiszpańsku pod nosem i grał jak szatan. No i Jack Nicklaus. Ma czterdzieści siedem lat, ale rozbija nas w pył. To nie człowiek, Francie.

- I Dallas Beaudine - dodała cicho. - Dallas Beaudine, który rozegrał kilkanaście najlepszych rund początkowych w historii golfa, ale pod koniec zawsze przegrywa. Dlaczego, Dallye? Za mało tego pragniesz?

Wydawało się, że coś w nim pękło. Podniósł serwetkę z kolan, rzucił na stół.

- Chodźmy stąd. Nie jestem głodny.

Ani drgnęła. Zaplotła ręce na piersi, dumnie zadarła brodę i rzucała mu wzrokiem wyzwanie - niech tylko spróbuje ją tknąć! Załatwi to raz a dobrze, nawet gdyby miała go stracić.

- Nigdzie nie idę.

I wtedy Dallye Beaudine dostrzegł wreszcie w całej okazałości to, co do tej pory umykało jego uwagi. Pojął jej siłę woli. Od miesięcy ją ignorował, nie widział inteligencji kryjącej się w kocich zielonych oczach, żelaznej determinacji za słodkim uśmiechem, siły ducha kobiety w puszystym sweterku. Nie wiadomo jakim cudem zapomniał, że zjawiła się w tym kraju bez niczego, nawet bez charakteru - a jednak zdobyła się na to, by rozprawić się ze wszystkimi wadami. Zapomniał, że ma do czynienia z typem zwycięzcy, choć sam jest tylko pomocnikiem.

Widział, że Francesca nie ma zamiaru wyjść z restauracji, i siła jej woli zaskoczyła go. Przez moment wydawało mu się, że znowu jest dzieckiem i Jaycee zaraz uderzy go w twarz. Niedźwiedź szepnął mu do ucha: Trzymaj się, Beaudine. Dorwała cię.

Zrobił jedyne, co przychodziło mu do głowy, jedyne, co sprawi, że ta uparta baba zmieni temat, zanim rozerwie go na strzępy.

- Rany, Francie, popsulaś mi numer i nie wiem, czy nie zmienię planów na wieczór - mruknął, siadając z powrotem. Rozłożył sobie serwetkę na kolanach.

- A niby jakie miałeś plany?

- Cóż, zanim zaczęłaś mi ciosać kołki na głowie, chciałem cię poprosić o rękę. A niech tam, i tak cię poproszę.

- O rękę? - Otworzyła usta ze zdumienia.

- A czemu nie? To znaczy, do niedawna byłem tego zdania, póki nie zaczęłaś truć.

Opadła na oparcie krzesła. Skąd bolesne wrażenie, że coś w niej pęka?

- Nie rzuca się propozycji małżeństwa ot, tak sobie - zauważyła drżącym głosem. - Nic nas nie łączy, jeśli nie liczyć pewnego dziewięciolatka.

- Nie jestem tego taki pewien. - Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małe pudełeczko. Otworzył je: na poduszce z aksamitu leżał piękny pierścionek z brylantem. - Kupiłem go od takiego kolesia. Chodziliśmy razem do szkoły, ale uprzedzam cię, że później przez dłuższy czas był pensjonariuszem w takim zakładzie na koszt stanu Teksas, za to, że wszedł do sklepu z bronią w rękę... Twierdzi, że w więzieniu odnalazł Jezusa i pierścionek jest czysty, ale wolałem cię uprzedzić.

Francesca rozpoznała opakowanie od Tiffany'ego i słuchała go jednym uchem. Dlaczego nie powiedział ani słowa o miłości? Dlaczego robi to w taki sposób?

- Dallye, nie mogę go przyjąć. Nie... nie mieści mi się w głowie, że w ogóle zaproponowałaś coś takiego. - Nie wiedziała, jak powiedzieć, o co chodzi jej naprawdę, skupiła się więc na przeszkodach, które podsuwała logika: -Gdzie będziemy mieszkali? Ja pracuję w Nowym Jorku, ty - wszędzie. O czym będziemy rozmawiali poza sypialnią? Namiętność nie wystarczy, by prowadzić wspólne gospodarstwo domowe.

Rany, Francie, strasznie to wszystko komplikujesz. Byliśmy z Holly Grace małżeństwem przez piętnaście lat i tylko na początku prowadziliśmy wspólne gospodarstwo domowe, jak to ujęłaś.

Zdenerwowała się.

- Tego chcesz? Kolejnego małżeństwa takiego, jak z Holly Grace, gdzie każde żyje swoim życiem? Co kilka miesięcy się spotkamy, napijemy, zagramy golfa i poplujemy na odległość? Dallasie Beaudinie, wybij sobie z głowy, że będę twoim kumplem!

- Francie, w życiu nie pluliśmy z Holly Grace na odległość. Nie zapominaj, że technicznie rzecz biorąc, nasz synek to bękart.

- Podobnie jak jego ojciec - syknęła.

Niewzruszony zamknął pudełeczko i schował je z powrotem do kieszeni.

- No, dobrze. Nie musimy się pobierać. To tylko propozycja.

Gapiła się naniego. Mijały sekundy. Dallye podniósł widelec do ust i zaczął jeść.

- To wszystko? - zapytała.

- Nie mogę cię zmusić.

Gniew i uraza dławiły ją w gardle.

- A więc to wszystko. Ja się nie zgadzam, a ty zabierasz swoje zabawki i idziesz do domu?

Napił się wody. Wyraz jego oczu był równie nieczytelny i niezrozumiały, jak jej kolczyki.

- A co mam zrobić? Kelner mnie wyrzuci, jeśli padnę na kolana. Sarkazm w obliczu kwestii tak dla niej ważnej bolał jak rany zadawane nożem.

- Nie umiesz walczyć o nic, na czym ci zależy? - wyrzuciła z siebie. Umilkł tak nagle, że zrozumiała, iż trafiła w dziesiątkę. Nagle łuski opadły jej oczu. O to chodzi. Właśnie to Skeet usiłował jej wytłumaczyć.

- Kto ci powiedział, że mi na tobie zależy, Francie? Zbyt poważnie podchodzisz do życia.

Okłamywał ją i samego siebie. Znała go, czuła jego ból. Pragnął jej, ale nie wiedział, jak ją zdobyć i, co gorsza, nie zamierzał nawet spróbować. Czego innego mogła się spodziewać po mistrzu pierwszych rund, który zawsze chrząknął finał?

- Masz ochotę na deser, Francie? Majątu takie czekoladowe чудо... moim zdaniem przydałaby się odrobina bitej śmietany, ale i tak jest pyszne.

Denerwował ją w tej chwili tak bardzo, że prawie go nienawidziła. Nagle miłość wydała się nieznośnym ciężarem. Pochyliła się nad stołem, złapała go za rękę i wbiła mu paznokcie w skórę tak mocno, że miała pewność, iż wysłucha jej uważnie.

- Tak bardzo boisz się przegranej, że nie walczysz o nic, na czym ci zależy? O zwycięstwo? O syna? O mnie? O to chodzi? Tak bardzo boisz się klęski, że nie zaryzykujesz walki?

- Nie wiem, o co ci chodzi. - Chciał wyrwać ręce, ale nie puszczała.

- Nie wyruszyłeś z bloków startowych, prawda, Dallye? Grasz, póki nie musisz dać z siebie wszystkiego, póki nikt nie pomyśli, że naprawdę ci zależy.

- To najgłupsze...

- Tylko że tobie zależy, prawda? Tak bardzo chcesz wygrać... już czujesz smak zwycięstwa. Syna też pragniesz, ale trzymasz się z dala, bo a nuż Teddy cię nie zechce. Mój cudowny Teddy, który kocha cały świat i odda wszystko za ojca, który go szanuje.

Dallye pobałdł gwałtownie. Poczowała, jak jego skóra pokryła się potem.

- Szanuję go - wyszeptał. - Nigdy nie zapomnę, kiedy się na mnie rzucił, bo myślał, że chcę cię skrzywdzić...

- Jesteś frajerem, Dallye, ale robisz to z klasą i nikt tego nie zauważa. - Puściła go. - Ale twój czas się kończy. Wkrótce będziesz za stary, by uroda i wdzięk wystarczyły.

- A co ty o tym wiesz? - szepnęła ochryple.

- Wszystko, bo zaczynałam z tej samej pozycji. Ale ja dorosłam i kopałam życie w tyłek tak długo, aż dostałam to, czego chciałam.

- Może tobie było łatwiej - powiedział. - Kiedy miałem piętnaście lat, byłem zdany na siebie. Ty chodziłaś z nianią do Hyde Parku, a ja unikałem pięści ojca. Wiesz, co ze mną robił, kiedy się upił, a ja byłem malutki? Trzymał mnie za nogi i wsadzał głowę do kibla, do muszli klozetowej, pod wodę.

Nie złagodniała nawet na chwilę.

- Straszne.

Widziała, że jej opanowanie go denerwuje, ale nie uległa. Współczucie mu nie pomoże. W którymś momencie trzeba się pozbierać po urazach dzieciństwa albo do końca życia lizać stare rany.

- Chcesz się zabawić w takie gierki? Świetnie, ale beze mnie, bo przejrzałam cię na wylot. - Wstała, patrzyła na niego z góry. Jej głos ociekał drwiną. - Wyjdę za ciebie.

- Nie ma mowy - odparł zimno. - Nie chcę cię. Nie chcę cię nawet pod choinkę.

Och, chcesz mnie, a jakże. I nie tylko z powodu Teddy'ego. Pragniesz mnie tak, że siła tego pragnienia cię przeraża, ale boisz się walczyć. Boisz się zaryzykować z obawy, że znowu wsadzą ci głowę do kibla. - Pochyliła się lekko, oparła dłonie na stole. - Postanowiłam, że za ciebie wyjdę. - Posłała mu długie, taksujące spojrzenie. - Wyjdę za ciebie, gdy wygrasz turniej US Classic.

- To najgłupsze...

- Ale musisz wygrać, draniu - syknęła. - Nie interesuje mnie czwarte, trzecie czy drugie miejsce.

Roześmiał się z trudem.

- Oszalałaś.

- Chcę wiedzieć, jaki jesteś naprawdę - odparła. - Chcę wiedzieć, czy jesteś wystarczająco dobry dla mnie. I dla Teddy'ego. Nigdy nie zadowalałam się byle czym i tego nie zmienię.

- Masz o sobie wysokie mniemanie.

Cisnęła w niego serwetką.

- A żebyś wiedział. Jeśli mnie chcesz, musisz mnie zdobyć. A to nie jest łatwe.

- Francie...

- Złożysz mi puchar u stóp albo nie chcę cię więcej widzieć!

Porwała torebkę, minęła zdumionych ludzi przy sąsiednim stoliku i pobiegła do drzwi. Na dworze zrobiło się zimno, ale gniew rozgrzewał ją do tego stopnia, że nie czuła chłodu. Dodawał jej sił. Oczy ją piekły, rozplakała się. Dlaczego się w nim zakochała? Jak mogła do tego dopuścić? Szczękała zębami. W ciągu minionych jedenastu lat darzyła kilku mężczyzn sympatią, a teraz, kiedy jej życie wreszcie się ułożyło, ten podrzędny golfista znowu złamał jej serce.

Przez cały tydzień miała wrażenie, że z jej życia zniknęło coś wspaniałego. Co ona narobiła? Czemu rzuciła mu tak okrutne wyzwanie? Czemu uznała, że całe ciastko jest lepsze niż okruchy? Wiedziała jednak, że nie zadowoliliby się resztkami, zresztą nie chciała, żeby Teddy cieszył się byle czym. Dallie musi się nauczyć ryzykować, inaczej jest im niepotrzebny. Nie będą mogli na niego liczyć.

W poniedziałek rano naląła Teddy'emu soku pomarańczowego do szklanki, zanim wyszedł do szkoły, i pocieszała się myślą, że Dallie jest równie nieszczęśliwy jak ona. Jednak trudno jej było wyobrazić sobie, by człowiek, który tak starannie ukrywa swoje uczucia, pozwolił się boleśnie zranić.

Teddy dopił sok i wepchnął książkę do tornistra.

- Zapomniałem ci powiedzieć. Wczoraj dzwoniła Holly Grace, mówiła, że Dallie jutro zagra w turnieju US Classic.

Francesca gwałtownie podniosła głowę.

- Tak powiedziała?

- Tak. Nie wiem, o co tyle szumu. Znowu przegra. Aha, mam, jakbyś dostała list od panny Pearson, nie przejmuj się, dobrze?

Dzbanek z sokiem zawisł w powietrzu, gdy znieruchomiała i usiłowała skupić się na jego słowach.

- Jaki list?

Tedy uporczywie mocował się z zapięciem tornistra, byle nie patrzeć jej w oczy.

- No, że nie w pełni realizuję mój potencjał...

- Teddy!

- Ale się nie przejmuj. W przyszłym tygodniu mamy oddać projekt z wychowania obywatelskiego. Zaplanowałem coś takiego, że panna Pearson da mi milion piątek z plusem i będzie mnie błagała, żebym został w tej klasie. Gerry twierdzi...

- Och, Teddy. Musimy o tym porozmawiać. Zarzucił sobie tornister na plecy.

- Lecę, bo się spóźnię.

Nie zdążyła go zatrzymać, wybiegł już z kuchni i po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi. Najchętniej wróciłaby do łóżka, żeby to wszystko przemyśleć, niestety, za godzinę miała umówione spotkanie. Teddy musi poczekać, ale jeśli się pospieszy, zdąży pogadać z Holly Grace. Pojedzie do studia, na plan serialu *China Colt*. Może Teddy coś przekreśli? Czy Dallie naprawdę zagra w US Classic?

Holly Grace miała już za sobą pierwsze sceny nakręcone tego dnia. W rozcięciu sukni widniała krwawa szrama, na czole pysznił się sztuczny siniak.

- Ciężki dzień? - zapytała Francesca.

Holly Grace podniosła głowę znad scenariusza.

- Zaatakowała mnie szalona prostytutka, która w rzeczywistości jest świniętym transwestytą. Na koniec walnę mu dwie kule w silikonowe cycki.

Francesca niemal jej nie słyszała.

- Holly Grace, czy to prawda, że Dallie zagra w US Classic?

- Tak, i szczerze mówiąc, jestem na ciebie wściekła. - Odłożyła scenariusz. - Dallie nie chciał mi nic powiedzieć, ale wynioskowałam, że z nim zerwałaś.

- No, można tak powiedzieć - przyznała Francesca ostrożnie.

Holly Grace się skrzywiła.

- Nie mogłaś wybrać gorszej chwili, wiesz? Nie mogłaś zrobić tego po turnieju? Nawet gdybyś się starała, nie potraktowałabyś go gorzej.

Francesca już chciała się wytłumaczyć, ale nagle do niej dotarło, że zna Dalliego lepiej niż Holly Grace. Tak ją to zdumiało, że rzuciła tylko kilka banałów, mając świadomość, że Holly Grace i tak nigdy tego nie zrozumie. A potem zerknęła na zegarek i wybiegła ze studia.

Miała zamęt w głowie. Holly Grace i Dallie... pierwsi kochankowie, najlepsi przyjaciele, tak do siebie podobni, że nie dostrzegali własnych wad. Ilekroć przegrywał, Holly Grace go usprawiedliwiała i tłumaczyła, współczuła mu i traktowała jak dziecko. Znała go, ale nie wiedziała, dlaczego wiecznie przegrywa.

Rozdział 30

Odkąd US Classic rozegrano po raz pierwszy w 1935 roku, prestiż turnieju rósł coraz bardziej, aż w końcu zaczęto go zaliczać do wielkiej piątki turniejów golfowych, oprócz Masters, US Open PGA i British Open. Pole golfowe, na którym był rozgrywany, otaczały legendy. Zawodowcy ochrzczili je mianem Starego Testamentu. Było to jedno z najpiękniejszych pól na południu, porośnięte sosnami i krzewami magnolii. Z wiekowych dębów zwisała oplątwa, piasek mienił się perłowo, idealnie przystrzyżone trawniki kusily szmaragdową miękkością, ale piękno tego pola było podstępne i zwodnicze. Bo Stary Testament nie wybaczał grzechów. Jeden błąd i świetna piłka lądowała zupełnie gdzie indziej, niż powinna.

Golfiści przeklinali je i przysięgali, że więcej tu nie zagrają, a jednak najlepsi zawsze wracali, bo właśnie te osiemnaście dołków obiecywało coś, czego nie sposób znaleźć w prawdziwym życiu - sprawiedliwość. Dobry strzał spotykał się z nagrodą, zły - z karą. Tu nikt nie dostawał drugiej szansy, nie było czasu na przepychanki z przysięgłymi i ugody z prokuraturą. Stary Testament niszczył słabych, a silnym błogosławił sławą i chwałą.

Dallie nienawidził tego turnieju. Dawniej, póki nie przestał pić, zdarzało się, że nawet się kwalifikował do finału, a od kilku lat zawsze był w ostatecznej rozgrywce. Zazwyczaj żałował, że nie został w domu. Stary Testament to pole dla perfekcjonistów, a on był zbyt kiepski, by się mierzyć z takim wyzwaniem. Powtarzał sobie, że US Classic to po prostu kolejny turniej, lecz myśl o klęsce tutaj wydawała mu się najgorszym upokorzeniem.

Był wściekły, że Francesca wybrała akurat ten turniej. Nie wziął sobie jej słów do serca. Jej zachowanie sprawiło, że wszystko między nimi skończone.

A jednak w kabinie komentatora siedział ktoś inny, gdy Dallie brał zamach, by uderzyć pierwszą piłkę. Skontaktował się z przedstawicielami sieci i powiedział, że muszajeszce trochę poczekać. Oddał im niepodpisany kontrakt. Nie mógł tu nie zagrać. Nie w tym roku. Nie po tym, co usłyszał od Franceski.

Francesca minęła sekretarkę, zadzwoniła do znajomego w dziale sportowym, już po raz czwarty tego dnia.

- Jak mu idzie? - zapytała.

- Przykro mi, znowu schrzanił siedemnasty dołek. To dopiero pierwsza runda, więc... jeśli przetrwa, ma jeszcze trzy szanse, ale to nie najlepszy początek. Poza tym US Classic to nie jego teren, wiesz o tym. Zbyt wysoka stawka, napięcie... Jack Nicklaus ten to umie tu grać...

Nie słuchała dłużej. Przypomniała sobie słowa Dalliego: Nicklaus to jedyny golfista w historii, który regularnie ciska Stary Testament na kolana. Rok w rok, w latach siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych, zmiatał rywali z powierzchni ziemi i...

Dalliemu szło coraz gorzej. Francesca umierała ze strachu. Co ona mu zrobiła? Dlaczego wymyśliła akurat ten turniej? W domu, w nocy, usiłowała czytać, ale litery tańczyły jej przed oczami. Zabrała się do sprzątania szafy, ale nie mogła się skupić. O dziesiątej zadzwoniła na lotnisko. A później obudziła Teddy'ego i powiedziała, że jadą na wycieczkę.

Następnego ranka Holly Grace waliła do drzwi jej pokoju w motelu. Teddy już wstał. Francesca od świtu przechadzała się nerwowo po obskurnym pokoiku. W mieście pełnym golfistów i fanów nie było nic lepszego. Prawie rzuciła się Holly Grace na szyję.

- Jesteś wreszcie! Obawiałam się, że coś cię zatrzymało.

Holly Grace odstawiała walizkę i opadła na krzesło.

- Nie wiem, czemu się na to zgodziłam. Kręciliśmy wczoraj do północy, a samolot miałam o szóstej rano. Prawie nie zmrużyłam oka.

- Przepraszam, wiem, że to okropne z mojej strony. Ale nie prosiłabym cię o to, gdybym nie uważała, że to bardzo ważne. - Postawiła walizkę Holly Grace na łóżku. - Idź pod prysznic, zamówię coś do jedzenia i wyjmę ci czyste ciuchy. Nie chciałabym cię poganiać, ale Dallie gra za godzinę. Pamiętaj, musi was od razu zobaczyć.

Nie pojmuje, czemu sama nie zabierzesz Teddy'ego na pole golfowe -jęknęła Holly Grace. -

Ściągasz mnie na drugi koniec kraju tylko po to, żebym poszła z twoim synem na turniej!

Francesca popchnęła ją do łazienki.

- Musisz mi ślepo zaufać, musisz!

Trzy kwadranse później Francesca patrzyła, jak Holly Grace i Teddy wychodzą. Nie chciała, by ktokolwiek ją zobaczył. Wieści rozchodzą się szybko, a jeszcze za wcześnie, by Dallie wiedział, że przyjechała. Ledwie Holly Grace i Teddy zniknęli jej z oczu, wróciła do pokoju i włączyła telewizor.

Steve Ballesteros wysunął się na prowadzenie po pierwszej rundzie, Dallie nie był więc w najlepszym humorze. Dawniej go lubił, ale odkąd Francesca zażartowała, że chciałyby się z nim umówić, sam widok Hiszpana budził w nim agresję. Zerknął na tablicę wyników. Bardzo dobrze. Jack Nicklaus spisał się wczoraj jeszcze gorzej niż on. Nawet Niedźwiedź się starzeje.

Skeet podszedł do niego ukradkiem.

- Niespodzianka! Na prawo! - Dallie spojrzał i uśmiechnął się na widok Holly Grace. Już miał do niej podejść, gdy zastygł w pół kroku - bo koło niej stał Teddy.

Co za mściwa baba, pomyślał gniewnie. Domyślał się, że przysłała go tu Francesca, i domyślał się, dlaczego. Chciała, żeby mały go drażnił, żeby jego widok przypominał mu wszystko, co powiedziała. W innej sytuacji cieszyłby się, że Teddy patrzy jak gra, ale nie tu, nie na Starym Testamencie, gdzie nigdy nie szło mu dobrze.

- Teddy zobaczy cię w akcji po raz pierwszy, co? - mruknął Skeet. - Musisz dać z siebie wszystko.

Dalie posłał mu groźne spojrzenie, zamachnął się... zazwyczaj często żartował z publicznością, ale nie dziś. Spojrzał na Teddy'ego i zobaczył, że mały marszczy czoło w skupieniu. On też musi się skupić na tym, co robi. Co jest w stanie zrobić. Ugiął kolana, wziął zamach i... uderzył. Celnie.

Thum bił brawo. Wśród radosnych głosów rozległo się też głośnie tekasa skie: hura! Odwrócił się i pomachał Holly Grace. Skeet podniósł kciuk w geście zwycięstwa, nawet Teddy się uśmiechnął.

Tego wieczoru Dallie szedł spać ze świadomością, że i on rzucił Stary Testament na kolana. Silny wiatr pokrzyżował szyki faworytom, a on, nie wiadomo jakim cudem, nadrobił punkty stracone pierwszego dnia. Jego nazwisko wędrowało coraz wyżej na tablicy wyników. I proszę, niech jego syn zobaczy, jak się gra w golfa. Steve nadal grał, podobnie jak Fuzzy Zoeller i Greg Norman. Watson i Crenshaw odpadli. Nicklaus ciągle nie pokazał klasy, ale złoty Niedźwiedź się nie poddaje i jeszcze nie odpadł z rozgrywek.

Tuż przed zaśnięciem Dallie powtarzał sobie, że może myśleć o wszystkich golfistach, ale nie powinien zwracać sobie głowy Nicklausem, lecz Niedźwiedź szeptał mu do ucha: Nie skreślaj mnie, Beaudine. Nie jestem taki jak ty. Nigdy się nie poddaję.

Trzeciego dnia nie był w stanie się skoncentrować. Nawet Holly Grace i Teddy nie pomogli. Grał kiepsko i tylko cudem został w rozgrywkach.

- Zostaw mnie - złościła się Holly Grace następnego dnia, gdy Francesca biegła za nią i za Teddym przez rozległe pole golfowe.

- Wiem, co robię - zapewniła Francesca. - Tak mi się przynajmniej wydaje.

Holly Grace energicznie odwróciła się na pięcie.

- Kiedy Dallie cię zobaczy, przestanie się koncentrować. Naprawdę chcesz mu to zepsuć?

- Sam to zepsuje, jeśli mnie nie będzie - odparła. - Słuchaj, rozpuszczaliśmy go przez wiele lat i nic z tego nie wyszło. Tym razem zrobimy to po mojemu.

Holly Grace zerwała okulary przeciwsłoneczne z nosa.

- Wcale go nie rozpieszczęłam!

- Ależ owszem. Cały czas. - Francesca złapała ją za ramię i pchnęła w stronę pierwszego dołka. - Zrób to, o co cię prosiłam. Ostatnio dużo się nauczyłam o golfie, ale i tak musisz mi

tłumaczyć, co się dzieje.

- Oszalałaś, wiesz o tym...

Teddy z przekrzywioną głową obserwował awanturę między mamą a Holly Grace. Rzadko był świadkiem kłótni dorosłych, a uważał, że to ciekawe wydarzenie. Opalił sobie nos i bolały go nogi od ciągłego chodzenia po polu, poza tym czasami się nudził, czekając, aż następny zawodnik uderzy, ale i tak się cieszył na finał. Czasami Dallie do nich podchodził i tłumaczył mu, co robi, a wtedy wszyscy uśmiechali się do niego, bo się domyślali, że jest wyjątkowym dzieciakiem, skoro Dallie poświęca mu tyle uwagi. Nawet gdy mu nie wyszło podanie, tłumaczył Teddy'emu, co źle zrobił.

Był to piękny słoneczny dzień, za ciepły jak na bluzę z napisem: URODZONY ROZRABIAKA, ale i tak ją założył.

- Zapłacisz mi za to. - Holly Grace potrząsnęła głową. - I dlaczego nie mogłaś włożyć spodni i koszulki, jak każdy normalny człowiek na turnieju golfowym? Bardzo zwracasz na siebie uwagę.

Francesca nie tłumaczyła Holly Grace, że właśnie dlatego wybrała obcisłą czerwoną kreację, która oblepiała jej ciało jak druga skóra. Do tego nieforemne srebrne kolczyki od egzorcyzmów i Dallie Beaudine oszaleje.

W ciągu minionych lat na polu golfowym Dallie rzadko grywał z Jackiem Nicklausem. A jeśli już, zawsze przegrywał. Grywał przed nim i za nim, jadał z nim kolacje, stawał na podium, wymieniał anegdoty, ale rzadko z nim grał, i teraz ręce drżały mu ze zdenerwowania. Zdawał sobie sprawę, że Jack Nicklaus na polu golfowym to nie jest okrutny Niedźwiedź z jego myśli. Na darmo. Mieli tę samą twarz.

- Jak leci, Dallie? - Nicklaus uśmiechnął się przyjaźnie. Jego syn Steve niósł za nim kije golfowe.

Pożrę cię żywcem, szeptał Niedźwiedź w myślach Dalliego.

Ma czterdzieści siedem lat, powtarzał sobie Dallie i podał mu rękę. Nie ma szans w starciu z kimś o dziesięć lat młodszym, w szczytowej formie.

Nie zwracam sobie głowy twoim trupem, syczał Niedźwiedź.

Steve Ballesteros gawędził z kimś z publiczności, miał opaloną twarz i olśniewająco białe zęby. Właściwie Dallie powinien się bardziej obawiać jego niż Nicklause. Był świetnym golfistą, ostatnio ciągle wygrywał. Dallie z trudem przestał myśleć o Nicklausie i podszedł do Ballesterosa, żeby się z nim przywitać... i wtedy zobaczył, z kim ten rozmawia.

Nie wierzył własnym oczom. Nawet ona nie zrobiłaby czegoś takiego. A jednak! Stała tam w czerwonej sukience, która przypominała raczej bieliznę niż zwykły strój, uśmiechała się do Steve'a, jakby był jakimś latynoskim bogiem. Holly Grace kulila się niedaleko z bardzo nieszczęśliwą miną, Teddy stał obok matki. Cholerna Francesca spojrzała wreszcie na niego i uśmiechnęła się, chłodno i obojętnie. Lekko skłoniła głowę, aż słońce błysnęło w srebrnych kolczykach. Odgarnęła ciemny kosmyk za ucho. Nie do wiary!

Miał ochotę udusić ją gołymi rękami, ale Steve uściśnął mu dłoń. Dallie posłał mu fałszywy uśmiech i odwzajemnił uścisk.

Tego dnia grał jak szalony. Co jakiś czas zerkał na Francescę, wyzywającą i wyniosłą w czerwonej sukience, aż wściekłość odbierała mu rozum. Nie wiedział, jak mu idzie, póki nie usłyszał tryumfalnego wrzasku Holly Grace. Spojrzył na tablicę wyników.

Walczył o pierwsze miejsce.

Z Jackiem Nicklausem.

Szedł do piętnastego dołka, kręcąc głową z niedowierzaniem. Jak to się stało? Kiedy odpadł Ballesteros? Jakim cudem Dallas Beaudine z Wynette w Teksasie może walczyć o zwycięstwo z samym Jackiem Nicklausem? Nie mieściło mu się to w głowie. Nie może teraz o tym myśleć, bo jeśli zacznie, Niedźwiedź nie da mu spokoju.

I tak przegrasz, Beaudine. Pokażesz wszystkim, że Jaycee miał rację. I ja. Nie masz jaj. Nie pokonasz mnie.

Odwrócił się do niej. Wyprostowała się, lekko ugięła kolano, tak że ta idiotyczna sukienka podjechała jeszcze wyżej. Ściągnęła łopatki, wypchnęła piersi do przodu. Oto twoje trofeum, zdawała się mówić. Nie zapominaj, o co grasz.

Grał, dając z siebie wszystko. Aż nadszedł osiemnasty dołek. Mieli po tyle samo punktów.

Kamerzyści szli za nimi krok w krok, śląc w świat transmisję z jednego z najbardziej wyrównanych i zaciętych turniejów golfowych w historii. Widzowie obserwowali każdy ruch, wstrzymując oddech. Oni już wygrali - oglądali widowisko, które na długo zapadnie im w pamięć. Pokochali Dal-liego przed laty i od dawna czekali, aż pokaże im, jak się zwycięża. Ale z drugiej strony, przecież jego przeciwnikiem jest Jack Nicklaus! Cudownie byłoby, gdyby stary mistrz znowu pokazał klasę.

Osiemnasty dołek. Przed nimi Jezioro Hogana, nazwane tak, bo wielki Ben Hogan przegrał przez nie w 1951 roku, gdy próbował przebić piłeczkę nad nim, zamiast dokoła. Wielu innych powtórzyło ten błąd i wszyscy zapłacili za to straszliwą cenę - przegrali.

Jack nie obawiał się ryzyka, ale nie wygrywa się, marnując dobre piłki, i zdecydował się na strzał dokoła jeziora. Uderzył. Nad polem golfowym zerwała się burza oklasków. Nicklaus zaczarował piłeczkę. Upadła osiemnaście metrów od dołka.

Dalliego ogarnęła panika. Aby dotrzymać Nicklausowi kroku, musi powtórzyć jego wyczyn. To trudne, a na oczach tysięcy widzów wręcz niemożliwe.

Przeżony spojrzął na Francescę. I zobaczył, jak spada z niej maska. Opuściła głowę, złagodniała i spojrzała mu prosto w oczy, błagając bez słów, by dał z siebie wszystko. Dla niej. Dla Teddy'ego. Dla nich.

Rozczarujesz ją, Beaudine, kpił Niedźwiedź. Zawiodłeś wszystkich, których kochałeś, i zaraz znowu to zrobisz.

Francesca szepnęła coś bezgłośnie.

- Proszę.

Dallie przypomniał sobie wszystko, co mu powiedziała, i podszedł do Skeeta.

- Strzelam przez jezioro - oznajmił.

Myślał, że Skeet mu nawymyśla, że oszalał. On jednak się zamyślił.

- Dwieście czterdzieści metrów i ani centymetra dalej.

- Wiem.

- Jeśli pójdziesz na pewniaka, dokoła jeziora, nadal masz szansę.

- Mam już dosyć szans - mruknął Dallie. — Ryzykuję.

Jaycee nie żyje do wielu lat. Nie musi draniowi niczego udowadniać. Francie ma rację. Nie próbując, popełniał gorszy grzech, niż przegrywając. Spojrzął na nią. Najbardziej na świecie pragnął jej szacunku. Trzymały się z Holly Grace za ręce, spięte jak nigdy, jakby od jego strzału zależały losy świata. Teddy siedział na ziemi, jak zawsze skupiony.

Hogan nie dał rady przez jezioro, szeptał Niedźwiedź. Skąd pomysł, że tobie się to uda?

Bo mnie zależy bardziej, odparł.

Nie uda ci się, uprzedzał Niedźwiedź.

Zobaczymy.

I uderzył.

Thum oszalał, ogłuszył Dalliego krzykiem, gdy jego piłeczka upadła... trzy metry od dołka. Tylko trzy.

Jack Nicklaus wycelował... jego piłeczka musnęła dołek, ale nie wpadła do środka.

Został tylko Dallie. Jeśli trafi, wygra. Jeśli nie, nadal musi walczyć.

Zerknął na Francescę. Znowu szepnęła:

- Proszę.

Choć zmęczony, nie miał siły sprawić jej zawodu.

Rozdział 31

Dallie podniósł rękę w geście zwycięstwa. Skeet szlochał jak dziecko, tak wzruszony, że nie mógł się ruszyć. I tak pierwszą osobą, która mu gratulowała, był Jack Nicklaus.

- Świetna gra, Dallie - powiedział i objął go ramieniem. - Gratuluję.

A potem Skeet go ścisnął i walił w plecy. Dallie odpowiedział mu tym samym, ale cały czas przyglądał się tłumowi... aż znalazł to, czego szukał.

Holly Grace przedarła się pierwsza, za nią Francesca i Teddy. Holly Grace biegła do niego. Ciągle miała wspaniałe nogi, które wzbudzały zachwyt wszystkich chłopców w Wynette. Biegła do mężczyzny, którego kochała, odkąd sięgała pamięcią, w końcu zatrzymała się i dostrzegła, że jego niebieskie oczy przesuwają się po niej... i szukają dalej, szukają Franceski. Przeszył ją ból, myślała, że pęknie jej serce, a potem cierpienie ustąpiło i wreszcie pozwoliła mu odejść.

Teddy przywarł do jej boku, jeszcze nie był gotów, by tak jawnie okazywać uczucia. Holly Grace objęła go i razem patrzyli, jak Dallie Beaudine bierze Francescę na ręce, a ona odchyła głowę do tyłu i śmieje się do bezchmurnego nieba, a potem obsypuje go pocałunkami, kłując go śmiesznymi kolczykami.

Po dłuższej chwili odwróciła się, odnalazła wzrokiem Holly Grace i wyciągnęła do niej rękę, i Holly Grace do nich dołączyła. Dallie przytulił je obie, dwie kobiety najbliższe mu na świecie, dwie miłości jego życia, miłość chłopięcą i miłość męską: kobietę wysoką i silną oraz drobną i kruchą, o miękkim sercu i kręgosłupie ze stali. Poszukał wzrokiem Teddy'ego, ale nie ponaglał go. Na razie wystarczy, że wymienili uśmiechy.

Podbiegł do nich fotograf prasowy i zrobił zdjęcie, które miało się pojawić na pierwszych stronach gazet sportowych w całym kraju: szczęśliwy Dallie Beaudine z Francescą Day na rękach i Holly Grace Beaudine u boku.

Francesca musiała wracać do Nowego Jorku, na Dalliem ciążyły obowiązki zwycięzcy i w rezultacie w ogóle nie mieli dla siebie czasu. Obiecał, że zadzwoni.

Francesca uśmiechnęła się i patrzyła, jak otaczają go dziennikarze.

Wróciła do Nowego Jorku z Holly Grace. Dotarły do miasta bardzo późno. Kiedy położyła Teddy'ego spać, zerknęła na zegarek, Dallie już nie zadzwonił. Następnego dnia była na próbie uroczystości pod Statuą Wolności, na spotkaniu z producentem i dwóch konferencjach. Sekretarka wiedziała, gdzie ją zastać o każdej porze, ale Dallie nie dzwonił.

Wychodząc ze studia, kipiała ze złości. Owszem, rozumie, że jest zajęty, ale chyba mógłby poświęcić kilka minut na telefon? Chyba że się rozmyślił, szeptał cichy głosik w duszy. Chyba że źle go oceniła.

W domu nie było ani Teddy'ego, ani Consueli. Położyła torebkę na stoliku, zdjęła zakiet i skierowała się do sypialni, ale w progu zatrzymała się. Na środku jej łóżka leżał kryształowy puchar.

- Dallie! - wrzasnęła.

Wyszedł z łazienki, jeszcze mokry, z jej różowym ręcznikiem na biodrach.

- O to ci chodziło? - zapytał.

- Ty potworze! - Rzuciła mu się na szyję. - Ty cudowny, okropny potworze! A potem się całowali, wtuleni w siebie tak bardzo, że nie sposób byłoby wcisnąć szpilki między nich.

- Kocham cię - szeptał. - Kocham cię, Francie, chociaż doprowadzasz mnie do szaleństwa. - Całował ją długo, powoli, starannie. - Miłość do ciebie to chyba najcudowniejsza rzecz, jaka mnie w życiu spotkała.

- Chyba? - mruknęła mu w usta. - A co jest lepsze?

- Moja uroda - odparł i znowu ją pocałował.

Kochali się ze śmiechem i czułością, bez zahamowań, bez obaw. A później leżeli koło siebie i szeptali sobie najskrytsze sekrety.

- Myślałem, że umrę, kiedy powiedziałaś, że za mnie nie wyjdiesz.

- Myślałam, że umrę, kiedy nie powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Bałem się. Miałaś rację.

- Musiałam mieć wszystko. Jestem egoistką.
- Jesteś aniołem.

Opowiadał jej o Dannym i o Jayceem i o tym, jak czuł, że nic nie jest wart. Łatwiej było nie próbować, niż uporać się z goryczą porażki.

Consuela i Teddy zastali ich w jadalni. Dallie wysłał synka i jego nianię do Madison Square Garden, skąd wrócili zachwyceni. Consueli wystarczyło jedno spojrzenie na ich zarumienione twarze i od razu wiedziała, co tu się działo, gdy ona i Teddy oglądali pokazy tresury tygrysów. Teddy i Dallie mierzyli się czujnym wzrokiem. Mały nadal uważał, że Dallie tylko udaje, że go lubi ze względu na mamę, a Dallie zastanawiał się, jak naprawić wyrządzone szkody.

- Może jutro po szkole zaprowadzisz mnie na Empire State Building? - zapytał. - Chciałbym to zobaczyć.

Wydawało się pierwszej chwili, że Teddy odmówi. Zastanowił się, zwinął program cyrkowy w tubę i ryknął:

- W porządku. - Z megafonu zrobiła się teraz luneta: - Pod warunkiem, że wrócimy na mój ulubiony serial.

Następnego dnia stanęli na szczycie. Teddy odsunął się od krawędzi, bo kręciło mu się w głowie. Dallie cofał się wraz z nim, bo sam też nie przepadał za wysokościami.

- Dzisiaj nie widać Statuły Wolności - mruknął Teddy.

- Może chcesz takiego gumowego King Konga? Widziałeś, sprzedaje przy wejściu - zapytał Dallie.

Teddy odmówił, choć bardzo lubił King Konga. Facet w kurtce z herbem stanu Iowa rozpoznał Dalliego i poprosił o autograf. Teddy był do tego przyzwyczajony, czekał, aż fan sobie pójdzie.

- To część układu - stwierdził mądrze.

- Jakiego? - zdziwił się Dallie.

- Kiedy jesteś sławny, ludzie cię znają, chociaż ty ich nie, i często zawracają głowę. Jak mojej mamie. Ale nie można się złościć, bo fanom należy się uwaga.

Dallie przyglądał mu się długo.

- Wiesz, że teraz będzie jeszcze gorzej, prawda? Chciałbym wygrać jeszcze kilka turniejów dla twojej mamy i wtedy jeszcze więcej ludzi będzie nam zawracać głowę.

- Pobierzecie się z mamą?

Dallie skinął głową.

- Bardzo ją kocham. To najwspanialsza kobieta na świecie. - Głęboko zaczerpnął tchu i wypalił prosto z mostu, jak Francesca: - Ciebie też, Teddy. Pewnie trudno ci w to uwierzyć, ale taka jest prawda.

Teddy bardzo starannie wycierał okulary skrajem koszulki.

- A Holly Grace? - zapytał. - Czy to znaczy, że już nie będziemy się z nią spotykać? No, bo kiedyś była twoją żoną?

Dallie się uśmiechnął. Teddy może nie jest zachwycony tym, co usłyszał, ale przynajmniej nie uciekł.

- Nie pozbedziemy się Holly Grace, choćbyśmy chcieli. Bardzo ją kochamy, i mama, i ja. Jest częścią naszej rodziny. I Skeet też, i panna Sybil, i wszystkie znajdy, które przygarniała mama.

- Gerry też? - zainteresował się Teddy. Dallie się zawahał.

- To zależy od niego.

Teddy'emu nie kręciło się już w głowie i podszedł bliżej ochronnej siatki. Dallie też, choć nie miał na to ochoty.

- Musimy pogadać - zaczął Dallie.

- Chciałbym King Konga - oznajmił Teddy.

Dallie zorientował się, że chłopiec nie jest jeszcze gotowy na męską rozmowę ojca i syna, i z trudem ukrył rozczarowanie.

- Chciałbym cię o coś zapytać.

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Teddy zacisnął dłonie na metalowych prętach.

Dallie zrobił to samo i modlił się, żeby niczego nie zepsuć.

- Zdarza ci się, że się umawiasz z kolegą na wspólną zabawę, a kiedy przychodzisz do niego, okazuje się, że zbudował coś super bez ciebie? Na przykład zamek? Albo fortecę?

Teddy czujnie skinął głową.

- Może huśtawkę albo tor wyścigowy?
- Albo planetarium z worków na śmieci i latarki - podsunął Teddy.
- No właśnie, planetarium z worków na śmieci. W każdym razie popatrzyłeś na to planetarium i widzisz, że to najwspanialsza rzecz pod słońcem, i nagle zazdrościsz mu, że sam tego nie zrobiłeś. - Puścił pręty i patrzył na Teddy'ego. Chłopiec słuchał uważnie. - Skręca cię z zazdrości i zamiast powiedzieć, że kolega zbudował superplanetarium, zadzieraszą nosa i mówisz, że jest beznadziejne.

Teddy skinął głową, zdziwiony, że dorośli znają to uczucie. Dallye oparł się o teleskop skierowany na New Jersey.

- Ze mną było tak samo, kiedy cię zobaczyłem.
- Tak? - Teddy otworzył buzię ze zdumienia.
- No, bo patrzę, a tu dzieciak, naprawdę superdzieciak, mądry i dzielny... tylko że nie ja go wychowałem. Byłem więc zazdrosny. I zamiast powiedzieć jego mamie: masz fantastycznego dzieciaka, zachowywałem się, jakbym uważał co innego, jakby chłopcu było lepiej ze mną. - Patrzył mu w twarz, szukał potwierdzenia, że Teddy rozumie, ale z jego oczu nie dało się niczego wyczytać. - Rozumiesz mnie? - zapytał w końcu.

Inne dziecko pewnie powiedziałoby, że tak, ale Teddy o ilorazie inteligencji prawie sto siedemdziesiąt uznał, że musi to sobie przemyśleć i poukładać w głowie.

- Możemy iść po King Konga? - poprosił.

W piękny majowy dzień nadszedł czas na uroczystość pod Statuą Wolności. Na błękitnym niebie leniwie uganiały się mewy. Zazwyczaj uwijało się tu mnóstwo turystów, ale tego dnia, ze względu na uroczystość zaprzysiężenia nowych, sławnych obywateli przez samego prezydenta, zamknięto Statuę dla zwiedzających.

Francesca, w pistacjowej sukni i beżowym żakiecie z chińskiego jedwabiu, siedziała wśród innych nowo upieczonych obywateli amerykańskich, a prezydent przemawiał.

- Dzisiaj świętujemy wszyscy razem, bogaci i biedni, biali i czarni. Jesteśmy innych wyznań, mamy różne poglądy, ale wszyscy chylimy czoło przedpotęgą wolności, my, wszyscy równi, wszyscy wpatrzeni w jej płomień...

Francesca myślała, że pięknie z dumy. Każdy uczestnik ceremonii mógł zaprosić dwudziestu gości. Z czułością spozjrzała na swoich i uderzyło ją, że stanowią miniaturowy przekrój społeczeństwa.

Dallye z amerykańską flagą w klapie siedział między panną Sybil a Holly Grace. Teddy przycupnął między nimi. Naomi szeptała coś mężowi do ucha. Pewnie się martwiła o córeczkę, bo po raz pierwszy rozstała się z malutką na całe pół dnia. I Naomi, i jej mąż mieli na rękawach czarne opaski na znak protestu przeciwko apartheidowi. Nathan Hurd usiadł koło Skeeta Coopera - bardzo ciekawe połączenie, zdaniem Franceski. Za Skeetem aż do końca ławy zajmowały miejsca młode dziewczyny, białe i czarne, niektóre z ostrym makijażem, wszystkie pełne nadziei i wiary w przyszłość. To jej uciekiniarki. Wzruszyło ją, że tyle ich zechciało przyjść na uroczystość. Nawet Stefan dzwonił rano z gratulacjami. Ucieszyła się, słysząc, że spotyka się z piękną młodą wdową po włoskim przemysłowcu. Tylko Geny nie przyjął zaproszenia i Francesce było przykro z tego powodu. Czyżby nadal się na nią gniewał, że po raz kolejny nie zaprosiła go do programu?

Dallye przechwycił jej wzrok i uśmiechnął się, żeby wiedziała, jak bardzo ją kocha. Mimo powierzchownych różnic pasowali do siebie jak dwie połówki jabłka.

Teddy tulił się do Holly Grace, nie do ojca, ale Francesca wiedziała, że to się wkrótce zmieni. Nie chciała teraz myśleć o problemach. Za tydzień będzie żoną Dallyego...

Prezydent zmierzał do końca:

- Ameryka to kraj wielkich szans, ojczyzna inicjatywy... Powitajmy w naszym gronie tych, którzy...

Francesca robiła programy o rasizmie i biedzie, o niesprawiedliwościach społecznych i prawnych. Znała wszystkie wady tego kraju, a jednak przyznawała prezydentowi rację.

Ameryka nie jest krajem idealnym, zbyt często sięga po przemoc, zbyt łatwo ulega chciwości, jednak w najważniejszych chwilach kieruje się sercem.

Prezydent skończył, rozległy się oklaski i na podium wszedł sędzia Sądu Najwyższego. Francesca nie widziała Statuy Wolności, bo miała ją za plecami, ale czuła jej obecność. Z uśmiechem przypomniała sobie, jak trafiła do Stanów, jak wędrowała zakurzoną drogą w różowej sukni z krynoliną, taszcząc walizkę od Louisa Vuittona... Podniosła prawą dłoń i powtarzała słowa przysięgi za sędzią Sądu Najwyższego. Ślubowała wierność Ameryce, konstytucji, przysięgała, że będzie bronić Stanów nawet z narażeniem własnego życia, że będzie pracować dla dobra kraju.

Pod koniec ceremonii wśród publiczności zaczęto wznosić teksaskie okrzyki. Francesca obserwowała swoich gości ze łzami w oczach. Rozległy się pierwsze dźwięki hymnu amerykańskiego i wszyscy powoli ruszyli w stronę stołów zastawionych smakołykami, które zwykle przygotowuje się na czwartego lipca.

Dallie podbiegł do niej pierwszy, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Ostatnie, czego nam trzeba, to kolejny liberał z prawem głosu, ale i tak się cieszę.

Francesca uściskała go serdecznie. Gdzieś w oddali helikopter wzbił się w powietrze, hucząc głośno. Prezydent i inni dygnitarze odlecieli. Wszyscy pozostali odprężyli się wreszcie. Chętni mogli zwiedzić Statuę Wolności.

- Jestem z ciebie dumny, mamó - oznajmił Teddy.

- Wyglądałaś prawie tak ładnie, jak koreański dyktator mody - orzekła Holly Grace. - Widziałas, że miał różowe skarpetki z brylantowymi motylkami?

Francesca doceniała jej próby rozbawienia wszystkich, zwłaszcza że wiedziała, że Holly Grace zmusza się do uśmiechu. Od pewnego czasu nie była sobą.

Uśmiechała się do kamer, rozmawiała z innymi. Jej podopieczne gawędziły z Dalliem. Wszystkie stacje telewizyjne chciały usłyszeć od niej kilka słów. Kiedy skończyła, podszedł do niej Dallie.

- Widziałas Teddy'ego? Rozejrzała się.

- Nie.

Spojrzała na Holly Grace.

- Aty?

- Też nie.

Dallie się zaniepokoił, ale Francesca uspokoiła jego obawy.

- Jesteśmy na wyspie, nie mógł się zgubić na długo. Nie przekonała go.

- Francie, to twój syn. Na pewno wpakował się w kłopoty.

- Poszukajmy go.

Szczerze mówiąc, zaproponowała to, bo chciała być z nim sama, a nie z troski o syna.

Odstawiając kubek, zobaczyła, że Naomi Perlman nerwowo spogląda w niebo i szepce coś do męża. Francesca poszła w ślad za jej wzrokiem i zobaczyła malutki samolot. Po chwili oderwała się od niego drobinka - spadochroniarz! Wkrótce już wszyscy patrzyli, jak powoli opada na wyspę.

Nagle rozwinął się transparent. Niestety, czarne litery nie od razu były widoczne, bo wiatr szarpał białą tkaniną. Po chwili jednak wszyscy mogli przeczytać, co było na nim napisane.

Francesca poczuła, jak ostre paznokcie wbijają się w rękaw jej żakietu.

- O Boże - szepnęła Holly Grace.

Oczy wszystkich gapiów i obiektywy kamer były skierowane w stronę wielkiego napisu:

Wydź za mnie Holly Grace

W białym skafandrze spadochroniarza ukrywał się Gerry Jaffe.

- Zabiję go! - Głos Holly Grace ociekał jadem. - Tego już za wiele. - W tym momencie wiatr odwrócił transparent i zobaczyli, co jest z drugiej strony.

Hantle.

Spadochroniarz opadał coraz niżej. Holly Grace nerwowo wbijała palce w dłoń Franceski.

- Utonie! - krzyknęła nagle. - Ten idiota się utopi! - Puściła Francescę i pobiegła na nabrzeże.

- Ty idioto, ty dumny komunisto...

Dallie objął Francescę ramieniem.

- Czy możesz mi wyjaśnić, czemu na tym idiotycznym transparentie jest psia kość?

- To nie psia kość, to hantle. - Wstrzymała oddech. Gerry wylądował -na ziemi, pięćdziesiąt metrów dalej.

- Holly Grace rozerwie go na strzępy. - Dallie wyraźnie świetnie się bawił. - Ale się wściekła.

Wściekła to za mało powiedziane. Holly Grace płonęła żądzą mordy. Gerry wyplątywał się ze spadochronu, a ona obrzucała go stekiem najgorszych przekleństw.

W końcu wyzwolił się ze sznurów.

- Nigdy ci nie wybaczę! - wrzasnęła i uderzyła go w ramię ku radości kamerzystów. - Za krótko skaczesz, żeby robić takie akrobacje. Mogłeś się zabić! Szkoda, że tego nie zrobiłeś!

Ściągnął kask i ciemne włosy rozsypały się jak czupryna mrocznego anioła.

- Chciałem z tobą porozmawiać, ale nie dałaś mi szansy. Poza tym myślałem, że ci się spodoba.

- Spodoba?! - Nie posiadała się z oburzenia. - W życiu nikt mnie tak nie poniżył! Zrobiłeś ze mnie pośmiewisko. Nie masz za grosz zdrowego rozsądku. Za grosz!

Wiedział, że ma coraz mniej czasu. Złamał prawo i lada moment go aresztują.

- Zadeklarowałem na oczach wszystkich, co do ciebie czuję, czego jeszcze chcesz?

- Zrobiłeś z siebie idiotę. Skaczesz ze spadochronem, mało brakowało, a utonąłbyś... I po co ta psia kość na transparentie? Co to miało oznaczać?

- Psia kość? - Teraz on się zdenerwował. - Czy ty oślepałaś, Holly Grace? To nie jest psia kość. Jezus Maria, dla ciebie zdobyłem się na największe poświęcenie, a ty niczego nie rozumiałaś.

- Jak to?

- To jest grzechotka! Dopadli go strażnicy.

- Grzechotka? - powtórzyła ze zdziwieniem, miękko. - Grzechotka? Trzeci strażnik odepchnął ją na bok. Uznał, że Gerry nie będzie sprawiał kłopotów, i skuł mu ręce z przodu.

- Wyjdź za mnie, Holly Grace. - Gerry zignorował fakt, że czytano mu jego prawa. - Wyjdź za mnie. Urodzisz mi dzieci... cały tuzin... Nie odchodź, proszę.

- Och, Gerry... - W jej oczach malowała się cała miłość, jaką do niego czuła. Strażnicy nie chcieli wyjść na bezdusznych drani, pozwolili więc, by Gerry objął ją skutymi rękami i pocałował z takim zapalem, że zapomniał o kamerach.

Na szczęście jego współnik nie tak łatwo ulegał kobiecym wdziękom.

Wysoko nad nimi otworzyło się małe okienko w koronie Statuy Wolności, dziecięca rączka wysunęła się na chwilę i wyrzuciła inny transparent, ze specjalnej tkaniny, lekkiej i tak cienkiej, że dawała się zwinąć w malutki pakiecik. A teraz rozwinęła się i dumnie prezentowała całemu światu, gapiom i kamerom, swoje przesłanie: STOP ZBROJENIOM!

Pierwsza zobaczyła to Francesca, potem Dallie. Gerry niechętnie puścił Holly Grace i uśmiechnął się na ten widok, a potem podniósł skute ręce i zawołał:

- Brawo, Teddy!

- Teddy!

Francesca i Dallie wymienili spojrzenia i puścili się biegiem do Statuy. Holly Grace pokręciła głową, zastanawiając się, czy śmiać się, czy płakać. Wiedziała jedynie, że czeka ją ciekawe życie.

- Nie mogłem stracić takiej okazji - zaczął. - Tyle kamer...

- Cicho, Gerry, powiedz, jak mam cię wyciągnąć z więzienia. - Czuła, że będzie to wiedza przydatna w najbliższych latach.

- Kocham cię - powiedział.

- Kocham cię - odparła.

Epilog

Dallie i Francesca zaparkowali na skraju starej, nieużywanej drogi w zapomnianym od lat zakątku na obrzeżach Wynette. Francesca wtuliła się w Dalliego z rozmarzeniem.

- Nie do wiary, że Holly Grace przyszła do Roustabout w sukience ciążowej - zachichotała. - Jest dopiero w trzecim miesiącu! A biedny Gerry nie umiał się odnaleźć w teksaskiej spelunie. Pił białe wino i opowiadał Skeetowi o zaletach naturalnego porodu.

- Hm. - Dallie niechętnie oderwał się od jej szyi, i sięgnął pod białą obcisłą bluzeczkę. - Francie, dlaczego uparłaś się, żebyśmy przyjechali tutaj? Mamy w Wynette bardzo wygodne łóżko i jeszcze drugie w domku w lesie...

- Pierwsze za ciasne, drugie za daleko.

Roześmiał się. Nie dalej jak tego ranka Teddy wgramolił się między nich z pytaniem, kim ma zostać, gdy dorośnie: naukowcem czy policjantem?

- Małżeństwa nie kochają się w samochodzie. - Dallie pochylił się nad nią.

- Małżeństwa nie miewają spotkań miłośników Wynette w salonie i nastoletnich uciekinierek w pokoju gościnnym - odparła.

- Racja. - Posadził ją sobie na kolanach, przesunął dłonią po udach i podskoczył z wrażenia.

- Francie Day Beaudine, nie masz majtek!

- Nie mam? - szepnęła ochryple. - Coś takiego.

Całował ją i pieścił, a potem wziął na ręce i zaniósł na maskę samochodu. Zanim ją tam ułożył, rozpostarł jedwabną różową chustę, którą zawsze wozila ze sobą - właśnie na takie okazje.

Kochali się, najpierw szorstko, namiętnie, potem czule i powoli, a później patrzyli sobie w oczy. Czy naprawdę dawniej były między nimi jakieś bariery?

Kiedy wracali do Wynette, Dallie rozmyślał, jak dobrze zrobił, żeniąc się z nią. Akurat wtedy Niedźwiedź pojawił się znowu, choć ostatnio odzywał się coraz rzadziej, zwłaszcza odkąd Dallie zaczął wygrywać na największych turniejach.

Chyba straciłeś głowę dla tej kobiety.

Tak jest. Dallie musnął jej włosy ustami.

A Niedźwiedź zachichotał. Dobra robota, Beaudine.

Na drugim końcu Wynette Skeet i Teddy siedzieli w cieniu morw na polu golfowym. Teddy kończył colę, patrzył na zieleń murawy i myślał. Miał na sobie ukochane spodnie moro, koszulkę z logo Uniwersytetu Teksaskiego ze znaczkiem: STOP ZBROJENIOM przypiętym do piersi.

To lato w Wynette okazało się najcudowniejszym czasem w jego życiu. Miał tu rower, zbudował z tatą superbaterię słoneczną za domem... Ale tęsknił trochę za przyjaciółmi z Nowego Jorku i cieszył się, że niedługo do nich wróci. Panna Pearson dała mu piątkę, co prawda nie za projekt akcji antyzbrojeniowej, za którą wszyscy na niego nakrzyczeli, ale za raport o losach jego mamy od chwili przyjazdu do Stanów. A w nowym roku szkolnym jego wychowawczynią będzie najfajniejsza nauczycielka w szkole. No i w Nowym Jorku jest mnóstwo muzeów, które chciał pokazać tacie.

- Gotowy? - Skeet wstał z ławki.

- Chyba tak. - Teddy dopił resztkę coli i wyrzucił puszkę do śmietnika. - Nie rozumiem, czemu trzymamy to w tajemnicy - burknął. - Gdybyśmy powiedzieli, co robimy, przychodzilibyśmy tu częściej.

- Nie twoja sprawa. - Skeet poprawił czapkę i spojrzał na murawę. - Powiemy tacie, kiedy ja uznam, że już czas, nie wcześniej.

Teddy uwielbiał przyjeżdżać ze Skeetem na pole golfowe. Wyjął kij z torby, wytarł dłonie o spodnie, ustawił piłeczkę, zgiął kolana, wziął zamach... uderzył. Zapatrzył się w dal. Pewnie dlatego, że pochodzi z miasta, przepadał za polem golfowym. Wdychał czyste powietrze.

- Jak było? - Wyteżył wzrok.

- Sto sześćdziesiąt metrów, tak na moje oko. - Skeet zachichotał. - W życiu nie widziałem, żeby dzieciak tak strzelał.

Teddy się zdenerwował.

- To nic takiego, Skeet. Golf to pestka. Gorzej jest trafić w piłeczkę bejsbolową czy grać w futbol. Ale w golfa? Każdy to potrafi.

Skeet nie odpowiadał. Niósł jego kije i tak się śmiał, że nie mógł mówić.

Podziękowania

Na szczególne podziękowania zasłużyły następujące osoby i organizacje;

Bill Phillips, który świetnie gra w golfa i nie pozwalał mi popełniać błędów. Kocham cię; Steve Axelrod - najlepszy na świecie; Claire Zion - dobry redaktor to konieczność, redaktor z poczuciem humoru to błogosławieństwo; Professional Golfers ' Association (Stowarzyszenie Zawodowych Golfistów) - za cierpliwe odpowiedzi na moje pytania; Ellis Island Foundation (Fundacja Ellis Island) - za podtrzymywanie płomienia; Zarząd i personel WBR W, Bridgewater, New Jersey - mała stacja radiowa z wielkim sercem.

Dr Lois Lee i Dzieci Ciemności - niech wam Bóg błogosławi; Charlotte Smith, dr Robert Pally, Glen Winger, Steve Adams; Rita Hallbright i Kenya Safari Company; Linda Barlow - za lata przyjaźni i pomocne uwagi; Ty Phillips i Zachary Phillips -którzy wnoszą światło w moje życie; Lydia Kihm - moja ulubiona siostra.

Susan Elizabeth Phillips